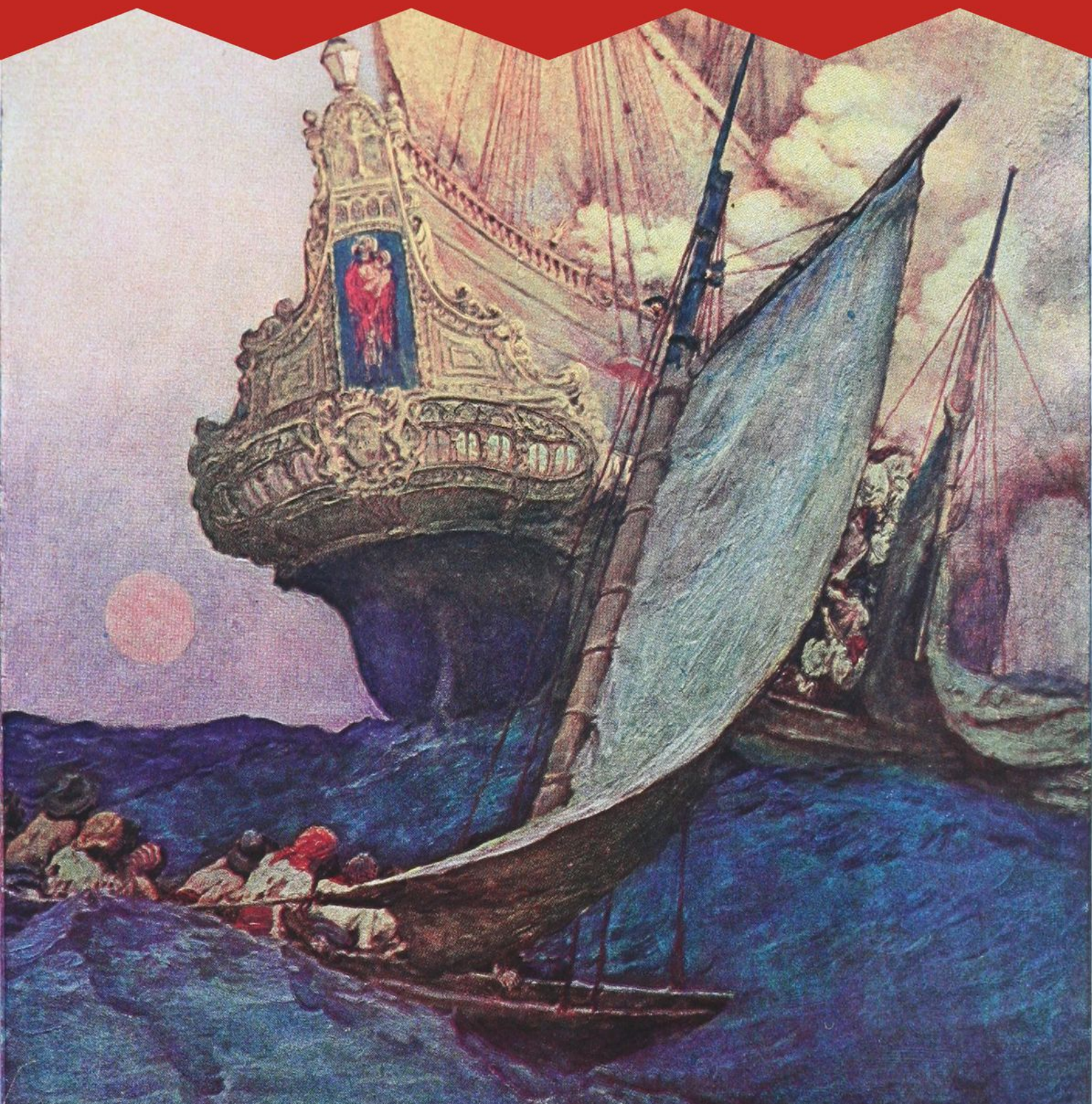


# Porwany za młodu





ROBERT LUDWIK STEVENSON

# Porwany za młodu

TŁUM. JÓZEF BIRKENMAJER

*Kochany Karolu Baxter!*

Jeżeli przeczytasz kiedy tę powieść, pewno zadasz sobie tyle pytań, iż ja sam nie zdołałbym na nie odpowiedzieć: np. jakim sposobem morderstwo w Appinie mogło przypaść na rok 1751, jakim sposobem skały Torrańskie podpełzły tak blisko ku wysepce Earraid albo też czemu drukowany tekst oskarżenia ani słowem nie wspomina o Dawidzie Balfourze? Są to wszystkie orzechy, których zgryźć nie potrafię. Ale jeżeli będziesz zadawał mi trudność co do tego, czy Alan był winien lub niewinien, zdaje mi się, że będę mógł obronić brzmienie tekstu. Po dziś dzień znajdziesz w Appinie tradycję wyraźnie świadczącą na jego korzyść; co więcej, gdybyś zasięgał języka, przekonałbyś się, że potomkowie owego „innego człowieka”, który był oddał strzał, żyją jeszcze po dziś dzień w tej krainie. Ale chociażbyś nie wiem jak się dopytywał, nigdy nie dowiesz się nazwiska tego „innego człowieka”, albowiem górale szanują tajemnicę samą dla siebie oraz dla niezwykłej wprost sprawności w jej dotrzymywaniu. Mógłbym tak długo się pieniaczyć, celem uzasadnienia jednego punktu, a obalenia drugiego; jednakże uczciwiej będzie wyznać od razu, że bynajmniej nie chodzi mi o ścisłość szczegółów. To, com napisał, nie jest sprzętem przeznaczonym do księgozbioru szkolnego żaka, ale książką mającą służyć wieczorom zimowym, gdy końca dobiegną zadania szkolne i zbliża się godzina nocnego wypoczynku. Czy Alan, który swojego czasu był zawziętym paliwodą, w tym nowym wcieleniu nie ma bardziej rozpaczliwego celu, jak oderwać uwagę jakiegoś młokosa od lektury Owidiusza, przenieść go na czas jakiś na Pogórze i w wiek osiemnasty, a wreszcie zapędzić go do łóżka i przystroić jego sny kilkoma zajmującymi zjawami?

Co się zaś ciebie tyczy, mój drogi Karolu, nawet nie wymagam, by ci się ta powieść podobała. Może się jednak spodoba twojemu synowi, gdy będzie starszy; niechże mu wtedy miło będzie znaleźć nazwisko swego ojca na pierwszej stronie książki; na razie mnie jest miło wypisać je tutaj na pamiątkę wielu dni, z których niektóre były szczęśliwe, a niektóre (co dziś może miło wspomnieć) smutne. Jeżeli mnie wydawać się może rzeczą dziwną, iż patrzę z odległości czasu i miejsca na te minione przygody naszej młodości, dziwniejsze to musi być dla ciebie, który stąpasz po tych samych ulicach — który możesz jutro otwierać drzwi starej uczelni, gdzieśmy zaczęli współzawodniczyć ze Scottem, Robertem Emmetem tudzież ukochanym a skromnym Macbeanem — albo omijać ów zakątek, gdzie owo dostojne grono, L.J.R., odbywało zebrania i popijało piwo, siedząc w krzesłach Burusa i jego towarzyszy. Zdaje mi się, iż cię widzę, chodzącego tam po świetle słonecznym i przyglądającego się spokojnymi oczyma tym miejscom, które teraz dla twego towarzysza stały się tłem sennych marzeń. Jakże w chwilach wolnych od obecnego zajęcia przeszłość musi rozdzwaniać się echem w twój pamięci! Niechajże nie rozdzwania często bez życzliwej myśli o twym przyjacielu.

R. L. S.

*Skerryvore, Bournemouth*

## ROZDZIAŁ I. WYRUSZAM W PODRÓŻ DO DWORU W SHAWS

Opowiadanie o mych przygodach rozpocznę od pewnego poranku na samym początku czerwca R.P.<sup>1</sup> 1751, kiedy to po raz ostatni wyjąłem klucz z drzwi domu mego ojca

<sup>1</sup>R.P. — skrót od: Roku Pańskiego. [przypis edytorski]

i ruszyłem w drogę. W miarę jak posuwałem się gościńcem, słońce zaczynało oświetać wierzchołki górskie; kiedym dochodził do plebanii, kosy już pogwizdywały w bzach ogrodu, a mgła, co w chwili brzasku rozwieszała się dokoła doliny, zaczynała właśnie podnosić się i znikać.

Imć<sup>2</sup> Campbell dobrodziej, pleban essendeański, czekał na mnie przy furtce ogrodowej — pocziwina! Zagadnął mnie, zalim jadł<sup>3</sup> już śniadanie; usłyszawszy zaś, że mi niczego nie potrzeba, ujął oburącz rękę moją i łaskawie włożył ją sobie pod pachę.

— Dobrze, Dawidku, mój drogi chłopcze — odezwał się — odprowadzę cię aż do brodu, by cię przysposobić do tej drogi.

I zaczęliśmy iść dalej w milczeniu.

— Czy ci smutno, że opuszczasz Essendean? — zapytał po chwili.

— Ależ, dobrodziej — odpowiedziałem — gdybym wiedział, dokąd idę lub co mi się snadnie<sup>4</sup> przygodzi<sup>5</sup> może, powiedziałbym szczerze waszmości: Essendean jest istotnie miłą miejscowością i byłem tu bardzo szczęśliwy; ale bo też poza tym nigdzie w świecie nie bywałem. Odkąd mi pomarli i rodzic<sup>6</sup>, i matka, nie będę w Essendean miał nikogo z bliskich, po równo jakby to było w królestwie węgierskim; a, prawdę powiedziawszy, jeśli bym sądził, iż tam, gdzie się wybieram, trafi mi się znaleźć lepszą dolę, tedy bym szedł z całą ochotą.

— Tak? — ozwał się imć Campbell. — Doskonale, mój Dawidku. W takim razie wypada, bym ci opowiedział coś niecoś o twym losie, przynajmniej tyle, ile potrafię. Gdy matka twoja zesła z tego świata, a twój rodzic (prawy człowiek i chrześcijanin) zachorzał śmiertelnie, porucił mi wówczas w opiekę pewien list, który, wedle słów nieboszczyka, stanowi twoje dziedzictwo. „Skoro umrę...” — tak mówił — „...gdy dom będzie oddany w zarząd, a ze sprzętami postąpić według rozporządzeń testamentu...” (wszystko to zostało wykonane, Dawidzie) „...wręcz memu chłopakowi ten list i wypraw go z nim do dworu Shaws, znajdującego się niedaleko od Crammondu. Jest to miejscowość, z której pochodzę...” — tak powiadał — „...i słuszna<sup>7</sup>, by chłopiec mój tam powrócił. Tęgi z niego chwat...” — tak mówił twój ojciec — „...a przy tym piechur wyśmienity. Nie wątpię przeto, że dojdzie bez szwanku i że polubią go tam, gdzie pójdzie”.

— Dwór w Shaws! — wykrzyknąłem. — Cóż wspólnego miał mój ojciec nieboszczyk z dworem w Shaws?

— Ba! — rzecze imć Campbell. — Któż potrafi to waćpanu objaśnić dokładnie? Wszakże nazwisko owej rodziny, mój Dawisiu, jest takie samo, jak twoje — Balfourowie z Shaws: jest to dom starożytny, zacny i sławny, ostatnimi czasy ponoć podupadły. Twój ojciec też był człowiekiem wykształconym, jak przystało jego stanowisku; nie wiem, czy kto mniej od niego nadawał się na kierownika szkoły, boć nie miał on wcale obyczajów ani gwary, cechującej zwykłego bakalarza. Jak sobie pewno sam przypominasz, zawsze rad zapraszałem go na plebanie, ilekroć bawił kto ze szlachty; a moi rodzeni stryjcowie, Campbell z Kilrennet, Campbell z Dunswire, Campbell z Minch oraz inni — wszystko szanowni panowie — radzi byli jego towarzystwu. Wreszcie, by już ci unaocznic wszystkie szczegóły tej sprawy, daję ci oto sam ów list przedśmiertny, wypisany własną ręką naszego śp. brata w Chrystusie.

Podał mi list, który w nagłówku miał następujące słowa: „Do rąk Jaśnie Wielmożnego Pana Ebenezera Balfoura z Shaws, w jego dworze Shaws; wręczy mu to mój syn, Dawid Balfour”.

Serce mi zaczęło tętnić głucho, gdy tak rozległe widoki otwarły się znienna przed oczyma siedemnastoletniego chłopaka, syna biednego bakalarza wiejskiego w Lesie Etricka.

— Mości Campbell dobrodziej — wyjąkałem — czy poszedłbyś tam, gdybyś był w mojej skórze?

<sup>2</sup>imć (daw.) — skrócona forma starop. zwrotu grzecznościowego: jej/jego miłość, jejmość/jegomość, stawanego przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>zalim jadł — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: zali jadłem (tj.: czy jadłem). [przypis edytorski]

<sup>4</sup>snadnie (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>przygodzi się (daw.) — przydarzyć się, przytrafić się. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>rodzic (daw.) — tu: ojciec. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>słuszna — daw. forma; znaczenie: słuszne jest, aby. [przypis edytorski]

— Ma się rozumieć — powiada pastor — poszedłbym i to bez odwłoki. Młodzik tak rzeński, jak ty, powinien dotrzeć do Crammondu (a jest to w pobliżu Edynburga) w przeciągu dwóch dni pieszej drogi. Gdyby się zdarzyło, co tylko się może zdarzyć najgorszego, a mianowicie gdyby twoi wysoko urodzeni krewniacy (boć przypuszczam, że jakieś węzły krwi niechybnie łączą ich z tobą) zatrzasnęli ci drzwi przed nosem, to możesz w ciągu nieledwie dwóch dni być znów z powrotem i zakolatać do drzwi plebanii. Jednakowoż tuszę, że raczej doznasz życzliwego przyjęcia, jak to przewidywał twój ojciec nieboszczyk, a o ile miarkuję, zostaniesz kiedyś wielkim człowiekiem. A teraz, Dawidku, mój drogi chłopcze — podjął po chwili — leży mi to niemal na sumieniu, by pożegnanie nasze obrócić na twój pożytek i obudzić w tobie należyłą czujność przed niebezpieczeństwami tego świata.

To rzekłszy, jął poszukiwać wygodnego siedziska; znalazłszy spory głaz, wytoczył go pod brzozę koło ścieżyny i usiadł na nim, wydłużając nadzwyczajnie górną wargę z wyrazem wielkiej powagi; ponieważ zaś słońce, świecąc pomiędzy dwoma wierzchołkami, prażyło nas prosto w lica, więc wydobywszy z kieszeni chusteczkę do nosa, zarzucił ją, gwoli osłonie, na kapelusz stosowany. Następnie, podniósłszy w górę palec wskazujący, jął mnie ostrzegać przed stekiem najrozmaitszych herezji, do których nie miałem najmniejszej pokusy, i kładł mi w uszy, żebym był wytrwały w modlitwach i czytaniu Biblii. Uporawszy się z tym, zaczął roztaczać przede mną obraz wielkiego dworu, do jakiego się wybierałem, i objaśniać, jak mam się zachowywać w stosunku do jego mieszkańców.

— Bądź pokorny, Dawidku, w sprawach najdrobniejszych — prawil mi. — Miej to zawsze w pamięci, że acz jesteś z rodziny ślacheckiej, jednakoz wychowałeś się wśród gminu. Nie wstydujże się nas, Dawidku, nie wstydujże się! W onym wielkim, wytworknym domu, w obcowaniu z wszystkimi tamecznymi domownikami, zarówno niższymi, jak i wyższymi, okazuj się tak uprzejmy, tak uważny, tak pojętny i tak powściągliwy w mowie, jak dotychczas. Co się zaś tyczy jaśnie pana — pamiętaj że to jaśnie pan; nie powiem nic ponadto: czcij, kogo czcić należy. Miło to podlegać możnemu panu, zwłaszcza gdy się jest młodym.

— Dobrze, wielebny pastarze — odpowiedziałem — niechby tylko sprawdziły się aścine<sup>8</sup> domysły, a obiecuję waszmości, że będę się starał tak postępować, jak mi zalecasz.

— No, ładnieś to powiedział — rzecze imć Campbell serdecznie. — A teraz przejdźmy<sup>9</sup> do istoty rzeczy, czyli raczej (wyraziwszy się konceptem) do rzeczy nieistotnych. Mam tu małe zawiniątko, które zawiera cztery przedmioty. — To mówiąc, wyciągnął je z niejaką uciążliwością z kieszeni, znajdującej się pod połą surduta. — Pierwszy z tych czterech przedmiotów prawnie się tobie należy: jest to garść grosiwa, stanowiącego cenną księżkę i przyborów szkolnych twojego ojca, które (jakem ci to zaznaczył na samym początku) kupilem w tym zamiarze, by z zyskiem odprzedać je nowo przybyłemu bakałarzowi. Trzy inne są to dary, których przyjęciem uradowałbyś wielce i mnie, i moją małżonkę. Pierwszy z tych drobiazgów, okrągły kształtem, najwięcej ci zapewne ucieszy w początkach twej drogi, chociaż Dawidku, moje dziecię, jest to tylko kropla wody w morzu: przyda ci się na jedną chwilkę i zniknie, jak brzask poranny. Drugi przedmiot, płaski, czworokątny i zapisany, będzie ci ostoją przez całe życie, niby dobra laska w podróży i dobra poduszka pod głowę w chorobie. Co się zaś tyczy rzeczy ostatniej, mającej wygląd sześciennej, to odprowadzi cię ona (takie mam w duszy zbożne życzenie) do lepszej krainy.

To mówiąc wstał na równe nogi, zdjął kapelusz i modlił się przez chwilę głośno, tkliwymi wyrazy, za młodego człowieka, wyprawiającego się w świat szeroki. Nagle pochwycił mnie w objęcia i uściśnął z całej mocy, po czym trzymał mię jeszcze oburącz, wyciągnąwszy ramiona na całą długość przed siebie i przyglądał mi się twarzą całą drgającą od frasobliwości, aż w końcu odwinął się w tył, jak fryga, i krzyżąc mi: „Do widzenia!”, zaczął się oddalać jakimś posuwistym biegiem po onej drodze, którąśmy tu przybyli. Komu innemu wydałoby się to pewnie rzeczą śmieszną, ale ja bynajmniej nie miałem ochoty do śmiechu. Poglądałem nań, póki go dostrzec można było, on wszakże nie zwolnił biegu

<sup>8</sup>aściny (daw.) — skrót od: waszmościny (waszej miłości pana, waszmości pana); przymiotnik od starop. potocznego zwrotu grzecznościowego. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>przejdźmyż — konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

i ani razu nie obejrzał się poza siebie. Wtedy przyszło mi na myśl, że wszystko to były w nim objawy smutku z powodu rozłąki ze mną; przeto wrychle doznałem gorzkich wyrzutów sumienia, jako że ja ze swej strony okazałem był niepomierną radość, iż porzucam ten cichy sielski zakątek i udaję się do wielkiego, hucznego dworu, pomiędzy bogatych i szanownych wielmożów teje, co ja, krwi i tegoż nazwiska.

— Dawidku, Dawidku! — pomyślałem sobie. — Widziałe<sup>10</sup> kto taką czarną niewdzięczność? Mógłżeś<sup>11</sup> zapomnieć dawnych opiekunów i dawnych przyjaciół li tylko<sup>12</sup> dla blichtru jakiegoś tam nazwiska? Fe, fe! Wstydz się!

Usiadłem na glazie, dopiero co opuszczonym przez plebana poczciwinę i rozwiązałem zawiniątko, by zobaczyć, jakie też tam kryją się prezenty. To, co on nazwał szczęśliwym, od samego początku nie budziło we mnie wątpliwości; była to oczywiście mała Biblia, którą można było nosić w węzélku podróznym. To, co nazwał okrągłym, było, jakem się przekonał, srebrnym szylingiem; trzecią zaś rzeczą, która miała mi tak cudownie pomagać, zarówno w zdrowiu jak i chorobie, przez wszystkie dni mego żywota, był świstek wyżółkłego papieru, na którego chropawej powierzchni wypisano czerwonym inkaustem, co następuje:

*Jak przyrządzać wodę konwaliową.*

*Wziąć kwiaty konwalii, przedestylować je w woreczku i wypić łyżkę lub dwie, zależnie od okoliczności. Przywraca mowę tym, którzy cierpią na paraliż języka. Skuteczna przeciwko podagrze; uspokaja serce i pokrzepia pamięć; zasię wsyp kwiaty do szklanki, ubij je mocno i włóż na miesiąc do mrowiska, potem wyjmij, a otrzymasz ciecz pochodzącą z kwiatów, którą przechowuj w butelce; przyda się czy w słabości, czy w zdrowiu, mężczyźnie czy też kobiecie.*

Potem następował dopisek własnoręczny plebana:

*Podobnie na zwicmnięcie należy wcierać; a w razie przypadłości żółciowych jedna łyżka na godzinę.*

Ma się rozumieć, że mnie to pobudziło do śmiechu — lecz śmiech ten drżał mi niejako na ustach. Rad byłem, gdym przytroczył na końcu kija węzelek podróznym i ruszyłem w drogę, aż przebywszy bród, zacząłem się wspinać na wzgórze po przeciwnym brzegu rzeki. W sam raz, gdym wyszedł na zielony wygon biegnący szeroko w poprzek wrzosowiska, ujrzałem po raz ostatni zbór essendeński, drzewa dokoła plebanii i ogromne jesiony rosnące na cmentarzu, gdzie spoczywali moi rodzice.

## ROZDZIAŁ II. PRZYBYWAM DO KRESU PODRÓŻY

Nazajutrz przed południem, gdym wyszedł na szczyt jednego ze wzgórz, obaczyłem, że cała kraina przede mną opada hen ku morzu; pośrodku tej pochyłości, na podłużnej wierzchowinie, widniało miasto Edynburg, nakryte dymem niby wapiennik. Nad zamkiem powiewał proporzec, a w morskiej odnodze stały na kotwicy lub z wolną poruszały się okręty. Jedno i drugie, pomimo znacznego oddalenia, zdołałem rozpoznać wyraźnie; jedno i drugie wywarło niezmierne wrażenie na mym wieśniaczym sercu.

Wkrótce potem przybyłem pod dom, gdzie zamieszkiwał jakowys pastuch i otrzymałem jaką taką wskazówkę co do okolic Crammondu; tak zagadując o drogę jednego człowieka za drugim, szedłem wytrwale w kierunku zachodnim od stolicy, aż minąwszy Collinton, wydostałem się na gościniec wiodący do Glasgow. Tam, ku wielkiej mej uciesze i podziwieniu, ujrzałem pułk wojska, maszerujący równo, noga w nogę, przy dźwiękach piszczałek; z jednego końca jechał na siwym rumaku stary generał, ogorzały na licach, na drugim zaś końcu szła kompania grenadierów w „papieskich” kołpakach<sup>13</sup>.

<sup>10</sup>widziałe — konstrukcja z partykułą -że, pełniącą funkcję wzmacniającą i pytajną; inaczej: czy widział. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>mógłżeś — konstrukcja z partykułą -że, pełniącą funkcję wzmacniającą i pytajną; inaczej: czy mogłeś. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>li tylko — konstrukcja z partykułą li, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>kołpaki „papieskie” — kołpaki, kształtem przypominające mitrę, noszone też w innych wojskach w XVIII w., znane z obrazów przedstawiających wojsko rosyjskie. [przypis tłumacza]

Rażnie jakoś i buńczucznie zrobiło mi się na duszy, gdym patrzył na te czerwone kabaty i przysłuchiwał się onej wesołej muzyce.

Uszedłem jeszcze mały kęs drogi i powiedziano mi, iżem już w parafii crammondzkiej, więc do zapytań, zadawanych ludziom, jałem wtrącać miano dworu Shaws. Jednakowoż to słowo zdawało się zdumieniem przejmować tych, których prosiłem o wskazanie drogi. Zrazu mniemałem, że niewytworny mój wygląd i moja odzież wieśniacza, przysuta pyłem gościńca, niezbyt się kojarzyły ze wspaniałością miejsca, do którego zdążyłem. Ale skoro dwóch, a może i trzech przechodniów obdarzyło mnie takim samym spojrzeniem i takąż samą odpowiedzią, zacząłem miarkować, że musiała to być jakaś dziwna sprawa z samym owym Shaws.

Toteż, ażeby uspokoić tę obawę, zmieniłem sposób zapytywania; zdybawszy jakiegoś przyzwoitego czelczyne, co postępując za dyszłem wozu, szedł drogą wśród opłotków, zagadnąłem go, czy słyszał kiedykolwiek, by mu opowiadano o domu, który nazywają dworem w Shaws.

Chłopek zatrzymał wóz i spojrzał na mnie tym wzrokiem, co inni.

— Juści — odpowiedział. — Na cóż ci to?

— Czy to wielki dom? — zapytałem.

— Ani chybi — rzecze ów. — Dwór ci to jest wielgi, murowany.

— No, tak — mówię na to — ale jacyż tam ludzie mieszkają?

— Ludzie? — krzyknął chłop. — Czyś oszalał? Tam nie ma nijakich ludzisków... takich, których by można nazwać ludźmi...

— Co? — rzekę jemu. — Nie ma pana Ebenezera?

— No, juści — odrzeknie chłop — dziedzic tam som, a ino, jeżeli wam jego potrza. A jaka też ta was tam sprawa wiedzie, panoczku?

— Skłaniałem się do myśli, że mógłbym tam dostać posadę — odpowiedziałem, spoglądając tak skromnie, jak jeno potrafiłem.

— Co? — krzyknął woźnica głosem tak przenikliwym, że nawet koń spłoszył się u dyszła. — Dobrze, panoczku — dodał po chwili — mnie ta nic do tego, ale widzi mi się, że z was młodzik rozsądny, przeto jeżeli nie pogardzicie mą radą, powinniście stronić od Shaws.

Następną osobą, jaką napotkałem, był mały, fertyczny człowieczek w pięknej białej peruce, w którym rozpoznałem domokrażnego golibrodę; wiedząc zaś, że cyrulicy z natury bywają wielce gadatliwi, zapytałem go wręcz, jakim to człowiekiem był pan Balfour z Shaws.

— Tfy! Tfy! Tfy! — ozwał się golarz. — To nie człowiek, to wcale nie człowiek! — i zaczął wypytywać mnie przebiegle, czym się trudnię; nie dałem mu się jednak na to złapać, przeto odszedł do następnego klienta, nie mądrzejszy niż przybył.

Nie potrafię opisać, jaki cios zadało to moim złudzeniom. Im więcej mglistości było w tych oskarżeniach, tym mniej mi się one podobały, jako że tym więcej pola pozostawiały wyobraźni. Cóż to był za dom, iż gdy się on zapytał, cała parafia wzdryga się i wytrzeszcza żrenice? I jakież był ów pan, że jego niesława tak przejmowała tu przechodniów? Gdybym w godzinę drogi zdołał zająć z powrotem do Essendean, poniechałbym zamierzonego przedsięwzięcia i wróciłbym się w domostwo pana Campbellowe. Ale skoro już uszedł tyle drogi, sam wstyd nie pozwoliłby mi ustąpić, ażbym zbadał dowodnie całą sprawę; już sama godność osobista zniewalała mnie, by dzieło doprowadzić do końca; przeto acz mi się nie podobało brzmienie tego, com słyszał, i choć podróż mi się zaczęła wlec ślimaczym krokiem, jednak wciąż uporczywie się wypytywałem i wciąż posuwałem się naprzód.

Już miało się ku zachodowi, gdy napotkałem tęgą, smagłą babę, o cierpkim wyrazie oblicza, zstępującą ociężale ze wzgórza; ledwom<sup>14</sup> jej zadał zwykłe pytanie, zawróciła się raptownie z drogi, wyprowadziła mnie z powrotem na wierzchołek, z którego właśnie była zeszła i wskazała ręką zrąb wielkiego budynku, co stał zgoła odsłonięty na zielonym ugorze, zalegającym dno najbliższej doliny. Okolica przyległa była cale<sup>15</sup> miła, ożywiona to niskimi wzgórzami, pełnymi wdzięcznych lasów i strumieni, to łąkami młodego zboża,

<sup>14</sup>ledwom (...) zadał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: ledwo zadałem. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>cale (daw.) — zupełnie. [przypis edytorski]

które, jak mi się widziało, cudnie obrodziło. Natomiast sam dom wydał mi się czymś w rodzaju zwaliska: nie wiodła ku niemu żadna droga; z żadnego komina nie unosiły się dymy; nie było niczego, co by przypominało ogród. Serce we mnie zamarło.

— Więc to tam! — zawołałem.

Twarz baby rozgorzała zjadliwością gniewu.

— Oto jest dwór w Shaws! — wykrzyknęła. — Krwią był stawiany; krew powstrzymała jego budowy; krew przyniesie mu zagładę. Spójrz no tu! — krzyknęła po chwili. — Oto plwam na ziemię i trzaskam w palce na znak pogardy dla niego. Niech go nawiedzi czarne nieszczęście i zguba! Jeżeli zobaczysz się z dziedzicem, powiedz mu, co słyszysz; powiedz mu, jako dzieje się to po raz tysięczny dwóchsetny dziewięćdziesiąty, iż Dżeneta Clouston pozywa kłatwę na niego, na jego dwór, stajnię i oborę, czeladź, gości, na młodego panicza, żonę, panienkę, czy też dziecię nieletnie... bodaj na nich spadło czarne nieszczęście i zguba!

Głos jej się podniósł niebywale, przechodząc w jakieś jędzowskie szurum-burum; naraz wywinęła się jednym susem i poszła sobie precz. Stałem tak, kędy mnie ostawiła, a włosy mi stały dębem na głowie. W owych czasach ludzie jeszcze wierzyli w czarownice i drżeli przed kłatwą; ta zaś, że mi wypadła w sam raz niby jakaś wieszczba przydrożna, mająca mnie odwieść od wykonania powziętego zamiaru, obezwładniła do cna moje nogi.

Usiadłem więc i pozierałem na dwór w Shaws. Im dłużej się przyglądałem, tym nadośniejszą widziałą mi się owa okolica, boć rosły tu wszędy krzewy głogowe, obsypane kwieciami; rozłogi, jak śniegiem, usiane były trzódkami owiec; po niebie wdzięcznie sobie polatowali gawronkowie. Wszystko tu świadczyło o łaskawości ziemi uprawnej i aury — wszakoż ona rudera, pośrodku się wznosząca, okrutną we mnie budziła odrazę.

Mijali mnie wracający z pola kmiotkowie, kiedym tak siedział na brzegu przykopy, alic brakło mi tchu, bym mógł ich pozdrowić na dobry wieczór. Na koniec zaszło już i słońce, a wtedy na tle żółtawego nieba spostrzegłem wzbijającą się ku górze smużkę dymu, nie grubszą (tak mi się wydało) od kopcium wznoszącego się znad świecy; w każdym razie był to dym i świadczył o jakowymś ognisku, ciepłe i gotowanej strawie oraz o tym, że mieszka tu jakaś żyjąca istota, która roznieciła owo ognisko. To wlało mi w serce otuchę.

Przeto ruszyłem przed siebie małą, ledwo dostrzegalną w trawie ścieżyną, która wiodła w kierunku obranym przeze mnie. Była ona doprawdy nazbyt nikła, by mogła być jedyną drogą ku ludzkiej sadybie, atoli<sup>16</sup> innej drogi nie widziałem. W każdym razie doprowadziła mnie do kamiennych słupców, na których wierzchołku widniały tarcze herbowe; obok znajdował się domek odźwiernego, niepokryty dachem. Miało to być widocznie główne wejście, ale go nigdy nie dokończono; zamiast wrzeczędzy<sup>17</sup> z kowanego żelaza postawiono w poprzek dwa plotki łożinowe, przewiązane powrośłem; nie było też ni śladu murów ogrodowych, albowi jakowego szpaleru — ścieżyna, po której szedłem, omijała z prawej strony one węgary i wila się tędy owędy ku domowi.

Im bliżej podchodziłem ku temu dworzyszczu, tym mi się przedstawiało posępniej. Wyglądało tak, jak gdyby jedno ze skrzydeł gmachu nie było wcale ukończone w budowie. To, co snadź<sup>18</sup> miało być jego dalszą połącią, sterczało niepokryte na górnych piętrach, uwydatniając się na tle nieba wschodami<sup>19</sup> i zazębieniami niedokończonych murów. Wiele okien było nieoszkłonych, a gacki<sup>20</sup> wlatywały nimi i wylatywały, niby gołębie poprzez otwór gołębnika.

Noc już po trosze zapadała, gdym doszedł do samej budowli; zasię w trzech oknach na dole, które były bardzo wysoko podmurowane i wąskie, a przy tym mocno zatarasowane, zaczął połyskiwać chybotliwy odbłask niewielkiego ogniska.

Czyż to był ów pałac, do którego się wybierał? Zali w onych to murach miałem szukać nowych druhów i sposobić się do wielkiej przyszłości? Ba! Przecie w domu mego ojca, nad brzegiem rzeki Essen, huczne ognisko i jarzące światła widać było na milę wokoło, a drzwi były otwarte na każde zapukanie proszalnego dziada!

<sup>16</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>wrzeczędz — okucie budowlane, zamknięcie drzwi lub bramy, element w formie sztaby (a. płaskownika) z otworem, współpracujący ze skoblem i służący wraz z nim do mocowania kłódki. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>snadź (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>wschody (daw.) — tu: schody. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>gacek — gatunek małego nietoperza. [przypis edytorski]

Postąpiłem ostrożnie naprzód i ile mogłem, nadstawiając ucha, posłyszałem, jak ktoś tam pobrzękiwał talerzami, a od czasu do czasu rozlegało się gwałtowne, nieco suche, pokaszliwanie; jednakowoż nie było słycać najmniejszej rozmowy, ani też psiego ujadania.

Wrota, o ile zdołałem dojrzeć w półmroku, były z wielkiej kłody drewnianej, którą całą pozabijano ćwiekami. Podniosłem rękę — ledwie przy tym zdołałem wyczuć tętno serca pod kubrakiem — i zastukałem raz jeden, po czym stanąłem w oczekiwaniu. Dwór zapadł w śmiertelną głuszę; upłynęła cała minuta i nikt się nie poruszył, chyba te gacki, latające nad głową. Zapukałem znowu i jałem znów nadśluchiwać. Przez ten czas ucho moje tak się oswoiło z ciszą, że zdołałem uchwycić nawet tykanie zegara, co w głębi dworu odmierzał z wolna sekundy; atoli ów ktoś, znajdujący się w onym dworze, zachowywał śmiertelne milczenie i niewątpliwie stłumił nawet dech w sobie.

Biłem się z myślami, azali<sup>21</sup> nie czmychnąć; atoli<sup>22</sup> ostatecznie przemógł we mnie gniew, więc odmieniwszy postanowienie, zacząłem okładać wrota kopniakami i kuksańcami i na cały głos przyzywać pana Balfoura. Jużem się był na dobre zaperzył, gdy nagle tuż nad głową posłyszałem czyjś kaszel; odskoczywszy wstecz i spojrzawszy w górę, obaczyłem głowę ludzką w długiej szlafmicy oraz lejkowaty wylot garłacza<sup>23</sup>, widniejący w jednym z okien pierwszego piętra.

— On nabyty! — ozwał się głos.

— Przybyłem tu — mówię na to — z listem do pana Ebenezera Balfoura z Shaws. Czym go zastał?

— Od kogóż to? — zapytał człek, uzbrojony garłaczem.

— Mniejsza z tym, od kogo! — rzekłem, bo ogarniała mnie coraz większa wściekłość.

— Dobrze, dobrze! — brzmiała odpowiedź — możesz położyć go na progu i wynosić się na cztery wiatry.

— Nie uczynię tego! — krzyknąłem. — Wręcę go do rąk własnych pana Balfoura, jak mi wypada uczynić. Jest to list polecający.

— Jaki? — huknął ostro ów głos.

Powtórzyłem słowa poprzednie.

— A któżes ty zacz? — brzmiało następne pytanie po dłuższej chwili milczenia.

— Nie wstydzę się swego nazwiska — odparłem. — Zwą mnie Dawid Balfour.

Na te słowa, jak wnoszę, człowiek ów cofnął się, gdyż posłyszałem, jak garłacz zachrzęścił na parapecie okna; dopiero po długiej, bardzo długiej przerwie głos ów, osobliwie jakoś zmieniony, zadał następne pytanie:

— Czy ojciec twój umarł?

Byłem tak tym zaskoczony, że nie stało mi głosu na odpowiedź, lecz stałem nieruchomo, wytrzeszczając oczy.

— Tak — podjął znowu ów człowiek — on chyba już umarł, nie masz wątpliwości; i chyba to zmusza cię do kołatania w moje wrota. — Znów nastąpiła cisza, a potem ów rzecz niedowierzająco i oschle. — No dobrze, człowiecze; wpuszczę cię do mieszkania.

To rzekłszy, odszedł od okna.

### ROZDZIAŁ III. ZAWIERAM ZNAJOMOŚĆ ZE STRYJEM

Naraz rozległ się donośny szcęk łańcuchów i zgrzyt rygli, aż z wielką ostrożnością otwarto wrota, które natychmiast zawarły się za mną, zaledwim został wpuszczony do wnętrza.

— Idź do kuchni i nie ruszaj niczego — dał się słyszeć głos i gdy obywatel tego domu zajął się ponownym utwierdzeniem wszystkich zasuvek i przeszczepek we drzwiach, ja tymczasem szedłem po omacku naprzód, aż dostałem się do kuchni.

Ognisko właśnie było wystrzeliło jasnym płomieniem, a w świetle jego ukazała mi się izba bodaj najbardziej opustoszała, jaką mi się zdarzyło widzieć kiedykolwiek. Na półkach stało pół tuzina talerzy; na stole znajdowała się miska kaszy, łyżka rogowa i kubek cienkiego piwa — wszystko to zastawione do wieczery. Poza tym, co wymieniłem, w tej ogromnej pustej świetlicy o kamiennym sklepieniu nie było żadnych sprzętów oprócz

<sup>21</sup>azali (daw.) — czy też; czy aby. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>garłacz — odprzodowa broń palna o lufie rozszerzonej u wylotu. [przypis edytorski]



pozawieranych<sup>24</sup> skrzyń ustawionych wzdłuż ściany i oprócz narożnego kredensu opartzonego kłódką.

Gdy już ostatni łańcuch został zapięty, mężczyzna ów przybył za mną. Był to sobie lichotka chudy, zgarbiony, wąski w łopatkach, o twarzy jak glina; wiek jego można by oceniać na pięć do siedmiu krzyżyków. Szlafmycę miał z flaneli, a takiż był i szlafrok, noszony przezeń na podartej koszuli, miast kaftana i kamizelki. Znać było, że się z dawna nie golił; jednakowoż co mnie najwięcej niepokoiło, a nawet zatrważało, to że ów człeczyna ani nie odrywał oczu ode mnie, ani też nie spojrzął mi otwarcie w oblicze. Nie umiałem dociec, czym był z pochodzenia lub zawodu; zakrawał jednak (tak mi się zdawało) na starego i bezużytecznego służalca, którego za chleb łaskawy pozostawiono na straży tego wielkiego dworu.

— Czyś zmęczony? — zapytał, trzymając wzrok na wysokości mego kolana. — Może byś zjadł tę odrobinę kaszy.

Powiedziałem, że się boję, czy nie pozbawię go przez to własnej jego wieszczy.

— O! — odpowiedział mi — mogę się doskonale bez niej obejść; jednakowoż piwa się napiję, bo mi ono zmiękcza kaszel. — Wypił kubek prawie do połowy, lecz przez ten cały czas, gdy pił, nie spuszczał mnie z oka; naraz wyciągnął rękę przed siebie. — Zobaczmyż on<sup>25</sup> list! — powiedział.

Odpowiedziałem, że list był nie do niego, lecz do pana Balfoura.

— A za kogóż ty mnie poczytujesz? — zapytał ów. — Daj no mi list Aleksandra.

— Waćpan znasz imię mego ojca?

— Dziwno by było, jeślibym go nie znał — odparł na to — wszak był mi bratem rodzonym; a choć zdaje mi się, żeś sobie nie upodobał ani mnie, ani mojej dobrej kaszy, to jednak jestem twoim rodzonym stryjem, dzielny mój Dawisiu, ty zaś jesteś rodzonym moim synowcem. Daj mi więc ten list, usiądź przy stole i najedz się do syta.

Gdybym był o parę lat młodszy, na pewno od wstydu, zmęczenia i zawodu, jakie mię tu spotkały, zalałbym się rześzystymi łzami. Wobec tego, co tu się działo, nie stać mnie było na słowa, ni takie, ni owakie, jeno wręczyłem mu list i przysiadłem się do kaszy, mimo że niewielką miałem, jak na swoje lata, chęć do jadła.

Tymczasem mój stryj, pochyliwszy się nad ogniskiem, obracał list w rękach na wszystkie strony.

— Czy wiesz, co w nim się zawiera? — zapytał znienacka.

— Waszmość pan sam widzisz — odpowiedziałem — że pieczęć nie była naruszona.

— Tak — rzecze on — ale cóż cię tu przywiodło?

— Miałem list oddać — odrzekłem.

— Nie — odzywa się ów przebiegle — tyś się tu pewnie czegoś spodziewał?

— Przyznam się, mości dobrodzieju — mówię na to — iż, gdy mi powiadano, jako mam zamożnych krewniaków, istotnie dałem się uwieść nadziei, że oni mi może dopomogą w życiu. Atoli nie jestem żebrakiem; nie ubiegam się o żadne łaski z waszej strony i nie pragnę niczego, czego by mi nie dano dobrowolnie. Albowiem, choć wyglądam na chudzińcę, to jednak mam przyjaciół, którzy byliby uszczęśliwieni, gdyby mogli mi się czymś przysłużyć.

— Hola, hola! — ozwał się stryj Ebenezer. — Nie unośże się na mnie gniewem. Zgodzimy się i tak doskonale z sobą. A jeżeliś już, mój dzielny Dawisiu, dał spokój tej odrobinie kaszy, to może bym ja sam też przełknął jej choć krzynekę. Tak! — ciągnął dalej, wywłaszczony ze stolka i łyżki. — To dobre, zdrowe pożywienie... wspaniałym jest kasza pożywieniem.

Wymamrotał krótki pacierz przedobiedni i zabrał się do jedzenia.

— Twój ojciec, pamiętam, bardzo lubił tę potrawę, ale ja to nie potrafię więcej, jak ino dziabnąć troszkę jadła. — Pociągnął spory łyk podpiwku, co snadź przypomniało mu o obowiązkach gościnności, gdyż wraz potem tak przemówił. — Jeżeliś spragniony, tedy wodę znajdziesz za drzwiami.

<sup>24</sup>pozawierany (daw.) — pozamykany. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>on (daw.) — ten; ów. [przypis edytorski]

Nicem<sup>26</sup> na to nie odpowiedział, stojąc na obu nogach prosto jak drąg i z wielką złością w sercu poglądał na stryja. On zaś, swoją koleją, jadł bez przerwy, niby człek krótkością czasu przynaglony, i wciąż rzucał krótkie, przenikliwe spojrzenia to na moje trzewiki, to na niewykwintne pończochy. Raz tylko, gdy odważył się popatrzeć nieco w górę, oczy nasze spotkały się wzajem ze sobą; zaiste i rzezimieszek, co przychwycon, gdy rękę trzymał w cudzej kieszeni, nie okazałby większego zaniepokojenia, niżli on podówczas. To skłoniło mnie do zastanowienia się, zali jego bojaźliwość wynikała z nazbyt długiego odzwyczajenia się od wszelkiej styczności z ludźmi, czy też może po krótkim obcowaniu ze mną usposobienie to przejdzie i stryj mój zmieni się w całkiem innego człowieka. Jego głos przenikliwy obudził mnie z tych dumań.

— Czy twój ojciec dawno umarł? — zagadnął.

— Trzy tygodnie temu, mości dobrodzieju — powiadam mu na to.

— Był to człek skryty, ten Aleksander... człek skryty, milczący — mówił dalej. — Nigdy nie odezwał się wesoło, gdy był w leciech młodszych. Czyż nie opowiadał o mnie nigdy jakowych fraszek?

— Pókiście mi sami tego nie powiedzieli, nigdym nie wiedział, mości panie, o tym, że ojciec mój miał brata.

— Mój drogi, mój drogi! — rzecze Ebenezer. — Toś nie słyszał może i o Shaws?

— Nawet i miana tego nie słyszałem, mości panie — odrzekłem.

— Pomyślcie sobie! — powie on na to. — Jakiż to człek dziwny!

Mimo wszystko, zdawał się być niezwykle zadowolony, atoli czy z siebie samego, czy z tego postępowania mego ojca, tego nie zdołałem z twarzy mu wyczytać. W każdym razie to pewna, że widocznie pozbył się tego obrzydzenia czy niechęci, jaką zrazu był powziął przeciwko mej osobie, gdyż ni stąd, ni zowąd skoczył z miejsca, przeszedł przez izbę i stanąwszy za mną, klasnął mnie po łopatce.

— Jeszcze się z sobą doskonale zżyjemy! — zawołał. — Cieszę się doprawdy, że mę się wpuścił. A teraz chodź spać!

Ku memu zdumieniu, nie zapalił ani lampy, ani świecy, ale zapuścił się w ciemny korytarz, gdzie, ciężko dysząc i szukając po omacku drogi, gramolił się po schodach do góry, aż zatrzymał się przed jakimiś drzwiami, które jął odmykać. Szedłem tuż za nim, następując mu na pięty i potykając się nieustannie. Teraz prosił mnie wniknąć, jako że był to pokój mnie przeznaczony. Uczyniłem, co mi zlecił, ale uszedłszy kilka kroków, przystanąłem i zażądałem światła, bym mógł trafić do łóżka.

— Fiu-fiu! — rzekł stryj Ebenezer. — Księżyc ładnie przyświeca.

— Ani miesiąca, ani gwiazd nie widać, mości dobrodzieju; ciemno tu jak w kominie — odpowiedziałem. — Nie mogę dostrzec łóżka.

— Fiu-fiu! Fiu-fiu! — rzecze on na to. — Światła w domu żadną miarą znosić nie mogę; zanadto się boję pożarów. Dobranoc ci, Dawidku, mój chwacie! — i zanim zdążyłem czemuś ponadto się sprzeciwić, zatrzasnął drzwi i posłyszałem, jak tarasował je od zewnątrz.

Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać. W pokoju było zimno jak w studni, a łożo, które nareszcie odszukałem, było nasiąkłe wilgocią, niby trzęsawisko; na szczęście jednak przywlokłem był na górę tobolek i derkę, więc nią się owinąwszy, ległem na podłodze, w miejscu gdzie wielkie krzyżaki łoża zasłaniały mnie od wiatru. Niebawem zapadłem w twarde sen.

Ledwo się rozwidniło, otworłem powieki i obaczyłem, że znajduję się w wielkiej komnacie, obwieszanej skórą pięknie wytłaczaną, zastawionej sprzęty misternie dzierganymi i oświetlonej trzema oknami. Lat temu dziesięć, a może dwadzieścia, musiało to być miło zasypiać lub budzić się w tym pokoju; lecz wilgoć, brud, zaniedbanie, jako też myszy i pająki, uczyniły od tego czasu wszystko, by go zohydzić. Ponadto wiele szyb w oknach było powybijanych, a było to tak pospolitym zjawiskiem w całym domu, iż przywiodło mnie to do przypuszczenia, że stryj mój musiał tu kiedyś wytrzymywać oblężenie ze strony zawziętych sąsiadów — może z Dżenetą Clouston na czele.

<sup>26</sup>nicem (...) nie odpowiedział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: nic nie odpowiedziałem. [przypis edytorski]

Tymczasem na dworze słońce już od dawna świeciło, a ponieważ zmarłem nie na żarty w tej nieszczęsnej komnacie, przeto zacząłem dobijać się do drzwi i wrzeszczeć, póki nie nadszedł mój uwięziiciel, by mnie z niej wypuścić. Zaprowadził mnie na tyły domu, gdzie była studnia z żurawiem, i powiedział, że „tu mogę obmyć twarz, o ile zechcę”; gdy to uczynił, przedostałem się jakoś na własną rękę do kuchni, gdzie stryj rozpałił już był ognisko i gotował kaszę. Stół był zastawiony dwiema miseczkami i dwiema łyżkami rogowymi, natomiast podpiwku była tylko jedna miarka — taka sama, jak wczoraj. Zapewne oko moje spoczęło z pewnym zdziwieniem na tym szczególe, a stryj snadź to zauważył, gdyż, jakby odpowiadając na myśl moją, zagadnął mnie, czy nie zechciałbym się napić „ciemnego słodowego” — bo tak je nazywał.

Odpowiedziałem, że owszem mam to w zwyczaju — wszakoż nie powinien sobie robić zachodów.

— Nie, nie! — rzecze stryj. — Nie odmówię ci niczego, na co mnie stać.

Dobył z półki nowy kubek, potem zasię, ku wielkiemu z mej strony zdumieniu, miast przynieść więcej piwa, przelał dokładnie połowę zawartości jednego kubka do drugiego. Była w tym postępku jakowaś niby szlachetność, która dech zaparła we mnie; o ile stryj mój był niewątpliwie biedakiem, to należał do tych ludzi dobrze wychowanych, którzy nas niemal zniewalają, by szanować nawet ich niedostatek.

Gdyśmy się uporali ze śniadaniem, stryj Ebenezer otworzył szufladę i wyciągnął z niej glinianą fajkę i pęczek tytoniu, z którego nakrajał sporą garść, a resztę schował z powrotem. Nabiwszy fajkę, usiadł w słońcu koło jednego z okien i palił w milczeniu. Od czasu do czasu oczy jego błądziły dokoła mej osoby, po czym rzucał mi jakieś pytanie. Pierwszym z nich było:

— A jakże twoja matka?

Skoro zaś odpowiedziałem, że ona również zmarła, ozwał się:

— Tak, tak! Ładna była to dziewczyna!

Następnie, po długiej przerwie, podjął:

— Któż są ci twoi przyjaciele?

Odpowiedziałem, że było to kilku szlachty, noszących nazwisko Campbell, choć prawdę powiedziawszy, jeden z nich tylko, mianowicie pastor, trochę dbał o mnie; lecz zaczęło mi się wydawać, że stryj nazbyt sobie lekceważył moje stanowisko, więc znalazłszy się z nim sam na sam, nie chciałem, by uważał mnie za pozbawionego pomocy.

On, zda się, ważył to sobie w umyśle, a potem rzekł:

— Dawidku, mój zuchu, postąpiłeś sobie waść całkiem trafnie, iżes przybył do sweego stryja Ebenezera. Bardzo mnie obchodzi los rodziny i zamierzam uczynić dla asana wszystko, co należna; atoli zanim się nieco namyślę, do czego by cię tu było najlepiej przysposobić — czy do palestry, czy do służby Bożej, czy do wojska, w czym najwięcej kochają się młokosy — nie chciałbym, ażeby Balfourowie mieli się korzyć przed jakimiś tam Campbellami z Gór, przeto proszę<sup>27</sup>, byś trzymał język za zębami. Żadnych listów; żadnych posylek; żadnych rozmów z osobami postronnymi, bo inaczej... fora ze dwora!

— Stryju Ebenezarze — odrzekłem — nie mam najmniejszego powodu przypuszczać, jakobyś mi asindziej dobrze nie życzył. Mimo wszystko chciałbym ci zaznaczyć, że mamci i ja własną dumę. Nie moja to wola, iżem przybył tu, by cię szukać, a jeżeli jeszcze raz pokażesz mi drzwi, to wezmę cię za słowo.

Wydawało się, żem sprawił mu tym przykrość.

— Phi, phi! — ozwał się. — Pomiarkujże się, człowieku, pomiarkuj! Zostań u mnie dni kilka. Nie jestem czarodziejem, żebym mógł ci znaleźć wielkie w świecie stanowisko na dnie miski z kaszą; lecz jeżeli dasz mi parę dni czasu i nie piśniesz nikomu ani słowa, to nie masz najmniejszego wątpienia, że ci się przysłużę.

— Wybornie — odrzekłem — mądrej głowie dość dwie słowie. Jeżeli aś<sup>28</sup> dobrodziej pragniesz mi dopomóc, tedy, oczywista, jeno będę się z tego radował, i nie kto inny, jedno ja, poczuwać się będę do wdzięczności.

<sup>27</sup>proszę — konstrukcja z partykułą „ci”, skróconą do -ć, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]  
<sup>28</sup>aś (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

Zdawało mi się (wyznam, że przedwcześnie), jakobym już zawojował stryja, więc wraz jąłem mówić, że muszę przewietrzyć i wysuszyć na słońcu siennik i pościel, bo nic mnie nie nakłoni do spania w takiej bryndzy.

— Czy ten dom należy do mnie, czy do ciebie? — ozwał się ów głosem przenikliwym, a potem nagle urwał. — Nie, nie — podjął po chwili — nie to chciałem powiedzieć! Co moje, to i twoje, Dawidku, mój ty zuchu, a co twoje, to i moje. Krew gęstsza jest niż woda, a oprócz mnie i ciebie nie masz nikogo, który by mógł nosić nasze nazwisko.

Tu przeszedł do opowieści o naszej rodzinie, o jej starodawnej możności, o swoim ojcu, który zaczął rozszerzać dwór, i o sobie samym, który poniechał budowy, poczytując ją za grzeszne marnotrawstwo; to podsunęło mi myśl, by oznajmić mu o zleceniu Dżenety Clouston.

— Jędza! — krzyknął. — Tysiąc dwieście pięćdziesiąt... oto tyle dni, odkąd wygrałem proces z tą jędzą. Nie bój się Dawidku! jeszcze ją spalę na rozżarzonym torfie, zanim zdoła mi ona zaszkodzić! Czarownica... osławiona czarownica! Pójdę zobaczyć się z urzędnikiem sądowym...

To mówiąc, otworzył kufer i wydobył zeń surdut, stary wprawdzie, lecz wcale jeszcze dobrze zachowany, oraz kamizelkę, i dość jeszcze przyzwoity kastorowy<sup>29</sup> kapelusz — wszystko pozbawione jakichkolwiek galonów lub koronek. Narzucił to byle jako na siebie, i wyjąwszy laskę z kredensu, pozamykał znów na klucz wszystkie schowki i już miał wychodzić, gdy zatrzymała go jakaś myśl nowa.

— Nie mogę cię pozostawić samego w domu — odezwał się. — Muszę cię potrzymać za drzwiami.

Krew mi uderzyła do lica.

— Jeżeli waszmość wydali mnie za drzwi — rzekłem — tedy kwita z mojej przyjaźni!

Pobladł wielce i zagryzł usta.

— Nie taką to drogą — ozwał się, poglądając rozpaczliwie w kąt podłogi — nie taką to drogą należy pozyskiwać mą życzliwość, Dawidzie.

— Mości dobrodzieju — odrzekłem — pomimo należnego szacunku dla wieku waszmości i węzłów krwi, jakie nas łączą, nie cenię tak waszej łaski, bym miał się zaprzedać w niewolę. Tak mnie wychowano, bym miał o sobie dobre mniemanie; a gdybyś mi był nawet w dziesięćkroć za wszystkich stryjów, za całą rodzinę, jaką miałem na tym świecie, nie kupiłbym twojej życzliwości za taką cenę.

Stryj Ebenezer podszedł do okna i przez chwilę wyglądał na dwór. Spostrzegłem, że trząsał się cały i szarpał, jak człek nawiedzony epilepsją. Atoli<sup>30</sup> gdy się obrócił, miał uśmiech na twarzy.

— Dobrze, dobrze — przemówił. — Musimy być cierpliwi i wyrozumiali. Ja nie pójdę i nie ma już o czym mówić.

— Stryju Ebenezerze — rzekłem — nic na to nie poradzę. Waszmość obchodzisz się ze mną jak ze złodziejaszkiem; nienawistną jest ci myśl, że przebywam w tym domu; dajesz mi to odczuć w każdej chwili i w każdym słowie: niepodobna, byś mógł mnie kochać; co się zaś mnie tyczy, to odzywałem się do ciebie tak, jak nie sądziłem, bym miał się kiedy odzywać do kogokolwiek. Czemuż więc starasz się mnie zatrzymać? Pozwól mi odejść z powrotem... pozwól mi odejść z powrotem do przyjaciół, którzy mnie kochają!

— Nie, nie, nie, nie — rzekł stryj z wielką powagą. — Ja bardzo cię lubię... jeszcze sobie przypadniemy do serca; a przez wzgląd na cześć naszego domu nie mogę cię odprawić tą drogą, którą tu przybyłeś. Pozostań tu spokojnie, bądź dobrym chłopcem; skoro pomieszkaż tu troszkę spokojnie, przekonasz się, że zgodzimy się z sobą.

— Dobrze, mości dobrodzieju — odrzekłem, rozważywszy w milczeniu całą sprawę — pobędę tu czas jakiś! Słuszniejsza, bym szukał wsparcia u własnych krewniaków niż u obcych, ale jeżeli nie dojdziemy do zgody, to ręczę, że nie stanie się to z mej winy.

<sup>29</sup>kastorowy — wykonany z tkaniny kastorowej, tj. z filcu przygotowanego z sierści bobrowej lub jej falsyfikatów. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]



## ROZDZIAŁ IV. W DWORZE SHAWS GROZI MI WIELKIE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Jak na tak zły początek, reszta dnia upłynęła wcale pomyślnie. Zajadaliśmy zimną kaszę na obiad, a gorącą kaszę na wieczerzę; kasza i piwo stanowiły całe pożywienie mojego stryja. Mówił do mnie zgoła niewiele, i to w ten sam sposób, co poprzednio, rzucając mi niespodziane zapytanie po długim milczeniu; gdy zaś próbowałem naprowadzić go na rozmowę o mojej przyszłości, stale się od niej wykręcał. W pokoju przylegającym do kuchni, dokąd pozwolił mi się udać, znalazłem sporo książek zarówno łacińskich, jak i angielskich, które dały mi wielką rozrywkę na całe popołudnie. Doprawdy, czas płynął mi tak miło w tym doborowym towarzystwie, że zacząłem się już niemal godzić z pobytem w Shaws i jedynie widok mego stryja oraz jego oczy, co jakby się bawiły w ciuciubabkę z moimi, wskrzeszały wciąż we mnie silną nieufność.

Wtem znalazłem rzecz jedną, która przejęła mnie niejakim wątpieniem. Oto na białej karcie początkowej jakiegoś zbiorku pieśni (jednego z wydanych przez Patryka Walkera) był nagłówek wypisany ręką mego ojca, taką treść mający: „Mojemu bratu Ebenezerowi w dniu jego piątych urodzin”. Zastanowiła mnie jedna okoliczność, a mianowicie: ponieważ mój ojciec był niewątpliwie młodszym bratem, więc albo dopuścił się jakiejś dziwnej omyłki, albo też jeszcze przed ukończeniem piątego roku życia umiał stawiać litery ozdobnym, wyraźnym i męskim charakterem pisma.

Staralem się wybić to sobie z głowy; atoli choć brałem do rąk dzieła wielu ciekawych autorów, dawniejszych i nowszych, historie, poezje i powieści, ta myśl o charakterze pisma mego ojca nie chciała odczepić się ode mnie; gdy zaś na koniec powróciłem do kuchni i zasiadłem znów do kaszy i piwa, zaraz zapytałem stryja Ebenezera, czy mój ojciec bardzo był skwapliwy do książek.

— Aleksander? O bynajmniej! — brzmiała odpowiedź. — Ja sam bardziej byłem skwapliwy; w młodości uważano mnie za mądrego chłopczynę. Ba, nauczyłem się czytać wtedy, kiedy i on.

To mnie jeszcze bardziej zbiło z tropu; naraz strzeliła mi myśl do głowy i zapytałem, czy on i mój ojciec byli bliźniakami.

On podskoczył na stołku, a łyżka rogowa wypadła mu z ręki na ziemię.

— Co cię przywiodło do tego zapytania? — ozwał się i uchwyciwszy mnie za kaftan na piersi, spojrzał mi tym razem prosto w oczy; miał ślepki małe, ruchliwe i świecące, jak u ptaka, a zerkał nimi i mrugał jakoś dziwnie.

— Co waćpan sobie myślisz? — zapytałem z całym spokojem, bo byłem od niego znacznie silniejszy i niełatwo dawałem się nastraszyć. — Proszę wypuścić z rąk mój kaftan. Tak nie należy postępować!

Stryj potrzebował wielkiego wysiłku, by zapanować nad sobą.

— Mój zuchu, Dawidzie — odezwał się — nie powinienes mi mówić o swoim ojcu. W tym właśnie tkwi cały błąd.

Usiadł na chwilę, dygocąc, i zerkał na swój talerz.

— Był to jedyny brat, jakiego miałem — dodał, lecz w głosie jego nie było serdeczności; potem podniósł łyżkę i dalej jadł wieczerzę, wciąż jeszcze się trzęsąc.

To ostatnie zajście, owo podniesienie ręki na mą osobę i nagłe oświadczenie miłości ku memu nieboszczykowi ojcu, było mi już tak niepojęte, iż obudziło we mnie zarówno lęk, jak i otuchę. Z jednej strony zacząłem sądzić, że stryj mój może jest szalony i kto wie, czy nie groziło mi od niego niebezpieczeństwo; z drugiej zaś strony przychodziła mi na myśl (choćażem jej nie wywoływał, a nawet oddalałem ją od siebie) opowieść z jakiejś dumki, którą słyszałem był śpiewaną przez lud prosty, o biednym młodzianie, co był prawnym spadkobiercą, i o złym krewniakum usiłującym wydrzeć mu należną majątność. Albowiem czemużby miał mój stryj bawić się w takie ceregiele ze swym synowcem, który przybył prawie jak żebrak do jego drzwi — jeżeliby w głębi ducha nie miał jakiegoś powodu, by się go obawiać?

Przejęty tymi domysły<sup>31</sup>, wprawdzie całkiem nieświadomymi, niemniej jednak zapuszczającymi silne korzenie w mózgu, zacząłem teraz naśladować jego przebiegłe spoj-

<sup>31</sup>tymi domysły — daw. forma N.Im; dziś: tymi domysłami. [przypis edytorski]

rzenia, tak iż siedzieliśmy przy stole niby kot z myszą, podglądając ukradkiem jeden drugiego. Nie starał się już mnie ni słówkiem zagadywać o to lub owo, tylko uporczywie coś rozważał w skrytości swych myśli; im dłużej siedzieliśmy tak z sobą, im bardziej mu się przyglądałem, tym większej nabierałem pewności, że owe skryte zamysły były nieprzyjemne dla mnie.

Gdy już zmiotł do czysta, co miał w misie, wydobyl znów, jak rano, garść tytoniu, wystarczającą do jednej fajki; następnie przystawiwszy krzesło do rogu kominka, siedział przez chwilę plecami do mnie, puszczając kłęby dymu.

— Dawidku — rzekł na koniec — właśnie teraz myślałem...

W tym miejscu przerwał, po chwili znów rzecz podjął.

— Mam odrobinę srebra, które prawie ci obiecałem, jeszcze przed twoim urodzeniem... — prawil — obiecałem twojemu ojcu. O, nie był to, rozumiesz, jakiś prawny zapis... ot, po prostu, jak to bywa, gdy dwaj ze szlachty trącają się kieliszkami. Dość na tym, że tę odrobinę srebra chowałem oddzielnie... był to koszt wielki, ale com przyrzekł, tom przyrzekł... a obecnie ona urosła aż do okrągłej... dokładnej... — tu zatrzymał się i utknął — do okrągłej sumy czterdziestu funtów! — te słowa wykrztusił, rzucając w bok poza swoje ramię bystre spojrzenie, a zaraz za chwilę dodał, głosem prawie skrzeczącym. — Szkockich!

Funty szkockie odpowiadają swą wartością angielskim szylingom<sup>32</sup>, zatem ostatnie dopowiedzenie wielce odmieniło myśl zdania ostatniego. Ponadto widziałem, że ta cała opowieść była łągarstwem, wymyślonym w jakowymś zamiarze, którego niepodobna mi było z niej odgadnąć; toteż nie starałem się ukryć szyderstwa, gdym odpowiedział:

— O jeszcze raz dzięki, mości dobrodzieju! Zdaje mi się, że funtów sterlingów!

— To właśnie miałem na myśli — odrzekł stryj pospiesznie — funtów sterlingów! A jeżeli zechcesz na chwilę wyjść do bramy, ot tylko po to, by zobaczyć, jaką dziś mamy noc na dworze, wydestanę ci tę sumę i przywołam cię z powrotem.

Wypełniłem jego wolę, śmiejąc się w duchu wzgardliwie ze stryja, który mniemał pono, że dam się tak łatwo wprowadzić w błąd. Noc była ciemna, ledwie parę gwiazdek świeciło nisko nad widnokretem; a w sam raz, gdy stanąłem za bramą, posłyszałem przytłumione wycie wiatru, przewalającego się kędyś wśród wzgórz. Mówiłem sobie, że w powietrzu czuć jakąś zmianę i burzę, ale nie zdawałem sobie bynajmniej sprawy, jak ważną miało się to dla mnie okazać okolicznością jeszcze przed upływem onego wieczora.

Gdym został znów zawieszany do izby, stryj wyliczył mi na rękę trzydzieści siedem złotych gwinei<sup>33</sup>; resztę — a były to drobne monety złote i srebrne — miał również na podorędziu, jednakowoż tu opuściła go już odwaga, więc całą tę drobnicę wsunął do własnej kieszeni.

— Niech ci to będzie dowodem! — powiedział. — Jestem dziwakiem, a ludzie obcy nie mogą się ze mną oswoić. Wszelako dotrzymanie słowa uważam za powinność; przed chwilą mogłeś się o tym przekonać.

Otóż stryj mój wyglądał na takiego skąpca, że oniemiałem wprost na widok tej nagłej szczodrobliwości i nie mogłem znaleźć słów, by wyrazić mu podziękowanie.

— Nie ma o czym mówić! — odpowiedział. — Obejdzie się bez podziękowań; nie potrzeba mi dziękczynienia. Wypełniłem swą powinność; nie chcę przez to wcale powiedzieć, jakoby każdy uczynił to samo, lecz co się mnie tyczy, to (nie dość, że jestem człowiekiem zapobiegliwym) miło mi oddać, co się należy, synowi rodzzonego brata; i miło mi też pomyśleć, że odtąd będziemy żyć z sobą w zgodzie, jak przystoi tak bliskim przyjaciółom.

Odpowiedziałem mu nawzajem najuprzejmiej, jakem<sup>34</sup> tylko umiał, ale przez cały czas zachodziłem w głowę, co zdarzy się za chwilę i z jakiej przyczyny stryj rozstał się z tak mu drogiemi gwineami; albowiem ten powód, jaki podawał, mogło i dziecko obalić.

<sup>32</sup>funty szkockie odpowiadają swą wartością angielskim szylingom — daw. funt brytyjski był równy 20 szylingom. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>gwinea — złota moneta ang. o wartości 21 szylingów (inaczej: 1 funta i 1 szylinga); nazwa pochodzi stąd, że monety te wykonywano przeważnie z kruszcu pochodzącego z Wybrzeża Gwinejskiego w Afryce. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>jakem (...) umiał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak umiałem. [przypis edytorski]

Naraz spojrział boczkiem w mą stronę.

— Patrzaj no — rzecze — a teraz wet za wet!

Odrzekłem, że jestem gotów dowieść mej wdzięczności we wszelkiej rozsądnej mierze, i stanąłem w pogotowiu, oczekując jakiegoś potwornego żądania. Tymczasem, gdy stryj na koniec nabral śmiałości do rozmowy, jedyną rzeczą, jaką mi powiedział (i to bardzo do rzeczy, jak mi się zdawało), było to, że się starzeje i jest nieco ułomny, przeto chciałby mnie prosić, bym mu dopomagał w gospodarstwie domowym i w uprawie wielkiego ogródka.

Odpowiedziałem, iż z całą ochotą będę na jego usługi.

— Dobrze — rzekł stryj — a więc zaczynajmy! — i wydobył z kieszeni zardzewiały klucz. — Oto — powiada — oto jest klucz od wieży w najdalszym zakątku dworu. Możesz się aś<sup>35</sup> dostać do niej tylko od zewnątrz, bo ta część dworu nie jest wykończoną. Gdy się dostaniesz do wnętrza, idź po schodach na górę i przynieś mi stamtąd skrzynkę, znajdującą się na strychu... Są w niej papiery — dorzucił.

— Czy mogę wziąć światło, łaskawco? — zapytałem.

— Nie — odparł ów, nader przebiegle. — Nie ścierpię światła w swoim domu.

— Doskonale, mości panie — rzekę. — A czy schody są w dobrym stanie?

— Są przewyborne — odparł, a gdy już wychodziłem, dodał. — Trzymaj się ściany; tam nie ma balustrady. Ale schody są pod stopami zupełnie pewne.

Wyszedłem na dwór, w nocną pomrokę. Wicher jeszcze wciąż wyl w oddali, choć ani jedno jego tchnienie nie dolatywało do dworu w Shaws. Ciemność była niezwykle gęsta i czarna jak smoła, więc z ochotą trzymałem się wciąż muru, postępując po omacku przed siebie, aż na koniec doszedłem do wrót narożnej wieży na samym końcu niedokończonego skrzydła. Włożyłem klucz w zamek i właśnie go przekręciłem<sup>36</sup>, aż ci tu całkiem zniecka, choć nie słychać było ni wichru, ni grzmotu, całe niebo zabłysło przerażającym płomieniem — i znów zaległa je czarna pomroka. Musiałem zakryć sobie ręką oczy, by na nowo przywyknąć do ciemności, boć doprawdy byłem na poły oślepiiony, gdy wkroczył do wieży.

Wewnątrz było tak ciemno, że wydawało się, jakoby trudno tu było nawet oddychać, jednakże posunąłem się, wyciągając jednocześnie rękę i nogę naprzód: pierwsza z nich uderzyła o ścianę, a druga o najniższy stopień schodów. Ściana, jak rozpoznałem po dotknięciu, była stawiana z pięknie ciosanego kamienia; również i schody, choć nieco strome i wąskie, były gładko wymurowane, szły równo i silnie trzymały się pod stopą. Mając w pamięci, co stryj mówił o balustradzie, szedłem tuż koło samego muru i z bijącym sercem wymacywałem drogę w czarnej ciemności.

Dwór Shaws był wysoki na całe pięć pięter, nie licząc poddaszy. Otóż w miarę jakem się posuwał<sup>37</sup>, wydawało mi się, jakoby w klatce schodowej przybywało powietrza i zrobiło się nieco widniej; jużem się dziwił<sup>38</sup>, co mogło być przyczyną tej zmiany, gdy wtem na niebie mignęła znów letnia błyskawica — i przepadła, jak pierwsza. Jeżeli nie krzyknął<sup>39</sup>, to jeno dlatego, że lęk pochwycił mnie za gardło; a że nie spadłem, to zawdzięczam raczej łasce Niebios niż własnej sile. Nie dość, że ów blask wdarł się tu ze wszystkich stron poprzez wyłomy w murze, tak iż mi się wydało, jakoby wspinał się na odsłonięte rusztowanie, ale jednocześnie ta sama przelotna jasność odkryła mi, że stopnie były nierównej długości i że jedna z mych stóp znajdowała się w tej chwili o dwa cale od krawędzi.

„Takie to były owe wspaniałe schody!” — pomyślałem sobie. Wraz z tą myślą wstąpiło w mą duszę poczucie jakowejś wściekłej odwagi. Stryj wysłał mnie tu niewątpliwie, by narazić mnie na wszelkie przypadłości, może nawet na śmierć. Przysiągłem sobie, że

<sup>35</sup>aść (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszność pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>właśnie go przekręcił — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: właśnie go przekręciłem. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>jakem się posuwał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak się posuwałem. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>jużem się dziwił — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: już się dziwiłem. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>jeżeli nie krzyknął — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jeżeli nie krzyknąłem. [przypis edytorski]

stwierdę to „może”, choćby mi nawet przyszło za to kark skrócić; przygiąłem się niżej i wsparłszy się na rękach i kolanach, gramoliłem się w dalszym ciągu pod górę, obmacując każdy cal przed sobą i badając wytrzymałość każdego kamienia. Wskutek przeciwności z onym rozblyskiem, ciemność jak gdyby wzmożła się w dwójnasób; na domiar wszystkiego słuch mój mąciło i myśl mą mieszało donośne skrzęcenie nietoperzów pod wierzchołkiem wieży, a niekiedy też same głupie te stworzonka, zlatując w dół, uderzały mnie po twarzy lub po ciele.

Wieża — winienem to nadmienić — była czworoboczna, a w każdym jej narożniku stopień był utworzony z wielkiego głazu o kształcie odmiennym od tamtych; służył on do spojenia oddziałów klatki schodowej. Otóż doszedłem był<sup>40</sup> do jednego z tych nawrotów, gdy obmacując, jak zwykle, drogę przed sobą, przesunąłem ręką po krawędzi i poczułem, że za nią już nic nie ma... trafiłem w próżnię. Schody nie wznosiły się już wyżej; posyłać tu człowieka obcego, by wspinał się w ciemności po tych schodach, było to tyle samo, co wysyłać go na śmierć niechybną. Więc, aczkolwiek dzięki błyskawicy i mojej własnej ostrożności czułem się aż nadto bezpieczny, to jednak sama myśl o niebezpieczeństwie, w jakim omal się nie znalazłem, i o strasznej wysokości, z jakiej mogłem był<sup>41</sup> zlecieć, oblała mnie całego zimnym potem i przyprawiła o nagłe omdlenie moje członki.

Atoli<sup>42</sup> wiedziałem już teraz, co mi było potrzeba, więc obróciłem się i jąłem spełzać z powrotem w dół, a serce miałem przejęte dziwną zawziętością. Gdy już przebył prawie połowę drogi, do wieży wpadł z łoskotem wicher, zatrzęsł nią w posadach i znów zamarł; zaczął padać deszcz, a zanim doszedłem do samego podnóża schodów, już lało jak z cebra. Wytknąłem głowę na dwór i poprzez strugi ulewy spojrzałem w stronę kuchni. Drzwi, które zamknąłem był za sobą, gdy wychodził z domu, były teraz otwarte i przesączały małą smużkę światła; wydawało mi się, że postrzegam niewielką postać stojącą na deszczu nieruchomo i cicho, niby człek, co nadśluchuje. Nagle mignęła olśniewająca błyskawica, w której świetle ujrzałem wyraziście mego stryja, stojącego w sam raz na tym miejscu, gdzie go sobie wyobrażał; bezpośrednio potem rozległ się wstrząsający huk grzmotu.

Czy w oną<sup>43</sup> chwilę stryj mój poczytał ów łoskot za odgłos mego upadku, czy też usłyszał w nim głos Boga, ogłaszający go zabójcą — pozostawię to domyślności czytelników... W każdym razie to pewna<sup>44</sup>, że ogarnął go jakiś paniczny strach, tak iż wbiegł do domu, nie zamknąwszy nawet drzwi za sobą. Poszedłem, jak umiałem najciszej, w jego ślady, a przybywszy niepostrzeżenie do kuchni, stanąłem i jąłem mu się przypatrywać.

Znalazł był już czasu na tyle, by otworzyć kredens stojący w kącie i wydobyć stamtąd wielką, obłożoną pokrowcem butelkę okowity<sup>45</sup> — teraz zaś siedział przy stole plecami do mnie. Raz po raz chwytaly go śmiertelne drgawki i wybuchał głośnym jękiem, a wówczas przykładał do ust butelkę i pełną gębą żłopał niewybredny trunk.

Postąpiłem naprzód, podszedłem tuż do samego miejsca, gdzie siedział i uderzając go zniemacka obiema dłońmi po łopatkach, zawołałem:

— Aa!

Stryj wydał jakiś zdławiony okrzyk, podobny do beku owcy, wznosił ramiona do góry i zwałił się jak martwy na ziemię. Trochę mnie to przeraziło; lecz najpierw winienem był<sup>46</sup> pomyśleć o sobie samym, więc nie wahałem się pozostawić go leżącego tak, jak był upadł. W kredensie wisiały klucze, przeto moim zamiarem było zaopatrzyć się w broń, zanim by mój stryj odzyskał przytomność i zdolność knowania złych zamysłów. W kredensie było nieco butelek, z których kilka zapewne zawierały lekarstwa; dalej było tam mnóstwo rachunków i innych papierów, które chętnie byłbym przedrabował, gdyby mi na to czas pozwolił; było też parę drobiazgów, które w tej chwili na nic nie były mi przydatne. Przeto zwróciłem się do skrzyni. Pierwsza była napełniona zapasami żywności; druga była pełna

<sup>40</sup>*doszedłem był* (daw.) — forma czasu zaprzieszłego; znaczenie: doszedłem wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*mogłem był* (daw.) — forma czasu zaprzieszłego; znaczenie: mogłem wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*atoli* (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*w oną chwilę* — w tamtej chwili; w tamtym momencie. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*to pewna* — daw. forma; znaczenie: pewne jest, że. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>*okowita* (daw., z łac. *aqua vitae*: woda życia) — wódka, mocny alkohol. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>*winiennem był* (daw.) — forma czasu zaprzieszłego; znaczenie: powinienem wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]



worków z pieniędzmi i papierów, powiązanych w sterty; w trzeciej, pośród wielu innych gratów (była to przeważnie odzież) znalazłem zardzewiały, szpetny puginał szkocki bez pochwy. Ten to więc przedmiot ukryłem pod pazuchą i zwróciłem się do stryja.

Leżał tak, jak był upadł<sup>47</sup>, cały pokurczony i bezwładny; jedno kolano wysterało<sup>48</sup> w górę, a jedno ramię rozpostarte było wszerek; twarz miała barwę odrażająco siną, a zdało mi się, że już zaprzestał oddychać. Obleciał mnie strach, zali on jeszcze żyw. Przyniosłem wody i skropiłem mu nią oblicze; wraz też wydało się, że zaczął przychodzić do siebie, bo usta jęły pracować i powieki mu się poruszyły. Na koniec podniósł oczy i spojrzał na mnie, a wówczas w jego wzroku wyraził się strach, co nie był z tego świata.

— Dalej, dalej — rzekłem — usiądź no waszmość!

— Czy ty żyjesz? — zaszlochał. — Człowiecze, tyś żyw?

— Jestem żyw — odparłem. — Ale nie aści<sup>49</sup> za to dziękować!

On, głęboko wzdychając, starał się dech pochwycić.

— Niebieska flaszcza... — wykrztusił — w szafce... niebieska flaszcza... — oddech jego stawał się coraz cichszy.

Pobiegłem do kredensu i — ma się rozumieć — znalazłem tam niebieską flaszczkę, a przy niej receptę wypisaną na skrawku papieru; dostarczyłem mu to ze skwapliwością, na jaką mnie tylko stać było.

— To moja dolegliwość — rzekł, odżywszy nieco — mam taką dolegliwość, Dawidku. To serce...

Usadawiłem go na krześle i przyjrzałem mu się. Prawdać to, że czułem pewną litość względem człowieka, który wydawał mi się tak ciężko chory, lecz zresztą byłem przejęty słusznym gniewem. Wyliczyłem mu przeto wszystkie punkty, co do których żądałem wyjaśnienia, a mianowicie: czemu łął mi w oczy za każdym słowem; czemu bał się, że go porzucę; czemu nie podobało mu się napomknienie, że on i mój ojciec byli bliźniakami: „Czy dlatego, że to prawda?” — (takem go zapytał); następnie, czemu dał mi pieniądze, które, wedle mego przekonania, wcale mi się nie należały; a na koniec, czemu usiłował mnie zgładzić. Wysłuchał mego przemówienia, milcząc nieprzerwanie, potem zaś, złamanym głosem, jał się dopraszać, bym mu pozwolił udać się do łóżka.

— Opowiem jutro asanu<sup>50</sup> — rzekł — opowiem na pewno... jak mi życie miłe!

Był tak osłabiony, że nie zostało mi nic innego, jak tylko się zgodzić. Na wszelki wypadek jednak zamknąłem na głucho drzwi jego pokoju, a klucz schowałem do kieszeni; po czym wróciwszy do kuchni, roznieciłem taki trzaskający ogień, jakiego tu nie widziano od wielu lat, i otuliwszy się w derkę, ułożyłem się na skrzyniach — niebawem też zasnąłem.

## ROZDZIAŁ V. UDAJĘ SIĘ DO „PRZEWOZU KRÓLOWEJ”

W nocy padał deszcz obfity; z rana nazajutrz nadciągnął z północo-zachodu mroźny wiatr, przeganiając rozproszone chmury. Pomimo to wszystko, jeszcze zanim słońce zaczęło się ukazywać i zanim ostatnia z gwiazd znikła z niebios, wyprawilem się nad brzeg strumyka i dałem nurka w głęboką, wirującą zatoczkę. Ponieważ skostniałem cały w tej kąpieli, usiadłem znów koło ogniska, do którego przyłożyłem sporo paliwa, i zacząłem poważnie zastanawiać się nad swoim położeniem.

Obecnie nie było już żadnych wątpliwości co do nieprzyjaznych uczuć mego stryja; nie było wątpliwości, że miałem w ręku losy własnego życia oraz że stryj mój niczego nie omieszką, by przypawić mnie o zgubę. Byłem jednak młody i dziarski, a przy tym jak większość młokosów wychowanych na wsi miałem wielkie mniemanie o swej przebiegłości. Przybywając do jego wrót, byłem niewiele co lepszy od żebraka i niewiele co starszy od pacholęcia; on przywitał mnie zdradą i przemocą; więc też byłoby to doskonałą odpłatą, gdybym wziął go teraz pod swą władzę i poganiał, jak pasterz owcę.

<sup>47</sup> *jak był upadł* (daw.) — forma czasu zaprzeszczonego; znaczenie: jak upadł wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>48</sup> *wysterać* — wystawać, sterceć. [przypis edytorski]

<sup>49</sup> *aści* (daw.) — skrót od: waszej miłości, waszmości, waści; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>50</sup> *asanu* (daw.) — skrót od: waszej miłości panu, waszmość panu. [przypis edytorski]

Siedziałem tak przy kominku, piastując kolano w dłoniach i uśmiechając się sam do siebie; uniesiony wyobraźnią, widziałem samego siebie, jak wężę jedną po drugiej jego tajemnicę i staję się panem i władcą tego człowieka. Czarodziej z Essendean, jak powiadają, sporządził zwierciadło, w którym ludzie mogli czytać przyszłość; musiało być ono z innego materiału niż gorejące węgle, gdyż we wszystkich kształtach i obrazach, jakie się przyglądałem, gdy tak siedział, ani razu nie pojawił mi się okręt, ani razu okrętник w kudłatej czapie, ani razu wielka pałka, co miała spaść na mą biedną głowę... ani też najmniejsza zapowiedź onych wszystkich udręczeń, jakie miały niebawem mnie nawiedzić.

Wraz też, odczytawszy zrozumiłość, poszedłem na górę i wypuściłem więźnia na swobodę. On uprzejmie powitał mnie na dzień dobry; odwzajemniłem się mu tymże pozdrowieniem, uśmiechając się nad nim wzgardliwie z wyżyn mojego sprytu. Wkrótce zajęliśmy się śniadaniem, zupełnie jakby to było wczoraj.

— No mości panie — odezwał się drwiąco — czy waszmość masz mi coś jeszcze powiedzieć?

Ponieważ zaś nie dawał mi zrozumiałej odpowiedzi, ciągnąłem dalej.

— Zdaje mi się, że już czas, byśmy się wzajem zrozumieli. Wziąłeś mnie waszmość za wiejskiego Jaśka Zielone-Ucho, który we łbie ma tyle dowcipu lub odwagi, co garnek rozbełtanej kaszy. Ja zaś wziąłem waćpana za człowieka poczciwego, a co najmniej nie gorszego od innych; zdaje się, żeśmy się obaj pomylili. Jaką masz po temu przyczynę, by się mnie obawiać, oszukiwać mnie i dybać na moje życie?...

Mruknął coś, jakoby to były żarty i jakoby lubił sobie nieco dworować; potem zaś, widząc, że się uśmiecham, zmienił sposób przemawiania i zapewniał mnie, że wyjaśni mi wszystko, gdy zjemy śniadanie. Z jego twarzy widziałem, że nie miał gotowego dla mnie łgarstwa, choć już z uporem jakoweś obmyślał; i jużem mu podobno<sup>51</sup> miał to powiedzieć, gdy przerwało nam kolatanie we wrota.

Nakazałem stryjowi pozostać na miejscu i poszedłem otworzyć; ujrzałem na stopniach stojącego chłopca-wyrostka w odzieniu żeglarskim. Ów, ledwie mnie zoczył, zaczął płaśać, ukazując kilka podskoków żeglarskiego tańca kobeżnego (o którym nigdy przedtem nie słyszałem, a tym mniej nie zdarzyło mi się go widzieć), przy czym trząsał w powietrzu palcami i przytupywał z wielką sprawnością. Mimo wszystko był zsiniały od zimna, a w twarzy miał dziwny wyraz, coś pośredniego między łzami i śmiechem, co świadczyło o wielkim bólu ducha i pozostawało w sprzeczności z tą wesołością jego zachowania.

— Jak się masz, brachu? — odezwał się rozbitym głosem.

Zapytałem go surowo, czego sobie życzy.

— O, czego sobie życzę! — podchwycił i wraz zaczął nucić:

„Toć moje marzenie, gdy nocka nie ciemna  
O takiej porze roku...”

— Dobrze — powiadam — jeżeli w ogóle nic tu nie masz do roboty, okazę się tak dalece nieuprzejmy, że zamknę ci drzwi przed nosem.

— Zaczekaj no, braciszku! — wrzasnął przybysz. — Czy wcale się nie znasz na żartach? Czy może chcesz, by mnie obito? Przyniosłem list od starego Heasyoasy do pana Belflowera — mówiąc to, pokazał mi list. — I to ci jeszcze powiem, brachu, że głodny jestem piekielnie.

— Dobrze — odrzekłem — wnijdź do dworu, a dostaniesz kęs stawy, choćbym nawet miał z tego powodu pozostać na czczo.

To mówiąc, wprowadziłem go do wnętrza domu i posadziłem na własnym miejscu, gdzie on zabrał się z łapczywością do ostatków śniadania, kiwając na mnie od czasu do czasu i wyczyniając przeróżne grymasy, które, jak mi się zdaje, biedaczek uważał za godne człowieka. Tymczasem stryj przeczytał list i siedział w zamyśleniu; naraz, ni stąd ni zowąd, zerwał się w wielkim ożywieniu na równe nogi i odciągnął mnie na stronę w najdalszy kąt pokoju.

— Przeczytaj to — rzekł, wręczając mi list.

<sup>51</sup> *podobno* — tu: prawdopodobnie. [przypis edytorski]

Oto brzmienie tego listu, który w chwili, gdy to piszę, leży przede mną:  
*Karczma Hawes, koło Przewozu Królowej*

*J. Wielmożny Panie!*

*Przebywam w tych stronach, tu, to tam zarzucając kotwicę, i wysyłam mego pacholika, by zasięgnął wieści. Jeżeli pan dobrodziej masz jakoweś zlecenia dalsze co do morskich podróży, tedy dzisiaj ostatnia po temu nadarza się sposobność, gdyż będziem mieli wiatr pomyślny do odpłynięcia z zatoki. Nie będę starał się temu przeczyć, iż miałem sporo utrapienia z waszym pełnomocnikiem, p. Rankeillorem; z czego, jeżeli zawczasu nie zapobiec, zobaczysz waszmość, że wynikną pewne straty. Wypisałem wam rachunek — jak w dopisku. Pozostaję waszmości najposłuszniejszym, uniżonym sługą,*

*Eliasz Hoseason.*

— Widzisz, Dawidku — podjął stryj, skoro obaczył, że już skończyłem czytanie — mam pewną spekulację handlową z tym właśnie Hoseasonem, kapitanem brygu kupieckiego z Dysart, zwanego *Zgodą*<sup>52</sup>. Otóż, jeżeli zgodzisz się, byśmy obaj poszli za tym chłopcem, będę mógł zobaczyć się z kapitanem w Hawes, a może na pokładzie *Zgody*, jeżeli tam trzeba podpisać papiery; ażeby zaś nie tracić czasu, możemy się kopnąć i do reagenta, pana Rankeillora. Po tym, co zaszło, zapewne nie będziesz chciał mi wierzyć na słowo, ale chyba uwierzysz Rankeillorowi. On jest mężem zaufania przynajmniej połowy szlachty okolicznej; człek to sędziwy i wielce poważany, a przy tym znał twojego ojca.

Stałem przez chwilę, rozmyślając. Miałem iść do jakiejś miejscowości żeglownej, gdzie niewątpliwie było dużo luda i gdzie stryj nie poważałby się na użycie przemocy; co więcej, sama obecność chłopaka okrętowego była mi w tym względzie obroną. Ponadto sądziłem, że potrafiłbym wymóc wizytę u reagenta, nawet gdyby jej zapowiedź była w tej chwili jedynie obłudą ze strony mego stryja; zresztą w głębi serca pragnąłem obaczyć z bliska morze i okręty. Należy pamiętać, że cały mój żywot dotychczasowy upłynął był pośrodku łądu, pomiędzy górami, i że dopiero na dwa dni przedtem ujrzałem po raz pierwszy zatokę spoczywającą na kształt tafli błękitnej oraz statki żeglujące po jej powierzchni, nie większe od cacek dziecinnych. Rozważając szczegół po szczególe, doszedłem do silnego postanowienia.

— Doskonale — rzekłem — chodźmy do Przewozu.

Stryj wdział surdut i kapelus, a do boku przypasał zardzewiały kordelas; po czym zdeptaliśmy ogień, zatarasowaliśmy wrota i ruszyliśmy w drogę. Wiatr, iż to było w onych stronach zimniejszych, od północo-wschodu, dął nam prawie w twarz, gdyśmy szli. Było to w czerwcu; murawa cała się bielila od stokrotek, a drzewa od kwiatnych okiści, atoli sądząc po naszych sinych paznokciach i po bólu w kostkach, można by raczej mieć na myśli zimę i białość grudniowego szronu.

Stryj Ebenezer włókł się powoli przykopą<sup>53</sup>, kiwając się z boku na bok, jak stary oracz, wracający do dom<sup>54</sup> z roboty. Przez całą drogę nie odezwał się choćby słówkiem ani razu, tak iż zdany byłem na rozmowę z chłopcem okrętowym. Opowiedział mi, że na imię mu było Ransome i że jeździł po morzu już od dziewiątego roku życia; wszakoż nie umiał mi powiedzieć, wiele lat liczył sobie obecnie, jako że stracił rachubę. Pokazał mi malowidła wyrzeczane na swej skórze, odsłaniając pierś pomimo dokuczliwego wiatru i na przekór moim przestrogom, gdyż myślałem, iż mogło go to o śmierć przyprowadzić. Klął okropnie, gdy sobie tylko coś przypominał, lecz raczej jako żak prostaczek niż jak dorosły mężczyzna; przy tym chlubił się z wielu potwornych i występnych uczynków, jakich był się dopuścił, jako to: potajemnych kradzieży, fałszywych oskarżeń, ba, nawet zabójstwa — atoli we

<sup>52</sup>*Zgoda* (w oryg. *Covenant*) — właśc. *Solemn League and Covenant*; dosł. „ugoda” a. „przymierze”: pakt z r. 1643, ustanawiający presbiterianizm w Anglii i Szkocji. [przypis tłumacza]

<sup>53</sup>*przykopa* — rów a. wał ziemny biegnący wzdłuż czegoś (np. drogi, między oddzielającej pola itp.). [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*do dom* (daw. forma) — do domu. [przypis edytorski]

wszystkich szczegółach tak mało było prawdopodobieństwa, a w sposobie opowiadania znać było tyle niedołężnej i pomyłonej junakerii<sup>55</sup>, iż mnie to więcej nastrajało do litości nad nim niż do dawania mu wiary.

Wypytywałem go o bryg (był to, według jego oświadczenia, najpiękniejszy statek, jaki pływał kiedykolwiek po morzach) i o kapitana Hoseasona, na którego cześć równie głośno wypowiadał pochwały. Heasyoasy (tak bowiem chłopak wciąż nazywał szypra), był to, jak wnosić z tych opowieści, człowiek nieliczący się z niczym ani na niebie, ani na ziemi — jeden z tych co to, jak powiadają „wałą pełnymi żaglami na sąd ostateczny” — gburowaty, okrutny, z sumienia wyzuty i popędliwy; a biedny mój chłopiec okrętowy nauczył się podziwiać te wszystkie jego przymioty jako rzecz godną żeglarza i dorosłego mężczyzny. Jedyną tylko skazę upatrywał w tym swoim bożyszczu.

— On to już w sobie nie ma nic a nic z marynarza! — nadmieniał. — Naprawdę, to brygiem kieruje pan Shuan; ten jest najlepszym marynarzem z zawodu, pomijając pijaństwo; powiadam ci, że w to wierz! Ba, spojrzysz no tutaj! — i odwinąwszy pończochę, pokazał mi wielką szpetną i czerwoną bliznę, której widok ściał mi krew w żyłach. — On to zrobił... pan Shuan to zrobił... — dodał z przechwałką w głosie.

— Co! — wykrzyknąłem. — Więc ty spokojnie przyjmujesz z jego rąk takie okrucieństwo? Jak to! Przecież nie jesteś niewolnikiem, by się tak obchodzono z tobą!

— Nie! — ozwał się biedny niedojda, zmieniając nagle brzmienie głosu. — Będzie on też miał za swoje! Patrz no! — pokazał mi wielki nóż składany, który, jak mi wyznał, pochodził z kradzieży. — O, niech no tylko zobaczę, że ze mną zaczyna; nie ulęknię się go; już się z nim rozprawię! O, nie będzie on pierwszy! — i poparł swoje słowa nędznym, niedorzecznym, a plugawym przekleństwem.

Nigdy dla nikogo w tym świecie szerokim nie miałem tyle współczucia, co dla tego półgłówka. Zaczęło mi przychodzić na myśl, że ów bryg, zwany *Zgodą*, był — pomimo swego cnotliwego nazwania — istnym piekłem pływającym po morzach.

— Czy nie masz przyjaciół? — zapytałem.

Powiedział, że miał ojca w jednym z portów angielskich — zapomniałem już w którym.

— Był to też człek wyborny — dodał — ale już nie żyje.

— Na miłość Boską! — zawołałem. — Czy nie mogłeś wynaleźć sobie przyzwoitego zajęcia na lądzie?

— O nie! — odpowiedział, mrugając i spoglądając niezmiernie chytrze. — Zapędzono by mnie do rzemiosła; ja zaś znam się na sztuczkiach, co w dwójnasób więcej warte... oho!

Zapytałem go, jakie rzemiosło mogło być tak okropne, jak to, które uprawiał i w którym życie jego narażone było na ustawiczne niebezpieczeństwa nie tylko ze strony wicherów i morza, ale i od strasznego okrucieństwa tych, co mu byli zwierchnikami. Przyznał, że to święta prawda, i zaraz potem zaczął wysławiać swój tryb życia i opowiadać, jaka to uciecha dostać się na ląd, mając pełno pieniędzy w kieszeni, i sypać nimi niby człek dorosły, kupować jabłka, nadrabiać fantazją i zadziwiać innych chłopaków, których nazywał glistami błotnymi.

— Zresztą nie jest to jeszcze tak źle, jak się wydaje — wspominał — są i gorsi ode mnie: są to dwudziestofuntowce! O sprawiedliwości! Zebyście widzieli, jak oni biorą się do rzeczy!... No, ale przyznam się, widziałem jednego człowieka, w takim wieku, jak ty... — (wydawałem mu się stary) — ...ach, i do tego miał jeszcze brodę... no, i ledwośmy wyjechali z rzeki, a jemu wyszumiał trunek z głowy... rety, jak on krzyczał i pędził przed siebie! Wystrychnąłem go gracko na dudka, powiadam ci! A są też i pomniejsi: o, zgoła mali w porównaniu ze mną! Powiadam ci, uczę ci ich moresu, że aż miło! Gdy ciągniemy maleńkich, to ja też trzymam powróż, by ich smagać.

I tak plół ustawicznie trzy po trzy, aż doszedłem do wniosku, że miano dwudziestofuntowców oznaczało u niego owych nieszczęsnych przestępców, których zsyłano za morze, na przymusowe roboty w Ameryce Północnej, albo też jeszcze nieszczęśliwszych ludzi niewinnych, których porywano w niewolę lub zwabiano w pułapkę (jak wieść głosiła) dla prywatnych zysków lub z zemsty.

<sup>55</sup>junakeria — negatywnie o zbyt wznieśliwej waleczności, odwadze, skłonności do zwady, ryzyka i bijatyki. [przypis edytorski]



Właśnie wtedy doszliśmy do szczytu wzgórza, skąd ujrzeliśmy Przewóz i przystań. Zatoka Forth (jak powszechnie wiadomo) zwęża się w tym miejscu na szerokość sporej rzeki, która ku północnej stronie tworzy wygodny przewóz, a górnym zakosem przemienia się w zamkniętą ładem przystań dla wszelkiego rodzaju okrętów. Na samym środku cieśniny znajduje się wysepka z jakimiś zwaliskami; na brzegu południowym zbudowano groblę dla celów przeprawy, a na końcu tej grobli, po drugiej stronie gościńca, dostrzegłem budynek schowany za pięknym wirydarzykiem głogów i ostrokrzewów, a zwany karczmą Hawes.

Miasteczko Queensferry<sup>56</sup> leży dalej na zachód, a dokoła karczmy było o tej porze dnia jak gdyby zupełnie pusto, bo czółno dopiero co odpłynęło było z podróżnymi. Wszakże koło grobli spoczywała jakowaś łódź, a w niej na burtnicach drzemało kilku marynarzy. Była to, jak wyjaśnił mi Ransome, szalupa brygu, oczekująca kapitana; zaś o jakie pół mili stamtąd, w ustronnym zakątku zatoki, chłopak pokazał mi samą *Zgodę*, stojącą na kotwicy. Na jej pokładzie widać było krzątaninę, znamionującą przygotowania do odjazdu; podnoszono reje na właściwe miejsca, a że wiatr podmuchiwał właśnie z owej strony, przeto do uszu mych dochodził śpiew żeglarzy ciągnących liny. Po wszystkim, czego nasłuchałem się przez drogę, spoglądałem na ten okręt z niezmiernym obrzydzeniem i z całego serca litowałem się nad biedakami, którzy byli skazani na żeglowanie w nim.

Wysunęliśmy się już wszyscy trzej na grzbiet wzgórzka, przeto przeszedłem na drugą stronę gościńca i zwróciłem się do stryja:

— Uważam, iż słuszna powiedzieć wam, mości panie, że żadna siła nie zmusi mnie, bym miał wstąpić na pokład onej *Zgody*.

On jakby ocknął się ze snu.

— He? — zapytał. — Co takiego?

Powtórzyłem mu znowu.

— Dobrze, dobrze — odrzekł. — Przypuszczam, że jeszcze zdołamy ci się przypodobać. Ale po cóż my tu stoimy? Tu takie przenikające zimno... a jeżeli się nie mylę, to tam już na *Zgodzie* gotują się do odjazdu.

## ROZDZIAŁ IV. CO MI SIĘ PRZYDARZYŁO U „PRZEWOZU KRÓLOWEJ”

Skorośmy przybyli do karczmy, Ransome zaprowadził nas po schodach do małego pokoiku; było tam zastawione łóżko, a na węglach płonęło wielkie ognisko, iż było gorąco jak w piekarni. Tuż przy kominie siedział za stołem wysoki, posępny, surowo spoglądający mężczyzna i coś tam pisał. Pomimo wielkiego gorąca w pokoju, ubrany był w gruby kaftan marynarski, zapięty aż pod szyję, i wysoką, włochatą czapę, naciśniętą na uszy; nigdy jeszcze nie widziałem takiego człeka (choćby to był i sędzia w trybunale) który by się zdawał z pozoru bardziej zimny, gorliwy i panujący nad sobą, jak ten kapitan okrętu.

Naraz powstał i występując wprzód, podał szeroką dłoń Ebenezerowi.

— Szczęść cię, iż cię oglądam, panie Balfour — ozwał się głosem bardzo grubym — i cieszę się, żeś waszmość przybył na czas. Wiatr jest wspaniały, a odpływ właśnie się zmienia; przed nocą zobaczymy stary kubel z węglami płonący na wyspie Majowej.

— Kapitanie Hoseason — rzekł mój stryj — zanadto waćpan ogrzewasz swój pokój.

— Taką mam nawyczkę, panie Balfour — odparł szyper. — Jestem człowiekiem zimnego usposobienia; krew mam zimną, mości panie. Ani futro, ani flanela... nic, mosterdzieju, nawet gorący rum, nie rozgrzeją tego, co się zowie temperamentem. Dzieje się to samo, mości panie, z bardzo wielu ludźmi, którzy zwęglili się, jak to powiadają, na morzach podzwrotnikowych.

— Dobrze, dobrze, kapitanie — odpowiedział stryj — wszyscy musimy być tacy, jakimi nas zrobiono.

Atoli<sup>57</sup> zdarzyło się, że owo dziwactwo kapitana bardzo wiele przyczyniło się do mych nieszczęsnych kolei. Albowiem, choć sobie przyrzekłem, iż mego krewniaka nie spuszczę z oka, to jednak byłem tak żądny obaczenia morza z większej bliskości, a jednocześnie tak

<sup>56</sup> Queensferry — miasteczko nazwane od „Przewozu Królowej” (Queen’s Ferry). [przypis tłumacza]

<sup>57</sup> atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

znużony ciasnotą pokoju, że gdy stryj mi polecił, bym „zbiegł na dół i zabawił się przez chwilę”, ja w swej głupocie dałem posłuch jego słowom.

Tak więc wyszedłem, pozostawiając obu mężczyzn, siedzących przy flasce i za całą stertą papierów, i przeszedłszy w poprzek gościńca przed samą karczmą, zstąpiłem na wybrzeże. W tym zakątku, mimo panującego wiatru, o brzeg uderzały tylko drobne fale, niewiele co większe od tych, jakie widywałem był na jeziorze. Za to nowością były dla mnie charszcze<sup>58</sup> — jedne zielone, inne brunatne i podłużne, inne zaś pokryte pęcherzykami, które trzaskały mi w palcach. Choć ta odnoga<sup>59</sup> daleko zachodziła w głąb lądu, to jednak zapach wody morskiej i tu był nadzwyczaj słony i drażniący; ponadto *Zgoda* zaczęła potrząsać żaglami, co pękami wisiały na rejach — a nastrój wszystkiego, com spostrzegą, usposobił mnie do myśli o dalekich podróżach i obcych krainach.

Przyjrzałem się również marynarzom w czólnie — były to rosłe, ogorzałe chłopcy, niektórzy w koszulach, niektórzy w kubrakach, niektórzy gardła poobwiązywali sobie kolorowymi chustkami, jeden miał w olstrach zatknietą parę pistoletów, dwóch czy trzech było uzbrojonych w sękatę pałki, a wszyscy w pugiwały. Wdałem się w rozmowę z jednym, który wyglądał mniej po zbójceku niż jego towarzysze, i wypytywałem go o żeglugę. Opowiedział, że ruszą w drogę, skoro tylko skończy się przyływ, i okazywał radość, że porzucą port, gdzie nie było szynkowni i grajków — wszystko to jednak przeplatał tak okropnymi złorzeczeniami, iż czym prędzej oddaliłem się od niego.

To mnie przywiodło znów do Ransome’a, który był pono najmniejszym łotrem w tej zgrai; wybiegł on rychło z karczmy i przyleciał do mnie, wołając o czarkę ponczu. Odpowiedziałem mu, że tego mu nie dam, bo ani jego, ani mojemu wiekowi nie przystoją takie zbytki.

— Ale szklanek słodowego piwa możesz otrzymać, i owszem — dodałem.

On zaczął szczyrzyć zęby i wykrzywiać się do mnie, dając mi różne przezwiska, lecz mimo wszystko ucieszył się i z piwa słodowego; wnet też usiedliśmy za stołem w przedniej izbie karczmy, pijąc i jedząc, aż się nam uszy trzęsły.

Tu przyszło mi na myśl, że ponieważ karczmarz był człowiekiem z tych okolic, przeto dobrze bym uczynił, gdybym w nim pozyskał przyjaciela. Zaprosiłem go do towarzystwa, jak to było podówczas częstym obyczajem; atoli on uważał się za nazbyt wielką osobę, by miał zasiadać pospołu z takimi chudzinami, jak Ransome i ja, więc już zabierał się precz z pokoju, gdy przywołałem go nazad, zapytując, czy nie zna przypadkiem imci<sup>60</sup> pana Rankeillora.

— Uu, i jak jeszcze! — odrzekł. — Jest to człek wielkiej zacności. Za pozwoleniem, czy to aspan jesteś ów człowiek, co to przybył z Ebenezerem?

Gdy dałem mu odpowiedź potwierdzającą, zapytał.

— Aspan chyba nie jesteś z jego przyjaciół? — co według szkockiego sposobu mówienia miało znaczyć, że nie jestem jego krewnym.

Odpowiedziałem, że nie.

— I ja myślałem, że nie — rzecze karczmarz — a jednak jesteś asan jak gdyby troszkę podobny do pana Aleksandra.

Wspomniałem, że Ebenezer nie cieszył się przychylnością ludzi okolicznych.

— Zapewne — odrzekł karczmarz. — Jest to stary niegodziwiec i niejeden pragnąłby go widzieć dyndającego na powrozie... zarówno Joasia Clouston jak i wielu innych ludzi, których pozbawił domu i szczęścia rodzinnego. Atoli kiedyś i on był też miłym młodzieniaszkiem. Było to jednak jeszcze, zanim rozeszła się wieść o panu Aleksandrze; rzekłbyś, że było to śmiercią dla niego...

— I cóż to była za wieść? — zapytałem.

— Oo!... że to on właśnie go zabił — odrzekł karczmarz. — Nie słyszałeś aś<sup>61</sup> nigdy o tym?

<sup>58</sup>charszcze — tu: rośliny morskie. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup>odnoga daleko zachodziła w głąb lądu — odnogi takie nazywają Szkoci *firth*, co odpowiada szwedzkim fiordom. [przypis tłumacza]

<sup>60</sup>imci właśc. *imc* — skrót od starop. wyrażenia grzecznościowego stawianego przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem: jego miłość. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>aś (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waś; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

— I za cóż miałby go zabijać? — powiadam na to.  
— Za cóż, jak nie po to, by zająć owo miejsce? — wyjaśnił.  
— Miejsce? — zapytałem. — Czy Shaws?  
— Nie wiem o żadnym innym — odrzeczł ów.  
— Tak, człowiecze? — mówię na to. — Więc to tak było?... Czyż mój... czy Aleksander był najstarszym z rodzeństwa?  
— Jużci, że był — rzecze karczmarz. — Gdyby było inaczej, za cóż miałby go ów zabijać?

To rzekłszy, oddalił się, bo już mu do tego było pilno od samego początku.

Prawdę mówiąc, przeczuwałem był od dawna wspomniane przez niego okoliczności; atoli inna to zgoła rzecz domyślać się, a inna wiedzieć na pewno. Siedziałem przeto odrzony mym szczęściem i ledwo mi się chciało wierzyć, że ten sam biedny chłopczyzna, który niespełna dwa dni temu, kurzem odziany, powlókł się tu z Lasu Ettrick, obecnie był jednym z możliwych tego świata, posiadał dom i rozległe włości, a jutro mógł dotrzeć własnego rumaka. Wszystkie te piękne rojenia, wraz z tysiącem innych, tłoczyły mi się w głowie, gdy siedział przy oknie karczmy, gapiąc się bezmyślnie przez szybę i nie zwracając uwagi na to, co widziałem; przypominam sobie tylko, że oko moje napotkało kapitana Hoseasona na grobli, pośród swoich okrętników, i przemawiającego do nich jakby rozkazująco. Naraz ujrzałem, jak krokiem równym wracał ku domowi, nie mając w sobie nic z żeglarskiej niezgrabności, owszem niosąc po męsku okazałą i piękną swą postawę, a na twarzy widniał mu wciąż ten sam wyraz rozsądku i powagi. Pytałem sam siebie, zali podobna, by opowieści Ransoma mogły zawierać prawdę i zacząłem po trochu im niedowierzać: tak nie zgadzały się z powierzchownością tego człowieka. Naprawdę jednak nie był on tak dobry, jak przypuszczałem, ani tak zły, za jakiego go podawał Ransome; bo w rzeczywistości było w nim dwóch ludzi, a ten, co z nich był lepszy, porzucał go, ledwo kapitan stąpił nogą na pokład swego statku.

Za chwilę posłyszałem głos stryja, który mnie przyzywał; wyszedłszy, zastałem ich obu na gościńcu. Pierwszy zagadnął mnie kapitan, a to w takim sposobie (co bardzo schlebiali młodemu chłopczyźnie), jakby mówił równy z równym.

— Mości panie — rzekł — imć pan Balfour cuda mi opowiada o tobie, a ja ze swej strony też rad cię widzę. Pragnąłbym dłużej tu pobyc, żebyśmy mogli lepiej zaprzyjaźnić się z sobą; wszakoż i tak uczynimy, na co nas stać w tej chwili. Racz waszmość spędzić pół godziny na pokładzie mego brygu, nim ustanie przyływ, i trącić się ze mną kielichem.

Owoż tedy niepodobna wypowiedzieć, jaką miałem chętkę, by zwiedzić wnętrze okrętu; atoli nie zamierzałem bynajmniej wystawiać się na azard<sup>62</sup>, przeto<sup>63</sup> mu odpowiedział, że stryj i ja mamy się udać w pewnej sprawie do rejenta.

— Tak, tak — rzekł kapitan — napomknął ci mi on o tym. Alić<sup>64</sup>, wiedz asindziej<sup>65</sup>, że łódź wysadzi cię na ląd koło grobli miejskiej, a stamtąd to dość rzucić kamiuszczkiem, by się trafiło w dom Rankeillora.

W tym miejscu nagle nachylił się i szepnął mi w ucho.

— Dawaj baczenie na starego krętacza; on tu coś knuje niedobrego. Chodź asan na pokład, to ci coś powiem.

Po czym, biorąc mnie pod ramię, mówił dalej głośno, postępując w stronę łodzi.

— Ale gadajże waćpan, co mam ci przywieść z Karolińskich ostrowów? Kto jest przyjacielem pana Balfoura, tego jestem powolnym sługą. Czy zwitek tytoniu? Czy indiańskie pióropusze? Czy skórę dzikiego zwierza? A może fajkę kamienną? Czy ptaka przedrzeźniacza, co miauczy na każdego jak kocur? Alboli<sup>66</sup> ptaszę, kardynałem przezwane, że czerwone jest jako krew?... Wybierz z tych jedno i powiedz, coć<sup>67</sup> się podoba.

Tymczasem doszliśmy do szalupy, on zaś podał mi rękę, by mnie na nią wprowadzić. Ani mi się nie śniło, bym się miał opierać; mniemałem (o głupi prostaczek!), że m zna-

<sup>62</sup>azard (daw.) — niebezpieczeństwo, niepewność. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>przetom (...) odpowiedział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: przeto odpowiedziałem. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>alić — konstrukcja z partykulą „ci”, skróconą do „c”; znaczenie: jednakże, przecież. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>asindziej (daw.) — skrót od: wasza miłość dobrodziej, waszmość dobrodziej; starop. potoczny zwrot grzeckościowy. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>alboli — konstrukcja z partykulą „li”; znaczenie: albo też. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>coć — konstrukcja z partykulą „ci”, skróconą do „-c”. [przypis edytorski]

lazi<sup>68</sup> dobrego przyjaciela i sprzymierzeńca, a przy tym radowałem się, że zobaczę okręt. Zaledwieśmy usiedli<sup>69</sup>, każdy na swoim miejscu, łódź odbiła od grobli i zaczęła się posuwać po wodzie; wobec radości z tej nowej dla mnie jazdy oraz wobec podziwu nad naszą małością, widokiem wybrzeża i wielkością brygu, co rósł w oczach, w miarę jakeśmy<sup>70</sup> się doń zbliżali, ledwie zdołałem zrozumieć, co mówił do mnie kapitan, i odpowiadałem mu na chybi-trafi.

Skorośmy przybyli na miejsce (siedziałem wówczas, przyglądając się z lubością wyniosłemu okrętowi, silnemu przypyłowowi, rozbijającego się z szumem o jego boki, oraz żeglarzom, wesoło pokrzykującym przy robocie), Hoseason, oznajmując, że on i ja winniśmy pierwsi wyjść na pokład, kazał z głównej rei spuścić linę. Uchwyciwszy się teje, zawisłem, bujając się, w powietrzu, a za chwilę postawiono mnie na pokładzie, gdzie już w pogotowiu czekał na mnie kapitan i wraz ujął mnie ramieniem pod pachę. Stałem tak przez chwilę, nieco oszołomiony chwianiem się wszystkiego wokoło, może i po trosze załęknioty, a mimo to niezmiernie uradowany onymi dziwnymi widokami; kapitan tymczasem pokazywał mi największe dziwa, objaśniając mi ich nazwania i użytek.

— Ale gdzież mój stryj? — ozwał się nagle.

— Aha! — odrzekł Hoseason, rzucając z nagłą złowrogie spojrzenie. — W tym sęk!

Czułem, że jestem zgubiony. Dobywszy wszystkiej mocy, wydarłem mu się z rąk i podbiegłem do burty. Jakoż dostrzegłem szalupę zdążającą ku miastu co sił we wiosłach oraz mego stryja siedzącego na rufie. Wydałem rozzwierający okrzyk.

— Na pomoc! Na pomoc! Morderstwo! — aż oba brzegi zatoki zadzwoniły odgłosem, a stryj odwrócił się z miejsca, gdzie siedział, i ukazał mi twarz pełną okrucieństwa i grozy.

Ostatnia była to rzecz, jaką widziałem. Już bowiem porwały mnie krzepkie ręce, odrywając mnie od boku okrętu, a wraz potem zdało mi się, jakoby grom we mnie trzasnął; załśnił mi w oczach płomień ogromny i padłem bez zmysłów.

## ROZDZIAŁ VII. ODBYWAM PODRÓŻ MORSKĄ NA BRYGU

### *Zgoda* Z DYSART

Gdy przyszedł do siebie, leżałem w ciemności, wielce obolały, skrępowany na rękach i nogach, a przy tym ogłuszony mnóstwem niezwykłych hałasów. W uszach mi brzmiał huk wody — jakoby jakiejś olbrzymiej młynówki — bębnienie rozbryzgujących się ciężkich kropel, łomotanie żagli i przeraźliwe nawoływania okrętników. Cały świat to piętrzył się zawrotnie w górę, to zawrotnie opadał kędyś w dół; byłem tak schorzały i potłuczony na całym ciele, a w głowie mi się tak mąciło, że upłynęło sporo czasu, zanim, wodząc myśli tędy i owędy lub nawet znów tracąc przytomność pod świeżym ukłuciem bólu, doszedłem do przekonania, iż na pewno leżę w więzach gdzieś na spodzie tego nieszczęsnego okrętu, a wiatr niechybnie wzmógł się w istną wichurę. Wraz z jasnym uświadomieniem sobie mej niedoli zwały się na mnie: czarna rozpacz, okropne wyrzuty na mą własną głupotę i wściekły gniew na mego stryja — co wszystko razem ponownie pozbawiło mnie zmysłów.

Kiedym wrócił na nowo do życia, wstrząsały mną i ogłuszały mnie te same zgiełki, te same bezładne i gwałtowne poruszenia; ponadto do wszystkich innych moich udręczeń i katuszy dołączała się słabość, jaka zawsze napastuje lądowca nienawykłego do morza. W onych dniach mej burzliwej młodości doświadczyłem mnogich utrapień, wszelako żadne z nich nie rozprzęgało tak mego ciała i ducha, żadne nie lśniło tak nikłym promykiem nadziei, jak owe pierwsze godziny pod pokładem brygu.

Usłyszałem huk działa i przypuszczałem, że burza okazała się dla nas nazbyt sroga i że załoga strzelaniem daje znać o swym trudnym położeniu. Myśl o wybawieniu, choćby przez śmierć w głębinie morskiej, napawała mnie radością. Niestety nie ziściło się nic

<sup>68</sup> *żem znalazł* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: że znalazłem. [przypis edytorski]

<sup>69</sup> *zaledwieśmy usiedli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: zaledwie usiedliśmy. [przypis edytorski]

<sup>70</sup> *jakeśmy się (...) zbliżali* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak się zbliżyliśmy. [przypis edytorski]

z tego, czegom się domyślał<sup>71</sup>, jedno (jak mi później opowiedziano) był to pospolity zwyczaj kapitanów, który niniejszym zapisuję na dowód, że nawet najgorszy człowiek może mieć w sobie łagodniejsze uczucia. Okazało się, iżesmy przejeżdżali<sup>72</sup> o parę mil od Dys-art, gdzie niegdyś zbudowano bryg i gdzie przed laty kilkoma osiedliła się sędziwa pani Hoseasonowa, matka kapitana, a czy to wyjeżdżano na pełne morze, czy zawijano ku lądowi, nigdy nie dopuszczono, by *Zgoda* miała ominąć tę miejscowość bez palby armatniej i wywieszenia bandery.

Zatraciłem zupełnie rachubę czasu; dzień i noc były sobie podobne w owej zatęchłej jamie okrętowego kadłuba, w której spoczywałem, a okropność mego położenia dłużyła mi w dwójnasób każdą godzinę. Toteż nie potrafię zdać sobie z tego sprawy, jak długo tak leżałem, oczekując, rychło li posłyszę trzask okrętu rozbijającego się o rafę lub poczuję, jak statek, chybocąc się, spadać będzie na łeb na szyję w głębiny morskie. W końcu wszakże sen odebrał mi wszelką świadomość męczarni.

Obudzony zostałem blaskiem latarki świecącej mi wprost w oblicze. Jakowyś człowieczyna, lat może trzydziestu, o zielonych oczach i bujnych, kędzierzawych włosach, stał nade mną, bacznie mi się przyglądając.

— No — ozwał się — jakże się asan<sup>73</sup> miewasz?

Odpowiedziałem szlochaniem; wówczas przybysz obmacał mi puls i skronie, po czym zabrał się do przemywania i opatrywania rany, którą miałem na czaszce.

— No, no! — rzekł. — Poważny cios! Co, mój bracie? Rozwesel się! Świat jeszcze nie ginie; źle rozpocząłeś swoją po nim wędrówkę, ale jeszcze zdołasz wszystko naprawić. Czy ci dano jakąś strawę?

Odpowiedziałem, że patrzeć nie mogę na jadlo; on na to dał mi nieco gorzałki z wodą w kubku cynowym i pozostawił mię znów samego.

Gdy w czas jakiś przybył powtórnie, by mnie obejrzyć, leżałem pół śniąc, pół czuwając, rozwarłszy oczy szeroko w ciemności; choroba całkiem przeszła, ustępując jednak miejsca okrutnym zawrotom głowy i nudnościom, które bodajże ciężej przyszło mi znośić. Ponadto odczuwałem ból we wszystkich członkach, a sznury, które mnie krępowały, piekły mnie jak żywy ogień. Zaduch jamy, w której spoczywałem, zdawał się przenikać we mnie, a w ciągu długiej samotności po jego poprzednich odwiedzinach wycierpiałem istne katusze trwogi, już to z powodu ciągłego przebiegania szczurów okrętowych, które niekiedy tarabaniły mi po samej twarzy, już to z powodu potwornych widziadeł, jakie zawsze snują się koło łóża człowieka gorączkującego.

Skoro otworzono zapadnię w pułapie i zabłysła latarka, powitałem ów blask niby światłość słoneczną, lejącą się z niebios; i chociaż w tym oświetleniu obaczyłem jedynie mocne a ciemne belki okrętu, co był mi więzieniem, jednak omal nie krzyknąłem głośno z radości. Człowiek ów zielonooki pierwszy jał zstępować po drabinie, a spostrzegłem, że szedł trochę niepewnie. Za nim postępował kapitan. Żaden z nich nie wyrzekł ani słowa, tylko pierwszy, usiadłszy, zbadał mnie i opatrzył mi ranę jak poprzednio, natomiast Hoseason poglądał mi w oblicze jakimś dziwnym, posępnym wzrokiem.

— Otóż, mosanie<sup>74</sup>, sam widzisz — rzecze pierwszy — wielka gorączka, brak apetytu, brak światła, brak pożywienia: sam pan widzisz, co to znaczy.

— Nie jestem znachorem, panie Riach — odrzekł kapitan.

— Za pozwoleniem, mości panie — rzecze Riach — pan masz tęgą głowę na karku i dobry, iście szkocki język w gębie, by się wszystkiego dowiedzieć, ale teraz nie pozwolę waszmości na żadne wymówki: żądam, by tego chłopca zabrano z tej jamy i umieszczono na forkasztelem<sup>75</sup>.

— Czego waćpan żądasz, to nie obchodzi nikogo, co najwyżej samego ciebie — odgryzł się kapitan — ale ja powiem waćpanu, jak będzie. On pozostanie tu, gdzie jest.

<sup>71</sup>czegom się domyślał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: czego się domyślałem. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>iżesmy przejeżdżali — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: iż przejeżdżaliśmy. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>asan (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>mosanie — skrót od: mości panie (miłościwy panie); starop. zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>forkasztelem — także: kasztelem a. grodziec przedni: podwyższenie pokładu na przodzie okrętu, gdzie mieszczą się kwatery prostych okrętowników [tj. członków załogi; red. WL]. [przypis redakcyjny]

— Przypuśćmy nawet, że waszmość zostałeś odpowiednio wynagrodzony — rzecze drugi — to pozwolę sobie skromnie zauważyć, że mnie to nie spotkało. Płacą mi, i to zgoła nie za wiele, tylko za to, że jestem młodszym oficerem na tej starej kufie, a waszmość wiesz doskonale, czym starał się ciągnąć z tego zyski; poza tym jednak nie płacono mi za nic innego.

— Gdybyś waszeć umiał oderwać się od cynowej czarki, panie Riach, nie mógłbym się w niczym skarżyć na ciebie — odparł szyper — a ośmielę się nadmienić, że zamiast bawić się ze mną w zagadki, winieneś zachować dech w gębie, byś miał czym kaszę ostudzić. Nas tam wzywają na pokład — dodał tonem ostrzejszym i postawił nogę na szczeblu drabiny.

Ale pan Riach ucapił go za rękaw.

— Dajmy na to, że zapłacono ci, byś dokonał morderstwa... — zagadnął.

Hoseason zwrócił się ku niemu z błyskiem w oczach.

— Cóż to znowu? — wrzasnął. — Co ma znaczyć taka mowa?

— Zdaje mi się, iż jest to mowa, którą waćpan możesz zrozumieć — rzekł pan Riach, poglądając mu nieustraszenie w oblicze.

— Panie Riach, byłem z waćpanem na trzech morskich wyprawach — odparł kapitan. — Przez ten czas, mości panie, winieneś być już mnie poznać: jestem człowiekiem surowym i zawziętym, ale wszystko, co aść teraz powiadasz... fe, fe!... To pochodzi ze złego serca i brudnego sumienia. Jeżeli utrzymujesz, że chłopak zemrze...

— Pewnie, że tak będzie! — rzekł pan Riach.

— Dobrze, mości panie, czyż to nie wystarczy? — rzecze Hoseason. — Zabieraj go, gdzie ci się podoba!

Wraz<sup>76</sup> też kapitan wszedł na drabinę; ja zaś, który leżałem był<sup>77</sup> w milczeniu podczas całej tej osobliwej rozmowy, zobaczyłem, że pan Riach obrócił się za odchodzącym i pokłonił mu się prawie do kolan, w czym oczywiście uwydatniało się szyderstwo. Nawet w ówczesnym stanie mej choroby zdołałem wymiarkować dwie rzeczy, a mianowicie że sztorman<sup>78</sup>, zgodnie z domysłami kapitana, był nieco podchmielony, oraz że (czy trzeźwy, czy pijany) mógł mi się on pono<sup>79</sup> okazać ważnym sprzymierzeńcem.

W pięć minut później zerwano mi więzy, jakiś człek wziął mnie na plecy i zaniósł na forkasztel, gdzie mnie złożono na posłaniu z kilku derek marynarskich; tam też w jednej chwili postradałem przytomność.

Zaiste za szczęście sobie poczytałem, gdy otwarłszy oczy ponownie, znalazłem się na świetle dziennym, wśród ludzkiego towarzystwa. Forkasztel był miejscem dość przestronnym, zastawionym wokoło tapczanami, na których siedzieli ludzie, ćmiąc fajki, lub spali po odbytej wachcie<sup>80</sup>. Ponieważ dzień był pogodny, a wiatr pomyślny, przeto otwór w powale był odsłonięty, tak iż do wnętrza wbiegała nie tylko jasność dniowa, ale od czasu do czasu i przeświecająca pyłem smuga blasku słonecznego, olśniewając mnie i radując. Wszakóż nie pierwej poruszyłem się, aż któryś z żeglarzy przyniósł mi łyk jakiegoś lekarstwa, przyrządzonego przez pana Riacha, po czym polecił mi, bym leżał spokojnie, póki on nie wróci. Wyjaśnił mi, że żadna kość nie uległa zgruchotaniu.

— Cios w głowę to fraszka. Człowieku — rzecze — toć ja ci go zadałem!

Tak przeleżałem wiele dni pod ścisłym nadzorem i nie dość, żem powrócił do zdrowia, ale zaznajomiłem się z moimi towarzyszami. Była to istotnie nieochajna<sup>81</sup> hałastra, jak większość marynarzy, boć sam zawód odrywał ich od wszystkiego, co w życiu jest powabem, i skazywał na wspólne kołatanie się po srogich odmętach, pod rozkazami niemniej okrutnych zwierzchników. Było pomiędzy nimi kilku takich, którzy żeglowali przódą w służbie u piratów i widzieli rzeczy, o których wstyd byłoby nawet wspominać; byli i tacy, którzy zbiegli z okrętów królewskich i miesali już stryczek na szyi, z czego zresztą nie czynili tajemnicy; a wszyscy, jak to powiadają, byli „poprzytykani” z najlepszymi przyjaciółmi. Wszakże jeszcze nie upłynęło wiele dni wspólnego z nimi zamknięcia, gdy

<sup>76</sup>wraz — tu: zaraz, od razu, natychmiast. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>leżałem był (daw.) — forma czasu zaprzeszłego; znaczenie: leżałem wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

<sup>78</sup>sztorman — oficer wachtowy stojący na czele jednej zmiany załogi jachtu morskiego. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>pono (daw.) — ponoć, podobno, prawdopodobnie. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>wachta — służba nocna, dyżur, zwana też dawniej nocną strażą. [przypis redakcyjny]

<sup>81</sup>nieochajny (gw. z ukr.) — niechlujny, niedbały; tu: nieokrzesany. [przypis edytorski]

już zacząłem się wstydzić tego, com o nich sądził zrazu, jeszcze koło grobli Przewozu — jakoby oni byli bestiami nieczystymi. Żaden stan ludzki ni rodzaj nie jest zły do gruntu, ale każdy ma swe zalety i wady, a moi współokrętnicy nie byli wcale wyjątkiem od tego prawidła. Byli gburowaci, to pewna, i źli, jak mniemam, ale zalet mieli też niemało. Gdy się opamiętali, bywali uprzejmi, prostodusznością przewyższali nawet takie jak ja parafiańskie chłopię, a miewali i przebłyski uczciwości.

Był tam jeden człowiek, może czterdziestoletni, który godzinami siadywał przy mym tapczanie, opowiadając mi o swej żonie i dziecku; był on rybakiem, który rozbił się z łodzią i w ten sposób został zniewolony do włóczęgi po pełnym morzu. Lata już upłynęły od owego czasu, jam go jednak nigdy nie zapomniał. Jego żona, która (jak mi często powtarzał) była o wiele młodsza od niego, na próżno wyglądała powrotu swego męża... nigdy on już rankiem nie roznieci jej ogniska, ani też nie zaopiekuje się dziecięciem podczas jej choroby... Istotnie (jak pokazały wypadki) wielu z tych nieszczęśników bawiło wtedy na ostatniej w życiu wyprawie; otchłanie morskie i ryby-ludojady żer sobie z nich uczyniły... a niewdzięczne<sup>82</sup> to rzemiosło źle mówić o umarłych.

Pomiędzy innymi dobrymi ich uczynkami wspomnę i to, że zwrócili mi moje pieniądze, które pośród nich rozdzielono; a choć suma okazała się o jaką trzecią część szczuplejsza, to jednak ucieszyłem się wielce, że choć tyle odzyskał, i wiele sobie za te pieniądze obiecywałem w kraju, do którego miałem zawinąć. Okręt zdążył na Karoliny, a nie należy przypuszczać, jakobym to miejsce poczytywał za nic więcej, jak tylko za kres mego wygnania. Wprawdzie już wówczas tłumione było ono nieczne rzemiosło, a następnie, po buncie kolonii i utworzeniu Stanów, istotnie ustało — ale za dni mej młodości jeszcze sprzedawano ludzi białych w niewolę, do robocizny po plantacjach, i to właśnie był los, na który skazał mnie wyrok mego niecnego stryja...

Niewola

Chłopak okrętowy Ransome (od którego po raz pierwszy usłyszałem był o tych okropnościach) zachodził do nas niekiedy z czatowni<sup>83</sup>, gdzie nocował i usługiwał, i to w cichym bólu opatrywał sobie potłuczoną część ciała, to znowu głośno oburzał się na okrucieństwo pana Shuana. Serce mi się tedy krwawiło; atoli załoga żywiła wielki szacunek dla najstarszego sztormana, który, jak mawiali, był „jedynym żeglarzem w tym bałaganie i człowiekiem niezłym, o ile był trzeźwy”. W istocie, stwierdziłem co do obu sztormanów rzecz wielce osobliwą: a mianowicie, że pan Riach był ponury, opryskliwy i szorstki, ilekroć był trzeźwy, a pan Shuan muchy by nie ukrzywdził, gdy był pijany. Zapytałem o kapitana, ale mi odpowiedziano, że trunk nie sprawia żadnej różnicy w usposobieniu tego żelaznego człowieka.

Ile mi tylko pozwalała szczupłość czasu, dokładałem wszelkich starań, by z tego nieboskiego stworzenia, jakim był biedny Ransome, uczynić coś na podobieństwo człowieka — raczej powinien bym powiedzieć: na podobieństwo chłopca. Atoli w jego umyśle ledwie że kołatała się odrobina prawdziwego człowieczeństwa. Z czasów przed pierwszą wyprawą morską nie zdołał nic zapamiętać, jak tylko to, że ojciec jego wyrabiał zegary i że w bawialni miał szpaka, który umiał gwizdać *Krajinę północną*; wszystko inne zatarło się w jego pamięci przez tyle lat udręki i znoju. O suchym łądzie miał dziwaczne pojęcia, zaczerpnięte z opowieści żeglarskich: było to rzekomo miejsce, gdzie chłopców oddawano w pewnego rodzaju niewolę, zwaną rzemiosłem, i gdzie terminatorów ustawicznie chłostano lub zamykano w cuchnących kazamatach. W miastach co drugą osobę uważał za wydrwigrosza, a co trzeci dom za miejsce, gdzie truto lub zabijano marynarzy. Oczywiście opowiadałem mu, jak uprzejmie obchodzono się ze mną samym na owym suchym łądzie, którego on tak się obawiał, oraz jak dobrze mnie wychowywali i troskliwie nauczali zarówno moi rodzice, jak i przyjaciele: toteż ilekroć otrzymał świeże cięgi, zawsze płakał gorzko i przysięgał, że ucieknie; ale jeżeli był w zwykłym bzikowatym usposobieniu lub (co gorsza) dobrał się w czatowni do szklanki spirytusu, wtedy wyśmiewał się z mych napomnień.

Nie kto inny, ale pan Riach (niech mu to Niebo odpuści!) częstował chłopca napitkiem; niewątpliwie czynił to w dobrej myśli, ale, pominąwszy, że rujnował mu tym

<sup>82</sup>niewdzięczneć — konstrukcja z partykulą „ci”, skróconą do -ć, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>czatownia — także: starszyznia: kwatery oficerska, znajdująca się na pokładzie w tyle okrętu. [przypis tłumacza]



zdrowie, było rzeczą wprost żalną patrzeć, jak owa nieszczęsna, zaniedbana istotka zataczała się, płała i wygadywała niestworzone brednie. Niektórzy z załogi śmiali się, ale nie wszyscy; inni posępniali jak chmura gromowa (myśląc zapewne o własnej młodości albo o swojej dziatwie) i nakazywali mu, by zaniechał tych andronów. Co się mnie tyczy, wstydzilem się nań poglądać, a jeszcze po dziś dzień biedny chłopak nachodzi mnie nieraz we śnie.

Przez cały ten czas (trzeba wam wiedzieć) *Zgoda* napotykała ustawicznie wiatry przeciwnie i rzucała się to w górę, to w dół po napierającym na nas morzu, toteż otwór w pokładzie był niemal ciągle zamknięty, a forkaasztel rozjaśniała jedynie latarnia, bujająca się na sosrębie<sup>84</sup>. Pracy było wždy<sup>85</sup> wiele i dla wszystkich; o każdej godzinie trzeba było nastawiać lub ściągać żagle; sam sposób wyrażania się świadczył o podnieceniu ludzi — przez cały dzień od tapczanu do tapczanu szły pomruki utyskiwań; ponieważ zaś nie pozwalano mi wstąpić nogą na pokład, przeto możecie sobie wyobrazić, jak poczęło mnie nużyć takie życie i jak niecierpliwie oczekiwałem jakowejś zmiany.

A pewna zmiana miała się zdarzyć, jak niebawem posłyszycie; ale wpierw muszę opowiedzieć rozmowę moją z panem Riachem, która tchnęła we mnie nieco odwagi do znoszenia mych utrapień. Zastawszy go raz w stanie pomyślnego podochocenia (bo zaiste, gdy był trzeźwy, nie spojrzął na mnie ni razu), zobowiązałem go do sekretu i opowiedziałem mu wszystkie moje przygody.

Powiedział mi na to, że mu to przypomina balladę, po czym oświadczył, że uczyni, co w jego mocy, by mi dopomóc; powinienem tylko wystarać się o papier, pióro i atrament i napisać jeden list do pana Campbella, a drugi do pana Rankeillora; jeżeli to, com opowiedział, jest prawdą, to można założyć się, dziesięć przeciwko jednemu, że on zdoła (z ich pomocą) wyciągnąć mnie z biedy i przywrócić mi prawa należne.

— A tymczasem — dodał — bądź dobrej myśli. Nie jesteś tu asan jedyny, powiadam ci; wiele jest takich, co gracują tytoń w plantacjach zamorskich, choć w domu dosiadali własnego konia przed własnym progiem... wielu, oj wielu!... Życie, bądź co bądź, to księga pełna... przypisów. Spójrz na mnie samego: jestem synem cnego szlachcica i prawie że ukończonym doktorem, a oto tutaj muszę podlegać, jak prosty smoluch, durnemu Hoseasonowi!

Myślałem, że okażę mu grzeczność, pytając go o jego dzieje.

Zagwizdał na cały głos.

— Wszystko to bajda! — odpowiedział. — Lubię żarty, ot i wszystko!

I jednym susem zniknął z forkaasztelu.

## ROZDZIAŁ VIII. W CZATOWNI

Pewnego wieczora, o jakiej dziewiątej godzinie, człek jeden z wachty pana Riacha (który był na pokładzie) zszedł na dół po swój kubrak, a wraz po całym forkaasztelu zaczął się rozchodzić szept, że „Shuan nareszcie mu dogodził”. Nie potrzeba było wymieniać nazwiska; wszyscyśmy wiedzieli, o kim mowa; ale zaledwie czasu nam stało na tyle, byśmy mogli myśl tę należycie sobie uświadomić, a cóż dopiero o niej pomówić, naraz odrzucono znów zaworę, a po drabinie zszedł kapitan Hoseason. Przy rozchybotanym świetle latarni rozejrzał się bystro wokoło po tapczanach, a następnie, podchodząc prosto w moją stronę, zagadnął mnie, ku memu zdziwieniu, uprzejmie brzmiącymi słowami.

— Mój człeczko — powiada — pragniemy, abyś nam usługiwał w izbie kapitańskiej. Masz zamienić tapczan z Ransomem. Zabieraj się czym prędzej z manatkami na tył okrętu!

Właśnie gdy to mówił, nad zapadnią pojawiło się dwóch marynarzy, dźwigając biednego Ransome'a na ramionach, a ponieważ okręt w tej chwili dał tęgiego szczupaka w morze i latarnia się zachybotala, więc jej światłość padła chłopcu wprost w oblicze. Było ono żółte jak воск, a miało wyraz podobny do okropnego uśmiechu. Krew mi się ścięła w żyłach i dech w sobie powstrzymałem, jak gdybym był ugodzony.

<sup>84</sup>*sosrąb* — w budownictwie drewnianym: gruba belka stropowa biegnąca wzdłuż całego pulapu (w kierunku poprzecznym do pozostałych belek), podtrzymująca strop; tradycyjnie bywała zdobiona, sygnowana przez cieśle itp. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*wždy* (daw.) — jednak, przecież. [przypis edytorski]

— Zabieraj się na rufę! Dalej na rufę! — krzyczał Hoseason.

Wówczas, otarłszy się o żeglarzy i o chłopaka (który ani się nie odezwał, ani nie poruszył) — wybiegłem po drabinie na pokład.

Bryg przebiegał się szybko i zawrotnie poprzez długą, zjeżoną kolbań<sup>86</sup>. Kierował się żaglami na sztymbort<sup>87</sup>, a po lewej ręce, pod łukowatym obrąbkiem fok<sup>88</sup>, dostrzegłem zachodzące słońce, jeszcze wcale jasne. To zjawisko, w taką nocną godzinę, wielce mnie zdumiało, ale byłem za głupi, bym mógł stąd wysnuć prawdziwy wniosek: iż okrążaliśmy od północy Szkocję i znajdowaliśmy się obecnie między wyspami Orkadzkimi i Szeotlandzkimi, ominąwszy niebezpieczne prądy na pentlandzkiej odnodze. Ja ze swej strony, iżem był tak długo zamknięty w ciemności i nie wiedziałem nic o wiatrach przeciwnych, mniemałem, żeśmy już przebyli z połowę Atlantyku, albo i więcej. Zresztą (poza tym, że zdziwił mnie nieco tak późny zachód słońca), nie zaprzętałem sobie tym nazbyt głowy i sunąłem przez wszystkie pokłady, wpadając pomiędzy bałwany, chwytając się lin... Od wpadnięcia w morze ocalił mnie tylko jeden z okrętników, znajdujący się na pokładzie, a zawsze mi życzliwy.

Czatownia, do której się udałem i gdzie odtąd miałem sypiać i usługiwać, wznosiła się na jakie sześć stóp nad pokładami, a była dość obszerna, zważywszy wielkość brygu. Wewnątrz był nieruchomy stół i ława oraz dwa tapczany, jeden dla kapitana, a drugi na zmianę dla obu sztormanów. Cała izba była od podłogi po samą powalę zastawiona skrzyniami, mieszczącymi w sobie graty oficerskie oraz część zapasów okrętowych; pod spodem była druga składownia, do której wchodziło się przez otwór w środku pokładu; w tym miejscu były nagromadzone doprawdy co najlepsze frykasy i napoje oraz wszystek proch strzelniczy, zaś cała broń palna, z wyjątkiem dwóch dział spiżowych, była ustawiona w kobylicach<sup>89</sup> wzdłuż tylnej ściany czatowni. Większość kordelasów znajdowała się w innym miejscu.

Małe okienka, opatrzone okiennicą, po obu stronach oraz okienko w suficie, wpuszczały tu światło podczas dnia, a z nastaniem ciemności stale paliła się lampa. Paliła się właśnie, gdym wszedł, niezbyt jasno, ale w sam raz na tyle, bym mógł dojrzeć pana Shuana siedzącego za stołem; stała przed nim butelka gorzałki i cynowa czarka. Był on wysoki, silnie zbudowany i bardzo czarny na gębie, a wlepił oczy w stół przed sobą jak człek bezmyślny.

Nie zauważył mojego wnijscia, ani też nie drgnął, gdy w ślad za mną nadszedł kapitan i, wparłszy się na tapczanie, spoglądał ponuro na sztormana. Osoba Hoseasona przejmowała mnie zawsze wielką trwogą, boć miałem po temu powody, ale jakiś głos mi mówił, że w tej chwili nie mam się czego obawiać, toteż szepnąłem mu w ucho.

— Jak on się miewa?

Kapitan potrząsnął głową, jak ktoś, co nic nie wie i nie chce o niczym myśleć, a twarz miał bardzo poważną.

Niebawem nadszedł pan Riach; rzucił kapitanowi spojrzenie, które tak wyraźnie, jak słowa, mówiło, że chłopak nie żyje, po czym za naszym przykładem zatrzymał się w miejscu, tak iż staliśmy we trzech, nie odzywając się ani słowem i wpatrując się w pana Shuana, a pan Shuan (ze swej strony) siedział w milczeniu, patrząc uporczywie w stół. Nagle wyciągnął dłoń, by uchwycić butelkę; wówczas pan Riach wystąpił naprzód i wyrwał mu ją, raczej przez niespodziane zaskoczenie niż przemocą, krzyżąc jednocześnie i pomstując, że już za wiele było tych brewerii i że na okręt spadnie kara. Mówiąc to (a drzwi dla przewiewu stały właśnie otworem), cisnął butelkę w morze.

Pan Shuan w gnieniu oka był już na nogach; wyglądał jeszcze nieprzytomnie, ale już gotował się do zabójstwa — no i byłby je popełnił po raz wtóry w ową noc, gdyby kapitan nie stanął pomiędzy nim a jego ofiarą.

— Siadaj! — huknął kapitan. — Wiesz li, coś uczynił? Ty opoju i bydlaku, zamordowałeś chłopca!

<sup>86</sup>kolbań — spiętrzone, nawalne bałwany. [przypis redakcyjny]

<sup>87</sup>sztymbort — prawa strona okrętu; [także: sztybor, sztymbor, sztymborg a. sztumbork; red. WL]. [przypis redakcyjny]

<sup>88</sup>fok — żagiel przedni. [przypis redakcyjny]

<sup>89</sup>kobylica — przyrząd stanowiący rodzaj drewnianego, prostego imadła umieszczonego na ławce a. desce przymocowanej do burty statku. [przypis edytorski]

Pan Shuan, zdaje się, zrozumiał, bo siadł i ręką zakrył czoło.

— No tak — ozwał się — on mi przyniósł brudną czarkę...

Na te słowa kapitan, ja i pan Riach patrzyliśmy po sobie chwilę jakimś trwożliwym wzrokiem, po czym Hoseason podszedł do starszego sztormana, wziął go za ramię, poprowadził do tapczanu, kazał mu się na nim położyć i spać — zupełnie jak gdyby ktoś przemawiał do niegrzecznego dziecka. Morderca krzyczał przez chwilę, ale ściągnął z nóg marynarskie buty i usłuchał rozkazu.

— Ach! — krzyknął pan Riach strasznym głosem. — Waszmość powinieneś być wdac się w to już od dawna. Teraz już za późno.

— Panie Riach — rzekł kapitan — o tym, co się stało dziś w nocy, nikt w Dysart nie powinien wiedzieć. Chłopak utonął, mości panie... tak trzeba opowiadać... a dałbym pięć funtów z własnej kieszeni, że jest to prawdą!

Odwrócił się do stołu.

— Co waćpana skłoniło, by wyrzucać pocziwą butelczynę? — napomknął. — Był to pomysł zgoła niedorzeczny, mości panie. Hola, Dawidku, przynieś no mi drugą! Znajdziesz je w dolnej skrzyni — i cisnął mi klucz. — Waćpan sam też nie odmówi szklanczki, mości panie — zwrócił się znów do Riacha. — Szpetną rzecz się widziało...

Tak sobie obaj siedzieli, przepijając do siebie wzajemnie; wśród tego morderca, który czas jakiś leżał, jęcząc, na tapczanie, podniósł się na łokciu i obłędnie spoglądał na mnie i na nich...

Taka to była pierwsza noc mej nowej służby, zasię w ciągu dnia następnego wdrożyłem się już dobrze w tryb moich obowiązków. Kazano mi usługiwać przy stole, do którego kapitan zasiadał o stałych godzinach, wyznaczonych na posilek, wraz z oficerem, który nie pełnił służby, a przez cały dzień biegałem z gorzałką to do tego, to do tamtego z moich trzech zwierzchników; w nocy zaś spałem na derce, rozpostartej na deskach pokładowych w samym końcu czatowni, w sam raz na przeciągu idącym przez oboje drzwi. Było to łoże chłodne i twarde, ale i tak nie dawano mi spać bez przerwy, gdyż coraz to ktoś zachodził z pokładu po wódkę, a kiedy miano zarządzić nową wachtę, wtedy oficerowie siadali we dwóch, a niekiedy we trzech, i wspólnie pociągali z czary. Nie pojmuję, jak mogli przy tym zachować zdrowie, a nie mniej też, jakim to sposobem ja sam zdołałem je zachować.

Wszakóż z innych względów była to łatwa służba. Nie potrzeba było na stół nakładać obrusa; dania stanowiła albo kasza owsiana, albo solone mięso, z wyjątkiem dwóch dni w tygodniu, kiedy było i ciasto; a chociaż i byłem dość niezgrabny i (nie będąc jeszcze wprawiony do żeglarskiego chodu) nieraz wywróciłem się z tym, com niósł, jednakże zarówno pan Riach, jak i kapitan byli niezwykle wyrozumiali. Nie mogłem opędzić się od przypuszczeń, że było to zwinięcie chorągiewki wywołane wyrzutami sumienia i że zapewne nie byłiby dla mnie tak dobrzy, gdyby nie byli się obchodzili<sup>90</sup> gorzej z Ransomem.

Co się tyczy pana Shuana, miał on umysł niewątpliwie zmaćpany bądź opilstwem, bądź poczuciem winy, a może jednym i drugim pospołu. Nie umiem powiedzieć, czyli widziałem go kiedy w stanie przytomnym. Nigdy on się nie oswoił z moim na tym miejscu pobytom, ciągle wytrzeszczał na mnie oczy (niekiedy, jak mi się zdawało, w przerażeniu), a niejednokrotnie cofał się przed mą ręką, gdym mu usługiwał. Od samego początku miałem niezbitą pewność, że nie zdawał sobie jasno sprawy z tego, co był popełnił, a w drugim dniu zamieszkania w czatowni okazało się to dowodnie. Byliśmy sam na sam — on wlepił we mnie oczy przez czas dłuższy, naraz powstał, blady jako śmierć i podszedł do mnie, ku mej wielkiej trwodze. Atoli nie miałem przyczyny, by się go obawiać.

— Tyś tu przedtem nie bywał? — zagadnął.

— Nie, panie łaskawy — odrzekłem.

— Więc był tu inny chłopak? — zapytał ponownie, a gdym mu potwierdził, on na to. — Ach! Tak mi się zdawało! — i oddaliwszy się, usiadł za stołem, nie odzywając się ni słowem, co najwyżej czasem zażądał gorzałki.

Może się to wam wydać dziwnym, ale mimo całej zgrozy, jaką przejmował mnie ten człowiek, czułem przecie litość dla niego. Był on żonaty, a małżonka mieszkała w Leith,

<sup>90</sup>byli się obchodzili (daw.) — forma czasu zaprzeczonego; znaczenie: obchodzili się wcześniej, uprzednio (przed wydarzeniami a. czynnościami wyrażonymi formą zwykłego czasu przeszłego). [przypis edytorski]

ale czy miał potomstwo, czy nie miał, to mi już wyleciało z pamięci; bodaj jednak był bezdzietny.

Koniec końców, nie było to jeszcze życie nazbyt uciążliwe, póki mi się tak wiodło — co jednak (jak niebawem posłyszycie) nie trwało długo. Żywiono mnie dobrze, jak samą starszyznę; częstowano mnie nawet marynowanymi owocami, które uchodziły za największy przysmak, a gdyby mi się podobało, mógłbym upijać się od rana do nocy, jak pan Shuan. Miałem ponadto towarzystwo i to nawet dobre towarzystwo w swoim rodzaju. Pan Riach, który niegdyś kształcił się w akademii, rozmawiał ze mną po przyjacielsku (o ile nie był nadąsany) i opowiadał mi wiele ciekawych rzeczy, z których niejedna była pouczająca; zresztą nawet i kapitan, choć przeważnie trzymał mnie na odległość kija od siebie, czasami stawał się przystępniejszy i opowiadał mi o pięknych krajach, jakie zwiedził.

Cień biednego Ransome'a, ma się rozumieć, ciężył na duszy wszystkim nam czterem, nade wszystko zaś mnie i panu Shuanowi. Poza tym miałem jeszcze inną, osobistą zgrzyotę. Oto zmuszony byłem parać się pracą pospolitą i służebną dla trzech ludzi, na których patrzyłem z pogardą i z których przynajmniej jeden winien był dyndać na szubienicy; tak było na razie — ale myśląc o przyszłości, mogłem jedynie widzieć samego siebie jako niewolnika, pracującego pospołu z murzynami w plantacjach tytoniu. Pan Riach, zapewne przez ostrożność, nie pozwalał mi już nigdy pisać ani słówka o moich przygodach; kapitan, do którego starałem się zbliżyć, odtrącał mnie jak psa i nie chciał słyszeć o niczym; toteż w miarę, jak upływał dzień za dniem, coraz to bardziej podupadałem na duchu, aż wreszcie nawet cieszyłem się pracą, która nie dawała mi czasu na rozmyślanie.

## ROZDZIAŁ IX. CZŁOWIEK Z TRZOSEM ZŁOTA

Tak upłynął z górą tydzień, a w jego ciągu zaczęło się coraz to silniej dawać we znaki niepowodzenie, które i dotąd prześladowało nas w tej podróży. Przez kilka dni *Zgoda* ledwie że się posuwała, ba nawet kiedy indziej wręcz szła z powrotem. Na koniec zbiliśmy się z drogi tak daleko na południe, że przez cały dzień dziewiąty trzeba było się tłuc i lawirować, mając przed oczyma przylądek Wrath i dzikie skaliste wybrzeża po obu jego bokach. Z tego powodu odbyła się narada oficerów i powzięto na niej jakąś uchwałę, której nie zrozumiałem dokładnie, jedno obaczyłem, co było jej wynikiem: otośmy poddali się wiatrowi przeciwnemu i pędziliśmy na południe.

Dziesiątego dnia popołudniu wzdęte morze zaczęło przycichać i rozpostarła się gęsta, wilgotna, biała mgła, tak iż z jednego końca brygu nie było widać, co się dzieje na drugim. Przez całe popołudnie, ilekroć przechodziłem przez pokład, widziałem oficerów i załogę, nad słuchujących pilnie „dunugi”, jak powiadali, a chociaż nie rozumiałem nawet samego wyrazu<sup>91</sup>, wietrzyłem jakieś niebezpieczeństwo i byłem zaniepokojony.

Może około godziny dziesiątej wieczorem usługiwałem przy wieczerzy panu Riachowi i kapitanowi, gdy nagle okręt ugodził w coś z wielkim łoskotem i posłyszeliśmy rozbrzmiewające jakoweś głosy. Obaj moi zwierzchnicy skoczyli na równe nogi.

— Okręt się rozbił! — rzecze pan Riach.

— Nie, mości panie — odpowie kapitan. — Najechaliśmy tylko na jakieś czółno.

Wybiegli na pokład. — Kapitan miał słuszość. Najechaliśmy we mgle na jakąś łódź, ta zaś rozpekła się w pół i poszła na dno z całą załogą z wyjątkiem jednego człowieka. Ów człowiek (jakem się później dowiedział) znajdował się był na rufie jako pasażer, gdy tymczasem inni siedzieli na ławach, wiosłując. W chwili uderzenia rufa została wyrzucona w górę, a ów człowiek, mając ręce swobodne, zdołał (mimo że obarczony był fryzowym płaszczem, sięgającym mu do kolan) skoczyć w górę i pochwycić buszkpryt<sup>92</sup> brygu. Musiał snadź<sup>93</sup> mieć szczęście, wielką zręczność i niepospolitą siłę, że zdołał się tym sposobem wydobyć cało z takiego przejścia. Bądź co bądź, gdy kapitan wprowadził go do czatowni i oczy moje pierwszy raz na nim spoczęły, wyglądał tak spokojnie, jak ja sam.

Był on wzrostu niewielkiego, ale dobrze zbudowany i zwinny jak koziołek; z oblicza biła mu szczerłość i poczciwość, ale było ono mocno ogorzałe od słońca, a przy tym

<sup>91</sup>*dunuga* (po kaszubsku: *denega*) — wielkie fale bijące o brzeg. [przypis tłumacza]

<sup>92</sup>*buszkpryt* — maszt pochyły nad samym dziobem okrętu. [przypis redakcyjny]

<sup>93</sup>*snadź* (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

piegowate i dziobate od ospy; oczy miał niezwykle błyszczące, a w nich hasała mu jakaś fanaberia, jednocześnie niepokojąca i budząca dłań przychylność. Zdjąwszy płaszcz, położył na stole dwie w srebro oprawne króćce i spostrzegłem, że do boku miał przypasany wielki pałasz. Obejście miał wytworne, a do kapitana przepił bardzo uprzejmie. W ogóle od pierwszego wejrzenia nabrałem o nim mniemania, że tego człowieka winienem zwać raczej przyjacielem niż wrogiem.

Kapitan też ze swej strony czynił spostrzeżenia, ale raczej co do jego stroju niż osoby. I ma się rozumieć, że ledwo przybysz zdjął z siebie przydługi płaszcz, wydał się niebywale strojny na tle izby oficerskiej kupieckiego brygu: miał kapelusz z piórami, czerwoną kamizelkę, pluderki<sup>94</sup> czarne pilśniowe i błękitny kaftan ze srebrnymi guzikami i pięknymi srebrnymi galonami, słowem, szaty kosztowne, choć nieco wyniszczone od wilgoci i od dłuższego w nich spania.

— Bardzo mi żal tej łodzi, mości panie — rzekł kapitan.

— Utonęło mi paru dzielnych ludzi — odrzekł przybysz — wołałbym ci<sup>95</sup> ich obaczyć znowu na suchym lądzie aniżeli tuzin łodzi.

— Czy wasi przyjaciele? — rzekł Hoseason.

— Asan<sup>96</sup> nie znalazłbyś takich przyjaciół we własnym kraju — brzmiała odpowiedź. — Oni by gotowi, jak psy, życie za mnie położyć.

— Ejże, mości panie — rzecze kapitan, wciąż mu się przypatrując — więcej ci<sup>97</sup> na świecie jest ludzi niż łodzi, które by mogłyby ich pomieścić.

— I to też prawda — zawołał tamten — a waszeć mi się wydajesz człowiekiem bardzo przenikliwym.

— Byłem ci i ja we Francji, mości panie — rzekł kapitan takim tonem, iż łącznie było domyśleć, że słowem tym nadawał większe znaczenie, niżby można było sądzić z ich pozoru.

— Bardzo to pięknie, mości panie — rzecze tamten — a jeżeli o to chodzi, to bywało i wielu innych.

— Nie masz wątpliwości, panie łaskawy — powiada na to kapitan — a piękną macie odzież.

— Oho! — rzecze nieznajomy. — To w tę stronę wiatr dmucha? — i wraz<sup>98</sup> też szybkim ruchem położył dłoń na pistoletach.

— Nie gorączkuj się waszmość — odpowiedział kapitan. — Nie wywołuj burdy, zanim się przekonasz o jej potrzebie. Waćpan masz na grzbiecie kabat żołnierzy francuskich, a w gębie język szkocki, to wiadomo... ale w czasach dzisiejszych wielu ludzi zacnych chodzi w ten sposób, więc ja zgola się tym nie gorszę.

— Tak? — rzecze jegomość w pięknym kabacie. — Więc aś<sup>99</sup> należysz do zacnego stronnictwa? — (chciał przez to powiedzieć „Czy jesteś jakobitą?”, gdyż w razie obywatelskich niesnasek każde stronnictwo przywłaszcza sobie miano zacnego).

— Owszem, mości panie — odparł kapitan — jestem nieprzejednanym protestantem, Bogu niech za to będą dzięki — (Było to pierwsze słowo o jakiegokolwiek religii, jakie usłyszałem z ust jego, ale później się dowiedziałem, że gdy bawił na lądzie, uczęszczał bardzo przykładnie do świątyni Pańskiej). — Mimo to jednak byłbym zmartwiony, gdyby mi przyszło widzieć kogoś postawionego plecami do muru.

— Byłbyś asan istotnie zmartwiony? — zapytał jakobita<sup>100</sup>. — Przeto, mości panie, żeby być z waszmością całkiem szczerzy, wyznam ci, że jestem jeden z owych uczciwych ślachciców, którzy byli zamieszani w wypadki roku czterdziestego piątego i szóstego; a ponadto (by całkiem jasno postawić sprawę z waszmością) jeżelibym wpadł w ręce któregoś ze szlachty sprzyjającej czerwonym kubrakom, prawdopodobnie byłoby ze mną

<sup>94</sup>pluderki — zdrobn. od *pludry*; spodnie. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>wołałbym ci — konstrukcja z partykułą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>asan (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>więcej ci (...) jest — konstrukcja z partykułą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>wraz — tu: zaraz, od razu. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>aś (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>jakobita — tak nazywano zwolenników pozbawionego korony Jakuba II oraz jego syna. [przypis tłumacza]

krucho. Obecnie, mości panie, wybierałem się do Francji, a w tych stronach krążył statek francuski, który miał mnie wziąć na pokład; tymczasem statek ten wyminął nas we mgle... życzę sobie z głębi serca, żebyście to wy byli uczynili! A nie mogę wam powiedzieć nic lepszego ponad te słowa: jeżeli możecie wysadzić mnie na ląd tam, dokąd się wybierałem, to mam przy sobie tyle, iż mogę was sownie wynagrodzić za fatygę.

— Do Francji? — rzecze kapitan. — Nie, mości panie, tego uczynić nie mogę. Ale jeżeli zawieść was tam, skąd przybywacie... to o tym możemy pomówić.

Wtem, na nieszczęście, spostrzegł, że stoję obok w kącie, więc pchnął mnie do kuchni, bym przyniósł onemu panu wieczerzę. Ręczę wam, że nie traciłem czasu; kiedym zaś powrócił do czatowni, ujrzałem, że szlachcic odpiął kaletę, przypasaną do kamizelki i wydobywszy z niej ze dwie gwinee, położył je na stole. Kapitan przyglądał się to gwineom, to trzosowi, to twarzy szlachcica, a wydało mi się, że był podniecony.

— Połowę tego — zawołał — a będę na wasze usługi.

Tamten zgarnął gwinee do kalety i ukrył ją z powrotem pod kamizelkę.

— Powiedziałem waćpanu — że ani grosz z tej sumy nie należy do mnie. Jest to własność mego dowódcy — tu dotknął kapelusza — a o ile byłbym głupim wykonawcą rozkazu, iżbym wzdragał się poświęcić ich cząstkę dla ocalenia wszystkiego, to okazałbym się istnym psem, okupując me ciało zbyt drogo. Trzydzieści gwinei za dojazd do brzegu, a sześćdziesiąt, jeżeli mnie dowieziesz do Linnhe Loch. Weź to asan, jeśli ochota, w przeciwnym razie sam sobie możesz zaszkodzić.

— Ho-ho! — ozwie się Hoseason. — A jeżeli wydam waćpana żołnierzom?

— Kiepskiego targu waćpan byś dokonał — rzecze tamten. — Mój zwierzchnik, trzeba wiedzieć waszeci, jest pozbawiony swych praw, jak wszyscy ludzie uczciwi w Szkocji. Jego dobra są w ręku człowieka zwanego królem Jerzym, a jego urzędnicy ciągną z nich zyski albo starają się je wyciągnąć. Ale powiem to na chwałę Szkocji, że biedni dzierżawcy myślą o swym panu znajdującym się na wygnaniu, a te pieniądze są częścią owej właśnie daniny, której poszukuje król Jerzy. Otóż aść mi się wydajesz człowiekiem znającym się na rzeczy: jeżeli więc oddasz te pieniądze w posiadanie rządowi, ileż z nich tobie się okroi?

— Niewiele, to pewna — odrzekł Hoseason, po czym dorzucił oschle — o ile się dowiedzą. Ale sądzę, że gdybym spróbował, potrafiłbym przecie utrzymać język za zębami.

— O, wtedy ja waćpana wystrychnę na dudka! — zawołał szlachcic. — Próbuj aść<sup>101</sup> oszustwa, a ja ci odpowiem przebiegłością. Jeżelilibym tylko został pojmany, oni wraz<sup>102</sup> będą wiedzieli, co to za pieniądze.

— No dobrze — wywinął sprawę kapitan — jak mus, to mus. Sześćdziesiąt gwinei i kwita. Masz waszmość na to mą prawicę.

— A waćpan moją — odrzekł tamten.

Zaraz też kapitan wyszedł — nieco pośpiesznie, jak mi się wydawało — i zostawił mnie w czatowni sam na sam z nieznajomym.

W tym okresie (tak niedługo po roku... czterdziestym piątym) wielu wygnanych szlachty z narażeniem życia powracało do ojczyzny, bądź w tym celu, by obaczyć swych przyjaciół, bądź też ażeby zebrać nieco pieniędzy; zaś co się tyczy naczelników góralskich i wyjętych spod prawa, to powszechnie opowiadano, jak ich dzierżawcy sami sobie od ust odejmowali, byle swoim panom posyłać pieniądze, a ich współplemieńcy stawiali opór żołnierzom chcącym je ściągać i przemykali się wśród naszej wielkiej floty, by je dowieźć na miejsce przeznaczenia. Wieści o tym, ma się rozumieć, już dawniej dochodziły do moich uszu; teraz zaś miałem przed oczyma człowieka, którego życie bodaj jeszcze więcej należało się sądowej kaźni, boć był on nie tylko rokoszaniec i przemytnikiem czynszów, ale, co gorsza, wstąpił był w służbę króla Francji, Ludwika. A jak gdyby jeszcze tego nie dość było, dokola lędźwi miał pas pełny gwinei... Jakiegokolwiek były me poglądy, nie mogłem bez wielkiego zainteresowania patrzeć na tego człowieka.

— Więc waszmość jesteś jakobita? — ozwałem się, zastawiając przed nim jadło.

<sup>101</sup>aść (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>102</sup>wraz — tu: od razu, zaraz. [przypis edytorski]

— Tak — odrzekł, zabrawszy się do jedzenia. — Asan zaś, wnosząc z jego podłużnej twarzy, jest chyba wigiem<sup>103</sup>?

— Tak sobie — powiedziałem, żeby go nie martwić, bo w istocie byłem wigiem, tak żarliwym, na jakiego mnie tylko zdołał wy kierować pan Campbell.

— E, to nic! — rzecze on na to. — Natomiast powiem ci, mości Tak-sobie, że ta twoja butelka już jest pusta, a byłoby źle, gdybym miał płacić sześćdziesiąt gwinei i w zamian nie otrzymał nawet kapki gorzalczyzny.

— Pójdę i poproszę o klucz — ozwałem się i wyszedłem na pokład.

Mgła była tak gęsta jak przedtem, ale rozhukanie morza niemal przycichło. Zdano bryg na łaskę bałwanów, ponieważ nie było dokładnie wiadomo, gdzie się znajdujemy, a wiatr (nader słabiuchny) nie sprzyjał właściwemu kierunkowi żeglugi. Kilku marynarzy jeszcze nad słuchiwało, czy nie słychać dunugi, ale kapitan i dwaj oficerowie stali na średnim pokładzie, pochyliwszy się ku sobie głowami. Tknęło mnie (sam nie wiem, czemu to przypisać), że knowali coś niedobrego, a pierwsze słowo, jakie posłyszałem, podszedłszy do nich cichaczem, aż nadto mnie w tym upewniło. W sam raz bowiem pan Riach, jak gdyby mu jakaś myśl z nagle strzeliła do głowy, wykrzyknął:

— Czyż nie możemy wywabić go podstępem z czatowni?

— Lepiej niech pozostanie tam gdzie dotychczas — odparł Hoseason — tam nie będzie miał miejsca, by posłużyć się bronią.

— Prawda<sup>104</sup> i to — rzekł Riach — ale trudno go tam podejść.

— Ba! — rzecze Hoseason. — Możemy wyciągnąć go na rozmowę, wziąć go z dwóch stron pomiędzy siebie i zakłuć dwoma kordelasami, albo jeżeli to się nie uda, mości panie, możemy wpaść z obu stron przez dźwierz<sup>105</sup> i dostać go w ręce, zanim będzie miał czas imać się<sup>106</sup> pałasza.

Gdy to usłyszał, porwał mnie jednocześnie lęk i gniew na tych wiarołomnych, chciwych i okrutnych ludzi, z którymi przypadło mi żeglować. Zrazu myślałem uciekać, ale za chwilę już nabrałem więcej odwagi.

— Kapitanie — przemówiłem — ten szlachcic prosi o łyk gorzałki, a butelka już pusta. Czy mógłbym otrzymać klucz?

Wzdrygnęli się i zwrócili oblicza w moją stronę.

— I owszem, mamy sposobność, by wydobyć broń palną! — zawołał Riach, po czym rzecze do mnie. — Słuchaj, Dawidku, czy wiesz, gdzie są pistolety?

— Tak, tak! — wmieszał się Hoseason. — Dawid wie; Dawid to ćwik młodzian. Trzeba ci wiedzieć, Dawidku, mój ty zuchu, że ten zapalczywy góral może narazić nam okręt na niebezpieczeństwo, a ponadto jest zakamieniałym wrogiem naszego króla Jerzego, którego niech Bóg ma w swej opiece!

Jeszcze ani razu, odkąd dostałem się na okręt, nie wołano mnie tak jak teraz, imieniem Dawida; ja jednakże odpowiedziałem potakująco, jak gdyby wszystko, com słyszał, było rzeczą zgoła naturalną.

— W tym bieda — mówił dalej kapitan — że wszystkie nasze samopały zarówno mniejsze jak i większe, znajdują się w czatowni przed nosem tego człowieka; podobnież i proch. Otóż jeżelibym ja lub jeden z oficerów, udał się tam, by wszystko to stamtąd uprzętnąć, on mógłby nas o coś podejrzewać. Ale taki smyk, jak ty, Dawidku, potrafi niepostrzeżenie capnąć rozek prochu i parę pistoletów. A jeżeli sprawisz się gracko, zakarbuję sobie to w pamięci, gdy potrzeba ci będzie przyjaciół... a mianowicie, gdy zajdziemy na Karoliny.

Tu pan Riach szepnął mu słów parę.

— Całkiem słusznie, mości panie — ozwał się kapitan, a potem znów do mnie. — Trzeba ci wiedzieć, Dawidzie, że ten człowiek ma trzos pełen złota, a daję ci słowo, że i tobie z tego coś się dostanie.

Odrzekłem, że spełnię jego życzenie, choć doprawdy ledwie głos mogłem z siebie dobyć. Wtedy on dał mi klucz do skrzyni ze spirytusem i zacząłem z wolna wracać do

<sup>103</sup>Whig a. Whigamore — w żargonie spiskowców oznaczało tych, którzy byli ulegli rządowi króla Jerzego. [przypis autorski]

<sup>104</sup>prawdać — konstrukcja z partykułą „ci”, skróconą do -ć, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>105</sup>dźwierz (daw.) — drzwi, wrota. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>imać się (daw.) — łapać się, chwycić się czego; zabierać się za co; zajmować się czym. [przypis edytorski]



czatowni. Cóż miałem czynić? Tamci byli łotrami i złodziejami; oni to wykradli mnie z ojczyzny; oni zabili biednego Ransome'a — miałemże jeszcze przyświecać nowemu morderstwu? Ale z drugiej strony stawała nader wyraźnie przede mną groza śmierci; albowiem coś mógł poradzić chłopczyzna wraz z jednym mężczyzną, choćby nawet byli zażarci jako lwy, przeciwko całej czeladzi okrętowej?

Jeszczem to sobie rozważał tak i owak, nie mogąc dojść do jasnego wniosku, gdy wszedłem do czatowni i wzrok mój padł na jakobitę, co siedząc pod lampą spożywał wieczerzę — wówczas w jednej chwili zrodziło się we mnie postanowienie. Nie przypisuję sobie z niego chluby; nie wynikało to z jakowejś rozważagi, ale stało się jak gdyby odruchowo, że podążyłem wprost do stołu i złożyłem dłoń na ramieniu nieznanego.

— Czy waszmość chcesz być zabity? — odezwałem się.

Skoczył na równe nogi i spojrzał na mnie wzrokiem tak wyraźnie pytającym, jak gdyby przemawiał.

— O! — zawołałem. — Wszyscy oni tu są mordercami; cały okręt jest ich pełny! Dopiero zamordowali chłopaka! Teraz kolej na waszmości!

— Tak, tak! — rzecze ów. — Ale jeszcze mnie nie dostali w swoje ręce! — po czym spojrzał na mnie z ciekawością. — Staniesz aść<sup>107</sup> po mojej stronie?

— Tak! Stanę! — zawołałem. — Nie jestem rzezimieszkim, ani też (przynajmniej dotąd) zabójcą. Stanę z waszmością.

— I owszem — rzecze ów — jakże więc aści na imię?

— Dawid Balfour — odpowiedziałem, a potem, mniemając, że człowiek w tak wytwornej odzieży pewnie lubuje sobie w ludziach wytwornych, dodałem. — Z Shaws.

Ani mu na myśl nie przyszło, by nie dawać mi wiary, bo Szkoci z gór nawykli już widzieć możnych ludzi stanu ślacheckiego w wielkiej nędzy, ale ponieważ sam nie posiadał własnego majątku, słowa moje podrażniły w nim wielce dziecinną próżność, jaką się odznaczał.

— Moje miano jest Stewart<sup>108</sup> — rzekł, prostując się. — Zową mnie Alan Breck. Nazwisko królewskie samo przez się wystarcza, choć noszę je po prostu i nie przyczepiam do niego nazwy jakiegoś tam śmietnika folwarcznego.

I wypaliwszy mi tę naganę, jak gdyby to była rzecz pierwszej wagi, zabrał się do obejrzenia naszej warowni.

Czatownia była bardzo mocno budowana, by mogła się oprzeć uderzeniom bałwanów. Z pięciu jej otworów jedynie okno w suficie i dwoje drzwi były na tyle szerokie, że mógł się przez nie człowiek dostać do wnętrza. Poza tym drzwi można było zatarasować: były one z tęgiego drzewa dębowego, dawały się przesuwac w żłobkach, a przy tym opatrzone były hakami, tak iż można je było trzymać w miarę potrzeby bądź otwarte, bądź zamknięte. Jedne, które były już zamknięte, zabezpieczyłem w ten sposób, ale gdym już miał zasunąć i drugie, Alan mnie powstrzymał.

— Dawidzie — ozwał się — jestem na tyle śmiały, że nazywam waćpana po imieniu Dawidem, bo nie mogę sobie przypomnieć nazwiska aścinego majątku... te drzwi, póki otwarte, stanowić będą najlepszy z mych szańców.

— Wszelakoż lepiej byłoby je zamknąć! — mówię na to.

— Nie, nie, Dawidzie — odpowiedział. — Sam widzisz, że mam tylko jedno oblicze; atoli dopóki te drzwi będą otwarte, a moja twarz będzie ku nim zwrócona, większość mych nieprzyjaciół znajdować się będzie przede mną, gdzie zawsze mieć ich sobie życzę.

Potem dał mi kordelas (których tam było kilka, oprócz broni palnej), a wybrał go po starannym zbadaniu całej zawartości skrzyni, przy czym trząsł głową i powiadał, że nigdy w życiu nie widział gorszego oręża; następnie zaś posadził mnie za stołem, gdzie położył rożek z prochem, workiem kul i wszystkimi pistoletami, które kazał mi nabijać.

— A powiem ci, że będzie to lepsze zajęcie — mówił — dla szlachcica zacnego rodu niż szorowanie talerzy i nalewanie wódki jakowymś smoluchom i wycieruchom okrętowym.

To rzekłszy, stanął pośrodku, obrócony twarzą ku drzwiom i dobywszy wielkiego swego pałasza, jął nim machać, próbując miejsca, gdzie miał szermować orężem.

<sup>107</sup>aść (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>Stewart — inna pisownia nazwiska: Stuart [„nazwisko królewskie; red. WL]. [przypis tłumacza]

— Muszę stać kolkiem na jednym miejscu — rzekł, potrząsając głową — i szkoda! Nie da to mi pola do rozwinięcia mej pomysłowości, która wzdyc<sup>109</sup> jest najlepszą obroną. Ty zaś teraz nabijaj tylko wciąż pistolety i uważaj na mnie.

Odpowiedziałem, że będę tuż na każde jego słowo. Pierś mi się ścisnęła, usta zaschły, światło ciemniało mi w oczach; myśl o gromadzie, która niebawem spaść miała na nas, nadała drżące tętno memu sercu; a morze, którego plusk słyszałem dokoła brygu, morze, do którego, jak mi się zdawało, jutro wrzucą moje zwłoki, dziwnie jakoś działało na mą duszę.

— Przede wszystkim — rzekł Alan — ilu ich jest przeciwko nam?

Zliczyłem ich co do jednego, ale w głowie miałem taki zamęt, że musiałem liczyć powtórnie.

— Piętnastu — oznajmiłem.

Alan gwizdnął.

— Dobrze — rzekł — na to nie można poradzić. A teraz chodź za mną. Moją rzeczą jest obsadzić te drzwi, gdzie zajmę się walką najcięższą. Do tej nie wolno ci się wtrącać. Pamiętaj, żebyś nie strzelał w tę stronę, chyba, że oni mnie zwałą, boć ja wolę mieć dziesięciu wrogów przed sobą niż jednego przyjaciela takiego jak ty, co mi będzie w plecy trząskał z pistoletów.

Powiedziałem, że istotnie nie jestem tęgim strzelcem.

— Bardzo to dzielnie z twojej strony, że się przyznajesz! — zawołał, przejęty wielkim podziwem dla mej szczerości. — Wielu szlacheckich gagatków nie odważyłoby się na takie powiedzenie.

— Następnie, mości panie — powiadam — za waćpanem są też drzwi, przez które oni mogą się włamać.

— Tak — odrzekł — to właśnie też należy do twych obowiązków. Skoro nabijesz pistolety, musisz wygramolić się na tamto łóżko, gdzie możesz ręką oprzeć się na oknie, a jeżeli który z nich dobierać się będzie do drzwi, masz strzelać. Ale na tym nie koniec. Pozwól, że zrobię z ciebie choć kawał wojaka, Dawidzie. Czego masz jeszcze pilnować?

— Jeszcze zostało okno w suficie — odpowiedziałem. — Alić, mości Stewarcie, musiałbym mieć oczy z dwóch stron, by uważać na oba okna, bo gdy twarzą spoglądam w jeden, to do drugiego odwrócony jestem plecami.

— Święta prawda — powiada Alan. — Ale czy to nie masz uszu?

— Ma się rozumieć! — zawołałem. — Przecież posłyszę wybijanie szyby.

— Masz nieco oleju w głowie — rzekł Alan burkliwie.

## ROZDZIAŁ X. OBLĘŻENIE CZATOWNI

Ale czas zawieszenia broni miał się już ku końcowi. Tamci, których zostawiłem na pokładzie, czekali i czekali na moje przybycie, aż wreszcie się zniecierpliwili; i zaledwie Alan domówił słów ostatnich, gdy w otwartych drzwiach ukazała się twarz kapitana.

— Stój! — zawołał Alan, mierząc w niego końcem pałasza.

Kapitan stanął też istotnie, jednakowoż ani mrugnął okiem, ani też nie cofnął się wstecz.

— Gołym pałaszem na mnie? — odezwał się. — Dziwna to odpłata za moją gościnność.

— Czy mię asan widzisz? — rzekł Alan. — Pochodzę z królów, nazwisko mam królewskie. Dąb jest moim herbem. Czy widzisz mój pałasz? Rozpłatał on więcej łbów whigamorskich, niż asan masz palców u nóg obu. Przywołaj sobie waszmość w odwodzie całe swoje tałatajstwo i napadaj! Im prędzej rozpocznie się bitka, tym prędzej zakosztujecie smaku tej stali w swoich bebeczach.

Kapitan nie odpowiedział nic Alanowi, tylko spojrzął na mnie straszonym wzrokiem.

— Dawidzie! — wymówił. — Ja ci to popamiętam! — a dźwięk jego głosu przeszył mnie jakowymś zgrzytem. Za chwilę kapitana już nie było.

— A teraz — rzekł Alan — niech ręka przychodzi w pomoc twojej głowie, bo już trzeba jąć się dzieła.

<sup>109</sup>wzdyc (daw.) — konstrukcja z partykulą „ci”, skróconą do -ć, pełniącą funkcję wzmacniającą; znaczenie: jednakże, przecież jednak. [przypis edytorski]

To rzekłszy, wyciągnął sztylet, który trzymał w lewej ręce na wypadek, gdyby mu wytrącono pałasz. Ja ze swej strony wydrapałem się na tapczan, mając garść pełną pistoletów, a głowę nieco ocieślałem, i otworzyłem okno, przy którym miałem czatować. Mogłem stąd objąć wzrokiem tylko niewielką część pokładu, co dla naszych celów było jednak zupełnie dostateczne. Morze już się wygładziło, a wiatr był równomierny i nie szamotał żaglami, tak iż na okręcie panowała wielka cisza, w której miałem tę pewność, iż słyszę pomruk jakichś głosów. W jakiś czas później na pokładzie rozległ się brzęk stali, z którego wymiarkowałem, że wydobywano tam kordelasy, a jeden z nich upadł; po czym znów nastąpiło milczenie.

Nie wiem, czy to, co przeżywałem, należy nazwać bojażnią; ale serce mi biło jak u ptaszczyka, prędko a jednocześnie cichusko, a na oczach miałem jakowąś mgłę, która powracała ustawicznie, mimo że ścierałem ją wciąż z powiek. Co się tyczy nadziei, tom nie posiadał jej zgoła, a jeno władła<sup>110</sup> mną czarna rozpacz i coś jakby gniew przeciwko całemu światu, wzniecając we mnie pragnienie, by sprzedać życie tak drogo, na ile mię tylko stać było. Pamiętam, że próbowałem się modlić, ale sam ów tętent w mej głowie, podobien<sup>111</sup> biegnącemu człowiekowi, nie pozwalał mi myśleć o słowach; najgorętszym mym pragnieniem było, żeby rozpocząć tę bitwę i raz już z nią skończyć.

Rozpoczęła się całkiem znienacka: najpierw rozległ się tętent stóp i wrzawa, a zaraz potem zabrzmiał okrzyk Alana i szcęk razów pałasza, niebawem zaś ktoś zawrzasał, jak gdyby był raniony. Obejrawszy się przez ramię poza siebie, ujrzałem pana Shuana, stojącego w drzwiach i rąbiącego się z Alanem na pałasze.

— To ten, który zabił chłopaka! — zawołałem.

— Pilnuj swego okna! — rzekł Alan, a gdy wracał na własne stanowisko, dostrzegłem, że jego pałasz przeszył właśnie na wskroś ciało szormana.

Nakaz, bym pilnował własnego zadania, nie był bynajmniej za wczesny, bo ledwo przytknąłem znów głowę do okna, już pięciu ludzi, dźwigając jedną z zapasowych rej<sup>112</sup>, którą mieli walić jak taranem, przebiegło przede mną i zabrali się do rozbijania drzwi. Jeszcze nigdy przedtem nie strzelałem z pistoletu, nawet nie często i z rusznicy, a już nigdy do bliźniego. Ale trzeba było to uczynić — teraz lub nigdy... Toteż właśnie, gdy owi podnosili reję, krzyknąłem:

— Naści wam! — i strzeliłem w ich środek.

Widocznie trafiłem jednego z nich, bo wrzasnął i cofnął się o krok, a reszta zatrzymała się, jak gdyby nieco stropiona. Zanim mieli czas ochłonąć, posłałem im drugą kulkę nad głowami, a za trzecim strzałem cała gromadka porzuciła reję i rozbiegła się na wszystkie strony.

Wówczas obejrzałem się znów na izbę. Całe jej wnętrze było pełne dymu od mych strzałów, tak jak uszy miałem pełne ich wstrząsającego huku. Alan wszakże stał jak przedtem, tylko pałasz ociekał mu krwią aż do rękojęści, a on sam tak był nadęty triumfem i przybrał tak wyniosłą postawę, iż wydawał się niezwykczony. Tuż przed nim na ziemi, na dłoniach i kolanach wsparty, spoczywał pan Shuan; krew buchała mu z ust i osuwał się z wolna coraz niżej, a twarz miał straszną i pobladłą. W sam raz, gdy spoglądał, jeden z tych, co byli poza nim, pochwyił go za pięty i wyciągnął jego cielsko poza czatownię. Przypuszczam, że w czasie tego musiał zemrzeć.

— Macie tu jednego ze swych wigów! — krzyknął Alan, po czym zwróciwszy się do mnie, zapytał, czym sprawił wielką rzeź. Odpowiedziałem, że ugodziłem jednego i to, jak sędzę, kapitana.

— A ja dokonałem dwóch — rzecze on na to. — No, ale jeszcze nie dość krwi się upuściło; oni tu zaraz wrócą. Wracaj na swój posterunek, Dawidzie. Był to tylko przedsmak biesiady.

Usadowiłem się znów na swym stanowisku, naładowałem trzy wystrzelone pistolety i natężyłem zarówno słuch, jako też wzrok.

<sup>110</sup>władła (daw.) — forma 3 os. cz. teraźniejszego r.ż. czasownika niedokonanego *władać*; dziś niestosowana (zastępczo używa się raczej czasowników dokonanych lub form cz. przeszłego np. *zawładnęła, władała*). [przypis edytorski]

<sup>111</sup>podobien — daw. forma imiesłowu przym. r.m.; dziś: podobny. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>reja — poprzeczny drąg masztowy utrzymujący żagle. [przypis redakcyjny]

Nasi nieprzyjaciele prowadzili rozmowę nieopodal na pokładzie i to tak głośno, że pomimo pluskotu fal morskich dosłyszałem kilka słów.

— To Shuan tak sprawę pokpił — mówił jeden.

A drugi mu na to:

— Sza, chłopie! Otrzymał ci on<sup>113</sup>, czego chciał.

Zaraz potem głosy przeszły w ten sam pomruk, co poprzednio, jeno że teraz przeważnie przemawiała jedna tylko osoba, jak gdyby wyluszczając jakiś plan, a inni po kolei odpowiadali mu zwięźle, jak gdyby odbierając rozkazy. To mię upewniło, że oni znów powracają, o czym natychmiast zawiadomiłem Alana.

— O to właśnie winniśmy Boga prosić — rzekł mi na to. — Jeżeli nie zdołamy w nich wzbudzić dostatecznej niechęci do zadawania się z nami i uporać się z nimi należyście, to ani ty, ani ja nie będziemy mogli zmrużyć oka. Ale zważ, że tym razem oni się wezmą poważnie do rzeczy.

Wobec tego miałem w pogotowiu pistolety i nic mi nie pozostało, jak tylko czekać i nadśluchiwać. Dopóki trwała utarczka, nie miałem czasu myśleć o lęku, ale teraz, gdy wokół znów panowała cisza, umysł mój jeno tym był zaprzątnięty. Myśl o srogich słowach i zimnej stali nie odstępowała ode mnie; a gdy naraz posłyszałem skradające się kroki oraz szelest odzieży ludzkiej pod ścianą czatowni i poznałem, że napastnicy zajmują w ciemności swe stanowiska, miałem na tyle przytomności, żem krzyknął głośno.

Wszystko to się odbywało po stronie, gdzie stał Alan; zacząłem już przypuszczać, że mój udział w bitwie już się skończył, gdy nagle posłyszałem, że ktoś przemykał się z cicha po dachu nade mną.

Wtem odezwał się jednokrotny świst puszczalki marynarskiej — było to hasło. Wraz też wypadła ku drzwiom cała ich gromada, trzymając kordelasy w dłoniach, a w tejże chwili szyba okna w suficie rozprysła się na tysiąc kawałków — przesunął się przez nią jakiś człowiek i opuszczał się na ziemię. Zanim zdołał stanąć na nogach, przytknąłem mu pistolet do pleców nawet może bym go zastrzelił, ale gdym dotknął człowieka (i to żywego), wzdrygnąłem się na całym ciele i tak mi trudno było pociągnąć za cyngiel, jak gdyby to szło o latanie w powietrzu.

Ów zeskakując, upuścił był kordelas, a skoro poczuł pistolet, obrócił się jednym susem i chwycił mnie, rycząc jakieś przekleństwo; a wtedy — czy to wróciła mi odwaga, czy na odwrót tak się przeraziłem, iż stało się to samo przez się — dość, że krzyknąłem i wypaliłem mu w sam środek ciała. Wydał okropny, przeraźliwy jęk i upadł na ziemię. W tej samej chwili uderzył mnie w głowę obcas drugiego draba, którego nogi bujały się już w oknie sufitu; na to porwałem drugi pistolet i strzeliłem mu w udo, tak iż ów osunął się w dół i spadł, niby bezkształtna masa, na zwłoki swego towarzysza. Nie było tu mowy o chybianiu, jako też nie było czasu na celowanie, więc przytknąłem tylko lufę w ono kłębowisko i wypaliłem.

Pewnie bym tak stał i długo wpatrywał się w nich nieprzytomnie, ale posłyszałem głos Alana, jak gdyby wzywający pomocy i to przywróciło mię do zmysłów.

Towarzysz mój dotychczas bronił drzwi, ale gdy był się rozprawiał z innymi, jeden z okrętników zdołał zmylić jego czujność i dobrał mu się do ciała. Alan raził go sztyltem trzymanym w lewej ręce, ale drab przypiął się doń jak pijawka, tymczasem do izby wtargnął drugi i podniósł już kordelas. Drzwi natłoczyły się ich twarzami. Pomyślałem sobie, że jesteśmy zgubieni, więc porwawszy kordelas, natarłem na nich z boku.

Ale nie zdążyłem okazać się pomocnym. Zapaśnik już był się na koniec zwałił z nóg, zaś Alan, odskoczywszy w tył, by nabrać rozpędu, wpadł na innych jak rozjuszony byk, rycząc w biegu. Pryskał przed nim jak woda, odwracając się, biegnąc i padając w pośpiechu jeden na drugiego. Pałasz w jego dłoni migotał niby żywe srebro, pomiędzy halastrą uciekających wrogów, a za każdym błyskiem dolatywał skowyt ranionego człowieka. Jeszcze się nie otrząsnął był z myśli, żeśmy zgubieni, aż ci tu — doprawdy! — wszyscy poszli w rozsypkę, a Alan gonił ich po pokładzie, jak pies owczarski pogania owce.

Wszelako ledwo wypadł, zaraz ujrzałem go już z powrotem, bo był zarówno mężny, jak ostrożny; natomiast okrętnicy wciąż jeszcze biegli i krzyczeli, jak gdyby on jeszcze

<sup>113</sup>otrzymał ci on — konstrukcja z partykulą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

ich ścigał; słyszeliśmy, jak jeden za drugim tłoczyli się do forkaasztelu i zatrzasnęli wieko luki<sup>114</sup>.

Czatownia była podobna do jatek; w izbie leżało trzech trupa<sup>115</sup>, a jeden w drgawkach przedśmiertnych tarzał się na progu; ja zaś z Alanem byliśmy obaj nietknięci i zwycięscy.

On podszedł ku mnie z otwartymi ramionami.

— Pójdź w me objęcia! — zawołał, po czym uściskał mnie i ucałował w oba policzki. — Dawidzie, kocham cię jak brata! I powiedz sam, człowieku — krzyknął jak gdyby w zachwycie — zali<sup>116</sup> nie gracki ze mnie wojownik?

To rzekłszy, zwrócił się ku czterem wrogom, przebijał każdego z nich na wylot pałaszem i wywlekał za drzwi jednego po drugim. Wśród tego zajęcia, mruczał sobie, nucił i gwizdał coś pod nosem, jak gdyby chciał sobie przypomnieć jakąś śpiewkę... jednakowoż on tylko próbował ułożyć śpiewkę. Przez cały ten czas na jego obliczu pałał rumieniec, a oczy tak mu się świeciły jak pięcioletniemu chłopięciu do nowej zabawki. Naraz usiadł za stołem, dzierząc w rękę pałasz, nuta, którą składał, stała się nieco wyraźniejsza, a potem jeszcze wyraźniejsza, aż na koniec donośnym głosem huknął jakąś pieśń gallicką<sup>117</sup>.

Przetłumaczyłem tutaj pieśń ową, nie wierszami (do których nie mam wcale zdolności), ale przynajmniej poprawnie, królewską angielszczyzną. Śpiewał on ją później często, a słowa jej przeszły do gminu, więc też słyszałem ją nieraz i niejednokrotnie mi ją objaśniano:

Oto jest śpiew o szabli Alana:

Kowal ją wykował,  
Ogień zahartował;  
Teraz ona połyska w rękach Alana Brecka.

Tamci mieli wiele bystrych oczu:

Łatwo im było wszystko dostrzec,  
Rąk wiele z sobą przywiedli —  
Pałasz był sam jeden.

Płowe jelenie pędzą na wzgórze,  
Jest ich wiele, a wzgórze tylko jedno;  
Płowe jelenie się rozpierzchną,  
Wzgórek pozostanie.

Przybądźcie do mnie znad wrzosowych wzgórków;  
Przybądźcie znad morskich wysepek,  
Dalekowzroczne orły,  
Oto dla was żer...

Otóż ta pieśń, którą on ułożył (zarówno muzykę, jak i słowa) w godzinie naszego zwycięstwa, jest nieco niesprawiedliwa dla mnie nieboraka, który przecież w całej tej bijatyce stałem przy jego boku — pan Shuan i pięciu jeszcze innych zostali bądź wprost zabici, bądź też zupełnie unieszkodliwieni; ale z tej liczby dwaj padli z mojej ręki — owi dwaj, co wdzierali się przez okno w powale. Ponadto czterech było ranionych, a spośród nich jeden (i to nie najmniej ważna osoba) otrzymał ranę ode mnie. Tak więc w każdym razie wziąłem poważny udział w zabijaniu i zadawaniu ran, więc mógłbym rościć sobie prawo do jakiejś wzmianki w wierszach Alana. Atoli poeci zawsze muszą zważać na rymy... Za to gdyśmy sobie gwarzyli uczciwą prozą, Alan zawsze aż nadto oddawał mi sprawiedliwość.

Na razie jednak nieświadom byłem jakiegokolwiek wyrządzonej mi krzywdy. Albowiem nie dość, że nie rozumiałem ani słowa po gallicku, ale owo długie naprężone oczekiwanie, następnie owa gorączkowość i wysiłek naszego ducha w czasie walki i (co najgorsza) owa

<sup>114</sup>luka właśc. luk — otwór, którędy się wchodzi pod pokład. [przypis redakcyjny]

<sup>115</sup>leżato trzech trupa (daw.) — dziś popr.: leżały trzy trupy. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>gallicki a. gaelicki — tyle co celtycki: szkocki, irlandzki a. bretoński. [przypis tłumacza]

zgroza, że w tym wszystkim brałem niejaki udział, sprawiły to, iż ledwo całe zająście się skończyło, z ochotą powlokłem się chwiejnym krokiem na miejsce, gdzie można było usiąść. W piersi mię coś dławilo, że ledwo mogłem oddychać, myśl o dwu ludziach, których zastrzeliłem, przytłoczyła mię jak zmora, tak iż ni stąd, ni zowąd, zanim zdałem sobie sprawę co się dzieje, zacząłem łkać i beczeć jak dziecko.

Alan poklepał mnie po ramieniu, powiedział, że jestem dzielnym chłopcem i że nic mi nie potrzeba, jak tylko snu.

— Ja obejmę pierwszą straż — dodał. — Wyświadczyłeś mi przysługę, Dawidzie, na samym początku i ostatnio; nie chciałbym cię utracić za cały Appin... nie, nawet za Breadelbane.

Przeto usłałem sobie legowisko na podłodze, on zaś, trzymając pistolet w ręce i szablę na kolanach, odprowadził pierwszą straż przez trzy godziny według zegarka kapitana, wiszącego na ścianie. Potem mnie zbudził i ja z kolei objąłem trzygodzinną wartę; przed jej upływem był już biały dzień na niebie. Nastął bardzo cichy poranek; morze, kołysząc się łagodnie, bujało okrętem, tak iż krew rozplywała się tu to tam po podłodze czatowni; po dachu dudniły ciężkie krople deszczu. Przez całą wachtę nie słyszałem najmniejszego hałasu ni gwaru ludzkiego, a z chybotania się rudla wymiarkowałem, że nawet u steru nie było nikogo. Istotnie (jak się później dowiedziałem) tak wielu było pomiędzy nimi rannych i zabitych, a reszta tak rozjątrzona, że pan Riach i kapitan musieli się wciąż z sobą zmieniać, podobnie jak ja z Alanem, gdyż w razie przeciwnym bryg mógłby uderzyć o wybrzeże, a nikt nie umiałby temu zapobiec. Całe szczęście, że noc przeszła tak spokojnie, bo wiatr ustał natychmiast, gdy deszcz zaczął padać. Ale i tak z kwilenia całej chmary mew, które latały dokoła statku, czyniąc zgiełk i poławiając ryby, wywnioskowałem, że okręt musiał płynąć tuż koło wybrzeża lub koło jednej z wysepek Hebrzydzkich; na koniec zaś, wyrzawszy poza drzwi czatowni, obaczyłem po prawicy wielkie głazne<sup>118</sup> turnie Skye, a nieco dalej w stronę rufy dziwną wysepkę Rum.

## ROZDZIAŁ XI. KAPITAN DAJE ZA WYGRANĄ

O godzinie szóstej usiedliśmy obaj — Alan i ja — do śniadania. Podłoga była zasuta<sup>119</sup> potłuczonym szkłem i zbryzgana okropnie krwawą juchą, która odbierała mi chęć do jada. Pod innymi względami byliśmy jednak w położeniu nie tylko znośnym, ale i wesołym, jako że wydziejczyliśmy oficerów z ich własnej kabiny i mieliśmy do rozporządzenia wszystkie napitki znajdujące się na statku — zarówno wino, jak i gorzałkę — oraz co najwykwintniejsze frykasy, takie jak marynaty z owoców i chleb pytlowany. Samo to przez się już wystarczało, by wprawić nas w dobry humor, ale najparadniejszą okolicznością było to, że dwaj najwięksi pijanice, jakich po wsze czasy wydała ziemia szkocka (ile że pan Shuan już nie żył), byli teraz zamknięci na przodku<sup>120</sup> okrętu i skazani na to, czym się najbardziej brzydzą — na zimną wodę.

— I zapamiętaj to sobie — mówił Alan — że za jakiś czas posłyszysz o nich znowu. Można kogoś odwieść od walki, ale nigdy od butelki, gdy do niej nawykła.

Pokumaliśmy się doskonale z sobą. Alan miał naprawdę bardzo miły sposób prowadzenia rozmowy. Naraz wzięwszy nóż ze stołu, odciął jeden ze srebrnych guzików swego surduta i podał mi go.

— Mam je — powiedział — od ojca mego Duncana Stuarta, a teraz daję ci z nich jeden w upominku za pomoc okazaną mi nocy ubiegłej. A gdziekolwiek zajdziesz i pokażesz ten guzik, przyjaciele Alana Brecka staną w twej obronie.

Mówił to tak, jak gdyby był Karolem Wielkim i rozkazywał mnogim hufcom; istotnie też, jakkolwiek odwaga jego przejmowała mnie podziwem, zawsze groziło mi niebezpieczeństwo, że roześmieję się z jego chępliwości — mówię: niebezpieczeństwo, ponieważ gdybym nie panował nad sobą, boję się myśleć, jaka mogłaby stąd wyniknąć zwada.

Skoro uporaliśmy się z jedzeniem, Alan jął myszkować w skrzyni kapitana, aż znalazł szczotkę do ubrania, po czym zrzuciwszy z siebie surdut, rozpoczął oglądać swą odzież

<sup>118</sup>głazny — skalisty, pokryty głazami. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>zasuty — zasłany, usłany czymś; pokryty. [przypis edytorski]

<sup>120</sup>przodek — [tu:] przednia część statku, zw. też przodem; drugi koniec okrętu nazywa się wśladkiem, tyłem a. rufą. [przypis redakcyjny]

i czyścić plamy — a czynił to z taką starannością i pracowitością, jaka, wedle mego przekonania, mogła być właściwa tylko białogłowom. Prawdać i to, że nie miał drugiego ubrania, a ponadto (jak sam powiadał) odziewek ten należał do króla, więc przystało, by wyglądał po królewsku.

W każdym razie, kiedy obaczył, z jaką usilnością wziął się on do wyskubywania nitek z tego miejsca, gdzie odcięto guzik, dar jego nabrał dla mnie większej ceny.

Był jeszcze tym zatrudniony, gdy z pokładu posłyszeliśmy wołanie pana Riacha, który żądał z nami rozmowy; na to ja, wspiąwszy się do góry przez okno w suficie i usiadłszy na framudze, mając przy tym pistolet w garści, a śmiałość na czole (mimo że w duchu bałem się potłuczonego szkła), krzyknąłem mu w odzew, prosząc, by mówił, czego sobie życzy. Podszedł do węgła czatowni i stanął na zwoju liny, tak iż podbródek jego był na równi z dachem; patrzyliśmy przez chwilę w milczeniu jeden na drugiego. Pan Riach, ponieważ, jak mi się zdaje, nie wysuwał się w bitwie zanadto naprzód, nie poniósł gorszego szwanku nad cięcie w policzek: atoli wydał mi się przygnębiony i wyczerpany znojem, jako że przez noc całą był na nogach, bądź odbywając wachtę, bądź opatrując ranionych.

— Kiepska to robota! — ozwał się na koniec, potrząsając głową.

— Nie mieliśmy wyboru — odpowiedziałem.

— Kapitan — rzekł on na to — chciałby pomówić z przyjacielem waćpana. Może by porozmawiali przez okno?

— A skąd to możemy wiedzieć, zali<sup>121</sup> on nie knowa<sup>122</sup> jakiej zdrady? — krzyknąłem.

— On nic nie knowa — odparł pan Riach — a gdyby nawet miał jakieś zamysły, to powiem aści<sup>123</sup> szczerą prawdę, że nie udałoby się nam pociągnąć ludzi za sobą.

— Czy naprawdę? — zapytałem.

— Powiem coś więcej waszeci — odpowiedział. — Nie tylko ludzi, ale i mnie samego. Ja się boję, Dawidzie... — tu uśmiechnął się do mnie i mówił dalej. — Nie, my tylko myślimy, jakby odgrodzić się od niego.

Wówczas naradziłem się z Alanem; przystaliśmy na rozmowę i obie strony dały sobie parol. Jednakże na tym jeszcze nie kończyło się posłannictwo pana Riacha, gdyż teraz z kolei zaczął mnie prosić o łyk gorzałki i to z taką natarczywością oraz takimi wspominkami o dawnej swej uprzejmości, że na koniec wręczyłem mu czarękę, mieszczącą niemal kwaterkę<sup>124</sup> gorzałki<sup>125</sup>. Wypił część, a resztę poniósł kędyś<sup>126</sup> po pokładzie, by podzielić się (jak przypuszczam) ze swoim zwierzchnikiem.

Wkrótce potem, stosownie do umowy, kapitan podszedł do jednego z okien i stał tam na deszczu, trzymając rękę na temblaku; twarz miał posepną i bladą i tak się postarzał, aż czyniłem sobie wyrzut, że go postrzelił.

Alan natychmiast wymierzył mu w twarz pistolet.

— Rzuć aspan<sup>127</sup> tę pukawkę! — rzekł kapitan. — Czyż nie dałem słowa albo czy aść<sup>128</sup> chcesz mnie znieważyc?

— Kapitanie — rzekł Alan — nie wiem, czy można polegać na twym słowie. Zeszłej nocy targowałeś się ze mną jak straganiarka, potem dałeś mi słowo i swą prawicę na poręczenie... a wiesz doskonale, co potem wynikło. Do licha z twoim słowem!

— Dobrze, dobrze, panie łaskawy — rzekł kapitan — przekleństwa nie przyniosą ci nic dobrego. — Istotnie, od tej wady był kapitan całkiem wolny). — Ale mamy inne rzeczy do obgadania — ciągnął dalej cierpko. — Waćpan narobiłeś bigosu na moim brygu; nie pozostało mi tylu marynarzy, ilu potrzeba do obsługi okrętu, a pierwszy z mych oficerów dostał od was pchnięcie szpadą w jelita i zmarł, nie mówiąc ni słowa. Nie pozostało mi nic, mości panie, jak wracać do portu Glasgow po nowych marynarzy, tam

<sup>121</sup>zali (daw.) — czy. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>knouać — knuć. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>aści (daw.) — skrót od: waszmości (waszej miłości panu, waszmości panu); starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>kwaterka — ćwierć (litra). [przypis edytorski]

<sup>125</sup>gorzałka (daw., gw.) — wódka. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>kędyś (daw., gw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>aspan (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>128</sup>aść (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]



zaś (za waszmości pozwoleniem) znajdziesz takich, którzy będą mogli z waćpanem lepiej porozmawiać.

— Tak? — odrzekł Alan — doprawdy, sam chciałbym z nimi porozmawiać. Jeżeli w owym mieście nikt nie mówi po angielsku, to będę miał dla nich pyszną opowieść! Piętnastu wytrawnych marynarzy po jednej stronie, a z drugiej jeden tylko mężczyzna i jeden chłopak-wyrostek... O człeczce, godności litości!

Hoseason poczerwieniał.

— Nie — ciągnął Alan — do tego nie dojdzie. Winnicie tylko wysadzić mnie na ląd, tak jakeśmy<sup>129</sup> się ugodzili.

— A ino! — odrzekł Hoseason — ale pierwszy z mych oficerów zginął... asan sam najlepiej wiesz, jakim sposobem. Nikt z nas pozostałych przy życiu nie jest obeznany z tutejszym wybrzeżem, a jest ono bardzo niebezpieczne dla okrętów.

— Daję wam do wyboru — rzekł Alan. — Wysadźcie mnie na suchy ląd bądź w Appin, bądź w Morven, bądź w Arisaig, bądź w Movar, bądź też, krótko mówiąc, gdzie wam się podoba, byle w odległości trzydziestu mil od mych stron ojczystych... z wyjątkiem opola Campbellów. Macie więc bardzo szeroką przestrzeń do wylądowania. Jeżeli nam to się nie uda, to musicie być takimi samymi niezgulaми w żegludze, jakimiście się okazali w walce ze mną. Ba, moi biedni wieśniacy przeprowadzają się od wyspy do wyspy w swych kusych czółenkach i to nie dbając o pogodę, a nawet bywa że nocą.

— Czółenko to nie okręt, panie miłościwy — rzekł kapitan. — Ono nie zanurza się głęboko w wodzie.

— No dobrze, w takim razie do Glasgow, jeżeli tak wam na tym zależy — rzekł Alan. — Przynajmniej będziemy mogli z was się naśmiać.

— Małą mam ochotę do śmiechu — bąknął kapitan. — Ale na to wszystko potrzeba pieniędzy, mości panie.

— Dobrze, mój panie — odrzekł Alan — nie jestem ci ja kurkiem na kościele. Trzydzieści gwinei, jeżeli wysadzicie mnie na brzegu morskim, a sześćdziesiąt, jeżeli mnie dostawicie do Linnhe Loch!

— Ale, widzisz waszmość, stąd, gdzie się znajdujemy, jest tylko parę godzin drogi do Ardnamurchanu — rzekł Hoseason. — Daj sześćdziesiąt, a dowiozę cię tamoj.

— Mamże<sup>130</sup> więc dla przyjemności waćpana ubierać się w kierzce i drałować przed czerwonymi kaftanami<sup>131</sup>? — zawołał Alan. — Nie, mospanie! Jeżeli chcesz zarobić sześćdziesiąt gwinei, to zawieź mnie do własnej mej okolicy!

— Będzie to narażeniem brygu — odrzekł kapitan — a tym samym i waszego życia.

— Albo przyjmiesz te warunki, albo obejdiesz się smakiem — rzekł Alan.

— Czy aść<sup>132</sup> mógłbyś nam służyć za przewodnika? — zapytał kapitan posepnie, ważąc coś w duszy.

— No, bardzo w to wątpię — rzekł Alan. — Jestem raczej wojownikiem (jakeście się sami przekonali) niż żeglarzem. Atoli często wsiadałem na statek lub lądowałem na tym wybrzeżu i podobno nieco potrafię rozeznać jego położenie.

Kapitan potrząsnął głową, wciąż jeszcze zasępiiony.

— Gdybym nie stracił tylu pieniędzy na tej nieszczęsnej wyprawie — ozwał się — obaczyłbym waćpana na stryczku, zanim bym odważył się na takie narażenie brygu. Ale niech się stanie zadość woli waszmości. Skoro tylko nadarzy się jakiś wietrzyk (a, o ile się nie mylę, już jakiś tam nadciąga), to zaraz zeń skorzystam. Ale jeszcze jedna rzecz. Możemy się spotkać z okrętem floty królewskiej, kto zaś wie, czy nie zostałbym przezeń zatrzymany, nawet bez żadnej winy z mej strony: dyc koło tutejszych wybrzeży gęsto snują się krążowniki, szukając nie wiedzieć kogo. Otóż, na wypadek, gdyby to się zdarzyło, racz waszmość zostawić pieniądze.

<sup>129</sup>jakeśmy się ugodzili — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak się ugodziliśmy. [przypis edytorski]

<sup>130</sup>mamże — konstrukcja z partykulą -że, pełniącą funkcję wzmacniającą i pytającą; inaczej: czy mam. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>czerwone kaftany — przezwisko żołnierzy angielskich. [przypis redakcyjny]

<sup>132</sup>aść (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

— Kapitanie — rzekł Alan — jeżeli dostrzeżesz banderę, winienesz umykać co sił. Teraz zaś, ponieważ słyszę, że tam na przodzie okrętu brak wam wódki, proponuję wam zamianę: dostaniecie butelkę wódki za dwa wiadra wody.

Był to ostatni warunek ugody, a obie strony dotrzymały go rzetelnie, tak iż Alan i ja mogliśmy na koniec wymyć czatownię i pozbyć się pamiątek po tych, których położyliśmy tu trupem, natomiast kapitan i pan Riach mogli znów uraczyć się trunkiem.

## ROZDZIAŁ XII. DOWIADUJĘ SIĘ O „RUDYM LISIE”

Zanim uporaliliśmy się z myciem czatowni, od północnego wschodu nadciągnęła bryza<sup>133</sup>, która rozpędziła deszcz i przywiodła znów słońce.

Muszę tu dodać parę słów wyjaśnienia, a czytelnik będzie łaskaw dokładnie przyjrzeć się mapie. W dniu, kiedy mgła opadła i gdy najechaliśmy na łódź Alana, przejeżdżaliśmy przez Mały Minch. Rankiem nazajutrz po bitwie staliśmy w miejscu na wschód od wyspy Canna lub pomiędzy nią a wyspą Eriska w łańcuchu Długiej Wyspy. Otóż, żeby stamtąd dostać się do Linnhe Loch, można było jechać na przełaj przez cieśniny sundu<sup>134</sup> Mull. Atoli kapitan nie posiadał mapy i bał się zapuszczać ze swym brygiem tak daleko pomiędzy wyspy, więc ponieważ wiatr mu sprzyjał, wolał popłynąć na zachód od Tiree i zawiąć poniżej południowego wybrzeża wielkiej wyspy Mull.

Przez cały dzień bryza szła w tym samym kierunku i raczej się wzmacniała niż słabła, tak iż nieco popołudniu z okola skrajnych Hebrydów jęły nadbiegać pochwiejne welny<sup>135</sup>. Kierunek naszej żeglugi, celem opłynięcia wysp środkowych, był ku południo-zachodowi, tak iż zrazu fale te szły na nasze burty i musieliśmy bardzo kołować. Jednakże z nadejściem nocy, gdy okrążyliśmy cypel Tiree i zaczęliśmy zmierzać bardziej ku wschodowi, nurt wodny szedł w sam raz za naszą rufą.

Dotychczas, przez pierwszą część dnia, zanim nadeszły wielkie fale, bardzo nam przyjemnie było płynąć w jasnych blaskach słonecznych, mając to z tej, to z tamtej strony mnóstwo górzystych wysepek. Siedliśmy sobie obaj w czatowni, otwarłszy drzwi po obu stronach (wiatr dął właśnie od strony rufy), i wypaliliśmy jedną po drugiej fajkę doskonałego tytoniu z zapasu należącego do kapitana. Wówczas to opowiedzieliśmy sobie wzajemnie swoje dzieje, co mnie przynajmniej przyniosło pewien pożytek, gdyż dowiedziałem się coś niecoś o owym dzikim Pogórze, gdzie niebawem miałem wylądować. W owych dniach, gdy niemal nad głowami wisiał wielki rokosz, potrzeba było człeka wiedzieć, co winien czynić, dostawszy się na wrzosowiska.

Ja to pierwszy pociągnąłem za język mego towarzysza, opowiadając mu wszystkie swe biedy. On słuchał mnie z wielką serdecznością, jedynie, gdy mimochodem wspomniiał swego dobrego przyjaciela, proboszcza Campbella, Alan uniósł się i krzyknął, że nienawidzi wszystkich, co noszą to miano.

— Czemuż to tak? — zapytałem. — Jest to człowiek, któremu byś waszmość z dumą podał rękę.

— Nie umiem niczym przysłużyć się Campbellom — rzecze on na to — jak tylko kulką z ołowiu. Wszystkich noszących to miano, wystrzelam jak głuszce. Gdybym spoczywał na łożu śmierci, jeszcze bym dowlókl się na klęczkach do okna mego pokoju, by jednego z nich zastrzelić.

— Dlaczegoż, Alanie? — zawołałem. — Cóż ci zawinili Campbellowie?

— Przecież — rzecze on na to — wiesz doskonale, że jestem Stuart z Appinu, zasię Campbellowie przez długi czas grabili i rujnowali tych, którzy noszą moje nazwisko; ba, zdobyli na nas włości... zdradą, nie mieczem! — wrzasnął na cały głos i poparł swe słowa uderzeniem pięścią w stół; jednakowoż nie przywiązywałem wielkiej wagi do tych słów, gdyż wiedziałem, że tak zazwyczaj mawiają ci, którzy zostali pokonani.

— Nie dosyć na tym — ciągnął Alan — były tam i inne sprawy w tym sposobie: łgarstwo w słowach, łgarstwo w dokumentach, świstkach, szpargałach, które dobre byłyby dla wędrownego przekupnia! A nade wszystko pozory prawa i sprawiedliwości, co już chyba najwięcej może pobudzić do gniewu!

<sup>133</sup>bryza — lekki wiatr morski. [przypis redakcyjny]

<sup>134</sup>sund — kręte i rozgałęzione przelewisko między dwoma morzami. [przypis redakcyjny]

<sup>135</sup>welny (daw.) — tu: fale. [przypis edytorski]

— Waćpan, który tak trwonisz swe guziki — odrzekłem — nie możesz, jak mi się zdaje, znać się tego na interesach.

— Ach! — rzekł Alan, uśmiechając się znowu. — Rozrzutność swą odziedziczyłem po tym, od którego otrzymałem te guziki, a mianowicie, po moim nieboszczyku ojcu, Dunkanie Stuarcie, świeć Panie nad jego duszą! Był to najprzystojniejszy mężczyzna spośród całego swego krewieństwa i najlepszy rębacz na całym Pogórze, mój Dawidzie, a tym samym, rzecz mogę, i w całym świecie, gdyż on to, winienem wyznać, układał mą rękę. Był on w Białej Gwardii, gdy ją zaczęto tworzyć, i jak inni szlachta, miał giermka, który nosił za nim muszkiet w czasie pochodu. Otóż król miał snadź ochotę zobaczyć rębaczy szkockich, więc wybrano mego ojca i jeszcze trzech innych i posłano ich do miasta Londynu. Tak więc dostali się na dwór królewski i przez dwie godziny pokazywali cały kunszt władania szablą, a było to w obecności króla Jerzego, królowej Karoliny, rzeźnika Cumberlanda oraz wielu innych, których już nie baczę. Kiedy zaś skończyli, król (mimo że był to bezecny przywłaszczyciel) przemówił do nich łaskawie i każdemu z nich dał po trzy gwinee. Otóż, gdy wychodzili z pałacu, wypadło im mijać kwaterę odźwiernego; mojemu ojcu, jako że był może pierwszym szlachcicem szkockim, który przechodził przez owe drzwi, przyszło na myśl, że słuszna byłoby dać do zrozumienia biednemu odźwiernemu, kto *zacz są owi*, którzy go mijają. Dał więc chłopu w łapę trzy gwinee otrzymane od króla, jak gdyby mu to było powszednim obyczajem; trzej następni, którzy szli za nim, uczynili to samo i wyszli na ulicę, nie mając w kieszeni ani grosza za swe trudy. Różnie podają nazwisko tego, który tak hojnie obdarzył odźwiernego królewskiego; atoli prawdą jest, że był to Dunkan Stuart, co gotów jestem stwierdzić szablą lub pistoletem. Takiego to miałem ojca, daj mu Boże wieczne spoczywanie!

— Zdaje mi się, że nie zostawił on waćpanu wielkich dostatków — napomknąłem.

— I to prawda — rzekł Alan. — Mało ci<sup>136</sup> mi on zostawił oprócz pluderków<sup>137</sup> do okrycia cielesnej powłoki. To też było powodem, że zaciągnąłem się do wojska, co było czarną plamą na mym charakterze w kwiecie mego wieku, a co ściągnęłoby na mnie ciężkie utrapienia, gdybym wpadł w ręce czerwonych kaftanów.

— Co? — zawołałem. — Waćpan służyłeś w wojsku angielskim?

— Służyłem — odrzekł Alan — ale na polach prestońskich przeszedłem do prawego obozu... i to mnie nieco pociesza.

Nie mogłem zgodzić się z tym poglądem, gdyż dezercję z bronią w ręku uważałem za niezatartą plamę na honorze. Atoli mimo że byłem jeszcze żółtodziobem, byłem też na tyle mądry, iż nie wypowiedziałem głośno swej myśli, mówiąc jedynie.

— Mój drogi, mój drogi, za to czeka kara śmierci!

— Tak — odpowiedział — jeżeliby mnie capnęli, czekałaby Alana krótka rozprawa i długi stryzyk! Ale mam w kieszeni polecenia króla francuskiego, które może też będą pewną ochroną.

— Bardzo w to wątpię — napomknąłem.

— I sam mam wątpliwości — rzekł Alan sucho.

— Na miły Bóg, człowiecze — zawołałem — jesteś wyjętym spod prawa rokoszaniem, zbiegiem i stronnikiem króla francuskiego... więc cóż cię sprowadza z powrotem do naszej krainy? Jest to kuszenie Bożej Opatrzności.

— Phi! — rzecze Alan. — Powracałem tu corocznie od roku 1746!

— A co cię tu sprowadza? — zawołałem.

— No, widzisz, tęskno mi za przyjaciółmi i ojczyzną — odpowiedział. — Francja jest niewątpliwie miła i piękna, lecz ja tęsknię za wrzosowiskami i dziką zwierzyną. Czasem zabieram paru chłopaków na służbę do króla francuskiego, a oprócz tego biorę z sobą w tę drogę i nieco grosza. Ale najważniejszą przyczyną są sprawy mojego wodza, Ardshiel.

— Mniemałem, że waszego wodza zwą Appin — ozwał się.

— Tak, ale Ardshiel jest głową klanu — odrzekł ów, mało to mi jednak rozjaśniło w głowie. — Widzisz, mój Dawidzie, on, który przez całe swe życie był tak wielkim człowiekiem, pochodzi z krwi królów i nosi ich nazwisko, musi teraz pędzić życie w jednym z miast francuskich jako człek biedny i pozbawiony znaczenia. On, który miał czterysta

<sup>136</sup>mało ci (...) zostawił — konstrukcja z partykułą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>pluderki — zdrobn. od *pludry*; spodnie. [przypis edytorski]

Żołnierz, Honor, Władza

Wierność, Król, Władza,  
Pieniądz, Poświęcenie

szabel na każde zawołanie, teraz (oczy moje to widziały) kupuje masło na rynku i w liściu kapusty przynosi je do domu. Jest to nie tylko ból, ale i sromota dla nas, cośmy z jego rodziny i klanu... Ponadto są tam i panięta, nadzieja i podpora Appinu; trzeba je kształcić w nauce i w robieniu bronią... tam, w tej dalekiej krainie. Otóż dziedzice Appinu muszą płacić daninę królowi Jerzemu, atoli ich serca są niezłomne i pozostały wierne swemu zwierzchnikowi, toteż dobrowolnie lub z lekkim przymusem, a niekiedy i pod groźbą, biedny ludek ciuła drugą daninę dla Ardshiela. Ja zaś, Dawidzie, jestem człowiekiem, który przewozi tę daninę. — To rzekłszy, uderzył się po kalecie u pasa, aż zabrzączały w niej gwinee.

— Zaliż oni płacą jedno i drugie? — zawołałem.

— Tak, Dawidku, jedno i drugie — odpowiedział.

— Co? Dwie daniny? — powtórzyłem.

— Tak, Dawidzie — potwierdził. — Zgoła co innego opowiedziałem owemu kapitanowi, ale tym razem mówię prawdę. I rzecz to zadziwiająca, jak małego trzeba przymusu. Ale zawdzięczać to należy głównie zabiegom mego bliskiego krewniaka i przyjaciela mego ojca; zwie się on Jakub z Wąwozów, inaczej Jakub Stuart, przyrodni brat Ardshiela.

Po raz pierwszy wówczas zdarzyło mi się słyszeć imię owego Jakuba Stuarta, który później stał się tak głośny, dosłużywszy się stryczka. Lecz mało zwróciłem uwagi na ten szczegół, gdyż całą myśl moją zaprzętała wspaniałomyślność biednych górali.

— To nazywam szlachetnością! — zawołałem. — Jestem wigiem, co najmniej z przekonania, ale nazywam to szlachetnym postępkiem.

— Tak — rzecze ów na to — jesteś wigiem, ale człek z ciebie zacny i to jest sądu twego przyczyną. Otóż gdybyś był jednym z przekłętego plemienia Campbellów, zgrzytałbyś zębami, słysząc to opowiadanie. Gdybyś był Rudym Lisem...

Wymówiwszy to imię, zaciął zęby i zaprzestał gawędy. Widziałem w życiu wiele gniewnych twarzy, atoli<sup>138</sup> nie spotkałem bardziej gniewnej nad twarz Alana, gdy wspominał Rudego Lisa.

— Któż jest ów Rudy Lis? — zagadnąłem z trwogą, lecz niemniej i z ciekawością.

— Kto on zacz? — krzyknął Alan. — Dobrze, opowiem ci to. Kiedy złamano klany pod Culloden, gdy upadła dobra sprawa i gdy konie pływały się po brzuchy w krwi najlepszych szlachciców północy, Ardshiel musiał, jak ściągana zwierzyna, uciekać w góry... wraz z żoną i dziećmi. Wieleśmy się nacierpieli<sup>139</sup>, zanim udało się nam go ściągnąć na okręt; a kiedy on jeszcze krył się we wrzosowiskach, lotry Anglicy, nie mogąc pozbawić go życia, postanowili pozbawić go praw jemu przysługujących. Grabili mu majątności, grabili dzierżawy, wrywali oręż z rąk jego ojców, co z bronią chadzali od wieków; ba, nawet zdzierali im ubrania z pleców... tak iż występkiem dziś jest nosić kraciasty pled, a do więzienia wtrąca się każdego, kto tylko nosi kraciastą zapaskę dokoła kolan. Jednej tylko rzeczy nie zdołali wygubić, a mianowicie miłości, jaką żywią plemieńce dla swego naczelnika. Te oto gwinee są tego dowodem. Otóż ni stąd ni zowąd występuje pewien człek, z rodziny Campbellów, rudy Golin z Glenure...

— Czy to jego nazwałś Rudym Lisem? — zapytałem.

— Czy chcesz przynieść mi jego czuprynę? — zawołał Alan sierzdźcie<sup>140</sup>. — Tak jest, to on. Przychodzi, dostaje papiery od króla Jerzego jako tak zwany pełnomocnik królewski we włościach Appinu. Zrazu śpiewał cienko i pozostawał w zażyłych stosunkach z Sheamusem... to jest Jakubem z Parowów, poplecznikiem mojego naczelnika. Atoli z wolna zaczęło dochodzić do jego uszu to, o czym opowiedziałem ci przed chwilą... jak biedny gmin Appinu, dzierżawcy, kmiecie i wyrobnicy zaciskali sobie pasa, byle zebrać drugą daninę i posłać ją za morze dla Ardshiela i jego biednych dzieci. Jakaś to nazwał<sup>141</sup>, gdym ci o tym opowiadał?

— Nazwałem to szlachetnym postępkiem, Alanie — odparłem.

<sup>138</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>139</sup>wieleśmy się nacierpieli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: wiele się nacierpieliśmy. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>sierzdźcie (daw.) — gniewnie; por. *sierdzić się* (na kogoś), *rozsierdzony*. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>jakaś to nazwał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak to nazwałś. [przypis edytorski]

— I ty jesteś jedynie zwykłym sobie wigiem! — zawołał Alan. — Atoli, gdy to doszło do Colina Roya, wskipiała<sup>142</sup> w nim czarna krew Campbellów. Siadł przy stole biesiadnym, zgrzytając zębami. Co! Jakiś tam Stuart miałby dostać kęs chleba, a on nie potrafi temu przeszkodzić!... Ach, Rudy Lisie, jeżeli zdarzy mi się zmierzyć z tobą na odległość strzału, niech Bóg ma cię w swej opiece!

Alan przerwał na chwilę przemówienie, przeżuując w sobie gniew.

— No, i wiesz, Dawidzie, co on uczynił? Ogłosił, że kasuje wszystkie dzierżawy, myśląc sobie w głębi czarnego serca: „Zaraz tu sobie znajdę innych dzierżawców, którzy dadzą łupnia tym Stuartom, Maccollom i Macrobom...” (bo takie są nazwiska w moim klanie, Dawidzie) „...a wtedy...” (myśli sobie) „...Ardshiel będzie musiał wyciągać kapelusz po prośbie na ulicach francuskich”.

— No i cóż dalej? — zagadnąłem.

Alan odłożył fajkę, która i tak mu już dawno wygasła i założył sobie obie ręce na kolano.

— Doprawdy! — ozwał się. — Nigdy byś się nie domyślił! Otóż ci właśnie Stuartowie, Maccollowie i Macrobowie (którzy musieli płacić dwie daniny, jedną przymusową królowi Jerzemu, a drugą dobrowolną Ardshielowi) ofiarowali mu lepszą cenę niż jakkolwiek Campbell w całej Szkocji; a posyłał na wszystkie strony, by ich znaleźć... aż nad brzegi Clyde i na bruk Edynburga... szukając, namawiając i prosząc, by przyszli tu, gdzie mieli zagłodzić Stuarta, a uradować ryżego psa Campbella!

— No, Alanie — rzekłem — dziwna to opowieść, ale i piękna. Aczkolwiek jestem wigiem, cieszę się, że pobito tego człowieka.

— Jego pobito? — zawtórował Alan. — Małoż<sup>143</sup> ty znasz Campbellów, a jeszcze mniej Rudego Lisa! On pobity? Nie! Ani też nie będzie pobity, póki krwią swą nie zboczy stoków górskich! Ale jeżeli nadejdzie dzień, Dawidzie, że będę miał sposobność i czas na łowy, to żadne wrzosowiska w całej Szkocji nie zdołają zasłonić go przed, moją zemstą!

— Alanie — rzekłem — nie bardzo to z twej strony roztropnie, ani też po chrześcijańsku, miotać tak wiele złościwych<sup>144</sup> słów. Nie przyniosą<sup>145</sup> one nic dobrego, a członkowi, którego zwiesz Rudym Lisem, nie zrządzą żadnej szkody. Opowiedz mi jasno swą historię. I cóż uczynił on następnie?

— Słuszna to była uwaga, Dawidzie — rzekł Alan. — Święta prawda, że słowa nie wyrządzą mu żadnej szkody... szkoda ich więcej tracić! I z wyjątkiem tego, co powiedziałeś o chrześcijaństwie (co do czego mam zgola inne pojęcia, albo niech nie będę chrześcijaninem), skłaniam się bardzo do twego zdania.

— Mniejsza o czyjeś zdanie — odrzekłem — ale wiadomo, że nauka chrześcijańska zabrania zemsty.

— Juści<sup>146</sup> — on na to — od razu poznać<sup>147</sup>, że uczył cię Campbell! Dobrze by się na tym świecie działo tego rodzaju łotrom, gdyby za krzakiem wrzosu nie taił się chłopak ze strzelbą! Ale nie o to tu chodzi. Nuże do tego, co on zrobił!

— Tak — odrzekłem. — Przejdźmy<sup>148</sup> do tego.

— Dobrze, Dawidzie — zaczął Alan. — Otóż gdy godziwymi środkami nie mógł się pozbyć wiernych wasali, poprzysiągł, że pozbędzie się ich za pomocą niegodziwych sposobów. Ardshiel winien był zemrzeć z głodu: oto co było jego celem. Ponieważ zaś ci, którzy żywili Ardshiela na wygnaniu, nie dali się wykupić, on postanowił prawnie lub nieprawnie ich wypędzić. Przeto ściągał prawników, dokumenty i załogi wojskowe, by go popierały w jego postępkach. Spokojny ludek tych okolic musiał związać manatki i uciekać z domów ojczystych, z miejsc, gdzie się urodzili i wychowali. A kto miał przyjść na ich miejsce? Bosiaczki, dziadygi!... Ale co tam jakoweś względy znaczą u Rudego Colina! Jeżeliby udało mu się dokuczyć Ardshielowi, stałoby się zadość jego życzeniom; jeżeliby

<sup>142</sup>wskipieć — wezbrać aż do wrzenia. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>małoż — konstrukcja z partykulą -że, skróconą do -ż, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>złościwy — pełen złości; gniewny. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>przyniosą — konstrukcja z partykulą „ci”, skróconą do -ć, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>juści (gw.) — tak, pewnie (potwierdzenie). [przypis edytorski]

<sup>147</sup>od razu poznać — tu: od razu widać; od razu można poznać. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>przejdźmy — konstrukcja z partykulą -że, skróconą do -ż, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

potrafił wyrzucić kęs stawy ze stołu mego naczelnika i zabawkę z rąk jego dzieci, ze śpiewem na ustach poszedłby do domu w Glenure.

— Pozwól mi wtrącić słowo — ozwał się. — Campbell może nie całą tu ponosi winę... wszak działa z rozkazu. A gdybyś aś jutro zabił tego Colina, to czyżby przyszło polepszenie? Natychmiast przysłano by innego pełnomocnika na jego miejsce!

— Jesteś, chłopcze, dobry do wybitki — rzekł Alan — ale, człowiecze, krew wigowska płynie ci w żyłach!

Mówił dość spokojnie, ale w jego wzgardzie tało się tyle gniewu, że uznałem za rzecz najstosowniejszą zmienić rozmowę, przeto wyraziłem zdziwienie, jakim to sposobem na Pogórze, pełnym wojska i strzeżonym jak oblegane miasto, człek tego pokroju, co on, może spokojnie wędrować, nie narażając się na aresztowanie.

— Łatwiejsza to rzecz, niż ci się zdaje — odrzekł Alan. — Nagie zbocze górskie (sam widzisz) jest jak otwarta droga; jeżeli strażnik stoi w jednym miejscu, można iść którędy indziej. Ponadto wrzosowiska są doskonałą ochroną, a wszędzie też spotkać można domy przyjaciół, obory i brogi. Zresztą, gdy się mówi o kraju pełnym wojska, jest to w najlepszym razie tylko przenośnia. Żołnierz zapełnia sobą jedynie taką przestrzeń, jaką nakrywają jego podeszwy. Łapałem ci ja raz ryby i w wodzie, nad której brzegiem stał wartownik i ułowiłem pysznego lina; kiedy indziej znów siedziałem we wrzosowych zaroślach o sześć stóp od innego strażnika i nauczyłem się wcale pięknej melodii, którą on sobie poświstywał. Zaraz ci ją powtórzę!...

I zagwizdał mi nutę piosenki.

— A zresztą — ciągnął dalej — teraz nie jest już tak źle, jak bywało w roku czterdziestym szóstym. Pogórze jest, jak to mówią, uśmierzone. Nic dziwnego, boć od Cantyre do Cape Wrath nie pozostawiono strzelby ni pałasza, oprócz tych, które przeworni ludkowie pochowali po strzechach i poddaszach! Ale chciałbym ja wiedzieć, Dawidzie, jak długo to jeszcze potrwa? Pewno myślisz, że niedługo... jeżeli tacy ludzie, jak Ardshiel, są na wygnaniu, a tacy jak Rudy Lis żłopiają wino i uciskają biedny lud w jego ojczyźnie. Wszakże niełatwo dociec, do czego zdolen<sup>149</sup> jest lud w swej cierpliwości... Ale też czemu Bóg pozwala, że Rudy Colin traktuje swym rumakiem biedną krainę Appin, a nie znajdzie się młodzian, który by wpakował mu kulkę pod ziobro?

To rzekłszy, Alan wpadł w zadumę i przez dłuższy czas siedział pogrążony w milczeniu i smutku.

Uzupełniając to, co powiedziałem o moim przyjacielu, winienem dodać, że był on biegły we wszelkiego rodzaju muzyce, ale nade wszystko w grze na kobzie i piszczałkach; miał wielkie zdolności do układania wierszy we własnym języku; był czytany i poznał nieco książek angielskich i francuskich; był zapalonym myśliwym, dobrym rybołowcą i świetnym szermierzem. Co się tyczy jego wad, były wypisane na jego twarzy, teraz zaś poznałem je wszystkie. Atoli najgorszą z nich, ową dziecinną skłonność do obrażania się i zwad — wspaniałomyślnie hamował w obcowaniu ze mną, pomny na to, iżem mu był sojusznikiem w czatowni. Wszakże nie umiem powiedzieć, czy zawdzięczać to należy mej osobistej zasłudze, czy też tej okoliczności, że byłem świadkiem jego własnej, o wiele większej, bitności. Albowiem, choć ceniał on odwagę i u innych, zawsze jednak najbardziej ją podziwiał u Alana Brecka.

## ROZDZIAŁ XIII. ROZBICIE BRYGU

Było już późno w nocy i tak ciemno, jak tylko być może o tej porze roku (inaczej mówiąc, było bądź co bądź, dosyć widno), gdy przez drzwi czatowni wsunęła się głowa Hoseasona.

— Hej mosanie<sup>150</sup>! — ozwał się. — Wyjdźcie i spróbujcie pokazać nam drogę.

— Czy jest to jeden z aściny<sup>151</sup> forteli? — zapytał Alan.

— Czy wyglądam na człowieka imającego<sup>152</sup> się fortelów? — zawołał kapitan. — Mam co innego na głowie... mój bryg w niebezpieczeństwie!

<sup>149</sup>zdolen — daw. forma imiesłowu przym.; dziś: zdolny. [przypis edytorski]

<sup>150</sup>mosanie — skrót od: mości panie (miłościwy panie); starop. zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>151</sup>aściny (daw.) — skrót od: waszmościny (waszej miłości pana, waszmości pana); przymiotnik od starop. potocznego zwrotu grzecznościowego. [przypis edytorski]

<sup>152</sup>imać się (daw.) — łapać się, chwytac się czego; zabierać się za co; zajmować się czym. [przypis edytorski]

Trwoźny wyraz jego oblicza, a nade wszystko przeraźliwy głos, jakim mówił o swoim brygu, przekonał nas obu, że tym razem rzecz jest całkiem poważna; przeto Alan i ja, niezbyt obawiając się zdrady, wyszliśmy na pokład.

Niebo było pogodne; dął silny wiatr i było przenikliwie zimno; księżyc, niemal w pełni, świecił jasno. Bryg jechał blisko brzegu, zamierzając okrążyć południowo-zachodni narożnik wyspy Mull, której wierchy (wśród nich najwyższy Ben More, na którego szczycie spoczywał kłębuszek mgły) znajdowały się po naszej lewej stronie. Choć dla *Zgody* nie był to dogodny punkt żeglugi, jednakowoż pruća chyżo toń morską, zanurzając się i znów wychylając, popędzana falą idącą od zachodu.

Nie była to znów noc tak zła do żeglugi i już zacząłem się dziwować, co było powodem tak wielkiej trwogi kapitana; naraz bryg wbił się na wierzchołek fali, kapitan wskazał ręką przed siebie i krzyknął na nas, byśmy spojrzeli tamże. Hen w dali, od nawietrznej strony, z oświetlonej księżycem topieli morskiej wzbilo się coś na kształt wodotrysku — a wraz potem posłyszeliśmy przytłumiony odgłos ryczących przewalów.

— Co waszmość o tym powiesz? — rzekł kapitan posępnie.

— To morze rozbija się o rafę — rzekł Alan. — Teraz już wiecie, gdzie ona się znajduje... i czegoż wam więcej potrzeba?

— Tak — rzekł Hoseason — gdybyż ona była tylko jedna!...

Istotnie, ledwo to powiedział, nieco dalej na południe ukazał się drugi wodotrysk.

— Oto tam! — rzekł Hoseason. — Sami widzicie. Gdybym wiedział o tych rafach, gdybym miał mapę lub gdyby Shuan ocalał, to za sześćdziesiąt gwinei, ba, nawet i sześćset, nie dałbym się nakłonić do narażania mego brygu w takim kamiennym zatorze! Ale asan, któryś miał nam służyć za pilota, nie rzeknieszże<sup>153</sup> mi słowa w tym względzie?

— Zdaje mi się — rzekł Alan — że są to skały, które nazywają Torrańskimi.

— Wieleż ich jest? — zapytał kapitan.

— Po prawdzie — rzekł Alan — nie jestem ci wcale<sup>154</sup> pilotem, ale coś mi się błąka po głowie, że ciągną się one przez dziesięć mil.

Pan Riach i kapitan spojrzeli po sobie.

— Przypuszczam, iż jest jakaś droga pomiędzy nimi? — ozwał się kapitan.

— Bez wątpienia — odrzekł Alan — ale gdzie? Wszakże znów mi się coś błąka po głowie, że koło brzegu jest ich znacznie mniej.

— Tak? — rzecze Hoseason. — A zatem płynmy z wiatrem, panie Riach; musimy się zbliżyć, ile możliwości, do cypla Mull, ażeby go okrążyć; ale i wtedy będziemy mieli ład od strony zawietrznej, a ten zator od nawietrznej. Właśnie podjeżdżamy ku niemu i kto wie, czy się nie rozbijemy.

To rzekłszy, wydał rozkazy sternikowi i wysłał pana Riacha na top przedni. Na pokładzie znajdowało się tylko pięciu ludzi, licząc w tym i oficerów; z całej załogi tyłu jedynie było zdatnych (albo i chętnych) do roboty. Tak więc, jak powiedziałem, panu Riachowi wypadło iść na bocianie gniazdo, gdzie siedząc, patrzył bacznie na wszystkie strony i oznajmiał ludziom na pokładzie, cokolwiek dostrzegł.

— Na południu morze jest zdradliwe — krzyczał czasami, a w chwilę później znowu. — Zdaje się, że koło łądu jest przestronniej.

— No, panku! — rzekł Hoseason do Alana. — Popróbujemy aścinej drogi. Ale zdaje mi się, że zarówno mógłbym zaufać ślepemu grajkowi. Proś Boga, byś nie był w błędzie.

— Proś Boga! — rzecze Alan do mnie. — Od kogo ja to słyszę? No, no, będzie tak, jak być musi.

Gdy przybliżyliśmy się do zakrętu wyspy, rafy były już rozsiane tu i ówdzie na samej naszej drodze, tak iż pan Riach raz po raz wołał na nas, by zmienić kierunek. Kilkakrotnie zaiste w samą porę doszło nas jego wołanie, gdyż jedna rafa była tak blisko nawietrznej burty, że skoro fala rozbijała się na jej skalistym zrębie, lżejsze kropelki bryznęły na pokład i zmoczyły nas jak krople deszczowe.

Noc widna ukazywała nam te niebezpieczeństwa tak wyraziście jak w dzień, co nawet zapewne powiększało grozę. Widziałem też i oblicze kapitana, który stał koło sternika, to na jednej nodze, to na drugiej i niekiedy chuchał sobie w dłonie, jednakowoż wciąż był

<sup>153</sup>nie rzeknieszże — konstrukcja z partykulą -że, pełniącą funkcję wzmacniającą i pytającą; inaczej: czy nie rzekniesz. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>nie jestem ci wcale — konstrukcja z partykulą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]



czujny i baczny na wszystko, a nieugięty jak stal. Ani on, ani pan Riach nie popisali się w walce, atoli przekonałem się, iż obaj dzielnie sprawiali się w swym własnym rzemiośle, a tym bardziej ich podziwiałem, że na twarzy Alana dostrzegłem niebywałą bladość.

— Ach, Dawidzie — ozwał się — nie o takiej śmierci ja marzyłem!

— Co, Alanie? — zawołałem. — Chyba się nie boisz?

— Nie — odrzekł, zwilżając wargi językiem — ale sam przyznasz, że to marny zgon.

Tymczasem, zbacając od czasu do czasu to w tę to w ową stronę, celem uniknięcia rafy, lecz wciąż trzymając się wiatru i wybrzeża, opłynęliśmy Jonę i dojechaliśmy do Mull. Wart morski koło wysterku łądu bił nader silnie i porywał bryg za sobą. Posłano dwóch ludzi do steru, a sam Hoseason przybywał im niekiedy z pomocą; dziwna<sup>155</sup> to było widzieć, jak trzech krzepkich ludzi wspierało się całym ciężarem na rumplu<sup>156</sup>, ten zaś, ni to żyjąca istota, opierał się im i odbijał ich nazad. Niebezpieczeństwo byłoby jeszcze większe, gdyby morze przez pewien czas nie było wolne od skał podwodnych, boć i pan Riach z bocianiego gniazda ogłaszał, że widzi czystą toń przed sobą.

— Waćpan masz słuszność — rzekł Hoseason do Alana. — Waćpan uratowałeś bryg; będę o tym pamiętał, gdy rozrachujemy się na czysto.

I wierzę, że to, co powiedział, nie było tylko rzucone na wiatr, boć kapitan istotnie dotrzymałby swego słowa, jako że gorące przywiązanie żywił do swej *Zgody*.

Ale jest to jedynie przypuszczenie, gdyż wypadki poszły innym torem, niż spodziewał się Hoseason.

— W bok o jedną kreskę! — zawołał pan Riach.

— Rafa po stronie wiatru!

Ale w tejże chwili prąd poniósł okrętem, stawiając żagle sztorcem do wiatru. Bryg skręcił się pod wiatr jak chorągiewka na dachu, a za chwilę z takim łoskotem grzmotnął w rafę, iż wszyscy upadliśmy plackiem na pokład, a pan Riach omal że nie zleciał ze swego siedziska na maszcie.

W mig zerwałem się na nogi. Rafa, o którąśmy uderzyli<sup>157</sup>, znajdowała się tuż pod południowo-zachodnim cyplem Mull, opodal małej wysepki, zwanej Earraid, która czerniła się niepozornie od strony bakortu<sup>158</sup>. Wodne przewały to rozbijały się nad nami, to znowu jedynie osadzały nieszczęsny bryg na rafie, tak iż słyszeliśmy, jak kruszył się na drzazgi. A był ci taki łomot żagli, taki poświst i wycie wichru, taka ulewa rozbryzgów perlących się w miesięcznej poświacie, taka groza niebezpieczeństwa, iż chyba dostałem jakiejś kołowacizny, bo zaledwie mogłem zrozumieć to, na com spoglądał.

Naraz ujrzałem pana Riacha i marynarzy krzątających się koło szalupy, więc, jeszcze w onym oszołomieniu, pobiegłem, by im pomagać; i ledwo tylko wzięłem się do roboty, odzyskałem znów przytomność umysłu. Nielatwe to było zadanie, gdyż szalupa znajdowała się pośrodku okrętu i była pełna różnych gratów, a łomotanie wzburzonego morza ustawicznie zmuszało nas do przerywania pracy i szukania równowagi; jednakże pracowaliśmy jak konie, wedle sił i możliwości.

Tymczasem ci spośród ranionych, którzy mogli się poruszać, wygramolili się przez lukę<sup>159</sup> przednią i zaczęli nam pomagać; natomiast pozostali, którzy bezradnie leżeli na tapczanach, nękali mnie swym skomleniem i prośbami o ratunek.

Kapitan do niczego się nie wtrącał. Rzekłbyś, że mu rozum odebrało. Stał, trzymając się karnatów<sup>160</sup>, rozmawiał sam z sobą i jęczał głośno, ilekroć okręt tłukł o rafę. Ten bryg, jego bryg, był mu prawie żoną i dzieckiem. Mógł ci<sup>161</sup> kapitan patrzeć nieczule dzień po dniu na katowanie biednego Ransome'a — atoli, gdy poszło o bryg, to zdawał się cierpieć pospołu z nim.

Z całego tego czasu, kiedyśmy pracowali koło łodzi, jedną jeszcze rzecz zdołałem zapamiętać, a mianowicie, że, zerkając w stronę wybrzeża, zapytałem Alana, jaka to oko-

<sup>155</sup>*dziwna* — daw. forma; dziś znaczenie: dziwne. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>*rumpel* — rękojeść steru. [przypis redakcyjny]

<sup>157</sup>*o którąśmy uderzyli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: o którą uderzyliśmy. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>*bakort* — lewy bok łodzi; bakburta. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>*luka* właśc. *luk* — otwór, którego się wchodzi pod pokład. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*karnat* — lina podtrzymująca maszt, przytwierdzona do burty. [przypis redakcyjny]

<sup>161</sup>*mógł ci (...) patrzeć* — konstrukcja z partykułą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

lica; on zaś odpowiedział, że dla niego najgorsza, jaka tylko być może, gdyż jest to kraj Campbellów.

Przykazaliśmy jednemu z ranionych, aby przyglądał się morzu i krzykiem dawał nam ostrzeżenie. W sam raz byliśmy już prawie gotowi spuścić szalupę, gdy ów człek wykrzyknął przeraźliwym głosem.

— Trzymać się, na miłość Boską!

Z brzmienia jego głosu poznaliśmy, że zaszło coś niezwykłego. Istotnie nadbiegł ławan tak potężny, iż poderwał bryg w górę i przechylił go stępą<sup>162</sup> w bok. Czy krzyk doszedł mnie za późno, czy też miałem za słabe oparcie — nie umiem powiedzieć; dość, że wskutek nagłego przegibnięcia się statku przeleciałem za nadburcie i wpadłem w morze.

Poszedłem pod wodę i napiłem się jej do syta, potem wychynałem na powierzchnię, widziałem przez chwilę blask księżycy i znów dałem nurka. Mówią, że trzech zanurzeń wystarczy, by utopić się na dobre; wobec tego jestem ulepiony z innej gliny niż reszta ludzi, gdyż nawet nie potrafię napisać, ile razy zanurzałem się pod wodę i jak często dobywałem się na wierzch. Przez cały ten czas fale niosły mnie przed siebie, tłukły we mnie, dławiły, a potem chłoneły całkowicie; wszystko to tak rozrywało moją uwagę, że nie doznawałem ani smutku, ani trwogi.

Naraz uświadomiłem sobie, że trzymam się jakiegoś drąga, który nieco okazał mi się pomocnym. Potem nieoczekiwanie znalazłem się na spokojnej wodzie i zacząłem przychodzić do siebie.

Ów drąg, który trzymałem w ręce, była to zapasowa reja. Obejrzałem się i byłem zdumiony, widząc, jak daleko odpłynąłem od brygu. Oczywiście zacząłem wołać w jego stronę, ale wnet doszedłem do przekonania, iż krzyk mój nie dochodził. Okręt jeszcze utrzymywał się na powierzchni, ale znajdowałem się zbyt daleko odeń i nazbyt nisko nad wodą, bym mógł dojrzeć, czy tam już zdołano spuścić szalupę.

Gdy tak nawoływałem w stronę brygu, dostrzegłem pomiędzy nim a mną pasmo topieli, kędy nie dochodziły wielkie fale, lecz woda mimo to pieniała się i kłębiła, połyskując pierścieniami i bąblami w poświęcie miesięcznej. Czasami cały szlak przewalał się w jedną stronę, jak ogon żyjącego gadu; czasami, na jedno mgnienie, wszystko zniknęło, a potem znów zaczynało się kłębić. Co to było, nie mogłem odgadnąć, tak iż przez chwilę byłem tym wielce strwożony; dziś wszakże wiem, że musiał to być silny napór przyływu, jaki cechuje wyspy orkadzkie i szetlandzkie. On to niósł mnie tak rączo i zawijał mną tak bezlitośnie, aż na koniec, jakby znudzony tą igraszką, wyrzucił mnie wraz z reją aż na podbrzeżną rubież swych zacieków.

Teraz już znajdowałem się w miejscu zgoła zacisznym i począłem odczuwać, że umrzeć można zarówno z zimna, jak i z utonięcia. Brzegi Earraidu były niedaleko; w księżycowej oświetli widać było kępki wrzосу tudzież mikę skrzącą się na skałach.

— No — pomyślałem sobie — byłoby rzeczą dziwną, gdybym nie potrafił tam się dostać!

Nie miałem wprawy w pływaniu, gdyż rzeka Essen w naszych stronach niezbyt jest szeroka; atoli gdy m oburącz uczepił się rei i jął magać<sup>163</sup> w wodzie obiema nogami, rychło wyczułem, że płynę. Żmudna to była praca i piekielnie przewlekła, wszakoż mniej więcej po całogodzinym pluskaniu i wymachiwaniu nogami dostałem się bezpiecznie w obręb piaszczystej zatoczki okolonej niskimi wzgórkami.

Morze było tu całkiem spokojne; nie rozlegał się tu szum zwałionych podplusków; księżyc przyświecał jasno — a mnie przychodziło na myśl, że nigdy nie widziałem takiej głuszy i pustkowie. Był to jednak, bądź co bądź, ląd i susza; toteż kiedy na koniec dobiłem do takiej snadzizny<sup>164</sup>, iż mogłem porzucić reję i dobrnąć pieszo do brzegu, nie wiem, czym był bardziej zmęczony, czy też bardziej przejęty wdzięcznością względem Boga. W każdym razie odczuwałem i jedno, i drugie: gdyż byłem zmęczony jak nigdy przedtem i przejęty wdzięcznością względem Boga... jak bywałem nieraz poprzednio, choć nigdy z tak ważnej przyczyny, jak obecnie.

<sup>162</sup>stępa a. kil — belka spodnia okrętu. [przypis redakcyjny]

<sup>163</sup>magać — szybko przewracać, fikać (koziółki itp.). [przypis edytorski]

<sup>164</sup>snadzizna (daw.) — mielizna. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ XIV. WYSPA

Od czasu wyjścia na brzeg rozpoczął się najniebezpieczniejszy okres moich przygód. Było to już z pół godziny po północy, a chociaż wicher, powstrzymany lądem, tutaj nie docierał, noc w każdym razie była zimna. Nie odważałem się usiąść (gdyż myślałem, że zamarznę), lecz zdjąłem trzewiki i chodziłem boso tam i z powrotem po piasku, bijąc się w pierś dla rozgrzewki, pomimo niesłychanego osłabienia. Nie było tu słychać głosów ludzkich ni bydłych; nie ożywało się pianie koguta, choć była to mniej więcej pora ich pierwszego przebudzenia; jedynie kędyś<sup>165</sup> w oddali z hukiem roztrącały się przelewy pobrażne, co przywodziło mi na myśl niebezpieczeństwa moje i mego przyjaciela. Przechadzka nad morzem o tej godzinie przedświtowej, w miejscu tak odludnym i opustoszałym, przejmowała mnie jakowymś lękiem.

Skoro tylko brzask dnia zatlił się na niebie, obulem trzewiki i jąłem wspinać się na wzgórek (było to najcięższe gramolenie się w moim życiu) — zapadając się przez całą drogę w szczeliny pomiędzy wielkimi głazami granitu lub też skacząc z jednego na drugi. Gdy wydostałem się na szczyt, już świtało. Nigdzie nie było ani śladu okrętu, który pewno został zrzucony z rafy i zatonął. Również i łodzi nigdzie nie było widać. Na całym przestworze wodnym nie można było dojrzeć najmniejszego żagla, a na tym skrawku lądu, który mogłem zasięgnąć oczyma, nie było widać ani człowieka, ani osiedla.

Bąłem się myśleć, co stało się z moimi towarzyszami żeglugi, a obawą też przejmował mnie widok takiego pustkowi. I bez tego miałem dość strapienia, myśląc o swej przemokłej odzieży i znużeniu oraz o żołądku, który zaczął mi doskwierać od głodu. Przeto wyprawilem się wzdłuż południowego wybrzeża na wschód, spodziewając się znaleźć domostwo, gdzie mógłbym się ogrzać, a może i pozyskać wiadomości o tych, których straciłem z oczu. W najgorszym zaś razie (myślałem sobie) słońce rychło wstanie i wysuszy mi odzież.

Po pewnym czasie zostałem zatrzymany w drodze przez wąską odnogę morską, która zdawała się zachodzić dość daleko w głąb lądu; ponieważ nie miałem sposobu, by ją przebyć, byłem zniewolony zmienić kierunek, by dojść do jej końca. Okropna to była przeprawa; albowiem nie tylko całe Earraid, ale i przyległa połać Mull (tak zwany Ross) jest jeno<sup>166</sup> skupiskiem skał granitowych, przetkanych tu i owdzie wrzesiną<sup>167</sup>. Zrazu, jak mi się zdawało, odnoga stawała się coraz węższa, ale naraz, ku memu zdziwieniu, poczęła znów się rozszerzać. Poskrobałem się w głowę, ale jeszcze nie docieklek całej prawdy: aż dopiero na koniec doszedłem do pewnej wyniosłości, skąd w jednej chwili uprzytomniłem sobie, że zostałem porzucony na małej, odosobnionej wysepce i jestem zewsząd ogrodzony słonymi przestworami morskimi.

Zamiast słońca, które miało wzejść i mnie osuszyć, nadciągnął deszcz wraz z gęstą mgłą; toteż położenie moje było wprost oplakane.

Stałem tak na deszczu, trzęsąc się od zimna i zachodziłem w głowę, co począć, aż na koniec przyszło mi na myśl, że może uda się przejść w bród odnogę. Wróciłem więc do najwęższej cieśniny i pobrnąłem w wodę. Atoli nie uszedłem i trzech sążni<sup>168</sup> od brzegu, gdy wpadłem w toń powyżej uszu, a jeżeli słyszano jeszcze potem o mnie, zawdzięczam to raczej miłosierdziu Bożemu niż własnej roztropności. Nie zmokłem bardziej (gdyż było to rzeczą niemożliwą), ale jeszcze więcej przeziębłem po tym wypadku i, co najgorsza, postradałem już wszelką nadzieję.

Naraz ni stąd ni zowąd przypomniałem sobie reję. Jeżeli niosła mnie ona przez morskie zacieki, to z pewnością pomoże mi przebyć bezpiecznie tę małą odnogę. Ruszyłem więc nieustraszenie przez grzbiet wysepki, ażeby przynieść tu reję. Była to przeprawa ze wszech miar uciążliwa i gdyby nadzieja nie utrzymywała mnie na nogach, niechybnie bym się położył i zaniechał mego zamiaru. Czy to od morskiej słoności, czy też od wznastającej we mnie gorączki, zaczęło mnie nękać pragnienie, tak iż musiałem zatrzymywać się w drodze i wypijać mętną wodę z kałuż.

<sup>165</sup>kędyś (daw., gw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>wrzesina — zarośla wrzosowe; wrzosy. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>sążeń a. siąg — antropometryczna jednostka długości, definiowana jako zasięg rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny i równa ok. 2 m. [przypis edytorski]

Wreszcie, ledwo żywy, dowlokłem się do zatoki; na pierwszy rzut oka wydało mi się, że reja znajduje się nieopodal od miejsca, gdzie ją porzucił. Wszedłem więc — po raz już trzeci — w morze. Piasek był miękki i zbity i opadał stopniami w dół, tak iż mogłem brnąć dopóty, aż woda sięgała mi prawie po szyję, a drobne fale bryzgały mi w twarz. Ale na tej głębokości zacząłem tracić grunt pod nogami i nie śmiałem dalej się zapuszczać. Co się tyczy rei, widziałem ją kołyszącą się spokojnie na falach o jakie dwadzieścia stóp<sup>169</sup> dalej.

Aż dotąd trzymałem się dzielnie, ale doznawszy tego ostatniego rozczarowania, gdybym powrócił na brzeg, rzuciłem się na piaski i wybuchnąłem płaczem.

Czas, który spędziłem na wyspie, po dziś dzień przedstawia się mym myślom tak okropnie, że jestem zmuszony jeno w pobieżnych rysach o nim opowiedzieć. We wszystkich znanych mi księgach, które opowiadają o losie rozbitków, zawsze znajdował wiadomość, że albo mieli oni kieszenie pełne przyborów, albo też, jakby umyślnie, wraz z nimi wyrzucona została na brzeg skrzynia różnych sprzętów. Jam był w zgoła odmiennym położeniu. W kieszeniach nie miałem nic, oprócz pieniędzy i srebrnego guzika Alana, a ponieważ wychowałem się w głębi lądu, przeto brakło mi zarówno doświadczenia jak i środków.

Wiedziałem, bądź co bądź, że ostrygi i inne ślimaki powszechnie uchodzą za dobrą strawę; właśnie pośród skał wyspy znalazłem mnóstwo małż, których zrazu nie mogłem oderwać od ich siedliska, nie wiedząc, że trzeba czynić to od jednego zamachu i sprawnie. Ponadto było też trochę małych ślinciaków, które, o ile się nie mylę, nazywają turbaczkami. Te dwa gatunki mięczaków miałem za całą i jedyną żywność, zjadając je na zimno i na surowo, tak jakem je znajdował<sup>170</sup>; a byłem tak zgłodniały, iż początkowo wydawały mi się wyborne.

Czy to były one przestarzałe, czy też w morzu dokoła mej wyspy było coś niedobrego — dość na tym, że ledwo spożyłem to pierwsze śniadanie, pochwyliły mnie wymioty i zawrót głowy i przez czas jakiś leżałem na pół żywy. Powtórne zakosztowanie tejże strawy (boć zaiste nie miałem innej) lepiej mi posłużyło i wzmocniło mnie na siłach. Atoli dopókim był<sup>171</sup> na wyspie, nigdy nie wiedziałem, czego mam się spodziewać po jedzeniu; niekiedy wszystko było w porządku, niekiedy zaś wpadałem w okropną niemoc — i nigdy nawet nie potrafiłem odróżnić, który rodzaj mięczaków tak mi szkodził.

Przez cały dzień lał rzęsiasty deszcz; wyspa cała mokra była jak gąbka i niepodobna było na niej znaleźć skrawka suchej ziemi. W noc zaś ową, gdym spoczywał pomiędzy dwoma głazami, które tworzyły coś w rodzaju dachu, stopy moje nurzały się w bajorku.

Nazajutrz zacząłem zwiedzać wyspę na wszystkie strony. Żadna jej część nie była lepsza od drugiej; cała przestrzeń była pustynna i skalista; nigdzie nie było żywej istoty, prócz cietrzewi, na które nie miałem czym zapolować, i rybitw, które w niezmiernej liczebności roiły się na skalnych występach. Ale odnoga, czy raczej cieśnina, która oddzielała wysepkę od Ross, rozszerzała się na północy w zatokę, zatoka znowu rozszerzała się w sund<sup>172</sup> Iona; w sąsiedztwie tejże było miejsce, które obrałem sobie za domostwo, chociaż na samą myśl o domostwie w takim miejscu łzy rzucały mi się do oczu.

Wybór ten nie był bez przyczyny. W tej to części wyspy znajdowała się maleńka lepianka z wyglądu podobna do chlewa, w której zwykli byli sypiać rybacy, gdy przybywali tu w czasie połowu; atoli torfowy dach na niej zapadł się doszczętnie, tak iż z szalasu tego nie miałem pociechy, gdyż dawał mi mniejszą osłonę niż moje skały. Co ważniejsza, ślimaki, którymi się żywiłem, mnożyły się tu w wielkiej obfitości; gdy był odpływ, mogłem od razu gromadzić cały ich zasób — a było to niewątpliwie wielką wygodą. Ale była jeszcze inna, głębsza przyczyna, żem się tu osiedlił. Oto żadną miarą nie mogłem się oswoić z przerażającą pustką wysepki, ale wciąż rozglądałem się na wszystkie strony, niby człek ścigany, jednocześnie z lękiem i nadzieją, iż obaczę jakąś nadchodzącą postać ludzką. Otóż wyszedłszy nieco na stok wzgórza wznoszącego się nad zatoką, mogłem dojrzeć wielki, starożytny kościół oraz dachy domostw w Ionie; po drugiej zaś ręce, ponad nizina

<sup>169</sup>stopa — daw. miara długości, równa ok. 30,5 cm. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>jakem je znajdował — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak je znajdowałem. [przypis edytorski]

<sup>171</sup>dopókim był — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: dopóki byłem. [przypis edytorski]

<sup>172</sup>sund — cieśnina. [przypis edytorski]

Ross, widziałem rano i wieczorem bijące w górę dymy, jak gdyby pochodzące z jakiegoś siedliska w dolinie.

Zwykłem się przyglądać temu dymowi, gdy byłem zmokły i zziębnięty i gdy w głowie mi się zawracało od tej samotności; rozmyślałem wówczas o ognisku i ludzkim towarzystwie, aż serce gorzało mi tęsknotą. Tak samo bywało z dachami w Ionie. W ogóle ten widok ludzkich osiedli i wygodnego życia, acz rozogniał moją boleść, ożywiał jednocześnie moją nadzieję, pomagał mi spożywać mięczaki (do których niebawem nabrałem obrzydzenia) i wybawił mnie z poczucia grozy, jakiego doznawałem zawsze, ilekroć znalazłem się w zupełnej samotności pośród martwych skał i ptastwa<sup>173</sup>, wśród deszczu i chłodnej roztoczy morskiej.

Powiedziałem, iż widok ten utrzymywał we mnie i nadzieję; istotnie, wydawało się to rzeczą niemożliwą, bym miał być rzucony na pastwę śmierci na brzegach mego rodzinnego kraju, skąd można było dostrzec wieżę kościelną i dym ludzkich osiedli. Ale upłynął i drugi dzień; pomimo iż przez cały czas, póki było widno, bacznie wypatrywałem łodzi jadącej sundem lub ludzi przechodzących wzdłuż Ross, to jednak pomoc nikąd nie nadchodziła. Deszcz jeszcze kropił, więc położyłem się spać, wciąż jednakowo zmokły i dręczony bólem gardła, ale nieco pokrzepiony na duchu — może tym, iż przed zaśnięciem powiedziałem dobranoc moim najbliższym sąsiadom, mieszkańcom Iony.

Karol II głosił, że w klimacie angielskim można więcej dni do roku przepędzać pod gołym niebem niż w klimacie innych krajów. Łatwo to było mówić królowi mającemu pod bokiem pałac i zmianę suchej odzieży. Jednakowoż nawet w czasie ucieczki z Worcester ponoć bardziej dopisywało mu szczęście, niż mnie na tej nieszczęsnej wyspie. Był to najgorętszy okres lata, mimo to dżdżyło więcej niż przez dobę i nie wypogodziło się, aż dopiero na trzeci dzień popołudniu.

Był to dzień pełen wydarzeń. Rankiem obaczyłem<sup>174</sup> sarniego kozła o pięknie rozgałęzionych rogach, stojącego w deszczowej omży<sup>175</sup> na szczycie wyspy; atoli<sup>176</sup> ledwo mnie ten rogacz zoczył<sup>177</sup> wyłazącego spod skały, natychmiast zbiegł na drugą stronę. Przypuszczam, iż musiał on przepłynąć cieśninę, jednakże nie mogę pojąć, co mogło sprowadzać na Earraid jakąkolwiek zwierzynę.

Wkrótce potem, gdy hasałem wokoło, poszukując ślimaków, wzdrygnąłem się na widok gwinei, która upadła na skałę przede mną i błyszcząc potoczyła się w morze. Gdy żeglarze oddali mi pieniądze mnie należne, zatrzymali sobie nie tylko prawie trzecią część całkowitej sumy, ale i skórzaną sakiewkę mego ojca, tak iż od owego dnia nosiłem pieniądze luźno w kieszeni wraz z guzikiem. Obecnie przekonałem się, że w kieszeni musi być dziura, więc czym prędzej przytknąłem do niej swą rękę. Ale było to tyle, co zamykać stajnię, gdy już skradziono kobyłę. Gdym opuszczał wybrzeże w Queensferry, byłem panem bez mała pięćdziesięciu funtów, teraz zaś znalazłem przy sobie zaledwie dwie gwinee i jeden srebrny szyling.

Dodać winienem, że później znalazłem i trzecią gwineę, połyskującą na bryle torfu. Stanowiło to razem sumę trzech funtów i czterech szylingów w monecie angielskiej — całe mienie chłopaka-wyrostka, prawowitego dziedzica wielkiej majątności, który teraz głodował na wysepce, hen na najdalszym krańcu dzikiego Pogórza.

Ten stan mego mienia jeszcze więcej mnie rozżalił; i doprawdy położenie moje w owym trzecim dniu było iście oplakane. Odzież moja zaczęła butwieć, zwłaszcza zaś pończochy zdarły mi się na nic, tak iż łydki miałem już niemal obnażone; ręce mi całkiem popierzchły od nieustającej wilgoci, gardło okropnie mnie rozboleło, znacznie opadłem z sił, a cały mój organizm tak brzydził się ohydłą strawą, na której spożywanie był skazany, iż sam jej widok przyprawiał mnie o mdłości.

A wszakoż to, co najgorsze, jeszcze nie nadeszło.

W północno-zachodniej połaci Earraidu znajduje się dość wysoka skała, którą często nawiedzałem, ze względu iż na szczycie miała płasnię<sup>178</sup>, skąd roztaczał się widok na sund;

<sup>173</sup>ptastwo (daw.) — ptactwo. [przypis edytorski]

<sup>174</sup>obaczyć (daw.) — zobaczyć, spostrzec. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>omża — mżawka; drobny deszcz. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>zoczyć (daw.) — zobaczyć. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>płasnia — płaszczyna. [przypis edytorski]

zresztą nigdzie nie zatrzymywałem się dłużej, z wyjątkiem godzin snu, gdyż niedola moja nie dawała mi spokoju. Istotnie też zamęczałem się ustawiczną włóczęgą po deszczu.

W każdym razie, gdy słońce już się ukazało, ległem na szczycie tej skały, aby się wysuszyć. Nie potrafię wyśłowić rozkoszy, jaką dały mi blaski słoneczne. Pod ich wrażeniem zacząłem z otuchą myśleć o wybawieniu, w które poprzednio jużem był po trosze wątpił, i z ponownym zainteresowaniem przyglądałem się morzu oraz nizinie Ross. Na południe od mej skały spłacheć wyspy wybiegał w ten sposób, iż zasłaniał otwarte morze; tym sposobem jakowaś łódź mijająca wyspę mogła snadnie<sup>179</sup> przejeżdżać tuż koło mnie z tej strony, a jam mógł jej nie zauważyć.

Otóż, ni stąd ni zowąd, spoza tego narożnika wyspy wypadła łódź rybacka o brunatnym żaglu, zdążająca do Iony; siedziało w niej dwóch ludzi. Krzyknąłem na nich, a potem ukląknąłem na skale, wyciągnąłem w górę ramiona i zacząłem ich błagać o pomoc. Byli blisko na tyle, że mogli posłyszeć — zdołałem nawet rozpoznać barwę ich włosów; i nie masz wątpliwości, że mnie dojrzeli, gdyż śmiali się i pokrzykiwali coś po gallicku. Mimo to jednak łódź nie zawróciła z drogi i pędziła dalej, tuż przed mymi oczyma, w stronę Iony.

Nie mogłem uwierzyć w podobną niegodziwość, więc biegałem wzdłuż brzegu od skały do skały, wołając na nich żałośnie; nawet gdy oddalili się tak, iż głos mój nie mógł do nich dochodzić, jam wciąż krzyczał, wymachując ręką w ich stronę; kiedy zaś oni całkiem znikli z mych oczu, myślałem, że serce mi pęknie na ćwierci. Przez cały czas mej niedoli płakałem tylko dwukrotnie: raz, gdy nie mogłem dosięgnąć rei, drugi raz, gdy ci rybacy odjechali ode mnie, głusi na moje wołania. Ale tym razem płakałem i darłem się wniebogłosem jak niegrzeczne dziecko, rozdzierając paznokciami torfiasty nalot i przykładając twarz do ziemi. Gdyby życzenie zdolne było zabijać ludzi, ci dwaj rybacy nie doczekaliby następnego ranka i pewno zmarliby na wyspie.

Gdy już nieco uśmierzyłem gniew, wziąłem się znów do jedzenia — z łapczywością, której nie mogłem prawie opanować. Ale doprawdy, winienem był raczej się przepościć, gdyż ślimaki znów mnie struły. Znów zaczęły się dawać mi we znaki wszystkie me poprzednie dolegliwości; gardło miałem tak obolałe, iż ledwo mogłem przetykać; napadły mnie silne dreszcze, powodujące szczykowanie zębami; potem zaś nawiedziło mnie owo okropne poczucie słabości, na jaką nie masz nazwy w szkockim ni angielskim języku. Myślałem, że skonam, więc jednałem się z Bogiem, przebacząc wszystkim, nawet stryjowi i rybakom. I gdy tak przygotowałem umysł nawet na najgorsze ostateczności, jakaś dziwna jasność spłynęła na mą duszę. Zauważyłem, że noc nadchodząca była sucha i ciepła; suknie moje znacznie już podeschły; zaiste byłem w lepszym położeniu niż kiedykolwiek przedtem od czasu wylądowania na tej wysepce; przeto usnąłem na koniec, przejęty uczuciem wdzięczności względem Stwórcy.

Nazajutrz (a był to czwarty dzień tego okropnego żywota) czułem się bardzo kiepsko na siłach. Ale słońce świeciło, powietrze było miłe i rzeźwiące, a ślimaki, których nieco zjadłem, smakowały mi niezłe i nieco mnie wzmocniły.

Ledwom wyszedł znów na swą skałę (gdzie zawsze szedłem natychmiast po jedzeniu), ujrzałem łódź płynącą przez sund i, jak mi się zdawało, zmierzającą w moim kierunku.

Uczulem zarazem niepomierną obawę i otuchę; albowiem pomyślałem sobie, że ci ludzie może zawstydzili się swego okrucieństwa i wracali, by przyjść mi z pomocą. Atoli gdybym i dziś miał doznać takiego rozczarowania, jak wczoraj, nie wiem, czy zdołałbym je przeżyć. Mając to na względzie, odwróciłem się plecami do morza i nie obejrzałem się, ażem doliczył<sup>180</sup> do kilkuset. Łódź wciąż zmierzała ku wyspie. Odwróciłem się ponow-

<sup>179</sup>snadnie (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

<sup>180</sup>ażem doliczył — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: aż doliczyłem. [przypis edytorski]

nie i liczyłem do okrągłego tysiąca jak tylko mogłem najwolniej, a serce biło we mnie boleśnie. Ale teraz nie było już żadnej wątpliwości! Łódź płynęła wprost na Earraid!

Nie mogłem już ustać na miejscu, ale pobiegłem nad brzeg i dalejze chyba ze skały na skałę, jak daleko tylko zdołałem się dostać. Dziw, że nie utonął; albowiem, gdy zmuszony byłem na koniec się zatrzymać, nogi trzęsły się pode mną, a w ustach tak mi zaschło, że musiałem zwilżyć je wodą morską, zanim zdobyłem się na to, by krzyknąć.

Przez cały ten czas łódź podjeżdżała coraz to bliżej i potrafiłem już rozemnieć, że była to ta sama łódź i ci sami w niej ludzie, co wczoraj. Poznałem to po ich włosach, gdyż jeden miał jasno płowe, a drugi czarne. Ale obecnie był pomiędzy nimi i trzeci człowiek, który zdawał się należeć do lepszego stanu.

Skoro przybyli na odległość, skąd można się było swobodnie rozmówić, zwinęli żagiel i stanęli w miejscu. Pomimo mych błagań nie podjechali już bliżej, a co najwięcej mnie trwożyło, ów trzeci człowiek wybuchał śmiechem, rozmawiając z towarzyszami i poglądając na mnie.

Naraz powstał w łodzi i gadał do mnie przez czas jakiś, bełkocąc prędko i ustawicznie wymachując rękami. Odpowiedziałem mu, że nie rozumiem po gallicku; on na to bardzo się rozgniewał, a ja zacząłem przypuszczać, iż on mniemał, jakoby mówił po angielsku. Przysłuchując się z wielką uwagą pochwyciłem jedynie kilkakrotnie wyraz „*whateffer*<sup>181</sup>”, ale reszta była po gallicku... a było to dla mnie tyle samo, co tureckie kazanie.

— *What ever* — rzekłem, by mu pokazać, że pochwyciłem jedno słowo.

— Tak, tak... tak, tak... — rzecze on na to, a potem spojrzął na innych, jak gdyby chciał powiedzieć: „A co? Widzicie, że mówię po angielsku!”.

I zaczął znów, jakby nic, wysławiać się mową gallicką. Tym razem wyłowiłem inny znów wyraz: *tide*<sup>182</sup>. Na to słowo zabłysła nadzieja w moim sercu. Przypomniałem sobie, że on stale machał ręką w stronę Ross.

— Czy chcesz powiedzieć, że gdy przyjdzie odpływ...? — zawołałem i nie mogłem dokończyć.

— Tak, tak — odrzekł. — Odpływ.

Posłyszawszy to, obróciłem się tyłem do ich łodzi (na co mój doradca znów zarechotał śmiechem), począłem skakać znów z kamienia na kamień tą samą drogą, którą tu przyszedłem i hajże gnać na przełaj przez wyspę, jak jeszcze nigdy nie gonilem. Za jakie pół godziny doszedłem do brzegów odnogi; jakoż istotnie zwęziła się ona w małą smużkę wody, przez którą przebrnąłem, nie zanurzając się powyżej kolan i krzyknąwszy z uniesienia, wyszedłem na ląd przeciwny.

Inny chłopak, wychowany nad morzem, nie byłby ani dnia zamieszkał na Earraid; jest to bowiem jedynie tzw. wysepka przyplywowa, którą (z wyjątkiem czasu pierwszej i trzeciej kwadry księżycowej) można odwiedzać lub opuszczać dwa razy w ciągu każdej doby, bądź suchą nogą, bądź też, i to przeważnie, w bród. Nic też dziwnego, że rybacy mnie nie zrozumieli; dziwić się raczej należy, że w ogóle domyślili się mego nieszczęsnego złudzenia i zadali sobie fatygę, by powrócić. Konałem z zimna i głodu na tej wyspie bez mała przez sto godzin i gdyby nie rybacy, może bym położył tu swoje kości — przez prostą li nieświadomość. Ale i tak, jak było, zapłaciłem za nią gorzko, nie tylko przeszłymi cierpieniami, ale i tegoczesną swą dołą, gdyż byłem odziany jak żebrak, ledwo mogłem powłóczyć nogami, a obolałe gardło bardzo mi dokuczało.

Widywałem ci ja wielu ludzi złych i głupich i wierzę, że jedni i drudzy muszą okupić swą winę; atoli głupców pierwej to spotyka.

## ROZDZIAŁ XV. CHŁOPAK ZE SREBRNYM GUZIKIEM. DROGA PRZEZ WYSPĘ MULL

Ross Mull, na który teraz się dostałem, był górzysty i bezdrożny jak wyspa, którą dopiero co opuściłem; kędy spojrzeć, wszędy jeno trzęsawiska, cierniaki i olbrzymie glazy. Może tu i bywają drogi dla tych, którzy dobrze znają tę krainę; ale co do mnie, nie miałem i innego przewodnika jak koniec mego nosa i innego drogowskazu jak Ben More.

<sup>181</sup>*whateffer* — przekręcone z ang. *what ever*: cokolwiek. [przypis redakcyjny]

<sup>182</sup>*tide* (ang.) — przyływ a. odpływ morza. [przypis redakcyjny]

Kierowałem się, ile możliwości, na dym, który tak często widywałem z wysepki, aż około godziny piątej czy szóstej w nocy, pomimo ogromnego znużenia i niezmiennej uciążliwości drogi dowlokłem się do domu stojącego w małej kotlinie. Był on niski i podługowaty, pokryty torfem i zbudowany z kamieni niespajanych wapnem; na przyzbie siedział stary jegomość i, paląc fajkę, grzał się na słońcu.

Pomimo że posiadał niewielki zasób angielszczyzny, dał mi do zrozumienia, że moi towarzysze podróży dostali się cało na ląd i dnia poprzedniego posilali się w tymże domu.

— Czy był pomiędzy nimi — zapytałem — jeden ubrany po pańsku?

Odpowiedział, że wszyscy odziani byli w grube płaszcze, ale juści pierwszy z nich, który przyszedł samopas, miał na sobie pluderkę i pończochy, natomiast inni nosili szarawary marynarskie.

— Ach! — rzekę<sup>183</sup>. — A miał ci on<sup>184</sup> kapelusz z piórem?

Odpowiedział mi, że nie, gdyż ów człek przybył tu z gołą głową, jak i ja.

Zrazu myślałem, że Alan pewno zgubił kapelusz; potem zaś przypomniałem sobie deszcz i bardziej mi się wydało prawdopodobnym przypuszczenie, iż mój przyjaciel, nie chcąc swego nakrycia głowy na szwank narażać, schował je pod płaszcz. Uśmiechnąłem się, po trosze z radości z powodu ocalenia mego przyjaciela, po trosze na myśl o jego próżności w stroju.

Wówczas stary jegomość przyłożył rękę do czoła i zawołał, że ja to muszę być ów chłopak ze srebrnym guzikiem.

— A jakże! — odrzekłem, nieco zdziwiony.

— To dobrze — rzekł stary jegomość — mam dla ciebie zlecenie, że masz iść za swoim przyjacielem do jego stron rodzinnych, do Torosay.

Następnie zapytał mnie, jakem tu przywędrował<sup>185</sup>, ja zaś opowiedziałem mu swoje koleje. Mieszkaniec południowych okolic pewno by mnie wyśmiał, lecz ten stary jegomość (nazywam go tak ze względu na jego obycie, gdyż odzienie spadało mu strzępami z pleców) wysłuchał mnie z powagą i współczuciem. Gdy skończyłem, wziął mnie za rękę, wprowadził mnie do swej budy (bo jego sadyba nie zasługiwała na lepszą nazwę) i przedstawił mnie swej żonie, jak gdyby ona była królową, ja zaś księżciem.

Pocziwa kobiecina zastawiła przede mną placek owsiany i zimne pieczone z drobiu, uśmiechając się wciąż do mnie i klepiąc mnie po ramieniu, gdyż nie umiała mówić po angielsku, zaś stary jegomość, nie dając się jej wyprzedzić, nawarzył mi mocnej polewki z tamecznej<sup>186</sup> gorzałki. Gdym jadł<sup>187</sup>, co mi podano, a potem gdy popijałem polewkę, ledwo chciało mi się wierzyć własnemu szczęściu — i dom ów, acz zadymiony gęsto kopciem torfowym i pełen dziur jak rzeszoto, wydawał mi się istnym pałacem.

Polewka sprowadziła na mnie setne poty i twarde sen. Pocziwi ludziska dali mi spać spokojnie, tak iż było już południe dnia następnego, zanim ruszyłem w dalszą drogę; gardło już mi mniej dolegało, a humor mi się poprawił przez tę pomyślną podróż i pomyślne wiadomości. Stary jegomość, choć bardzo nań nalegałem, nie chciał przyjąć pieniędzy i dał mi stary kapelusz, bym miał czym osłonić głowę. Przyznam się jednak szczerze, że zaledwie domostwo zniknęło mi z oczu, natychmiast skwapliwie wypłukałem ten jego dar w pierwszej krynicy przydrożnej.

Przychodziło mi na myśl:

— Jeżeli to mają być owi dzicy górale, rad bym, by moi rodacy byli jeszcze dziksi.

Nie dość, że wyruszyłem późno, ale musiałem wędrować niemal przez połowę doby. Prawda, że spotykałem wielu ludzi grzebiących się na małych półkach, na których ledwo że psinę można by utrzymać, albo pasących małe krówki wielkości osiołków. Ponieważ od czasu powstania prawo zabroniło noszenia odzieży góralskiej, lud był skazany na przywdziewanie strojów nizinnych, których tu nie cierpiano — więc dziwno było pozierać<sup>188</sup> na różnorodność ich przyodziewku. Jedni chodzili prawie nago, osłonięci jedynie ob-

<sup>183</sup>rzekę — daw. forma; inaczej: mówię, powiem. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>miał ci on — konstrukcja z partykulą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>jakem tu przywędrował — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak tu przywędrowałem. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>tameczny (daw.) — tamtejszy. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>gdym jadł — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: gdy jadłem. [przypis edytorski]

<sup>188</sup>pozierać (gw.) — spoglądać. [przypis edytorski]



wisłym płaszczem lub kurtą, a własne hajdawery nosili na plecach, ni to nieprzydatny gałgan; niektórzy porobili sobie coś w rodzaju pledu z małymi różnobarwnymi pasemkami, pozszywanymi jak kołdra starej baby; inni znów nosili jeszcze szkocki *philabeg*<sup>189</sup>, jednakowoż za pomocą przyszycia paru skrawków sukna pomiędzy nogami przerobili go na spodnie w rodzaju tych, jakie noszą Holendrzy. Wszystkie te wybiegi były karane, gdyż prawo stosowano z całą surowością, w nadziei przełamania zawziętości klanów; ale na tej ustronnej, śródmorskiej wyspie mało było takich, którzy by za to czynili komu wymówki, a jeszcze mniej takich, którzy by donosili o tym władzy.

Znać tu było wielką nędzę, co było zupełnie zrozumiałe wobec panujących grabieży i wobec ukrócenia władzy naczelników. Wszystkie drogi (nawet taka ścieżka<sup>190</sup> śródpolna, po jakiej ja szedłem) roiły się od żebraków. I znów tu zauważyłem różnicę między tym krajem a moją okolicą. Nasi, dółscy<sup>191</sup> żebracy mają zwyczaj czapkować, kłaniać się i przypochlebiać, a jeżeli dasz im pieniądz i zażadasz reszty, oddadzą ci nader grzecznie tyle, ile się należy. Natomiast żebracy szkoccy wszędy okazują swą wyniosłość, gdy proszą o jałmużnę, to tylko na kupienie tabaki (tak przynajmniej opowiadają) i nigdy nie oddają reszty.

Oczywiście nie obchodziło mnie to wcale, co najwyżej nieco zabawiało w drodze. Co ważniejsza<sup>192</sup>, niewielu ludzi, których spotykałem, umiało mówić po angielsku, a i ci nieliczni — o ile nie należeli do braci żebrzącej — niezbyt się kwapili używać tego języka na moje usługi. Wiedziałem, że celem mej podróży jest Torosay, więc powtarzałem im tę nazwę, wskazując na migi, o co mi szło; atoli<sup>193</sup> zamiast zwykłego wskazania mi drogi, dawano mi wyjaśnienia po gallicku, co do cna zbijało mnie z tropu; nic też dziwnego, że często bądź zbaczałem z drogi, bądź też po niej kołowałem.

Na koniec, około ósmej wieczorem, gdym już był zmęczony nie na żarty, doszedłem do samotnego domu i jałem prosić, by mnie doń wpuszczono. Spotkałem się z odmową — aż dopiero uświadomiwszy sobie, jaki urok ma pieniądz w tak ubogiej krainie, podniosłem w palcach jedną z mych gwinei; wtedy gospodarz, który dotychczas udawał, że nie umie po angielsku i znakami rąk odganiał mnie od dźwierzy<sup>194</sup>, naraz zaczął mówić tak wyraźnie, jak było potrzeba, i za pięć szylingów zgodził się mnie przenocować i doprowadzić mnie nazajutrz do Torosay.

Tej nocy spałem niespokojnie, bojąc się, by mnie nie ograbiono; jednakże niepotrzebnie dręczyłem sam siebie, gdyż gospodarz mój nie był złodziejem, ale biednym kmiotaszkiem<sup>195</sup> i wielkim filutem. W swym ubóstwie nie był odosobniony, gdyż nazajutrz musieliśmy iść aż pięć mil do domu człeka, zwanego przezeń bogaczem, ażeby zmienić jedną z mych gwinei. Człek ten mógł być sobie bogaczem w Mull, ale na południu nikt by go nie obdarzył tym mianem; albowiem w sam raz tyle, ile nam było potrzeba, wynosiła cała jego gotowizna — cały dom przetrząśnięto, zanim zdołano wygrzebać i zebrać do kupy dwadzieścia szylingów srebrem. Nadwyżkę jednego szylinga<sup>196</sup> przywłaszczył sobie, utyskując, że mógłby źle wyjść na tym, gdyby tak wielka suma pieniędzy miała być „uwięziona”. Mimo wszystko był bardzo uprzejmy i bardzo rozmowny, zaprosił nas obu do obiadu ze swą rodziną i ugotował nam ponczu w pięknej porcelanowej wazie, na którą szelma mój przewodnik takiej nabrał ochoty, iż odmówił pójścia ze mną w dalszą drogę.

Oburzyłem się na to i odwołałem się do bogacza (Hektor Maclean było jego miano), który był świadkiem naszej umowy i zapłacenia przeze mnie pięciu szylingów. Atoli Maclean też przebrał miarkę w ponczu i ślubował, że skoro uwarzył poncz, nie pozwoli żadnemu z nas odejść od stołu; nie pozostało zatem nic innego, jak siedzieć i przysłuchiwać się to toastom jakobickim, to gallickim śpiewkom, aż na koniec wszyscy mieli tęgo w czubie i, zataczając się, podążyli do łóżek bądź do stodoły na nocny spoczynek.

Nazajutrz (był to już czwarty dzień mych wędrówek) wstaliśmy przed piątą, ale szelma mój przewodnik przysiadł się od razu do butelki, tak iż trzy godziny upłynęły, zanim

<sup>189</sup>*philabeg* — spódniczka, jaką noszą górale szkoccy. [przypis redakcyjny]

<sup>190</sup>ścieżka — zgrubienie od: ścieżka. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>dółski — pochodzący z dolin. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>co ważniejsza — daw. forma; znaczenie: co jest ważniejsze, że. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>194</sup>dźwierze (daw.) — drzwi, wrota. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>kmiotaszek — zdrobn. od: kmiot, kmiołek; chłop, przedstawiciel ludu. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>nadwyżka jednego szylinga — gwinea od r. 1717 miała wartość 21 szylingów. [przypis redakcyjny]

udało mi się wyciągnąć go z domu i to (jak się dowiecie), by doznać tym większego rozczarowania.

Dopóki szliśmy wrzosistą doliną, ciągnącą się przed domem pana Macleana, wszystko było w porządku, jedynie mój przewodnik raz wraz obzierał się przez ramię poza siebie, a gdy go zapytał o przyczynę, wyszczerzył tylko zęby na mnie. Wszakże zaledwie przeszliśmy grzbiet wzgórza i straciliśmy z oczu okna domostwa, ów łotr rzecze mi, że Torosay leży w sam raz przed nami, a owo wzgórze (to mówiąc, wskazał mi jego wierzchołek) będzie mi najlepszym drogowskazem.

— Bardzo mnie to mało obchodzi — odrzekłem — boć waćpan idziesz ze mną.

Bezczelny frant odpowiedział mi po gallicku, że nie rozumie angielszczyzny.

— Miły bracie — rzekę na to — wiem doskonale, jak władasz angielszczyzną. Powiedz mi, co ci może przywrócić jej znajomość? Czy chcesz więcej pieniędzy?

— Jeszcze pięć szylingów — powiedział ów — a sam cię tam zaprowadzę.

Namyślałem się przez chwilę, po czym ofiarowałem mu dwa szylingi, które on przyjął łapczywie i nalegał, by mu je zaraz wypłacić na rękę — „na szczęście”, jak powiadał, lecz jak ja myślę — raczej na moje nieszczęście.

Te dwa szylingi poprowadziły go zaledwie przez parę mil; przebywszy tę przestrzeń, usiadł sobie przy drodze i zdjął z nóg chodaki, jakby zabierając się do wypoczynku.

Poczerwieniałem od gniewu.

— Ha! — odezwałem się. — Znow nie rozumiesz po angielsku?

Beskurcyja<sup>197</sup> odrzekł mi zuchwale:

— Nie!

Na to zakipiałem wściekłością i podniosłem rękę, chcąc go uderzyć; on jednak, wydobyszy nóż z lachmanów, przygiął się i wyszczerzył na mnie zęby jak żbik. Wówczas skoczyłem nań w zapamiętałem uniesieniu, lewą ręką odtrąciłem mu nóż, a prawą prasałem go w gębę. Byłem krzepkim młokosem i porywał mnie wielki gniew, natomiast przewodnik był sobie mizernym człeczyną, tak iż mój rozmach obalił go plackiem na ziemię. Szczęśliwy traf zrządził, że upadając wypuścił nóż z ręki.

Pochwyciłem ową broń i jego chodaki, powiedziałem chłopu do widzenia i ruszyłem w drogę, zostawiając go bosym i bezbronnym. Idąc, śmiałem się w głos sam do siebie, upewniwszy się z wielu przyczyn, iż będę miał spokój od tego draba. Po pierwsze wiedział on, że nie dostanie już ode mnie ani złamanego szeląga, po wtóre chodaki mają w tym kraju wartość bodaj że paru pensów; wreszcie noszenie noża, który naprawdę był puginałem<sup>198</sup>, było mu zabronione prawem.

W jakie pół godziny drogi napotkałem rosłego, obszarpanego mężczyznę, który szedł dość prędko, ale wymacując laską drogę przed sobą. Był całkiem ślepy a nadto opowiedział mi, że jest katechetą, co powinno było usposobić mnie dlań życzliwie. Atoli twarz jego była mi wstrętna: wydawała się ciemna, złowroga i tajemnicza; ponadto, gdy zaczęliśmy iść pospołu, ujrzałem stalową lufę pistoletu, wystającą spod klapy kieszeni w jego surducie. Noszenie takiej broni groziło w pierwszym wypadku grzywną piętnastu funtów sterlingów, a w razie ponowienia się przestępstwa — zesłaniem do kolonii. Nie mogłem też dociec, czemu nauczyciel religii chadza z bronią, ani też czego człek ślepy dokaże z pistoletem.

Opowiedziałem mu o swym przewodniku, gdyż byłem dumny z tego, com uczynił, a próżność moja zajęła miejsce zwykłej ostrożności. Na wzmiankę o pięciu szylingach ślepiec krzyknął tak głośno, iż postanowiłem sobie, że ani nie pisnę o dwu następnych, i rad byłem, że on nie widział rumieńców na mej twarzy.

— Czyżby to było za wiele? — zapytałem, nieco się zająkując.

— Za wiele! — krzyknął katecheta. — Ba, ja cię zaprowadzę do Torosay za tyk gorzałki. A ponadto sprawię ci wielką przyjemność mym towarzystwem... bom ci jest człkiem nieco uczonym.

Odpowiedziałem, iż nie wiem, jakim sposobem człek ślepy może służyć za przewodnika; na to ów roześmiał się głośno i odrzekł, że jego kij starczy mu za sokole oczy.

<sup>197</sup>beskurcyja (gw.) — nicpoń, łobuz. [przypis edytorski]

<sup>198</sup>puginał (z łac. *pugio*) — także starop.: tylec; daw. broń sieczna, miniaturowy miecz; sztylet. [przypis edytorski]

— Przynajmniej na wyspie Mull — dodał — bo znam tu każdy kamień i każdą kępę wrzosu. Patrz no — mówił, uderzając na prawo i lewo, jak gdyby chcąc się upewnić — tam w dole płynie strumyczek; u jego źródła wznosi się mały wzgórek, na którego szczycie sterczy głaz; u samego podnóża wzórka biegnie droga do Torosay; droga ta, ponieważ często po niej pędzą trzody, jest wydeptana i widoczna wśród wrzosów.

Musiałem przyznać, że miał rację w każdym szczególe, więc wyraziłem swe zdziwienie.

— Ha! — rzekł on na to. — To jeszcze fraszka. Czy uwierzysz mi teraz, że zanim wyszła ustawa i wolno było w tym kraju nosić broń, ja umiałem i strzelać? Tak, i jak jeszcze umiałem! — zawołał, po czym ozwał się drwiąco. — Jeżelibyś miał tu na ten przykład jaki pistolet, bym mógł go spróbować, pokazałbym ci, jak to bywało.

Odpowiedziałem, że nic podobnego nie posiadam przy sobie i odsunąłem się dalej od niego. Gdybyż on wiedział, że pistolet jego wystawał w tej chwili całkiem wyraźnie z kieszeni i że mogłem widzieć odbłask słońca na stalowej lufie! Ale na całe moje szczęście, on nie wiedział o niczym, myśląc, że wszystko było schowane i spoczywało w ciemności.

Następnie zaczął przebiegle mnie wypytywać, skąd przybywam, czy jestem bogaty, czy mogę mu zmienić pięcioszylingową sztukę monety, którą — jak powiedział — ma w swej kalecie, a przez cały ten czas dybał wciąż na mnie, ja zaś odsuwałem się od niego. Znajdowaliśmy się teraz na wydeptanej przez bydło drożyni, która przecinając pagórki, szła ku Torosay, i ustawicznie przechodziliśmy to na tę to na tamtą stronę, jak tancerze w szkockim tańcu, zwanym *reel*. Miałem na tyle przewagę, iż nabierałem coraz większego humoru, a nawet bawiłem się tym wyprowadzaniem ślepca w pole; atoli katecheta wpadał w coraz to większy gniew, aż na koniec zaczął kląć po gallicku i wymachiwać kosturem, chcąc uderzyć mnie po nogach.

Wtedy odpowiedziałem mu, że i ja mam pistolet w kieszeni, zarówno jak i on, więc jeżeli nie zabierze się i nie pójdzie za wzgórze ku południowi, to z miejsca strzelę mu w łeb.

On stał się naraz bardzo grzeczny i zrazu próbował mnie przejednać, ale widząc, że się to na nic nie zda, obrzucił mnie ponownie przekleństwami w języku gallickim i wziął nogi za pas. Przyglądałem mu się, jak kroczył przez mokradła i piargi, postukując kosturem, aż obszedł występ wzórza i znikł w najbliższej zakłęśninie. Wtedy ruszyłem znów w drogę do Torosay, o wiele więcej rad, że idę samopas, niż z owym mężem uczonym. Był to dzień niepomyślny, a ci dwaj ludzie, od których kolejno udało mi się uwolnić, byli najgorszymi ludźmi, z jakimi spotkałem się na Pogórze.

W Torosay, nad sundem Mull, po którego stronie przeciwnej widać stąd ziemię Morven, znalazłem gospodę, której właściciel, jak się okazało, zwał się znowuż Maclean, a pochodził z bardzo zacnej rodziny; albowiem utrzymywanie gospody jest na Pogórze uważane za zacniejsze rzemiosło, niż u nas, może dlatego iż daje możność popisania się gościnnością, a może dlatego, że jest to zawód niefrasośliwy i hulaszczy. Gospodarz ten mówił dobrze po angielsku, a przekonawszy się, że nieco szkoły powąchał, spróbował mnie najpierw w francuszczyźnie, w czym łatwo mnie pobił, potem zaś w łacinie, w której nie wiem, kto z nas dwu lepiej się okazał. To miłe współzawodnictwo postawiło nas od razu na przyjaznej stopie; siadłem więc i piłem z nim poncz (albo raczej, ściślej mówiąc, siadłem i przyglądałem się, jak on pił), aż on tak sobie zalał pałę, iż zaczął płakać w moich objęciach.

Wziąłem go na próbę, pokazując mu, jakby od niechcenia, guzik Alana; lecz przekonałem się, iż ów ani nie widział tego guzika, ani też o nim nie słyszał. Bo też, mówiąc nawiasem, żywił on jakąś niechęć do rodziny i przyjaciół Ardshiela, a zanim się upił, odczytał mi paszkwil, napisany przezeń wierszami elegijnymi i doskonałą łaciną, ale treści bardzo plugawej, na jedną z osób domu.

Gdy opowiedziałem mu o katechecie, potrząsnął głową i powiedział, że powinienem poczytać sobie za wielkie szczęście, iż udało mi się wyjść na sucho.

— Jest to człek wielce niebezpieczny — objaśnił — a zwie się Duncan Mackiegh; umie celnie strzelać ze słuchu na odległość paru sążni, a często oskarżano go o rabunki przydrożne, raz nawet o zabójstwo.

— Co najpyszniejsze — dodałem — to że on nazwał się katechetą.

— A czemużby nie miał się nazywać — rzecze mój gospodarz — kiedy właśnie taki jest jego zawód? Zaprawił go do tego Maclean z Duart, bacząc na jego ślepotę. Może

jednak źle się stało, gdyż on teraz wciąż włóczy się po drogach z miejsca na miejsce, aby egzaminować młodzież z katechizmu, ta zaś włóczęga jest dla nędzarza wielką pokusą.

W końcu, gdy gospodarz nie mógł już pić, zaprowadził mnie do łóżka; położyłem się w doskonałym humorze, przewędrowawszy większą część wielkiej i pogiętej wyspy Mull, od Earraid do Torosay — (pięćdziesiąt mil w locie ptaka, a drogą pieszą bez mała sto) w ciągu czterech dni i bez wielkiego zmęczenia. Zaiste w lepszym usposobieniu i zdrowiu byłem pod koniec tej długiej pielgrzymki, aniżeli na jej początku.

## ROZDZIAŁ XVI. CHŁOPAK ZE SREBRNYM GUZIKIEM. DROGA PRZEZ MORVEN

Pomiędzy Torosay i Kinlochaline, które leży na wielkim łądzie, jest już stała przeprawa na krypach. Oba brzegi cieśniny należą do włości możnego klanu Macleanów, a ludzie, którzy przeprawiali się ze mną, byli niemal wszyscy z tego klanu. Swoją drogą, właściciel krypy nazywał się Neil Roy Macrob; ponieważ zaś Macrob było to nazwisko jednego ze stryjców Alana, a sam Alan posłał mnie do tego przewozu, więc pragnąłem wejść w poufną pogawędkę z Neilem Roy.

Oczywiście w natłoczonej łodzi było to rzeczą niemożliwą, a przeprawa odbywała się nader ślamazarnie. Nie było wiatru, a ponieważ łódź była nędznie zaopatrzona, więc można było poruszać dwoma wiosłami z jednej strony, a jednym z drugiej. Wszelakoż wiosłarze okazywali jak najlepsze chęci, byśmy mogli posuwać się naprzód; podróżni pomagali im, szepcząc zaklęcia, a cała drużyna podawała takt, pośpiewując wiosłarską pieśń gallicką. Wśród tych śpiewów, w rzeźwiącym powietrzu morskim, przy dobrych humorach wszystkich tu obecnych i przy pięknej pogodzie przeprawa odbywała się wcale przyjemnie.

Ale była też jedna scena posepniejsza. W wylocie Loch<sup>199</sup> Aline zastaliśmy wielki okręt morski stojący na kotwicy; zrazu przypuszczałem, iż jest to jeden z krążowników królewskich, które latem i zimą przebywają koło tamtejszych wybrzeży, aby zapobiegać komunikacji z Francją. Gdy podjechalśmy bliżej, wyszło na jaw, iż był to okręt kupiecki; co zaś najwięcej mnie zaintrygowało, nie tylko jego pokłady, ale i wybrzeże morskie, czerniły się od ludzkiego pogłowia, a łodzie ustawicznie przepływały pomiędzy nimi tam i z powrotem. Podjechalśmy jeszcze bliżej, a do naszych uszu zaczął dochodzić głos wielkiej żałosci: ludzie stojący na pokładach i na brzegu krzyczeli na siebie wzajem i lamentowali, aż serce się krajało.

Wtedy pojąłem, iż jest to okręt z wychodźcami odjeżdżający do kolonii w Ameryce.

Gdy nasza krypa mijala ten okręt, wychodźcy jęli wychylać się ponad nadburcia, płacząc i wyciągając ręce do mych towarzyszy podróży, wśród których napotkali kilku bliskich przyjaciół. Nie wiem, dokąd by się to przeciągało, gdyż oni ponoć całkiem nie liczyli się z czasem, aż na koniec kapitan okrętu, który zdawał się (co nie dziwota) odchodzić od zmysłów wśród tej wrzawy i zamętu, podszedł do burty i prosił nas, byśmy się oddalili.

Wtedy Neil ruszył w dalszą drogę, zaś śpiewak, dzierżący prym w naszej łodzi, podjął żalosną i tęskną śpiewkę, którą wraz podchwycili zarówno wychodźcy, jak i ich przyjaciele na wybrzeżu, tak iż rozbrzmiała ona zewsząd niby zawołanie nad umierającym. Widziałem, jak łzy ciekły po licach mężczyzn i kobiet w łodzi; płakali nawet ci, co pochylali się nad wiosłami, a okoliczności i nuta tej pieśni nawet na mnie samym uczyniły wielkie wrażenie.

W Kinlochaline zdybałem Neila Roya na uboczu ponad brzegiem i rzekłem mu, iż jest on zapewne jednym z ludzi Appińskich.

— A czemużby nie! — odrzekł.

— Właśnie poszukuję tu kogoś — mówię mu — i przyszło mi do głowy, że waćpan będziesz miał o nim wiadomości. Człowieka tego zwą Alan Breck Stuart.

I w swej głupocie, zamiast pokazać mu guzik, starałem się wsunąć mu w rękę szyling; on na to odwrócił się do mnie plecami.

— Czuję się bardzo dotknięty — rzecze — boć zgoła w nie taki to sposób winien się odnosić szlachcic do szlachcica. Człek, którego aś szukasz, bawi we Francji... atoli nawet,

<sup>199</sup>Loch a. Lough — jezioro lub odnoga morska. [przypis redakcyjny]

gdybym miał go w swej sakwie, a waćpan miałbyś trzos pełen złota, nie naruszyłbym ani włoska na jego głowie.

Obaczyłem się, iżem wybrał złą drogę do celu, więc nie tracąc czasu na usprawiedliwienia, pokazałem mu guzik, spoczywający w zagłębieniu mej dłoni.

— Mościuwy! — rzecze Neil. — Toć myślę, żeście mogli rozpocząć od tego końca! Alić skoro to aść jesteś chłopak ze srebrnym guzikiem, to wszystko w porządku, boć polecono mi, bym czuwał nad bezpieczeństwem waszmości. Atoli, jeżeli wolno mi powiedzieć szczerze, jest jedno miano, którego waćpanu nigdy nie wolno wymawiać, tym zaś mianem jest nazwisko Alana Brecka; i jest też jedna rzecz, której nie powinienes asan nigdy czynić, a tą jest ofiarowanie brudnego grosiwa szlachcicowi szkockiemu.

Bardzo mi było niesporo się tłumaczyć, gdyż przecie nie wypadało mi powiedzieć (co było prawdą), że, dopóki mi sam tego nie powiedział, nigdy bym go nie posądził o to, iż był szlachcicem. Neil ze swej strony nie miał ochoty nazbyt długo wdawać się ze mną, chciał tylko wypełnić polecenia i basta; toteż pokwapił się dać mi wskazówki co do dalszej drogi. Miałem więc przemocować w zajezdnej gospodzie w Kinlochaline, nazajutrz zaś, przebywszy Morven, dotrzeć do Ardgour i przemocować w domu niejakiego Jana z Claymore, który był uprzedzony o możliwości mego przybycia; na trzeci dzień miałem przeprowić się przez dwie odnogi morskie: jedną w Corran, drugą w Ballachulish, a potem dopytać się o drogę do domu Jakuba z Wąwozów, w Aucharn, należącym już do włości Appinu. Jak widzicie, często trzeba się tu było przewozić, gdyż wszędy w tej okolicy morze wrzyna się głęboko w góry i wije się dokoła ich podnóża, wskutek czego kraina ta trudna do uprawy i uciążliwa w podróży, lecz pełna niezwykle dzikich i wstrząsających widoków.

Dostałem parę jeszcze innych zleceń od Neila: ażeby nie rozmawiał z nikim po drodze, unikał wigów, Campbellów i „czerwonych żołnierzy<sup>200</sup>”, ażeby schodził z gościńca i krył się po krzakach, jeżeli obaczę nadchodzącego kogoś ze wspomnianych — „boć spotkanie z nimi nigdy szczęścia nie przynosi”. Słowem, miałem się zachowywać jak zbójca lub jak wysłannik jakobicki, za jakiego pewno Neil mnie poczytywał.

Gospoda w Kinlochaline była to nora nędzna i licha niczym chlew dla nierogacizny, pełna dymu, kąśliwego robactwa i mrukliwych górali. Byłem niezadowolony nie tylko z mej kwatery, ale i z siebie z powodu potraktowania mnie przez Neila; zdawało mi się, że nie mogłem być gorzej wystrychnięty na dudka. Jednakowoż bardzom się pomylił, jak niebawem miałem się przekonać; albowiem nie zabawiłem jeszcze pół godziny w karczmie (stojąc przeważnie w drzwiach, ażeby nie narażać oczu na kłęby gryzącej sadzy), gdy powstała burza, strugi wody zalały wzgórek, na którym stała karczma, a jeden koniec domu stał się istną rzeką powodzi. Gospody bywały podówczas kiepskie w całej Szkocji, jednakowoż dziwno mi było, gdym musiał brnąć w wodzie, powyżej kostek, by od kominka przedostać się do łóżka, jakie dano mi do spania.

Nazajutrz wczesnym rankiem spostrzegłem małego, ale wyniosłego i uroczystego mężczyznę, który szedł wolno, szeroko rozstawiając nogi; od czasu do czasu zatapiał się w czytanie jakiejś książki, to znowu palcem oznaczał sobie miejsce przeczytane. Ubrany był przyzwoicie i skromnie, a odzież jego przypominała nieco krój szat duchownych.

Przekonałem się, iż był to zasię drugi katecheta, ale całkiem innego pokroju niż ów ślepiec z Mull; jakoż należał on do tych, których wysyłało Edynburskie Towarzystwo Rozkrzewiania Nauki Chrześcijańskiej, by głosili Ewangelię w co dzikszych zakątkach Pogórza. Nazwisko jego było Henderland; mówił rozlewnym narzeczem południowym, za którego dźwiękiem jużem się tak po trosze stęsknił; oprócz tego, że łączyła nas wspólność stron rodzinnych, znaleźliśmy niebawem inny przedmiot ściślejszego jeszcze zainteresowania. Albowiem mój zacny przyjaciel, proboszcz z Essendean, przelożył był swojego czasu na język gallicki znaczną ilość hymnów i ksiązek nabożnych, którymi w pracy swej posługiwał się Henderland, mając je w wielkim poszanowaniu; w sam raz jedną z nich niósł w rękę i odczytywał, gdyśmy się spotkali.

Pokumaliśmy się od razu z sobą, jako że aż do Kingairloch wypadło nam iść pospołu. Przez drogę on zatrzymywał się i gawędził ze wszystkimi przechodniami i robotnikami, jakich mijaliśmy lub spotykali; choć ja tam po prawdzie nie potrafiłbym powiedzieć, o czym oni tam rozprawiali, wszakoż osądziłem, że pan Henderland musi być bardzo

<sup>200</sup>czerwoni żołnierze — Anglicy. [przypis redakcyjny]

lubiany w tej krainie, gdyż zauważyłem, że wielu rozmówców dobywało węzełków i częstowało go tabaką.

Opowiedziałem mu o swych przygodach tyle, ile uznałem za stosowne, to jest tyle, ile one nie dotyczyły Alana; nadmieniałem, że idę do Balachulish, ażeby spotkać się z przyjacielem — albowiem wydawało mi się, że wzmianka o Aucharn lub chociażby Duror byłaby zbyt szczegółowa i mogłaby naprowadzić go na pewne poszlaki.

On ze swej strony opowiadał mi dużo o swej pracy i o ludziach, wśród których pracował, o ukrywających się księżach i jakobitach, o dekrete rozbrojenia i o innych ciekawostkach owych czasów i okolic. Wydał mi się człkiem wyrozumiałym; stawiał parę zarzutów parlamentowi, szczególnie zaś ten, że dekret zawierał surowsze zarządzenia przeciw tym, którzy nosili strój góralski, niż przeciwko tym, którzy nosili oręż.

Ta wyrozumiałość nasunęła mi myśl, by zapytać go o Rudego Lisa i dzierżawców Appińskich; pytania te, jak mniemałem, mogły się wydawać zgoła naturalne w ustach człeka podróżującego w te okolice.

On odrzekł, iż ta sprawa źle się przedstawia.

— Dziwić się należy — powiadał — skąd dzierżawcy wynajdują pieniądze, gdyż życie ich to istna głodówka. Aśc nie nosisz przy sobie takiej rzeczy, jak tabaka, panie Balfour? Nie? No, to mogę się bez niej obyć. Ale ci dzierżawcy (jakom powiadał) są bez wątpienia poniekąd zniewaleni do tego. Jakub Stuart w Duror (ów, którego zwą Jakubem z Wąwozów) jest przyrodnim bratem Ardshielu, naczelnika klanu; ten zaś jest człkiem bardzo poważanym i sprawuje surowe rządy. Ponadto jest też człek, zwany Alan Breck...

— Ach! — wykrzyknąłem. — I cóż o nim wiadomo?

— A cóż wiadomo o wicherze, który wieje, kędy mu się żywnie podoba? — rzekł Henderland. — On chadza tędy i owędy; dziś przyjdzie, jutro odejdzie, skrada się jak żbik po wrzosowiskach. Możeć on w tej chwili przygląda się nam obu spoza tamtego krzaka tarniny... nie dziwiłbym się wcale, gdyby tak było! Nie ma aśc przy sobie przypadkiem tabaki?

Odpowiedziałem, że nie mam, nadmienając, że zapytywał mnie już o to niejednokrotnie.

— Bardzo możliwe — rzekł wzdychając. — Atoli wydaje mi się rzeczą dziwną, iż aśc jej nie nosisz. W każdym razie, jakom powiadał, ten Alan Breck to zuchwały, desperacki drapichrust i powszechnie wiadomo, że jest prawą ręką Jakuba. Na jego głowę już z dawna nałożono cenę; on jednak niczego się nie lęka i jest też rzeczą możliwą, że gdyby któryś z dzierżawców wzbraniał się go posłuchać, dostałby pchnięcie sztyletem pod żebro.

— Przykre sprawy opowiadasz mi, panie Henderland — powiadam na to. — Jeżeli obie strony jedynie wywierają postrach, to już nie chcę słuchać o tym wszystkim.

— Nie — odrzekł pan Henderland — jest ci w tym i miłość, i poświęcenie, które mogłoby zawstydzić takich, jak ty i ja. Jest w tym coś pięknego; może niezupełnie po chrześcijańsku, ale po ludzku bardzo to piękne. Nawet Alan Breck, wnosząc ze wszystkiego, com o nim słyszał, jest rycerzem zasługującym na szacunek. W naszych stronach trafi się niejeden, co przesiaduje w kościele i ma mir u ludzi, a jest może daleko gorszym człowiekiem, panie Balfour, aniżeli ten zbłąkany na złe drogi rozlewca krwi ludzkiej. Tak, tak, moglibyśmy od nich pobierać naukę... Asan pewno mniemasz, żem spędził czas dłuższy na Pogórze? — dodał, uśmiechając się.

Odpowiedziałem, że bynajmniej, bom ci ja sam widział u górali wiele rzeczy podziwu godnych, a jeżeli o tym mowa, to i sam pan Campbell był rodem z Pogórze.

— Tak — odrzekł mój towarzysz. — Zacna to krew.

— A po co tu przybył pełnomocnik królewski? — zagadnąłem.

— Colin Campbell? — ozwał się Henderland. — Wetknął nos do ula pszczelnego!

— On ma siłą wpływać na dzierżawców, jako słyszę! — rzekłem.

— Tak — odpowiedział Henderland — ale sprawa chadzała różnymi drogami, jak powiadają ludziska. Z początku Jakub z Wąwozów pojechał do Edynburga, znalazł tam sobie jakiegoś prawnika (pewno Stuarta — oni wszyscy lgną jeden do drugiego, jak gacki pod strychem kościelnym) i udało mu się wstrzymać zarządzenia. Potem przybył znów Colin Campbell i uzyskał przewagę nad radą podatkową. Teraz zaś opowiadają mi, że najpierwsi z dzierżawców mają jutro opuścić swe sadyby. Rozpocznie się to podobno

w Duror pod samymi oknami Jakuba, co, jak mogę miarkować, nie jest zbyt mądrym postępkiem.

— Czy waszmość sądzisz, że dojdzie do walki? — zapytałem.

— Ba! — rzecze Henderland — oni są rozbrojeni... albo tak o nich przypuszczają... gdyż w cichych kąciakach ukrywa się jeszcze sporo zimnej stali. Po wtóre Colin Campbell może ściągnąć żołnierzy. Mimo to wszystko ja na miejscu jego żony nie byłbym o niego spokojny, ażbym zobaczył go z powrotem w moim domu. Podstępne to franty, te Stuardy Appińskie.

Zapytałem go, czy są gorsi od swych sąsiadów.

— Bynajmniej — odrzekł. — I z tym właśnie jest najcięższa sprawa. Albowiem jeżeli Colin Roy zdoła uporać się ze swymi trudnościami w Appinie, musi zmagać się z nimi na nowo w najbliższej włości, zwanej Mamore, która należy do dzierżaw Cameronów. W obu tych włościach jest on rządcą z ramienia króla i z obu ma wypędzić dzierżawców; i prawdę mówiąc, panie Balfour (chcę być z waćpanem szczerzy), mam przekonanie, że jeżeli uda mu się wyjść na sucho z jednej włości, to w drugiej czeka go niechybna śmierć

Tak to gwarzyliśmy sobie, idąc razem przez większą część dnia; na koniec pan Henderland, wyraziwszy radość z mego towarzystwa i zadowolenie ze spotkania z przyjacielem pana Campbella („którego — oświadczył — ośmielę się nazwać słodkim śpiewakiem naszego zgodnego<sup>201</sup> Syjonu”), prosił mnie, bym urządził sobie mały postój, zatrzymując się na nocleg w jego domu niedaleko za Kingairloch. Prawdę mówiąc, byłem wielce rad temu, gdyż nie bardzom tęsknił do Jana z Claymore, a od czasu mych nieporozumień, najpierw z przewodnikiem, a następnie z przewoźnikiem-szlachcicem, czułem pewną obawę w stosunku do nieznanym mi górali. Toteż uścisnęliśmy sobie ręce na znak zgody i doszliśmy popołudniu do małego domku stojącego samotnie na brzegu Linnhe Loch. Słońce przeszło już było na drugą stronę opustoszałych gór Ardgour, ale po drugiej stronie oświecało w dali wierchy Appinu; odnoga morska spoczywała cicho jak śródlądowe jezioro, jedynie rybitwy swarzyły<sup>202</sup> się dokoła jej brzegów; cała ta miejscowość tchnęła ciszą i namaszczaniem.

Ledwośmy doszli do drzwi mieszkania pana Henderlanda, gdy on ku memu wielkiemu zdumieniu (jako żem był teraz nawykł do grzeczności górali), gburowato przesunął mi się przed nosem, wpadł do pokoju, pochwycił jakąś czarkę i leżącą obok łyżeczkę i począł zapychać sobie nos wprost niebywałą ilością tabaki. Wnet dostał napadu serdecznego kichania, po czym obejrzał się na mnie z nieco głupkowatym uśmiechem.

— Jest to ślub, jaki uczyniłem — ozwał się. — Uczyniłem ślub, że nie będę z sobą nosił tabaki. Niewątpliwie jest to wielkie umartwienie, ale skoro pomyślę o męczennikach chrześcijaństwa, to prawdziwie wstydzę się o tym wspominać.

Gdyśmy sobie powiecerzali (a kasza i żętyca były najlepszym daniem, na jakie mógł zdobyć się pocziwiec), on przybrał poważny wyraz oblicza i oświadczył, że ma do spełnienia jedną powinność względem pana Campbella, a mianowicie zbadać stosunek mej duszy do Boga. Od czasu owego zajścia z tabaką miałem ochotę śmiać się z tego człowieka; atoli nie trzeba było wielu jego słów, by mi łzy napłynęły do oczu. I chociażem niemało się puszył swymi przygodami i tym że, jak to mówią, wyszedłem z nich z sztandarem chlubą okrytym, to jednak niebawem on doprowadził mnie do tego, iżem ukląkł koło starego, prostodusznego człeczyny, radując się i szcząc zarazem pobyt w tym miejscu.

Zanim udaliśmy się na spoczynek, on ofiarował mi na drogę sześć pensów z małego zapasiku, który przechowywał w torfowej ścianie swego domu; nie wiedziałem doprawdy, co począć wobec tego nadmiaru pocziwości. Ale pod koniec odnosił się on do mnie tak poważnie, iż sądziłem, że najprzyzwoiciej będzie pogodzić się z jego dziwactwami — toteż opuściłem go biedniejszym niż ja sam.

## ROZDZIAŁ XVII. ŚMIERĆ RUDEGO LISA

Nazajutrz pan Henderland wynalazł mi człowieka, który posiadał własną łódkę i w celach rybołówstwa miał tego dnia popołudniu przepłynąć się przez Linnhe Loch do Appi-

<sup>201</sup>zgodny — tu: od „Zgoda”: League and Covenant. [przypis redakcyjny]

<sup>202</sup>swarzyć się (daw.) — klócić się. [przypis edytorski]

nu. Tego namówił, by zabrał mnie z sobą, gdyż był to jeden z jego duchowej trzódki; w ten sposób oszczędziłem sobie długiej, całodziennej pielgrzymki tudzież opłaty za dwa publiczne przewozy, które inaczej musiałbym przebywać.

Było koło południa, gdyśmy odbili od brzegu; niebo było zacienione chmurami, a słońce przeświecało przez niewielkie przeziory. Morze było tu bardzo głębokie i spokojne i prawie nie znać było fal na jego powierzchni, tak iż musiałem dopiero zwilżyć wargi wodą, by przekonać się że była naprawdę słona. Góry po obu brzegach były wysokie, strome i niedostępne — nader czarne i posępne pod cieniem chmur, natomiast całe haftowane srebrem małych stoków wodnych, ilekroć oświetliło je słońce. Cała ta okolica — mówię o włości Appinu — wyglądała na pustkowie i nieużytki, niewarte, by nimi tyle się zajmować, jak to czynił Alan.

Jedna tylko rzecz zasługiwała na uwagę. Wkrótce potem, jakeśmy wyruszyli<sup>203</sup> w drogę, promień słoneczny oświetlił małą szkarłatną plamkę, posuwającą się wzdłuż krawędzi wodnej ku północy. Czerwień tejże bardzo przypominała kabaty żołnierskie; ponadto od czasu do czasu ukazywały się tam małe skierki i błysnięcia, jak gdyby słońce odbiło się w migotliwej stali.

Zapytałem mego przewoźnika, co to mogło być takiego, on zaś mi odpowiedział, że wedle jego przypuszczenia jest to oddział czerwonych żołnierzy, ciągnących z Fortecy Williama na Appin, przeciwko biednym czynszownikom miejscowym. Był to, zaiste, widok dla mnie przykry — i czy to zajęty byłem myślami o Alanie, czy też w sercu tały mi się jakieś przeczucia, dość że jakkolwiek dopiero po raz drugi zdarzyło mi się widzieć wojaków króla Jerzego, nie żywiłem dla nich przyjaznego uczucia.

Na koniec podjechaliśmy tak blisko ku wysterkowi łądu u wnijscia do Loch Leven, iż zacząłem prosić, by mnie wysadzono na brzeg. Mój przewoźnik, który był człekiem uczciwym i pomnym obietnicy danej katechecie, rad byłby chętnie zawieść mnie do Ballachulish; jednakowoż że byłoby to mnie jeno oddalało od tajemnego celu mej wyprawy, więc uparłem się przy swoim i na koniec wysiadłem na łąd pod lasem Lettermore (albo Lettervore, bo i tak słyszałem) w Appinie, rodzinnych stronach Alana.

Był to las brzozowy, rosący na stromej, urwistej zboczyci górskiej, zwieszającej się nad odnogą. Często gęsto trafiały się w nim polany i parowy zarosłe paprocią; przez jego środek biegła droga lub raczej perć przełączna, wiodąca od południa ku północy; przy jej krawędzi, gdzie znajdowało się źródelko, usiadłem, by spożyć parę owsianych podplomyków, danych mi przez pana Henderlanda, i zastanowić się nad mym położeniem.

Tutaj jęły mnie trapić nie tylko chmury kąśliwych muszek, ale o wiele więcej jeszcze przeróżne wątpliwości nachodzące mą duszę. Co mam począć z sobą? Czemu udawałem się na spotkanie banity, a może mordercy, jakim był Alan? Czy nie byłoby z mej strony rozsądniejszym postępkim zawrócić z drogi wprost ku krainie południowej, kierując się własnym domysłem i środkami pieniężnymi? I cóż pomyślałby o mnie pan Campbell lub choćby pan Henderland, gdyby dowiedzieli się kiedy o mojej nierozwadze i zuchwałości? Te wszystkie wątpliwości w większej mierze niż dotychczas zaczęły nachodzić mą duszę.

Gdy tak siedział rozmyślając, doszły mnie z głębi lasu głosy ludzkie i tępotanie kopyt końskich; wraz też potem ujrzałem na zakręcie wylaniające się postaci czterech podróżnych. Droga w tym miejscu była tak wąska i wyboista, że szli po jednym, prowadząc konie za uzdy. Pierwszym z nich był sążnisty, rudowłosy szlachcic o władczym i mocno szcerwienionym obliczu, który w ręce dzierżył kapelusz i wachlował się nim, bo zgrzany był setnie. Drugiego, sądząc po dostojnych czarnych szatach i białej peruce, wziąłem trafnie za prawnika. Trzeci był pacholik, odziany częściowo w kraciasty strój szkocki, co wskazywało, że jego pan pochodził z rodziny góralskiej i był bądź banitą, bądź też pozostawał na szczególnie dobrej stopie z rządem jako że noszenie *tartanu*<sup>204</sup> było zabronione dekretem. Gdybym był lepiej świadom tych rzeczy, poznałbym, że *tartan* miał barwy Argyle (albo Campbellów). Ten pacholik miał przytroczony do konia spory tłumok z odzieżą oraz siatkę z cytrynami (do gotowania ponczu), zwieszającą się u lęku siodła, jak to było pospolitym obyczajem u bogatych podróżników w tej okolicy kraju.

<sup>203</sup>jakeśmy wyruszyli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak wyruszyliśmy. [przypis edytorski]

<sup>204</sup>tartan — szkocki pasiasty pled. [przypis redakcyjny]



Co się tyczy czwartego z nadchodzących, który zamykał orszak, to jemu podobnych widywałem już poprzednio i poznałem od razu, że jest to urzędnik podległy szeryfowi.

Ledwom ujrzał tych przybyszów, strzeliło mi do głowy (nie wiedzieć z jakiego powodu), by w dalszym ciągu puszczać się na przygody; gdy więc pierwszy z nich podszedł ku mnie, podniosłem się z kępy paproci i zagadnąłem go o drogę do Ancharnu.

On zatrzymał się i spojrzał na mnie, jak mi się zdawało, nieco zdziwionym wzrokiem, a potem, zwracając się do prawnika, ozwał się.

— Mungo, niejeden człek wzięłby to za niechybny głos ostrzeżenia. Oto wybieram się w drogę do Duror w celu wam wiadomym... a wtem jakiś młodzian powstaje z kępy paproci i pyta mnie, czy jadę do Ancharnu.

— Glenure — rzecze drugi — niedobrze to drwić z takich rzeczy.

Ci dwaj właśnie w tej chwili przybliżyli się na dobre i wpatrywali się we mnie, podczas gdy dwaj następni zatrzymali się na rzut kamienia poza nimi.

— A czego asan szukasz w Ancharn? — zapytał Colin Roy Campbell z Glenure, ten którego zwano Rudym Lisem... albowiem on to był tym człowiekiem, którego zatrzymałem.

— Człowieka, który tam mieszka — odrzekłem.

— Jakuba z Wąwozów...? — dopowiedział Glenure w zamyśleniu, po czym zwrócił się do prawnika. — Czy myślisz, że on gromadzi swych ludzi?

— W każdym razie — rzecze prawnik — lepiej zostańmy tu gdzie jesteśmy, czekając, aż żołnierze nadejdą nam z pomocą.

— Jeżeli waćpanu chodzi o moją osobę — ozwał się — to nie należę ani do ludzi owego Jakuba, ani waszmościnych, jenom jest uczciwy i wierny poddany króla Jerzego, nikomu niepodległy i nikogo się nieobawiający.

— No, pięknieś to powiedział — rzecze namiestnik. — Lecz ośmielę się zapytać, cóż tu porabia ów uczciwy człowiek tak daleko od swej krainy? I czemuż to wybiera się szukać brata Ardshielowego? Muszę aści powiedzieć, że ja tu mam władzę. Jestem namiestnikiem królewskim ponad kilkoma tutejszymi kraikami i mam w odwodzie dwanaście zastępów żołnierzy.

— Słyszałem wieści krążące po tej krainie — ozwał się nieco podrażniony — że waszmość srogie tu sprawujesz rządy.

On wciąż wpatrywał się we mnie, jak gdyby z niedowierzaniem.

— No, no — przemówił na koniec — język masz prędki i ostry; alem ci ja nie jest wrogiem szczerości. Gdybyś mnie zapytał o drogę do dworu Jakuba Stuarta w inny dzień, a nie dzisiaj, uczyniłbym zadość twej prośbie i życzyłbym ci szczęśliwej podróży. Ale dzisiaj... he, Mungo? — i obrócił znów spojrzenie na prawnika.

...Właśnie w chwili, gdy się odwracał, z wyżni wzgórze rozległ się strzał, a jednocześnie z jego hukiem Glenure upadł na gościniec.

— Och, ugodzono mnie!... Umieram... już umieram! — zakrzyknął kilkakrotnie.

Prawnik podjął go z ziemi i uniośł w ramionach, pacholik zaś stanął ponad panem i załamał ręce. Raniony wodził przerażonymi oczyma od jednego do drugiego, a głos mu się tak zmienił, aż jego brzmienie przesywało serce.

— Myślcie o sobie samych — mówił. — Ja już umieram.

Usiłował rozpiąć sobie odzież, jak gdyby chciał obejrzeć ranę, ale palce ześliznęły się mu po guzikach. Wówczas wydał głośnie westchnienie, głowa stoczyła mu się na ramiona — i skonał.

Prawnik nie rzekł ani słowa, tylko twarz mu pobladła, jak trupia, i rysy mu się zaostrzyły; pacholik rozbeczał się na cały głos jak dziecko; ja zaś ze swej strony stałem nieruchomo, wlepiając w nich ze zgrozą swe oczy. Pomocnik szeryfa czmychnął na pierwszy odgłos strzału, ażeby co rychlej sprowadzić żołnierzy.

Na koniec prawnik złożył na drodze krwią ociekające zwłoki i powstał, slaniając się nieco na nogach. Jego ruch snadź<sup>205</sup> przywrócił mię do zmysłów, gdyż zaledwie on to uczynił, zacząłem wdrapywać się na wzgórze, krzycząc.

— Zabójca! Zabójca!

<sup>205</sup>snadź (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

Ubiegło czasu tak niewiele, że gdy się wydostał na szczyt pierwszej spadziny i mogłem widzieć pewną część łysej góry, zabójca jeszcze wciąż się oddalał w niewielkiej odległości. Był to człek rosły, w czarnym surducie z metalowymi guzikami i niósł długą strzelbę myśliwską.

— Tutaj! — zawołałem. — Ja go widzę!

Na to morderca rzucił pospiesznie i przelotnie okiem poza siebie i począł uciekać. Za chwilę zniknął już w kępie brzoź; potem znów się pojawił powyżej, gdzieś mógł go widzieć wspinającego się jak małpa, jako że była to turniczka nader stroma, potem zaś dał nurka poza załom skalny — i jużem go więcej nie widział.

Przez cały ten czas ja ze swej strony też biegłem i jużem spory kawał wdarł się na górę, gdy jakiś głos krzyknął na mnie, bym się zatrzymał.

Byłem już na krawędzi górnego lasu, więc też, gdy się teraz zatrzymał i obejrzał za siebie, ujrzałem pod sobą całą odsłoniętą część wzgórza.

Prawnik i pomocnik szeryfa stali tuż ponad drogą, nawołując i dając mi znaki ręką, bym się wrócił; po ich lewicy żołnierze w czerwonych kabatach i z muszkietami w dłoniach zaczęli wychodzić po jednym z dolnego lasu.

— Czemu ja mam się wracać? — zawołałem. — Chodźcie no wy tutaj!

— Dziesięć funtów za złapanie tego chłopaka! — krzyknął prawnik. — To spiskowiec!... Jego tu postawiono, by wciągnął nas w rozmowę.

Na te słowa (które słyszałem całkiem wyraźnie, lubo<sup>206</sup> wołanie to skierowane było nie do mnie, lecz do żołnierzy), serce mi w piersiach załomotało od nowej zgrozy. Zaprawdę inna to rzecz mierzyć się z niebezpieczeństwem życia, a co innego narażać na szwank życie wspólnie z dobrą sławą. Ponadto rzecz cała spadła tak zniecierliwa, jak grom z jasnego nieba, iżem był całkowicie oszołomiony i bezradny.

Żołnierze zaczęli się rozpraszać — jedni zamierzali puścić się biegiem, drudzy podnosili rusznice, chcąc zmierzyć się do mnie; ja jednak stałem wciąż nieporuszenie.

— Dawaj nura tu w gęstwinię! — ozwał się jakiś głos tuż koło mnie.

Nie wiedziałem doprawdy, co czynię, ale posłuchał; ledwom tak postąpił, już posłyszałem huk samopalców i świst kul pomiędzy brzoźami.

W schronie drzew ujrzałem stojącego Alana Brecka, trzymającego w ręku wędkę rybacką. Nie przywitał się ze mną (nie było zaiste czasu na grzeczności) tylko rzekł krótko:

— Chodź!

I jał zbiegać pędem po zboczach góry w stronę Balachulish, ja zaś, jak owca, biegłem na oślep za nim. To przebiegaliśmy pomiędzy brzoźami, to garbiliśmy się pod niskimi występami na zboczach górskim, to znów czołgaliśmy się na czworakach pośród wrzosowisk. Każdy krok groził śmiercią — serce zdawało mi się pierś rozsadzać swoim stukiem, nie miałem czasu myśleć ani oddychać, ani wdawać się w rozmowę. Pamiętam tylko, iż ze zdziwieniem poglądałem, jak Alan raz po raz prostował się na całą długość ciała i oglądał się wstecz; za każdym razem, gdy to czynił, dochodziła do nas donośna, acz odległa, wrzawa uradowanych żołnierzy.

W jaki kwadrans później Alan zatrzymał się, przycupnął plackiem we wrzosach i zwrócił się do mnie.

— Teraz — rzecze — sprawa poważna. Uczyn tak, jak ja, jeżeli ci życie miłe.

I z nie mniejszym pospiechem, ale z o wiele większą już ostrożnością niż wprzódy, jęliśmy się spuszczać z powrotem po zboczach, tą samą drogą, którąśmy przybyli<sup>207</sup>, może tylko nieco powyżej, aż na koniec Alan rzucił się na ziemię w górnym lesie Lettermore, gdzieś najpierw go zdybał... i leżał zziębnięty jak pies, schowawszy twarz w paprotniku.

Co do mnie, miałem boki tak obolałe, głowę tak ocieślała, a język aż wywalony z gęby od gorąca i pragnienia, żem jak martwy zwał się na ziemię koło niego.

<sup>206</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>207</sup>którąś przybyli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: którą przybyliśmy. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ XVIII. GAWĘDA Z ALANEM W LESIE LET- TERMORSKIM

Alan pierwszy przyszedł do siebie. Powstał, wyszedł na skraj lasu, rozejrzał się nieco po świecie, po czym wrócił i usiadł przy mnie.

— No, Dawidzie — ozwał się — *byłaż*<sup>208</sup> to gorąca kasza!

Nie odzywałem się, a nawet nie podnosiłem oblicza. Dopiero co byłem świadkiem zabójstwa — w oczach moich nagłą śmiercią zginął wielki, rudowłosy, szlachcic-rubacha; okropność tego widoku wciąż jeszcze jątrzyła mą duszę, a przecie była to jeno cząstka mych utrapień. Oto dokonano zabójstwa na człowieku znienawidzonym przez Alana; oto Alan czał się wśród drzew i uciekał przed wojskiem; i mniejsza z tym, czy to on był tą ręką, która posłała strzał, czy też jedynie tą głową, która dawała rozkazy. Według mego sądu, mój jedyny przyjaciel w tej dzikiej krainie był przede wszystkim winien tego rozlewu krwi — przeto czułem wobec niego jakąś groźę, nie ważyłem się spoglądać w jego oblicze i wolałbym w tę chwilę<sup>209</sup> spoczywać samotnie na deszczu na mej mroźnej wysepce, niżli<sup>210</sup> w onym ciepłym lesie samowtór<sup>211</sup> z zabójcą.

— Czy jeszcze czujesz się zmęczony? — zapytał mnie Alan.

— Nie — odparłem, kryjąc wciąż twarz w paprociach — nie, nie jestem już zmęczony i mogę mówić. Musimy rozstać się z sobą — dodałem po chwili. — Bardzom<sup>212</sup> cię kochał, Alanie, ale twoje drogi nie są moimi, a nie są też zgodne z drogami bożymi: krótko mówiąc, musimy z sobą się rozłączyć.

— Nie chcę rozstawać się z tobą, Dawidzie, nie mając po temu przyczyny — rzekł Alan z wielką powagą. — Jeżeli masz mi cokolwiek do zarzucenia, tedy przynajmniej ze względu na dawną znajomość powinieneś mi o tym powiedzieć; jeżeli zaś nabrałeś jedynie wstrętu do mego towarzystwa, to właściwą dla mnie rzeczą będzie uważać się za obrażonego.

— Alanie — rzekłem na to — na cóż te słowa? Wiesz doskonale, że tam na drodze leży we krwi człek z rodziny Campbellów.

Alan milczał przez chwilę, po czym rzekł znowu:

— Czy słyszałeś kiedy opowieść o Człowieku i Dobrych Ludkach?

Mówiąc to, miał na myśli zjawy zaziemskie.

— Nie — odpowiedziałem — ani też nie mam ochoty jej słuchać.

— Za pozwoleniem waszmości, panie Balfour, ja mimo to waćpanu ją opowiem — rzecze Alan. Ów człowiek, trzeba aści wiedzieć, został wyrzucony na skałę śródmoorską, gdzie podobno Dobrzy Ludkowie zwykli przybywać i odpoczywać, przeprawiając się do Irlandii. Skała ta nazywa się Skerryvore i znajduje się nieopodal od miejsca, gdzie rozbił się nasz okręt. Otóż ten człek, jak mówią, wołał w rozpacz, żeby mu tylko dano ujrzeć przed śmiercią swoje nieletnie pacholę! A wołał tak żałośnie, że na koniec król Dobrych Ludków zlitował się nad nim i posłał jednego ze swych chochlików, który przyniósł w worku dzieciątko i złożył je koło rozbitka, gdy ów spał. Skoro więc człek ten się obudził, znalazł koło siebie sakwę, a w niej coś, co się poruszało. Otóż, jak się zdaje, był to jeden z tych przezornych ludzi, którzy zawsze w każdej rzeczy zwykli upatrywać co tylko być może najgorszego; toteż, gwoli większego bezpieczeństwa, przebił sztyletem ową sakwę, zanim ją otworzył... no i znalazł wewnątrz dziecko swe już nieżywe. Myślę sobie, panie Balfour, że aść jesteś wielce podobny onemu człowiekowi.

— Czy chcesz powiedzieć, żeś do tego wcale nie przykładał ręki? — zawołałem, siadając.

— Zwierzę ci się przede wszystkim, panie Balfour z Shaws, jak przyjaciel przyjacielowi — rzekł Alan — że gdybym zamierzał zabić szlachcica, zdarzyłoby się to nie w moich stronach rodzinnych, boć nie rad bym ściągać kłopotów na mój klan, a po wtóre nie chadzałbym bez szabli i broni palnej i z tą oto długą wędką rybacką na plecach.

<sup>208</sup>*byłaż* — konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>*w tę chwilę* — daw. forma; dziś: w tej chwili, w tym momencie. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*niżli* — konstrukcja z partykułą „li”, pełniącą funkcję wzmacniającą; znaczenie: niż. [przypis edytorski]

<sup>211</sup>*samowtór* — sam z jedną osobą towarzyszącą; w dwóch (we dwie, we dwoje). [przypis edytorski]

<sup>212</sup>*bardzom cię kochał* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: bardzo cię kochałem. [przypis edytorski]

— Juści — rzekłem — to prawda!

— A teraz — ciągnął dalej Alan, wydobywając pugiinał i kładąc na nim rękę w pewien określony sposób — przysięgam ci na to święte żelazo, że ani nie zdziałalem tego, ani nie brałem w tym udziału, ani nie przyłożyłem ręki, ani nie myślałem o tym.

— Dzięki Bogu! — zawołałem, podając mu rękę. On wszakoż zdawał się tego nie spostrzegać, mówiąc dalej:

— I tyle zachodów dla jakiegoś tam Campbella! O ile mi wiadomo, nie jest ich znów tak mało!

— W każdym razie — rzekłem — nie możesz mi brać tego za złe, gdyż wiesz doskonale, co opowiadałeś mi na brygu. Ale pokusa i czyn to dwie rzeczy różne, za co znów Bogu niech będą dzięki! Wszyscy możemy być narażeni na pokusę, ale z zimną krwią odbierać życie człowiekowi, Alanie!... — i przez chwilę nie mogłem z siebie wydobyć ni słowa, nareszcie gdym odzyskał głos, dodałem. — A czy wiesz, kto to uczynił? Czy znasz tego człowieka w czarnym surducie?

— Nie przypominam sobie dokładnie jego surduta — rzekł Alan przebiegle — ale w głowie mi się troi, że miał on barwę błękitną.

— Mniejsza z tym, czarny czy błękitny, ale czy go znasz? — zapytałem.

— Nie mogę z czystym sumieniem przysiąc na niego — rzecze Alan. — Szedł ci on<sup>213</sup> tuż koło mnie, to prawda, ale rzecz osobliwa, że w sam raz podówczas sznurował sobie chodaki.

— Czy możesz przysiąc, że go nie znasz, Alanie? — zawołałem na pół zgniewany, na pół mając ochotę do śmiechu.

— Niekoniecznie — odrzekł Alan — ale pamięć moja jest skłonna do zapominania.

— A przecie jedną rzecz wyraźnie zmiarkowałem — rzekę<sup>214</sup> na to — a mianowicie, żeś wystawiał siebie i mnie na niebezpieczeństwo, ażeby zwabić żołnierzy.

— Bardzo to być może — odpowiedział Alan — tak samo postąpiłby każdy człek szlachetny. Ty i ja byliśmy niewinni w tym zajściu.

— Ponieważ byliśmy niesłusznie podejrzewani, mieliśmy przeto tym więcej powodów, by ująć cało — zawołałem. — Niewinnemu chyba powinno się dawać pierwszeństwo przed winowajcą.

— Co znowu Dawidzie — odrzekł Alan — człek niewinny ma przecież zawsze możliwość oczyszczenia się wobec sądu; ale co się tyczy chłopaka, który posłał kulkę, sądzę, że najlepsze dlań miejsce będzie pośród wrzosów. Ci, którzy nie umaczali rąk w żadnej sprawie, powinni mieć wzgląd na los tych, którym się to przydarzyło. Albowiem jeżeliby drugim razem było na opak, to jest, gdyby ten chłopak, któremu nawet nie zdołałem dobrze się przypatrzeć, był na naszym miejscu (a my w jego położeniu, co łatwo mogło się trafić), przypuszczam, że bylibyśmy mu bardzo zobowiązani, gdyby on ściągnął na siebie żołnierzy.

— Alanie — odrzekłem — nie powiem, iż jest to, według mego rozumienia, postępek zalecony przez naukę chrześcijańską, bądź co bądź, jest to postępek chwalebny. Przeto po raz drugi proszę cię o przyjęcie mej ręki.

Na to on wyciągnął do mnie obie dłonie, powiadając, że chyba rzuciłem urok na niego, gdyż gotów był mi wszystko wybaczyć. Potem bardzo spoważniał i oznajmił, że nie mamy wiele czasu do stracenia, gdyż musimy obaj uciekać z tej krainy: on dlatego, że był zbiegiem, oraz dlatego, że cały Appin będzie teraz przetrząśnięty jak komora i każdy będzie musiał zdać dobrą sprawę o sobie; ja zaś dlatego, że byłem oczywiście wmieszany w to zabójstwo.

— Ech! — ozwałem się, chcąc mu dać małą nauczkę. — Nie obawiam się sprawiedliwości w mym kraju.

— Jak gdyby to był twój kraj! — obruszył się Alan. — Albo jak gdyby prowadzono śledztwo tutaj, w kraju Stuartów!

— Wszystko to Szkocja — odrzekłem.

— Człowiecze, niekiedy ci się dziwuję — rzekł Alan. — Przecież to zabito Campbella. Toteż śledztwo odbędzie się w Inverarze, stolicy Campbellów; piętnastu Campbellów

<sup>213</sup>szedł ci on — konstrukcja z partykulą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>rzekę — daw. forma; inaczej: mówię, powiem. [przypis edytorski]

będzie uczestniczyło w sądzie, a najtłustszy z Campbellów (czyli książę) siedzieć będzie napuszony na ławie. To sprawiedliwość, Dawidzie? Taka<sup>215</sup> sama to sprawiedliwość, prawdę, jak ta, którą niedawno wymierzono koło drogi Glenure'owi.

Wyznam, że mię to nieco zatrwożyło, a trwoga byłaby jeszcze większa, gdybym wiedział, jak prawie kubek w kubek ściśle były przepowiednie Alana; istotnie w jednej tylko rzeczy przesadził, a mianowicie w sądzie zasiadało tylko jedenastu Campbellów; zresztą ponieważ czterej inni byli również zależni od księcia, więc znaczyło to mniej, niżby zdawać się mogło. Czy tak, czy owak, wykrzyknąłem, iż Alan jest niesprawiedliwy względem księcia Argyle, który (jakkolwiek wig) był, bądź co bądź, rozsądnym i cnym szlachcicem.

— Phi! — ozwał się Alan. — Jest on wigiem, to pewna; atoli nie przeczę, że jest dobrym naczelnikiem swego klanu. I cóż myśleć będzie klan, jeżeli zabito Campbella, a nikogo w zamian nie powieszono, mimo że ich własny naczelnik był przewodniczącym sądu? Alem często uważał, że wy doliniacy nie macie należytego pojęcia o tym, co słuszne i niesłuszne.

Na to roześmiałem się na koniec z całego gardła, a ku memu zdziwieniu Alan przyłączył się do mej wesołości i śmiał się tak szczerze, jak i ja.

— Nie, nie — ozwał się — jesteśmy na Pogórze, Dawidzie; więc kiedy mówię ci, żeby uciekać, to słuchaj mych słów i bierz nogi za pas. Pewnie, że ciężka to rzecz czaić się i głodować we wrzosowiskach, ale jeszcze cięższa gnić w kajdanach w więzieniu angielskim.

Zapytałem go, dokąd mamy uciekać; gdy zaś on odpowiedział mi: „Na niziny!” — nabrałem nieco większej ochoty, by mu towarzyszyć; boć zaiste parła mnie już niecierpliwość, by tam powrócić i upokorzyć stryja. Ponadto Alan zapewniał mnie z całą stanowczością, że w danej sprawie nie ma co marzyć o sprawiedliwości, tak iż zacząłem się niepokoić, czy on nie ma racji. Ze wszystkich rodzajów śmierci najmniej mi się uśmiechała śmierć na szubienicy, a obraz tego złowrogiego przyrzędu jawił mi się w myśli z nadzwyczajną wyrazistością (tak jakem kiedyś go widział na drzeworycie w nagłówku ballady wędrownego kramarza) i odbierał mi chętkę na stawanie przed sądem.

— Przystaję na to, Alanie — rzekłem. — Pójdę z tobą.

— Ale pamiętaj — rzekł Alan — że to nie błahostka. Będziesz znosił znoje i goliznę, a nieraz zdarzy ci się przymierać głodem. Legowisko będziesz miał takie samo jak głuszce i cietrzewie, życie twoje będzie przypominało życie ściganej zwierzyny, a sypiać będziesz z bronią w ręku. Tak, człowiecze, natrudzisz się niemało i nadwyreżysz sobie nogi, zanim uda się nam wyjść cało! Zapowiadam ci to zaraz na wstępie, boć życie to znam doskonale. Ale gdybyś zapytał, co innego mamy jeszcze do wyboru, odpowiedziałbym: nic. Wybieraj albo tułaczkę ze mną po wrzosach, albo też stryczek.

— O wybór tu nietrudno! — odrzekłem i uścisnęliśmy sobie prawice na znak zgody.

— A teraz przyjrzyjmyż się jeszcze raz czerwonym kabatom! — rzekł Alan i zaprowadził mnie ku północno-wschodniej krawędzi lasu.

Spozierając skroś gęstwy drzew, widzieliśmy wielkie zбочe górskie opadające nadzwyczaj stromo ku wodom morskiej cieśni. Był to trudny do przebycia szmat drogi, gdzie co krok napotykało się głązne wiszary, kępy wrzosu i wielkie gąszcze brzeziny; kędyś tam daleko, na drugim końcu tej pustaci, w kierunku Balachulish szli nurkiem mali — maciupęncy — czerwoni żołnierze, brnąc to w górę, to w dół po wyżniach i wądołach i zmniejszając się z każdą chwilką. Nie było tam teraz słychać radosnych pokrzykiwań, bo ponoć na co innego był im teraz potrzebny dech, jaki im jeszcze pozostał; jednakże szli wciąż wytrwale tropem perci i pewno mniemali, że mają nas tuż przed sobą.

Alan przyglądał się im, uśmiechając się pod nosem.

— Juści — ozwał się — porządnie się zmachają, zanim osiągną cel swych zabiegów! Wobec tego my obaj, Dawidzie, możemy sobie usiąść, coś niecoś przekąsić i odsapnąć, a choćby i lyknać po trosze z mej manierki. Potem wyprawimy się do Aucharu, do domu mego krewniaka, Jakuba z Wąwozów, gdzie muszę dostać odzież, broń i pieniądze na drogę, a potem, Dawidzie zawołamy: „Na los szczęścia!” i szust we wrzosy!

Usiedliśmy więc w miejscu, skąd mogliśmy przyglądać się słońcu zstępującemu w obszar wielkich, dzikich, bezludnych gór, przez jakie miałem teraz wędrować wraz z moim

<sup>215</sup>takać — konstrukcja z partykułą „ci”, skróconą do -ć, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

towarzyszem. Wzięliśmy się natychmiast do jedzenia i picia, a bądź podczas tej biesiady, bądź też później, w czasie drogi do Aucharu, opowiedzieliśmy sobie wzajemnie swoje przygody; z przygód Alanowych przytoczę tutaj te wszystkie, które mogą się wydać ciekawsze lub konieczne.

Okazało się, iż on podbiegł do nadburcia, skoro tylko przelewa nas minęła; zobaczył mnie, potem stracił z oczu, potem znów zobaczył, jakem tłukł się z falami przyplywu; w końcu przelotem dojrzał mnie trzymającego się rei. To wlało weń nieco nadziei, że może uda mi się, koniec końców, wydostać na ląd, i podsunęło mu myśl pozostawienia tych wszystkich znaczków i zleceń, które doprowadziły mnie (za me ciężkie grzechy!) do tego nieszczęsnego Appinu.

Tymczasem tym, którzy jeszcze pozostali na brygu, udało się opuścić łódź na morze, a kilku z nich już się w niej znajdowało, gdy nadszedł drugi bałwan większy od poprzedniego i zmiotł statek z miejsca, na którym on się znajdował; zapewne byłby go pogrążył na dno, gdyby bryg nie uderzył w rafę i nie zawisł na niej w pewnej pochyłości. Poprzednie uderzenie dokonane było nosem okrętu, tak iż dotąd rufa zajmowała położenie najniższe. Teraz natomiast rufa została wyrzucona w górę, a przód okrętowy zanurzył się pod wodę; wówczas woda poczęła się wlewać przez lukę przednią, jak gdyby przez zastawę na młynie.

Krew zbiegała z lic Alana nawet i teraz, gdy opowiadał to, co nastąpiło. W komorze marynarskiej znajdowało się jeszcze dwóch ludzi, leżących bezsilnie na tapczanach; ci, widząc wlewającą się wodę i sądząc, że okręt już idzie na dno, poczęli drzeć się na całe gardło — i to głosem tak przeraźliwym, że wszyscy, którzy byli na pokładzie, rzucali się pędem jeden za drugim do łodzi i przypadli do wiosł. Nie odpłynęli jeszcze i dwustu sążni, aliści nadciągnął trzeci przewał, który oderwał bryg od rafy; żagle wzdęły się na chwilę i okręt zdawał się gonić rozbitków, ale coraz to bardziej zwalniał biegu; nagle zaczął opadać coraz to niżej i niżej, jak gdyby jakaś ręka ciągnęła go w dół — i toń morska zamknęła się nad *Zgodą* z Dysart...

Wiosłując do brzegu, nie mówili ani słowa, jako że byli oszołomieni grozą tego zatonięcia; zaledwie jednak postawili nogę na wybrzeżu, Hoseason ocknął się jak gdyby z jakiejś zadumy i zaczął namawiać swych kamratów, żeby capnęli Alana za kołnierz. Oni, ma się rozumieć, cofnęli się, nie mając wielkiej chęci do spełnienia rozkazu; ale Hoseason rozpieklił się jak sam diabeł — i jął krzyczeć, że Alan jest osamotniony — że on to jest przyczyną zguby okrętu i zatopienia wszystkich kamratów — że posiada przy sobie znaczną sumę pieniędzy, tak iż jednocześnie można osiągnąć zemstę i bogactwo. Było ich siedmiu na jednego; w tej części wybrzeża nie było skały, którą Alan mógłby osłonić swe plecy, przeto marynarze zaczęli się rozszypywać i zachodzić mu tył...

— A potem — mówił Alan — ten chuchrak z ryżą głową... nie pamiętam jak mu było na nazwisko...

— Riach — odpowiedziałem.

— Tak, tak! — rzekł Alan — Riach! Otóż on jął za mną orędownać, zapytując ludzi, czy nie boją się sądu, a na koniec ozwał się: „Dalibóg, sam nadstawię karku za tego górala!”... Ten chuchrak z ryżą głową nie jest ci złym do gruntu człowiekiem. Ma on pewne pojęcie o tym, co się godzi, a co się nie godzi.

— A jakże! — potwierdziłem — był on dla mnie po swojemu życzliwy.

— I taki też był dla Alana — rzekł mój druh — dalibóg, przekonałem się, że to człek dobrych zasad! Ale zresztą widzisz, Dawidzie, rozbicie okrętu i krzyki tych nieboraków bardzo nim wstrząsnęły... i to może było powodem jego dobroci...

— Ba, i ja niedaleki jestem od tej myśli — dodałem — bo z początku był on tak zuchwały jak i inni. Ale cóż na to Hoseason?

— O ile pamiętam, wprawilo go to w złe usposobienie — odrzekł Alan. — Jednakże ów człeczyna krzyknął na mnie, bym uciekał, więc ja, uważając radę tę za dobrą, istotnie puściłem się w dyrdy. Ostatnią rzeczą, jaką widziałem, było to, że wszyscy zbili się w kłęb nad brzegiem, jak ludzie nie bardzo ze sobą zgodni.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytałem.

— No, pięści tam były w robocie! — rzekł Alan. — Widziałem ci też, że jeden człek padł na ziemię, jak para zmiętych gatek. Ale uważałem, że lepiej będzie nie marudzić. W owej połaci wyspy Mull, trzeba ci wiedzieć, jest splechec należący do Campbellów, co

dla takiego jegomościa, jak ja, byłoby niepożądanym sąsiedztwem. Gdyby nie ta okoliczność, byłbym zatrzymał się i sam osobiście zajął się tobą, a może też pomógłbym temu małemu człeczynie.

Była to rzecz pocieszna słyszeć, jak Alan ustawicznie podkreślał mały wzrost pana Riacha, gdyż, prawdę mówiąc, jeden z nich nie większy był od drugiego.

## ROZDZIAŁ XIX. DOM PEŁEN TRWOGI

Gdyśmy już byli w drodze, zapadła noc, a chmury, które rozpierzchły się popołudniu, zgromadziły się i zgęstniały, tak iż, jak na ową porę roku, zrobiło się niesłychanie ciemno. Droga, którąśmy przebywali<sup>216</sup>, szła poprzez urwiste zbocza górskie i, chociaż Alan poruszał się na niej całkiem pewnie, nie mogłem żadną miarą dociec, czym się on na niej kierował.

W końcu, a było to około wpół do jedenastej, doszliśmy do krawędzi jakiegoś urwiska i w dole, pod sobą, dostrzegliśmy światła. Zdawało się, jak gdyby drzwi jakiegoś domu stały otworem, wysyłając snop blasku od świec i ogniska; zaś dokoła domu i obejścia biegało pędem pięć do sześciu osób, z których każda miała w ręce zapalone luczywo.

— Jakub musiał już coś tam wymyślić — ozwał się Alan. — Gdyby tutaj, zamiast nas obu, stali żołnierze, miałby ci się z pyszna! Ale przypuszczam, że on już postawił warty na drodze, a przy tym wie doskonale, że żaden żołnierz nie odnajdzie drogi, którąśmy tu przyszli<sup>217</sup>.

To rzekłszy, zagwizdał trzykrotnie w jakiś osobliwy sposób. Dziw było patrzeć, jak na pierwsze świnięcie wszystkie uwijające się pochodnie stanęły w miejscu, jak gdyby ci, którzy je nieśli, czegoś się zatrwożyli — i jak na trzeci gwizdek rozpoczęła się znów krzątania jak wprzód<sup>218</sup>.

Uspokoiwszy w ten sposób umysły tych ludzi, zesliśmy z urwiska; u podwórzowej bramy (gdyż miejsce to wyglądało na dostatni folwark) powitał nas wysoki, przystojny mężczyzna lat może pięćdziesięciu, który zawołał na Alana po gallicku.

— Jakubie Stuarcie — rzekł Alan — proszę cię, byś mówił po szkocku, gdyż ze mną przybył młody szlachcic, który nie rozumie naszego języka. Oto on — dodał, biorąc mnie pod ramię — jest to młody szlachcic z Nizin i dziedzic wielkiej majątności w swym kraju, lecz sądzę, że wyjdzie mu to bardziej na zdrowie, jeżeli pominiemy jego nazwisko.

Jakub z Wąwozów zwrócił się do mnie na chwilę i przywitał się ze mną dość grzecznie; po chwili zwrócił się znów do Alana.

— Było tu straszne wydarzenie — zawołał. — Ono ściągnie nieszczęście na cały kraj! I załamał ręce z rozpaczą.

— Sza! — odrzekł Alan. — Współ z tą goryczą mamy i osłodę. Colin Roy nie żyje, za co niebu niech będą dzięki!

— Tak, tak — ozwał się Jakub — na mą duszę, wołałbym, by on znów ożył! Miło to było przedtem szastać się i przechwalać... ale teraz już się stało, Alanie! I któż poniesie hańbę za ten postępek? Zabójstwo zdarzyło się w Appinie... zważ to, Alanie... i Appin musi to przyplacić swą skórą... ja zaś jestem obarczony rodziną.

Gdy oni tak rozmawiali, ja tymczasem przyglądałem się czeladzi. Jedni stali na drabinach, grzebiąc w strzesze domostwa i budynków folwarcznych, spod której wydobywali pałasze, strzelby i wszelaki oręż wojenny; inni znów unosili go precz, a z dźwięku uderzeń motyki, rozlegającego się gdzieś opodal pod urwiskiem, wniosłem, że tam zakopywano sprzęt ten cały. Chociaż wszyscy byli tak gorliwie zajęci pracą, to jednak w ich wysiłkach nie znać było sprawności i ładu; często ludzie bili się z sobą o ten sam samopał lub uderzali się wzajemnie płonącymi luczywami. Jakub raz po raz odwracał się od swej rozmowy z Alanem, by rzucić rozkazy, których tu widocznie nigdy nie rozumiano. W świetle pochodni twarze tych ludzi wyglądały jakby wyczerpane krzątaniem i lękiem, a chociaż mówiono tylko półgłosem, mowa ich brzmiała zarazem gniewnie i trwożnie.

<sup>216</sup>którąśmy przebywali — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: którą przebywaliśmy. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>którąśmy tu przyszli — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: którą tu przyszliśmy. [przypis edytorski]

<sup>218</sup>wprzód — wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

W tym to mniej więcej czasie wyszła z domu jakaś dziewczeczka, niosąc jakąś paczkę czy węzełek; niejednokrotnie później uśmiechałem się mimo woli, myśląc, jak na sam widok tego tobołka obudził się instynkt Alana.

— Co to niesie ta dziewczeczka? — zapytał.

— Właśnie porządkujemy domostwo, Alanie — rzekł Jakub głosem bojaźliwym i nieco przymilnym. — Będą tu ze świecą w ręku przetrząsali cały Appin, więc musimy mieć wszystko w porządku. Jak widzisz, zakopujemy w mchu tę odrobinę broni palnej i siecznej; to zaś, jak mi się zdaje, są własne ałcine suknie francuskie. Trzeba je będzie zakopać, jak przypuszczam.

— Zakopać mój mundur francuski! — zawołał Alan. — Dalibóg, nie!

To rzekłszy, zatrzymał tłumok i udał się do stodoły, by się przebrać, polecając mnie tymczasem opiece swego krewniaka. Przeto Jakub zaprowadził mnie do kuchni i usiadł wraz ze mną za stołem, uśmiechając się zrazu i rozmawiając w sposób wielce uprzejmy. Nagle jednak wróciła mu dawna markotność; siedział, marszcząc się i gryząc palce, i czasem tylko przypominając sobie moją obecność — wtedy darzył mnie kilkoma słowami i nikłym uśmiechem i pograżał się na nowo w swych osobistych strapieniach. Żona jego siedziała przy ognisku i płakała, zakrywszy twarz dłońmi; najstarszy syn pochylił się nad podłogą, krzątał się koło wielkiego stosu papierów, a od czasu do czasu podnosił zeń ku światłu jakiś szpargał i niszczył go w płomieniach; przez cały ten czas dziewczka służebna o czerwonej, załęcznionej twarzy przetrząsała z gorączkowym pośpiechem całą izbę, popłakując piskliwym głosem, a co pewien czas jakiś człowiek zaglądał od podwórza, zapytując głośno o rozkazy.

Na koniec Jakub nie mógł już usiedzieć na miejscu i przeprosił mnie, że będzie na tyle niegrzeczny, iż przejdzie się po mieszkaniu.

— Kiepsko dotrzymuję towarzystwa waszmości — ozwał się — ale nie potrafię myśleć o niczym, jak tylko o tym okropnym wypadku i o przykrościach, jakie gotów on ściągnąć na ludzi zgoła niewinnych.

Wkrótce potem zauważył, że syn jego palił jakiś papier, który zdaniem jego powinien być zachowany; wówczas dał folgę swemu rozdrażnieniu w tym stopniu, że aż przykro było słuchać.

— Czyś do reszty oszalał? — krzyczał, bijąc raz po raz chłopaka. — Czy chcesz, by powieszono twego ojca?

I zapominając o mej obecności, lajał go przez czas dłuższy po gallicku. Chłopak nic nie odpowiadał, za to żona na wzmiankę o powieszeniu zakryła sobie twarz fartuchem i zaszlochała głośniejsz niż przedtem.

Przykro było widzieć i słyszeć to wszystko takiemu jak ja cudzoziemcowi; toteż byłem iście rad, gdy powrócił Alan, wyglądający godnie w swym paradnym mundurze francuskim, chociaż rzecz prosta, mundur ten był obecnie nazbyt potargany i zwiotczały, by zasługiwać na nazwę paradnego. Z kolei zajął się mną drugi syn Jakuba, dając mi zmianę odzieży, której tak dawno było mi potrzeba, oraz parę kierpców góralskich ze skóry jeleniej, które zrazu wydały mi się dość dziwaczne, ale po krótkim noszeniu okazały się bardzo wygodne i dopasowane do nogi.

Przez ten czas, zanim powróciłem, Alan zapewne opowiedział swoje dzieje, gdyż widocznie rozumiano, iż mam z nim uciekać i wszyscy krzątali się, by zaopatrzyć nas na drogę. Dano nam obu po szabli i parze pistoletów, choć co do pierwszego oręża wyznałem, iżem do niego niezaprawiony; oprócz nich i prócz zapasu amunicji dostaliśmy worek kaszy owsianej, żelazny kubek oraz butelkę tęgiej wódki francuskiej — i byliśmy już gotowi do wymarszu. Prawda, że brakło nam pieniędzy. Ja posiadałem jeszcze około dwóch gwinei; Alan, wysławszy trzoz z pieniędzmi przez innego gońca, jak nakazywała rzetelność, miał za cały majątek nieledwie siedemnaście pensów; co zaś się tyczy Jakuba, to zdaje się, tak się zubożył podróżami do Edynburga i kosztami prawnymi na rzecz dzierżawców, iż z biedą potrafił wygrzebać nieco drobnych pieniędzy, przeważnie w miedziankach.

— To nie wystarczy — rzekł Alan.

— Powinniście znaleźć sobie bezpieczne schronienie gdzieś w pobliżu — mówił Jakub — i posłać mi wieść o sobie. Jak widzisz, musisz gracko wywinąć się z tego tartasu, Alanie. Czas nagli! Nie ma co marudzić dla głupich paru gwinei. Oni niechybnie cię tu



zwęszą, niechybnie będą szukali i niechybnie ciebie obciążą winą za dzisiejsze zdarzenie. Jeżeli niesława ta spadnie na ciebie, tedy spadnie i na mnie, bo jestem twoim bliskim krewniakiem i gościłem ciebie w moim domu, gdyś bawił w naszej krainie. A jeżeli spadnie na mnie... — tu przerwał i zbladłszy na twarzy, jął kasać sobie palce. — Byłaby to rzecz bolesna dla naszych przyjaciół, gdyby mnie powieszono.

— Byłby to dzień nieszczęsny dla Appinu — rzekł Alan.

— Ten ci to dzień właśnie nie chce przejść mi przez myśl i przez gardło — mówił dalej Jakub. — Człowiecze, człowiecze, człowiecze... mój Alanie! Rozmawialiśmy obaj przódą<sup>219</sup> jak dwaj głupcy!

Tak krzyżąc, tłukł dłonią w ścianę, aż rozlegało się po całym domu.

— Tak, prawda i to — rzekł Alan — a ten oto przyjaciel mój z Nizin — (tu skinieniem głowy wskazał na mnie) — dawał mi dobrą radę tyczącą się onej głowy... gdybym tylko chciał go posłuchać!

— Ale zważ no — prawil Jakub, powracając do poprzedniego usposobienia — jeżeli uda się im mnie nakryć, Alanie, to wtedy, gdy tobie będzie potrzeba pieniędzy. Albowiem wobec tego wszystkiego, co ja mówiłem i co tyś mówił, pozory będą bardzo silnie przemawiały przeciwko nam obu; czy ci to przyszło na myśl? Spróbuj no tylko ze mną się porozumiewać, a zobaczysz, że ja sam będę zmuszony *zadokumentować* ciebie, ba, będę musiał naznaczyć cenę na twoją głowę... a jakże, będę do tego zmuszony! Bolesna byłaby to sprawa we wzajemnych stosunkach tak bliskich przyjaciół, ale jeżeli na mnie spadnie zakała tego okropnego wypadku, to będę musiał się bronić, mój drogi. Czy to rozumiesz?

Mówił to poważnie, jak gdyby usprawiedliwiająco, biorąc Alana za wyłogi surduta.

— Juści<sup>220</sup> — rzekł Alan — iż to rozumiem.

— A wy będziecie musieli, Alanie, pójść precz z naszej włości... ba, nawet opuścić Szkocję... i ty, i twój przyjaciel z Nizin również. Albowiem będę musiał *zadokumentować* i twego przyjaciela z Nizin. Sam to rozumiesz, Alanie... powiedz, że to rozumiesz!

Zdawało mi się, że Alan nieco poczerwieniał.

— Źle to z mej strony, iżem go tu przyprowadził, Jakubie — ozwał się, zadzierając hardo głowę. — Zakrawa na to, jak gdybym miał zostać zdrajcą!

— Ależ, Alanie, mój drogi! — zawołał Jakub. — Spójrz no trzeźwo na rzecz całą! On tak i owak będzie oskarżony; Mungo Campbell niewątpliwie go *zadokumentuje*. Cóż to szkodzi, że i ja go oskarżę? Poza tym, Alanie, jestem obarczony rodziną...

Z obu stron nastąpiła chwilowa cisza, po czym Jakub znów się odezwał:

— Po wtóre, Alanie, będzie to sąd złożony z Campbellów.

— W tym tylko sęk — rzekł Alan w zamyśleniu — że nikt nie zna jego nazwiska.

— Ani też nikt się nie dowie, Alanie! Ręczę ci za to! — krzyknął Jakub, jak gdyby dalibóg istotnie znał moje nazwisko. — Ale odzież, jaką miał na sobie, jego wygląd, wiek i inne tym podobne cechy? Doprawdy nie byłoby dla mnie rzeczy łatwiejszej.

— Dziwię się bardzo waszmości — zawołał Alan surowo. — Czy chciałeś sprzedać chłopaka wraz z danym mu podarunkiem? Chciałesze<sup>221</sup> zmienić jego odzienie, a potem go zdradzić?

— Nie, nie, Alanie — rzekł Jakub. — Nie, nie! On zdjął ubranie... to ubranie, w którym widział go Mungo.

Zdawało mi się, jak gdyby ten człek postradał zmysły; chwycił się lada ździebka, a jednocześnie, jak mogłem wnosić, widział twarze swych dziedzicznych wrogów zasiadających na ławie sędziowskiej i w trybunale, a poza nimi wzniesioną szubienicę.

— No, mości panie — rzecze Alan, zwracając się do mnie — co waszmość na to powiesz? Zostajesz tu pod ochroną mego honoru i moją powinnością jest baczyć, by stało się tylko to, co zgodne z twym życzeniem.

— Jedną tylko rzecz chcę powiedzieć — odrzekłem — gdyż w resztę rozmowy nie jestem zgoła wtajemniczony. Wszakże sam zdrowy rozsądek nakazuje, by hańbę przypisać temu, komu się ona należy, czyli temu, kto oddał ów strzał. *Zadokumentujcie* go,

<sup>219</sup>przódą a. wprzódą (daw.) — wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>juści (gw.) — tak, pewnie (potwierdzenie). [przypis edytorski]

<sup>221</sup>chciałesze — konstrukcja z partykulą -że, pełniącą funkcję wzmacniającą i pytającą; inaczej: czy chciałeś. [przypis edytorski]

jak to nazywacie, wyślijcie za nim pogoń, a uczciwym i niewinnym ludziom pozwólcie bezpiecznie chodzić po świecie.

Jednakże na moje słowa zarówno Alan, jak i Jakub wydali okrzyk pełny zgrozy, nakazując mi, bym trzymał język za zębami, gdyż jest to rzecz niedająca się pomyśleć, oraz zapytując mnie, co pomyśleliby Cameronowie (utwierdziło mnie to w przekonaniu, iż winowajcą był niechybnie któryś Cameron z Mamore)... i czy nie zdają sobie sprawy z tego, że ów chwyt mógł być pojmany?

— Pewno waszmość o tym nie pomyślałeś? — rzekli na koniec z tak szczerą powagą, iż opuściłem ręce, zwątpiwszy o możliwości dowodzenia.

— A więc dobrze — rzekłem — *zadokumentujcie* mnie, *zadokumentujcie* Alana, *zadokumentujcie* króla Jerzego! Wszyscy trzej jesteście niewinni, a zdaje się, że tego tu wymagacie. W każdym razie jednak, mości panie — przemówiłem do Jakuba, ochłoniwszy nieco z chwilowego uniesienia — jestem przyjacielem Alana i jeżeli mogę okazać się pożyteczny jego przyjaciółom, nie zawaham się narazić swej osoby.

Sądziłem, iż najlepszą rzeczą będzie okazać twarz pogodną i zgodzić się na ich zamiary, gdyż widziałem zmartwienie na licach Alana; zresztą myślałem sobie w duchu, że ledwo od nich odejdę, oni mnie *zadokumentują* (mówiąc ich językiem), nie dbając o moją zgodę. Obaczyłem jednak, że się w tym pomylił, bo ledwom wypowiedział<sup>222</sup> te słowa, pani Stuartowa zeskoczyła z krzesła, na którym siedziała, przybiegła do nas co żywo i wyplakała się najpierw na mojej szyi, następnie na Alanowej, błogosławiąc Boga za naszą dobroć względem jej rodziny.

— Z twojej strony, Alanie, było to jedynie powinnością sumienia — mówiła. — Ale ten chłopiec przyszedł tu i obaczył nas w najgorszej niedoli, i widział, iż pocziwiec mój mąż żalił się jak suplikant... on, który wedle swych praw winien wydawać rozkazy na równi z królami... Serce mi się ściska, że nie znam twego nazwiska, mój chłopcze, ale mam w duszy obraz twego oblicza... i dopóki serce będzie bić w mej piersi, będę obraz ten nosiła w sercu, wspomiwała i błogosławiła...

To rzekłszy, wycalaowała mnie i znów wybuchła takim łkaniem, że stałem onieśmiewiony i zahukany.

— Cichoście, cicho — ozwał się Alan, spoglądając dość głupawym wzrokiem. — Dzień teraz rychło na staje; przecież mamy lipiec... a jutro w Appinie będzie piękna zabawa: będą pięknie jeździć dragoni, będą wołali „*Cruachan*”<sup>223</sup> i biegać będą żołnierze... więc obaj musimy wyruszyć co prędzej — nie ma chwili do stracenia!

Przeto pożegnaliśmy się i wyruszyliśmy znów w drogę, skręcając nieco ku wschodowi; noc była piękna i niezbyt ciemna, okolica zaś, którą przebywaliśmy, przeważnie tak samo urwista i niedostępna jak ta, przez którą szliśmy poprzednio.

## ROZDZIAŁ XX. UCIECZKA PRZEZ WRZOSISTE ROZŁOGI. SKAŁY

Postępowaliśmy to krokiem, to biegiem, a im bliżej było poranku, tym mniej było chodu, a więcej biegu. Choć kraina ta z pozoru wydawała się opustoszałą, to jednak trafiły się tu szałas i domy ludzkie pochowane w zakątkach wzgórz — naliczyliśmy ich z górą dwadzieścia. Ilekroć podeszliśmy do którego z nich, Alan zostawiał mnie na drodze, sam zaś szedł, stukał w ścianę domu i rozmawiał czas jakiś przez okno z jakąś osobą zbudzoną ze snu. Miało to na celu rozszerzenie wieści, co w tej krainie do tego stopnia było uważane za powinność, że celem jej dopełnienia Alan musiał zatrzymywać się nawet podczas ucieczki; ale i inni tak dalece jej przestrzegali, iż przeszło połowa domów, któreśmy odwiedzali<sup>224</sup>, była już powiadomiona o zabójstwie. W innych, o ile mogłem się domyśleć (jako że stałem opodal i przysłuchiwałem się obcej mowie), wieść tę przyjmowano raczej z zaniepokojeniem niż radością.

Mimo że spieszyliśmy się tego, jednakże zaczynało już dzień, a byliśmy jeszcze wciąż daleko od jakiegokolwiek schroniska. Dzień zastał nas w okropnej dolinie, najeżonej ska-

<sup>222</sup>ledwom wypowiedział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: ledwo wypowiedziałem. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>*Cruachan* — zawołanie rodowe Campbellów. [przypis autorski]

<sup>224</sup>któreśmy odwiedzali — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które odwiedzaliśmy. [przypis edytorski]

lami, przez którą przepływała spieniona rzeczulka. Wokoło sterczały dzikie turnice; nie porastała jej trawa ni drzewa; niejednokrotnie później przychodziło mi na myśl, że może to była owa dolina, zwana Glencoe, w której odbyła się rzeź za czasów króla Wilhelma. Ale co się tyczy szczegółów naszej przeprawy, to będą one niedokładne, gdyż odbywaliśmy drogę bądź po krótszych spadzistościach, bądź dłuższymi kołowaniem, posuwaliśmy się chyżym krokiem i to przeważnie nocą, a nazwy miejscowości, o jakie zapytywałem, brzmiały po gallicku, wskutek czego łatwo wywietrzały mi z pamięci.

Zatem gdy z brzaskiem pierwszego dnia ukazała się naszym oczom owa okropna pułstosza — zauważyłem, że Alan zmarszczył brew.

— Nie jest to miejsce dogodne dla nas obu — ozwał się. — W tym miejscu oni obowiązani są stawiać wartę.

To mówiąc, zbiegł krokiem bardziej rączym niż zwykle nad brzeg wody — w stronę, gdzie rzeka dzieliła się na dwoje pomiędzy trzema skałami. Prąd pędził tędy z przerażającym hukiem, który mnie aż przyprawiał o drżenie; nad sikławą rozwieszała się lekka mgła rozbryzganych kropelek. Alan nie patrzył ani w prawo, ani w lewo, ale skoczył wprost na środkową skałę i padł na nią rękoma i kolanami, aby się utrzymać, gdyż skała ta była mała i on mógł się przekopyrtnąć poza drugi jej koniec. Poszedłem natychmiast za jego przykładem, mimo że ledwo mi stało czasu na zmierzenie odległości lub zrozumienie niebezpieczeństwa; on zaś pochwycił mnie i zatrzymał na miejscu.

Staliśmy więc tak, ramię przy ramieniu, na małej skale, oślizgłej od wodnych rozbryzgów — mieliśmy przed sobą do przeskoczenia o wiele szersze ramię rzeczne, a woda kłębiła się ze wszech stron. Gdy obaczyłem, gdzie się znajduję, ogarnęło mnie śmiertelne, bolesne przerażenie, przeto zasłoniłem sobie oczy dłonią. Alan wziął mnie w objęcia i potrząsnął — widziałem, że coś mówił, ale huk wodospadu i moje własne oszołomienie nie pozwalały mi dosłyszeć słów jego, ujrzałem tylko, że twarz miał czerwoną od gniewu i że tupał nogą w skałę. Jedno spojrzenie ukazało mi rozszalały żywioł wodny i mgłę wiszącą w powietrzu — wówczas zamknąłem znów oczy i zacząłem dygotać.

W chwilę później Alan przytknął mi do ust butelkę z gorzalką i zmusił mnie do wypicia tęgiego haustu, po którym znów krew napłynęła mi do głowy. Następnie, przyłożywszy obie dłonie do swych ust, a swoje usta do mego ucha, wrzasnął.

— Wisieć lub utonąć!

Po czym odwróciwszy się do mnie plecami, przeskoczył drugie odgałęzienie strumienia i stanął bezpiecznie na lądzie.

Byłem już teraz sam na skale, dzięki czemu miałem więcej miejsca; w uszach szumiała mi gorzalka; miałem świeżo przed oczyma dobry przykład, a byłem tyle przytomny, by widzieć, że jeżeli nie przeskoczę od razu, to już nigdy nie uda mi się przeskoczyć. Przygąłem się w kolanach i rzuciłem się przed siebie z tą zacieklą rozpaczą, jaka często u mnie zastępowała miejsce odwagi. Jak było do przewidzenia, jedynie dłonie moje osiągnęły całkowitą długość strumienia; te mi się ześlizgiwały, chwytaly ziemię i znów się ześlizgiwały — i jużem się staczał w sikławę<sup>225</sup>, gdy Alan ucapił mnie, zrazu za czuprynę, potem za kołnierz, aż na koniec z wielkim wytężeniem wyciągnął mnie na miejsce bezpieczne.

Nie rzekł ani słowa, lecz puścił się znów pędem przed siebie, ja zaś byłem zniewolony wygramolić się jakoś na równe nogi i bieć za nim. Byłem już poprzednio zmęczony, lecz teraz jużem był osłabiony i potłuczony, a po trosze i odurzony gorzalką. Utykałem wciąż w biegu i dawało mi się we znaki jakieś klucie, które omal że odbierało mi wszelką siłę; toteż gdy na koniec Alan przystanął pod wielką skałą, która stała tu pośród mnóstwa innych, z Dawidem Balfourem było już całkiem kiepskawo.

Wspomniałem o wielkiej skale; atoli, prawdę powiedziawszy, były to dwie skały, wsparte o siebie u wierzchołka, obie na pierwszy rzut oka niedostępne, a wysokie na jakie dwadzieścia stóp. Nawet Alan — choć można powiedzieć, posiadał jak gdyby cztery ręce — po dwakroć bezskutecznie na nie się wdierał... aż dopiero za trzecią próbą i to wtedy, gdy stanął mi na ramionach i skoczył z taką siłą, iż myślałem, że pewno mi złamał obojczyk — dopiero wtedy, powiadam, udało mu się tam usadowić. Gdy już tam się dostał, spuścił w dół skórzany pas, przy pomocy którego, oparłszy się na dwóch płtykich stopajach w skałę, wdrapałem się w górę.

<sup>225</sup>sikława (gw.) — wodospad. [przypis edytorski]

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczegośmy tu przyszli: oto obie skały, które były nieco zakłębione u wierzchołka i nachylały się jedna ku drugiej, tworzyły rodzaj misy lub kociołka, gdzie mogło się ukryć choćby trzech lub czterech ludzi.

Aż dotychczas Alan nie ozwał się ani słowem, tylko wspinał się z taką dziką, bezsłowną zaciekłością i pośpiechem, że miarkowałem, iż boi się śmiertelnie jakiegoś niepowodzenia. Nawet teraz, gdy znajdowaliśmy się na skale, on nie zagajał rozmowy, ani nie rozpogadzał chmurnego oblicza, jeno ułożył się na płask na brzuchu i wyzierając tylko jednym okiem poza krawędź naszej kryjówki, rozglądał się wokoło po całej okolicy. Świt rozjaśnił się już na dobre; widać było głazne ubocza doliny i jej dno, usiane skałami, i rzekę, która wiała się tędy owędy i tworzyła białe wodospady — natomiast nigdzie nie było widać dymu domostwa ani też śladu jakiegokolwiek istoty żyjącej, prócz paru orłów, co krakały wokoło jednego z wierzchów.

Wtem Alan nareszcie się uśmiechnął.

— No, no! — przemówił. — Teraz jesteście pewni swej skóry!

A po chwili, spoglądając na mnie wzrokiem nieco ubawionym, rzekł znowu.

— Nie bardzoś ty skory<sup>226</sup> do skakania, jak widzę!

Widocznie musiałem zarumienić się z zawstydzenia, gdyż zaraz potem dodał.

— Co tam! Niewielka hańba! Bać się czegoś, a mimo to dokonać, co się przedsięwzięło — to właśnie wyrabia najdzielniejszych ludzi! Zresztą tam była woda, a woda nawet mnie zbija z pantaląku. Nie, nie, to nie ty powinieneś się wstydzić, ale ja.

Zapytałem go, czemu tak sądzi.

— Czemu? — odpowiedział. — Sam dzisiaj w nocy okazałem się kpem i ciemięgą. Przede wszystkim wybrałem złą drogę, i to w moim rodzinnym Appinie! Toteż dzień zastał nas tam, gdzie nie powinniśmy byli nigdy się znaleźć, wskutek czego narażeni jesteśmy tu na niemałe niebezpieczeństwo i większe jeszcze niewygody. Po wtóre (co dla takiego bywalca tych gór, jak ja, jest jeszcze większym wstydem) zgubiłem manierkę z wodą, a będziemy musieli tu leżeć przez cały długi dzień wśród letniego skwaru, nie mając nic przy sobie prócz czystego spirytusu. Pomyślisz sobie, że to fraszka; ale zanim nastanie noc, powiesz mi, Dawidzie, co sądzisz o tym.

Pragnąłem zrehabilitować się w jego oczach, więc zaofiarowałem się, że, o ile on zechce wylać gorzalkę, pobiegnę na dół i naczepię wody ze strumienia.

— Nie chcę ja też marnować porządnego spirytusu — odrzekł Alan. — Okazał ci się on dziś w nocy dobrym przyjacielem... inaczej, wedle mego mniemania, tkwilbyś jeszcze dotychczas na onej skale. Co więcej, jako człek tak przenikliwy, pewno zauważyłeś, że Alan Breck szedł dziś krokiem raźniejszym niż zwykle.

— Ty! — zawolałem. — Tyś pędził, jakbyś miał rozbić się w kawałki.

— Tak było? — rzekł ów. — No, bo też, możesz mi wierzyć, nie było czasu do stracenia. Ale dość jużemy się nagadali; połóż się spać, chłopcze, a ja będę czuwał.

Ulegając jego wezwaniu, ułożyłem się do snu; wybrałem legowisko pomiędzy wierzchołkami obu skał, gdzie było nieco czarnej ziemi, naniesionej przez wiatry, a na tym odrobina zieleni. Ostatnią rzeczą, jaką słyszałem, był ustawiczny skwir orłów.

Była może dziewiąta rano, gdy zostałem przez kogoś nagle obudzony — otworzywszy oczy, przekonałem się, że to Alan zatykał mi dłonią usta.

— Cyt! — syknął. — Myśmy tu zachrapali.

— No i cóż z tego? — zapytałem, zdziwiony jego trwożnym i posępnym obliczem.

On wyjrzał za krawędź skały i dał mi znak, bym uczynił to samo.

Był to już biały dzień, bezchmurny i bardzo upalny. Dolina rysowała się wyraziście jak na obrazku. O jakie pół mili w górę rzeki było obozowisko czerwonych kabatów; pośrodku płonęło ogromne ognisko, koło którego kilku ludzi zajmowało się gotowaniem. Zaś nieopodal, na szczycie turniczki prawie tak wysokiej jak nasza, stał wartownik, a w jego bronni skrzyło się słońce. Na całej przestrzeni wzdłuż brzegu rzeki stały inne jeszcze straża, to blisko jedna od drugiej, to znów szerzej rozstawione; jedne, jak pierwszy z wartowników, tkwiły nieruchomo na wynioślejszych miejscach, inne znajdujące się na równinie, przechadzały się tam i z powrotem, a spotykając się w połowie drogi. W górnej części wąwozu, gdzie ów przechodził w szerszą kotlinę, łańcuch posterunków przedłużony był

<sup>226</sup>nie bardzoś ty skory — zdanie eliptyczne od: nie bardzo jesteś skory (skłonny, chętny). [przypis edytorski]

rzędem konnych żołnierzy — można ich było widzieć z daleka, jak jeździli tam i sam. Poniżej ciągnął się znów sznur piechoty, ale że rzeka była tu nagle wezbrana dopływem znacniejszego potoku, warty były ustawione w większych odstępach, pilnując jedynie brodów i kamiennych przelazów.

Rzuciłem raz tylko okiem na nich i z powrotem dałem nura na swoje miejsce. Była to zaiste rzecz osobliwa widzieć, jak ta dolina, która w porze świtu tchnęła była taką pustką, teraz ni stąd ni zowąd połyskiwała orężem i pstrzyła się od czerwonych spodni i kabatów.

— Widzisz — rzekł Alan — tegom ci właśnie się obawiał, Dawidzie, iż oni będą strzegli brzegu strumienia. Zaczęli się tu schodzić jakie dwie godziny temu, a ty, człowiecze, sapałeś sobie w najlepsze! Jesteśmy w matni. Jeżeli tamci wydostaną się na zbocze góry, będą nas łatwo mogli dojrzeć przez lunetę, ale jeżeli będą się trzymać tylko podnóża kotliny, damy sobie jeszcze radę. W dół rzeki strażę są luźniejsze, przeto z nadejściem nocy będziemy mogli się wyswobodzić, przekradając się koło nich.

— A co mamy czynić aż do nocy? — zapytałem.

— Leżeć tu, pluć i łapać — odrzekł Alan.

Owo „plucie i łapanie” było istotnie treścią niemal całego dnia, który wypadło nam tu spędzić. Należy pamiętać, że leżeliśmy na nagim wierzchołku skały jak sucharki na blasze kuchennej; słońce prażyło nas nielitościwie, a skała tak się rozgrzała, że ledwo można było się jej dotknąć, a mały skrawek ziemi i paprotek, gdzie było nieco chłodniej, wystarczył zaledwie na legowisko dla jednego z nas. Zmienialiśmy się kolejno w leżeniu na nagiej skale, co doprawdy przypominało los jednego ze świętych, którego pieczono na rozpalonej kracie, toteż rozmyślałem o tym, jaka to rzecz dziwna, że w tym samym klimacie i w odstępnie nieledwie paru dni dwukrotnie cierpiałem tak srogie katusze: najpierw z zimna na mej wyspie, a teraz z gorąca na tej skale.

Przez cały ten czas byliśmy pozbawieni wody, a do picia mieliśmy tylko prostą gorzałkę, która tylko gorzej podniecała pragnienie; atoli trzymaliśmy butelkę w możliwie największym chłodzie, zakopując ją do ziemi i doznawaliśmy pewnej ulgi, zwilżając sobie piersi i skronie.

Żołnierze uwijali się przez dzień cały po dnie doliny, to zmieniając strażę, to wysyłając oddziały i podjazdy na zwiady pomiędzy skałami. Tych było tak wiele wokoło, że szukanie ludzi pomiędzy nimi było podobne do szukania igły w stogu siana; ponieważ zaś robota była tak beznadziejna, więc wykonywano ją z coraz to mniejszą dbałością. W każdym razie widzieliśmy, jak żołnierze dźgali bagnietami w kępy wrzosu, co obudzało zimny dreszcz w mych wnętrznościach; czasami zaś uczepiali się dokoła naszej skały, tak iż zaledwie śmieliśmy oddychać.

W ten to sposób po raz pierwszy posłyszałem angielską mowę; jakiś szeregowiec, przechodząc w pobliżu położył rękę na słonecznej powierzchni naszej skały i zaraz rękę tę cofnął, rzucając przy tym przekleństwo.

— A to ci gorąco! — ozwał się, a ja aż się zdumiałem chrapliwością i bełkotliwością jego gwary, polykającej całe głoski. Wprawdzie słyszał był Ransome’a; atoli ów chłopak zarwał obyczajów od najrozmaitszych ludzi i w ogóle mówił tak nieudolnie, że składał to w znacznej mierze na karb jego dzieciństwa. Toteż tym większe było me zdumienie, gdy posłyszałem tego rodzaju mowę z ust dorosłego człowieka.

W miarę, jak dzień się posuwał, wzmagala się jeno dolegliwość i okropność naszego pobytu na skale; głazna opoka stawała się coraz to gorętsza, a słońce coraz to bardziej skwarne. Można się było spodziewać zawrotów głowy, osłabienia i silnych bólów w rodzaju reumatyzmu. Przypominałem sobie wtedy — a i często potem — wiersze naszego szkockiego psalmu.

Ani cię księżyc w nocy nie porazi,  
Ni słońce we dnie...

I doprawdy, było to jedynie łaską Bożą, że żaden z nas nie został porażony udarem słonecznym.

Na koniec koło drugiej popołudniu, gdy utrapienie nasze przechodziło już miarę sił ludzkich, nadarzyła się pokusa, by pofolgować cierpieniom. Albowiem słońce przeszło już

było teraz nieco ku zachodowi, wskutek czego na wschodniej ścianie turniczki, która z tej strony była zasłonięta przed oczyma żołnierzy, utworzyła się smuga cienia.

— Wszystko jedno, jak tam człek kitę odwali! — ozwał się Alan i ześliznąwszy się przez krawędź, osunął się na ziemię z ocienionej strony.

Poszedłem natychmiast za jego przykładem i od razu upadłem całą długością ciała — tak byłem osłabiony i zbity z nóg wskutek onego długiego leżenia. Leżeliśmy tutaj z godzinę lub ze dwie, wynękani<sup>227</sup> od stóp do głów, bezwładni jak flejtuchy i zgoła niczym niezasłonięci przed wzrokiem żołnierzy, którym by tędy zechciało się włóczyć. Jednakże nikt nie nadszedł, gdyż wszyscy mijali naszą kryjówkę od przeciwnej strony, tak iż turniczka była nam tarczą nawet w tym nowym położeniu.

Wkrótce zaczęliśmy po trosze powracać do sił; ponieważ zaś żołnierze rozłożyli się teraz bliżej brzegu rzeki, Alan podsunął mi myśl, by próbować ucieczki. W tej chwili bałem się jednej tylko rzeczy na świecie, a mianowicie powrotu na skałę — wszelkie inne wyjście witałem z ochotą. Toteż przygotowaliśmy się niezwłocznie do odmarszu i zaczęliśmy się jeden z drugim przemykać od skały do skały, już to czolgając się na brzuchu po miejscach ocienionych, już to przebiegając szybko, z drżeniem w sercu, ku cieniowi.

Żołnierze, przetrząsnąwszy tę stronę doliny, uważali snadź swe zadanie za skończone, a ogarnięci po trosze sennością z powodu skwaru popołudniowego, bardzo już spuścili ze swej czujności i stali na posterunkach, drzemiąc lub też wodząc wzrokiem jedynie wzdłuż brzegów rzeki; dzięki temu, kierując się w dół kotliny, a jednocześnie w stronę wierchów, oddalaliśmy się wciąż od nich. Jednakże była to najuciążliwsza przeprawa, w jakiej kiedykolwiek zdarzyło mi się uczestniczyć. Trzeba było mieć zaiste<sup>228</sup> sto par oczu na wszystkie strony, ażeby ukrywać się na tej niejednostajnej połaci, na odległość głosu od tak licznych i wszędy<sup>229</sup> rozsypanych czatowników. Ilekroć wypadło nam przebywać przestrzeń odsłoniętą, nie dość było szybkości — trzeba było jeszcze szybkiego orientowania się nie tylko co do układu całej okolicy, ale i co do wytrzymałości każdego kamienia, na którym mieliśmy postawić stopę; albowiem w one<sup>230</sup> godziny popołudniowe panowała tam tak wielka cisza, że stacanie się strąconego kamienia wywoływało rozgłośny trzask, niby strzałów pistoletowych, budząc echa rozbrzmiewające po turniach i grapach.

Posuwając się tak wolniuchno, odbiliśmy się o zachodzie słońca na pewną odległość od obozowiska, choć co prawda widać było jeszcze wyraźnie wartownika stojącego na cyplu skały. Atoli napotkaliśmy teraz coś, co kazało nam zapomnieć o wszelkich obawach; był to głęboko ryjący się potok, który przedzierał się tędy, by połączyć się z rzeką w parowie. Obaczywszy ją, pokładliśmy się na ziemi, zanurzając głowę i ramiona w wodzie — i nie umiem powiedzieć, co było dla nas większą rozkoszą: czy dreszcz, który nas przeszedł, gdy oblała nas chłodna woda potoku, czy też owa łapczywość, z jaką łykaliśmy ten rzeźwiący napój.

Leżeliśmy tu czas jakiś (jako że kryły nas brzegi), raczyliśmy się raz po raz łykiem wody, obmyliśmy sobie piersi i taplaliśmy sobie ręce w bieżącej wodzie, aż nam skostniały od zimna; w końcu, odświeżywszy się wspaniale, wydobyliśmy worek z żywnością i na blaszanej patelence przyrządziliśmy sobie zacierkę. Składała się ona wprawdzie z mąki owsianej, rozczynionej zimną wodą, jednakowoż dla człeka zgłodniałego był to przysmak nie lada, a tam, gdzie nie ma sposobu rozpalenia ogniska lub (jak w naszym wypadku) tak złożą się okoliczności, że nie można go rozpalic, jest to główny środek wyżywienia dla tych, którzy kryją się po wrzosowiskach.

Ledwo zapadł zmierzch, puściliśmy się znów w drogę, zrazu z tą samą ostrożnością, co wprzód, później jednak nabraliśmy większej śmiałości i stanąwszy na równe nogi, zaczęliśmy się posuwać zwykłym krokiem marszowym. Droga była bardzo zawila, przechodząc po stromych uboczach górskich i po krawędziach grani; wraz z zachodem słońca nadciągnęły chmury, i noc była ciemna i chłodna; przeto kroczyłem bez wielkiego zmęczenia, ale w ustawicznym strachu, by nie obsunąć się i nie stoczyć się z grani — przy czym zupełnie zatraciłem świadomość kierunku naszej drogi.

<sup>227</sup>wynękany — wymęczony. [przypis edytorski]

<sup>228</sup>zaiste (daw.) — rzeczywiście, naprawdę. [przypis edytorski]

<sup>229</sup>wszędy (daw., gw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>one (daw.) — tamte. [przypis edytorski]

W końcu wzeszedł księżyc — i zastał nas jeszcze w drodze; był on w ostatniej kwadrze i długo przeganiały go chmury; atoli w czas jakiś rozjaśnił się, ukazując mi mnóstwo posępnych wierchów górskich i odbijając się kędyś daleko u naszych stóp w cieśninie morskiej odnogi.

Na ten widok obaj zatrzymaliśmy się, jako że mnie zdjął podziw, iż znalazłem się tak wysoko i stąпам (jak mi się zdało) po chmurach; Alan zaś chciał się upewnić co do kierunku.

Widocznie był zadowolony i pewno już uznał, że odsunęliśmy się na odległość głosu od nieprzyjaciół, albowiem przez resztę nocy urozmaicał nam drogę, wygwizdując najprzeróżniejsze melodie, to wojenne, to wesołe, to żalosne, to znów skoczne, pod nutę tańców górskich, na którą aż nogi same podrygiwały, a nie brak też było melodii z moich rodzinnych południowych stron, których dźwięki budziły we mnie tęsknotę do domowych pieleszy — wszystkie te piosenki towarzyszyły nam w drodze poprzez wielkie, mroczne i opustoszałe góry...

## ROZDZIAŁ XXI. UCIECZKA PRZEZ WRZOSISTE ROZŁOGI. WYŁOM CORRYNAKEIGH

Była jeszcze wczesna godzina, o jakiej dnieje w początkach lipca, i z ziemi nie zeszyły jeszcze mroki, gdy dotarliśmy do celu, to jest do rozpadliny w grzbiecie wielkiej góry, przez której środek ściekała woda, z jednego zaś boku znajdowała się niegłęboka pieczara. Rósł tu rzadki, ale piękny gaj brzoźowy, który nieco dalej przechodził w sosnowy bór. Strumień roił się od ślizów, a w boru pełno było turkawek; po drugiej stronie na odsłoniętym zboczu góry poświstywały chróściele i przekrzykiwały się kukułki. Z wylotu i szczeliny mieliśmy widok na część Mamore i na odnogę morską, która tę włość oddziela od Appinu; a spoglądaliśmy na to z tak ogromnej wysokości, iżem<sup>231</sup> wciąż tu przesiadywał, pojąc się podziwem i zachwytem.

Rozpadlina ta zwana była Wyłomem Corrynakeigh, a chociaż skutek swej wyniosłości tudzież bliskości morza była często przysłonięta chmurami, jednak było to miejsce na ogół przyjemne, a one<sup>232</sup> pięć dni, któreśmy<sup>233</sup> tu spędzili, zbiegły nam nader szczęśliwie.

Sypialiśmy w pieczarze, urządźwisy sobie legowisko z pęków wrzosu, których nacięliśmy umyślnie w tym celu, i przykrywając się płaszczem Alana. W zakręcie parowu była zewsząd osłonięta jamka, w której odważaliśmy się rozniecać ognisko, tak iż mogliśmy się ogrzać, gdy chmury naniósły chłodu, nagotować gorącej kaszy lub napiec ślizów, które poławialiśmy rękoma pod kamieniami i obwisłymi brzegami potoku. Było to, doprawdy, najważniejsze i najmilsze nasze zatrudnienie; boć nie tylko gwoli oszczędzenia jada na gorsze czasy, ale też dla rozrywki i współzawodnictwa, spędzaliśmy znaczną część każdego dnia nad brzegiem strumyka i podkasawszy się do pasa, gmeraliśmy w wodzie, ryb tych poszukując. Największe z tych, któreśmy ulowili<sup>234</sup>, mogły ważyć do ćwierci funta; miały jednak dobre mięso i smak, a kiedyśmy je piekli na węglach, tylko soli brakowało, a byłyby wyśmienite.

W chwilach wolnych Alan uczył mnie władania szablą, gdyż moja nieumiejętność bardzo go trapiła; myślę też, że ponieważ okazałem się odeń zręczniejszy w rybołówstwie, on był nie od tego, by zająć się ćwiczeniem, w którym mógł popisać się daleko większą ode mnie zręcznością. Przejmował się tym może więcej, niż było potrzeba, gdyż podczas tych lekcji obrzucał mnie wciąż nader mocnymi połajaniem i nacierał na mnie z tak bliska, iż wydawało mi się, że niechybnie przebiję mnie na wskroś. Często brała mnie pokusa, by drapnąć przed nim, mimo to jednak dotrzymywałem placu i niemalom zyskał<sup>235</sup> z tych lekcji, chociażby to, że umiem stać w bitce z pewną siebie miną, co niejednokrotnie starczy

<sup>231</sup>iżem (...) przesiadywał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: iż przesiadywałem. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>one (daw.) — tamte. [przypis edytorski]

<sup>233</sup>któreśmy (...) spędzili — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które spędziliśmy. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>któreśmy ulowili — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: które ulowiliśmy. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>niemałom zyskał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: niemalom zyskałem. [przypis edytorski]

za wszystko. Tak więc, choć nigdy ani trochę nie zdołałem zadowolić mego mistrza, jednak nie byłem sam z siebie całkiem niezadowolony.

Nie należy wszakże przypuszczać, żeśmy tymczasem zaniedbywali swej najważniejszej powinności, jaką było odejście stąd precz.

— Wiele dni upłynie — rzekł do mnie Alan zaraz w pierwszym dniu naszego pobytu — zanim czerwone kabaty pomyślą o przeszukiwaniu Corrynakeigh; toteż musimy teraz posłać wieść do Jakuba, on zaś musi dostać dla nas pieniędzy.

— Ale jak mu tę wieść pošlemey? — zagadnąłem. — Jesteśmy tu w samotni, której nie wolno nam opuszczać; przeto nie wiem, co potrafimy tu zdziałać, chyba że za gońców użyjesz ptaki niebieskie.

— Tak? — rzecze Alan. — Jesteś człowiekiem mało pomysłowym, Dawidzie.

Po czym wpadł w zamyślenie, wpatrując się w dogorywające ognisko; nagle, wzięwszy dwa kawałki drzewa, złożył je na kształt krzyża, którego cztery końce naczernił węglem. Następnie spojrzął na mnie z pewnym zakłopotaniem.

— Czy możesz pożyczyć mi mego guzika? — zapytał. — Wydać się to może rzeczą dziwną, iż żądam zwrotu darowizny, ale w przeciwnym razie byłbym zmuszony odciąć drugi.

Dałem mu guzik, on zaś nawlekl go na strzęp swego płaszcza, użyty przezeń do wiązania ramion krzyżyka i wpiąwszy weń małą gałązkę brzożową i takąż świerkową, spoglądał z zadowoleniem na swe dzieło.

— Otóż — odezwał się — niedaleko od Corrynakeigh jest mała osada, a nosi nazwę Koalinsnacoan. Mieszka tam wielu moich przyjaciół, którym mogę powierzyć życie, i kilku, których nie jestem nazbyt pewny. Widzisz, Dawidzie, oto na nasze głowy będzie nałożona cena; sam Jakub będzie musiał ją nałożyć; co się zaś tyczy Campbellów, ci nigdy nie będą szczydzili pieniędzy, gdy chodzi o dokuczenie Stuartowi. Gdyby było inaczej, poszedłbym czy tak, czy owak do Koalinsnacoan i z tak lekkim sercem powierzyłbym swe życie w ręce tych ludzi, jak komu innemu powierzałbym rękawiczkę.

— Ale co poczniesz wobec terazniejszych warunków? — zapytałem.

— Wobec terazniejszych warunków — odparł Alan — będę się starał, aby mnie nie widziano. Wszędy trafiają się ludzie źli, a co gorsza słabi. Przeto gdy zapadnie zmrok, zakradnę się do tej osady i to com sporządził, złożę na oknie mego serdecznego przyjaciela, Jana Brecka Maccolla, dzierżawcy włości appińskich.

— I owszem — rzekę na to — ale co on sobie pomyśli, gdy ową rzecz znajdzie?

— No — odrzekł Alan — życzę sobie, by okazał się on człowiekiem bardziej domyślnym, gdyż dalibóg boję się, czy mu nie zbywa na tej zalecie! Ale oto co sobie myślę: ten krzyż przypomina nieco wić, która jest hasłem zbiórki w naszych klanach; jednakże Jan wiedzieć będzie doskonale, że klan nasz się nie rusza, gdyż na wici, którą znajdzie w swym oknie, nie będzie żadnych słów. Więc też powie sam do siebie: *Klan się nie rusza, ale coś tu się święci*. Wówczas zobaczy mój guzik, który niegdyś należał do Dunkana Stuarta; powie na to: *Syn Dunkana kryje się we wrzosach, a ja jestem mu potrzebny*.

— No, bardzo to być może — powiedziałem na to. — Ale nawet przypuściwszy, że tak będzie, zawsze to stąd do morskiej cieśniny ciągnie się spory szmat wrzosowisk.

— Święta prawda to, co mówisz — rzecze Alan — Atoli potem Jan Breck zobaczy gałązkę brzozy i gałązkę choiny i o ile w ogóle jest człowiekiem domyślnym (w co mocno wątpię), powie sobie: *Alan przebywa w lesie, gdzie rosną razem brzozy i sosny*. A potem sobie pomyśli: *Takich lasów nie jest nazbyt wiele w naszych okolicach* — potem zaś przyjdzie nas odwiedzić w Corrynakeigh. A jeżeli tego nie uczyni, Dawidzie, to życzę mu, żeby go diabli wzięli, bo nie wart, by mu kaszę posolić.

— E, człowiecze — rzekłem, drocząc się z nim trochę — jesteś bardzo przemyślny! Ale czyż nie byłoby prościej napisać doń parę słów czarno na białym?

— Doskonała uwaga, mości panie Balfour z Shaws — rzecze Alan, przekomarzając się ze mną — z pewnością byłoby dla mnie o wiele prościej napisać do niego, atoli dla Jana Brecka byłoby cięższą sprawą to odczytać: musiałby przedtem iść na parę lat do szkoły, a kto wie, czybyśmy wtedy się nie znużyli czekaniem na niego.

Tak więc tej nocy Alan zabrał swoją wić i zaniósłszy ją do domu dzierżawcy, zostawił ją na oknie. Gdy powrócił, bardzo był strapiony, albowiem w osadzie psy szczekały i ludzie

List



wybiegali ze swych domostw, a jemu zdało się, że słyszał szcęk broni i widział żołnierza podchodzącego do jednych drzwi. Na wszelki wypadek przez cały dzień następny przebywaliśmy na skraju lasu i czatowaliśmy pilnie, tak iż gdyby nadszedł Jan Breck, byliśmy gotowi wprowadzić go na właściwą drogę, a gdyby nadciągnęli żołnierze, mielibyśmy dość czasu, by umknąć przed nimi.

Około południa wytropiliśmy jakiegoś człowieka, który włókł się w skwarze po odsłoniętym stoku góry i rozglądał się wokoło, przysłoniwszy oczy dłonią. Alan zoczywszy go, zaświstał; ów człowiek obrócił się i podszedł ku nam nieco bliżej. Wówczas Alan ozwał się znów „fui!” — ów człowiek zbliżył się jeszcze bardziej. Tak to poświstywanie zaprowadziło go do miejsca, gdzieśmy się znajdowali.

Był to człek obdarty, nieochajny i brodaty, liczący ze cztery krzyżyki, okropnie zszpecony ospą, a patrzył jednocześnie ponuro i dziko. Choć angielszczyzna w jego ustach była wielce kulawa i kiepska, to jednak Alan (przez grzeczność, okazywaną stale w stosunku do mnie) nie pozwolił mu mówić po gallicku. Może tej obcości języka przypisać należy, iż przybysz wydawał się bardziej zahukany, niż był w istocie, gdyż zdawało mi się, że nie miał wielkiej ochoty nam służyć i we wszystkim okazywał wielką trwogę.

Alan chciał go obarczyć poselstwem do Jakuba, ale dzierżawca nie chciał słuchać o żadnych ustnych zleceniach.

— Jeszcze *ona* zapomni — odrzekł głosem skrzeczącym i żądał, aby mu dano list, bo w przeciwnym razie umywa ręce od całej sprawy.

Sądziłem, iż Alan tym się strapi, gdyż w tym pustkowiu brakło nam przyborów piśmiennych. Ale był to człek bardziej zaradny, niż przypuszczałem: przeszukał cały las, aż znalazł sterówkę ze skrzydła turkawki i przyciął ją na kształt pióra do pisania; potem przyrządził coś w rodzaju atramentu z prochu strzelniczego, jaki miał w różku, rozcieńczywszy go wodą ze źródła, a oddarłszy narożnik ze swego dokumentu służby wojskowej francuskiej (który nosił stale w kieszeni, jak talizman, który miał go chronić od szubienicy) usiadł i napisał co następuje.

*Drogi krewniaku, bądź łaskaw przysłać mi pieniądze za pośrednictwem oddawcy tego listu na wiadome mu miejsce.*

*Twój oddany kuzyn A. S.*

Pismo to wręczył dzierżawcy, który obiecał śpieszyć się, ile można, i zeszedłszy ze wzgórza, zniknął w lesie.

Upłynęły całe trzy dni — aż dopiero pod wieczór dnia trzeciego posłyszeliśmy w lesie lekki gwizd, na który Alan natychmiast odpowiedział; wraz też znad brzegu rzeczki wyszedł dzierżawca, rozglądając się za nami w prawo i lewo. Wyglądał mniej markotnie niż poprzednio — i niewątpliwie był chyba zadowolony, że udało mu się uporać z tak niebezpiecznym zadaniem.

Opowiedział nam wszystkie nowiny miejscowe. Dowiedzieliśmy się więc, że cała kraina pełna była czerwonych kabatów; że znajdowano pochowaną broń, a pospólstwo doznawało co dzień srogich prześladowań; wreszcie, że Jakub i kilku z jego czeladzi zostali już zamknięci w więzieniu w Fort William, mocno podejrzani o spisek. Podobno roztrąbiono na wszystkie strony, że ów strzał padł z ręki Alana Brecka, wobec czego na jego głowę i na moją wydano wyrok śmierci i wyznaczono nagrodę stu funtów.

Słowem, wszystko było jak tylko mogło być najgorzej, a mały liścik, który dzierżawca przyniósł nam od pani Stuartowej, był niesłychanie smutny. Zaklinała w nim Alana, żeby nie dał się schwytać, zapewniając go, że gdyby wpadł w ręce żołnierzy, to zarówno on, jak i Jakub, byłiby już straceni. Drobna sumka, jaką nam przysyłała, stanowiła wszystko, co mogła wyżebrać lub pożyczyć, a ofiarodawczyni słała modły do Boga, żebyśmy z tego jakoś potrafili żyć. W końcu nadmieniła, że załącza jeden z wyroków śmierci, w których opisano nasz wygląd.

Temu przyjrzelśmy się z wielką ciekawością, ale i niemalą obawą, po trosze tak, jak zwykło się spoglądać w zwierciadło, a po trosze tak, jakby ktoś spojierał w lufę strzelby przeciwnika, by sprawdzić, czy dobrze wycelowana. Alan był tam określony jako „człek niskiego wzrostu, ospowaty, żwawy, lat około trzydziestu pięciu, ubrany w kapelusz z piórem, w błękitny surdut francuski ze srebrnymi guzikami i mocno już spłowiałymi galonami, w czerwoną kamizelkę i w pluderki z czarnego sukna”; ja zaś jako „chłopak wysoki

i krzepki, lat mniej więcej osiemnastu, odziany w stary błękitny kubrak, bardzo podarty, w starą góralską magierkę<sup>236</sup>, w długą samodziałową kamizelkę, błękitne pludry; łydki ma gołe, na nogach trzewiki, jakie noszą na nizinach, pozbawione nosków; mówi jak Doliniak i nie ma zarostu”.

Alan był na ogół zadowolony, widząc, że tak dokładnie zauważono i opisano jego elegancję; jedynie gdy doszedł do słowa „spłowiał”, spojrzał nieco zmartwionym wzrokiem po swoich wyłogach. Co do mnie, pomyślałem sobie, iż w tym wyroku wyszedłem na istnego straszaka lub ostatniego obszarpańca; wszakoż byłem też mocno zadowolony, gdyż skoro pozbyłem się owych łachmanów, rysopis przestał mi zagrażać niebezpieczeństwem — ba, stał mi się nawet osłoną.

— Alanie — ożwałem się — powinieneś zmienić odzienie.

— Nie, dalibóg nie! — odrzekł Alan. — Nie mam innego ubrania. Ładnie by to wyglądało, gdybym do Francji wrócił w magierce!

Nasunęło mi to inną myśl, a mianowicie tę, że gdybym odłączył się od Alana i jego zdradliwej odzieży, byłbym zabezpieczony przed aresztowaniem i mógłbym swobodnie załatwiać własne sprawy. Nie dosyć na tym, bo nawet gdyby przypuszczalnie mnie aresztowano, idącego samopas, miano by przeciwko mnie mało dowodów obciążających; natomiast gdyby mnie pojmano w towarzystwie rzekomego zabójcy, los mój stałby się o wiele cięższy. Względy szlachetności nie pozwalały mi wypowiedzieć głośno tej myśli — niemniej ona wciąż zaprzętała mi głowę.

Jeszcze więcej myśl ta zaczęła mnie nurtować, gdy dzierzawca wydobyl zieloną sakiewkę, zawierającą cztery gwinee w złocie i bez mała gwineę w koprowinie. Prawda, iż było to więcej, niżem<sup>237</sup> ja posiadał; atoli gdy Alan, z niespełna pięcioma gwineami przy duszy, wybierał się aż do Francji, to ja, z niespełna dwiema, miałem dostać się ledwo do Przewozu Królowej. Tak więc biorąc rzeczy w należytej mierze, towarzystwo Alana ściągało nie tylko niebezpieczeństwo na me życie, ale i obciążało nie pomału<sup>238</sup> moją kieszeń.

Wszakoż żadna myśl tego rodzaju nie powstała w głowie mego zacnego druha. On mniemał, że mi służy, dopomaga i broni mej osoby. Cóż mogłem zrobić innego, jak trzymać język za zębami i podzielać dalsze przygody mego towarzysza?

— Jest tego dość skąpo — rzekł Alan, chowając sakiewkę do kieszeni — ale dam sobie z tym jakoś radę. Teraz zaś, Janie Breck, oddaj mi mój guzik, a ten pan i ja puścimy się w dalszą drogę.

Atoli dzierzawca, obmacawszy włochatą sakwę, którą miał zawieszoną z przodku wedle obyczaju góralskiego (mimo, że poza tym nosił odzież nizinną oraz marynarskie szarawary), zaczął dziwnie jakoś lypać oczyma, aż na koniec się odezwał:

— *Ona go pewno zgubi* — (co miało znaczyć, że on go widocznie zgubił).

— Co?! — krzyknął Alan. — Miałżebyś zgubić<sup>239</sup> mój guzik, który przedtem należał do mego ojca? Powiem ci, Janie Breck, co o tym myślę: oto myślę, że jest to najgorszy zysk, jaki ci się udało zarobić od chwili twego urodzenia.

Mówiąc to, Alan oparł dłonie na kolanach i wpatrywał się w dzierzawcę, mając na ustach ten uśmiech, a w oczach te drgające połyski, które nieprzyjaciołom wróżyły nieszczęście.

Może dzierzawca był człkiem dość uczciwym, może zrazu myślał nas oszukać, a potem, widząc się sam jeden przeciwko nam dwóm w miejscu odludnym, wołał gwoli większej bezpieczeństwa popisać się uczciwością — dość, że naraz niby odszukał ów guzik i wręczył go Alanowi.

<sup>236</sup>magierka — także: *madziarka*, czapka węgierska; nakrycie głowy bez daszka, z płaską, okrągłą a kwadratową główką (denkiem); najczęściej wykonana z grubego sukna i obszyta tzw. „barankiem” (paskiem futerka) lub dziergana z wełny; często ozdobiona piórkami, pomponami, kolorowymi taśmami a. sznurkami; nakrycie głowy tego typu upowszechniło się w Polsce w XVI i XVII w., począwszy od czasów panowania Stefana Batorego, i stało się tradycyjnym nakryciem głowy noszonym zimą do stroju ludowego; wygląd magierek (barwy, rodzaj zdobienia) był różnicowany zależnie od regionu kraju. [przypis edytorski]

<sup>237</sup>niżem (...) posiadał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: niż posiadałem. [przypis edytorski]

<sup>238</sup>nie pomału (daw.) — niemało; wiele. [przypis edytorski]

<sup>239</sup>miałżebyś zgubić — konstrukcja z partykułą -że, pełniącą funkcję wzmacniającą i tworzącą pytanie retoryczne; inaczej: czy miałbyś zgubić. [przypis edytorski]

— No, wyszło to na dobre honorowi Maccollów — rzekł Alan, po czym zwrócił się do mnie. — Oto zwracam ci mój guzik i dziękuję ci za rozstanie się z nim, co jest tylko częścią wszystkich przyjacielskich usług, jakie mi wyświadczyłeś.

Następnie jak najserdeczniej pożegnał się z dziewczynką.

— Zasłużyłeś mi się bardzo — rzekł — narażałeś swą szyję, przeto będę cię zawsze darzył imieniem zacnego człowieka.

W końcu dziewczynka poszedł swoją drogą, zaś Alan i ja, spakowawszy manatki, ruszyliśmy inną ścieżką, podejmując na nowo ucieczkę.

## ROZDZIAŁ XXII. UCIECZKA PRZEZ WRZOSISTE ROZŁOGI. UGORZYSKA

Przez jakie siedem godzin bez przerwy odbywaliśmy ciężki marsz, aż wczesnym rankiem dotarliśmy do krańca grzbietu górskiego. Przed nami rozciągał się szmat nizinnej, poszarpanej, pustynnej ziemi, który wypadło nam teraz przebywać. Słońce było niewysoko i świeciło nam prosto w oczy; niewielki, zwiewny opar bił jak dym ponad powierzchnią ugorzyska, toteż, jak powiadał Alan, mogło się tam znajdować i dwadzieścia szwadronów jazdy, a my byśmy o nich nic nie wiedzieli.

Usiedliśmy przeto w zagłębieniu na zboczu, czekając, aż mgła się podniesie, i przyrządziwszy sobie misę onej chłodnej zacierki, odbyliśmy naradę wojenną.

— Dawidzie — rzekł Alan — trudna sprawa. Mamyż<sup>240</sup> tu leżeć aż do nastania nocy, czy też zaryzykujemy i puścimy się przed siebie?

— Prawdę powiedziawszy — odrzekłem — jestem okrutnie zmachany, ale w razie czego mogę przejść znów drugie tyle.

— No, tego już nie będźcie — rzekł Alan — ani nawet połowy. Zaraz ci wyjaśnię sytuację: powrót do Appinu grozi nam niechybną śmiercią; na południe stąd wszystko należy do Campbellów i nie ma tu o czym myśleć. Na północ... no, nie ma najmniejszego zysku iść na północ: ani dla ciebie, który chcesz się dostać do Przewozu Królowej, ani dla mnie, wybierającego się do Francji. Wobec tego nic nam nie pozostaje, jak podążyć na wschód.

— Niechże będzie na wschód! — rzekłem pogodnie, ale w duszy sobie pomyślałem: „Człowiecze, gdybyś obrał sobie jeden kierunek kompasu, a mnie pozwolił iść w kierunku wprost przeciwnym, byłoby najlepiej dla nas obu”.

— A więc na wschód! — rzekł Alan. — Ale tam oto będziemy mieć ugorne płaszczyny; skoro raz w nie wejdziemy, Dawidzie, trzeba będzie wciąż pchać się naprzód. Na tych łysych, gołych, płaskich przestrzeniach gdzież zdoła się człek obrócić? Niech no tylko czerwone kabaty wyjdą na wzgórze, potrafią cię wytropić z odległości paru mil, a kopyta ich koni raz dwa cię stratuja. Niedobre to miejsce, Dawidzie, a powiem ci szczerze, że gorsze ono za dnia niż w nocy.

— Alanie — odezwałem się — posłuchaj, co ja o tym sądzę. W Appinie czeka nas śmierć niechybna; nie mamy nazbyt wiele pieniędzy ni jada; im dłużej będą nas szukali, tym bliżej będą naszego tropu. Wszystko to pachnie zgubą. Przeto daję ci słowo, że pójdę przed siebie, póki nam tchu stanie.

Alan był zachwycony.

— Bywają chwile — odpowiedział — że jesteś zanadto ostrożny i nazbyt po wigowsku usposobiony, iżbyś mógł być towarzyszem takiego jegomościa, jak ja; ale nie brak też chwil, gdy okazujesz się tęgim zuchem, a wtedy, Dawidzie, kocham cię jak rodzzonego brata.

Mgła podniosła się i znikła, odsłaniając przed nami ową krainę — pustynną niby przestwór morski; tu i owdzie swarzyły się na niej cietrzewie i czajki, a kędyś daleko na wschodzie przesuwano się stado jeleni, niby gromadka szarych kropek. Większość płaszczyny rumieniła się od wrzosów, reszta zaś była przeważnie poprzerrywana bagnami, trzęsawiskami i torfiastymi kałużami, w części zaś czerniła się od niedawnej pogorzeli; w innym zaś miejscu widać było cały las obumarłych świerków, sterczących jak kościo-

<sup>240</sup>mamyż — konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -ż, pełniącą funkcję wzmacniającą i pytajną; inaczej: czy mamy. [przypis edytorski]

trupy. Trudno sobie wyobrazić posępniejszą pustynię; atoli była ona przynajmniej (w co nam graj!) wolna od żołnierzy.

Zeszliśmy więc w tę pustoszę i poczęliśmy odbywać żmudną podróż po bezdrożach, kierując się ku wschodniej krawędzi. Wszędy wokoło (trzeba to mieć w pamięci) wznosiły się wierchy górskie, z których mogliśmy być dostrzeżeni w każdej chwili; toteż musieliśmy się trzymać zagłębień ugorzyska, gdy zaś te zbaczały od kierunku naszej drogi, posuwaliśmy się z niesłychaną ostrożnością po nagiej powierzchni równiny. Niekiedy w ciągu pół godziny musieliśmy się czołgać od jednej kępki wrzosu do drugiej, jak łowcy podkradający się ku zwierzynie. Był to znów dzień jasny, a słońce jarzyło się spiekotą; woda, którąśmy mieli w manierce od gorzałki, rychło się nam wyczerpała — słowem, gdybym przeczuwał, co to znaczy czołgać się na brzuchu przez pół dnia, a przez drugą połowę niemal wciąż garbić się prawie do kolan i tak kroczyć naprzód, na pewno bym się powstrzymał od takiego zabójczego przedsięwzięcia.

Wlokąc się, odpoczywając i znów się wlokąc, spędziliśmy cały poranek; około południa ułożyliśmy się do snu w gęstej kępie wrzosu. Alan objął pierwszą wartę — i zdawało mi się, że dopiero co zamknąłem powieki, gdy obudzono mnie do objęcia drugiej straży. Nie mieliśmy zegarka, według którego moglibyśmy odbywać zmiany wart, więc Alan, chcąc go jakoś zastąpić, zatknął w ziemię gałązkę wrzosu: gdy cień krzaka dojdzie do tego miejsca, gdzie była zatknięta, miał to być znak, żeby zbudzić Alana. Ale tym razem byłem tak znużony, że mógłbym przespać jednym ciągiem całą dobę; śpił morzył mnie w gardle, a członki moje były ospałe nawet wtedy, gdy umysł mój czuwał, duszny zapach wrzosu i brzęczenie dzikich pszczoł działały na mnie jak odwar nasenny. Od czasu do czasu zrywałem się i stwierdzałem, że drzemam.

Ostatni raz, gdy się obudziłem, zdawało mi się, że przybywam kędyś z dala, i mniemałem, że słońce przebiegło już znaczną część niebios. Spojrzałem na gałązkę wrzosu i o mało co nie krzyknąłem na cały głos — gdyż obaczyłem, iżem zawiódł pokładane we mnie nadzieje. W głowie mi się niemal zakręciło od wstydu i trwogi, a to, co ujrzałem, rozejrzawszy się po równinie, ścięło krew w mych żyłach. Albowiem jawą to było, że, podczas gdy spałem, z gór nadciągnął oddział dragonów i zbliżał się ku nam od południo-wschodu, rozpościerając się na kształt wachlarza i hasając na koniach tędy owędy poprzez gęstwy wrzosowisk.

Gdy obudził Alana, on spojrzawszy najpierw na żołnierzy, potem zaś na gałązkę wrzosu i wzniesienie słońca, zmarszczywszy brwi, strzelił bystrym wzrokiem, w którym wyrażał się gniew i niepokój. Był to jedyny wyrzut, jaki spotkał mnie z tego strony.

— Co teraz pocznjemy? — zapytałem.

— Zabawimy się w zajączki — odpowiedział. — Czy widzisz tamtą górę? — i wskazał mi wierch widniejący na północno-wschodniej polaci nieba.

— A jakże — odparłem.

— Dobrze — rzekł Alan — wobec tego pędźmy ku niej. Zwą ją Ben Alder; jest to dzika, opustoszała góra, pełna wzniesień i wądołów, a jeżeli uda się nam do niej dotrzeć przed świtem, może zdołamy się jeszcze ocalić.

— Ależ Alanie — zawołałem — toż wyjdziemy w sam raz w drogę żołnierzom.

— Wiem o tym doskonale — odrzekł Alan — ale jeżeli damy się zapędzić z powrotem ku Appinowi, zginęliśmy obaj. No, Dawidku, ino<sup>241</sup> rażno<sup>242</sup>!

To rzekłszy, zaczął z nieprawdopodobną szybkością biec na rękach i klęczkach, jak gdyby był z natury przyzwyczajony do takiego chodzenia. Przez cały ten czas skręcał tu i tam w zagłębienia płaszczyzny, gdzie mogliśmy się najlepiej ukryć. Gdzieniegdzie były miejsca wypalone lub przynajmniej nawiedzone ogniem, toteż w twarze nasze, pochyłone do samej ziemi, uderzał oslepiający i dławiący pył, drobny jak sadze. Wody z dawna nam zabrakło, a ten bieg w przygiętej postawie na dloniach i klęczkach przynosił tak obezładniającą słabość i znużenie, aż bolały nas stawy i mdlały przeguby pod naszym ciężarem.

Juści, że od czasu do czasu, gdzie była wielka kępa wrzosu, kładliśmy się na chwilę, by odsapnąć i rozsuwając prętotwie, oglądaliśmy się na dragonów. Ci widocznie nas nie do-

<sup>241</sup>ino (gw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>242</sup>rażno — szybko. [przypis edytorski]

strzegli, gdyż jechali prosto przed siebie; było ich z pół szwadronu, jak sędzę, a zajmowali przestrzeń prawie dwóch mil, tratując mocno ziemię pod sobą. Obudziłem się był w samą porę; gdyby to było nieco później, tedy zamiast umknąć w bok, musielibyśmy uciekać im przed samym nosem. Ale nawet w obecnym położeniu najmniejszy przypadek mógł nas zdradzić; raz po raz, gdy znad wrzosowiska wzbil się cietrzew, trzepocąc skrzydłami, leżeliśmy cicho jak martwi i nie śmieliśmy oddychać.

Ból i wyczerpanie mego ciała, dolegliwość serca, okaleczenia mych rąk, swędzenie w gardle i oczach od ciągłego kurzu i popiołu — wszystko to stało mi się wkrótce tak nieznośne, że rad bym był już zaniechać tej przeprawy, i jedynie obawa przed Alanem dodawała mi wątpliwej odwagi do dalszego biegu. Co się jego tyczy (a pamiętać należy, że był objuczony płaszczem), stał się najpierw pąsowy, ale z czasem ta czerwoność zaczęła nabiegać białymi cętkami; oddech jego stał się chrapliwy i świszczący, a jego głos, ilekroć na przystankach szeptał mi w ucho swe uwagi, brzmiał jak gdyby nie z tego świata. Mimo to bynajmniej Alan nie stracił rezonu, ani nie ustawał w swej przedsiębiorczości, tak, iż chcąc nie chcąc musiałem się dziwić jego niepożytej sile.

Na koniec o zmierzchu posłyszeliśmy granie trąby, a obejrawszy się poza siebie skroś wrzosów, obaczyliśmy, iż szwadron począł się zbierać. Wkrótce potem żołnierze rozniecili ognisko i rozłożyli się obozem na noc pośrodku pustkowia.

Widząc to, jąłem błagać Alana, byśmy się położyli i przespali.

— Nie będzie spania w noc dzisiejszą! — odrzekł Alan. — Od dziś dnia ta wasza ociężała konnica będzie pilnować rubieży ugorzysk, tak iż z Appinu żywa dusza nie wyjdzie, co najwyżej skrzydlate ptactwo. Przedostaliśmy się przez nich w samą porę; mamyż teraz narażać na szwank to, cośmy zyskali? Nie, nie! Z nastaniem dnia powinniśmy się obaj znaleźć w bezpiecznej kryjówce na Ben Alder.

— Alanie — rzekę na to — dobrych chęci mi nie braknie: brak mi jeno siły. Gdybym potrafił, nic bym nie miał przeciwko temu; jednakże, jako mię tu widzisz, nie potrafię.

— Dobrze, dobrze — powiedział Alan. — Ja cię poniosę.

Spojrzałem nań, chcąc poznać, czy nie żartuje, ale nie — ten mały człeczek mówił całkiem poważnie. Zawstydził mnie widok takiej stanowczości.

— Prowadź mnie naprzód! — rzekłem. — Pójdę za tobą!

Rzucił mi takie spojrzenie, jak gdyby chciał powiedzieć: „Brawo, Dawidzie!” — i znów jął<sup>243</sup> biec pędem.

Z nadejściem nocy zrobiło się chłodniej, a nawet (choć nie o wiele) ciemniej. Niebo było bezchmurne; był to dopiero początek lipca, a znajdowaliśmy się dość daleko na północy; wprawdzie w najciemniejszej godzinie owej nocy jeno chyba ktoś obdarzony nader byстрым wzrokiem mógł zasiąść do czytania, ale, bądź co bądź, widywałem ja niekiedy większy mrok w samo południe zimowe. Spadła ciężka rosa i zwilżyła, niby deszcz, całe pustkowie — orzeźwiło mnie to na chwilę. Gdyśmy się zatrzymywali dla nabrania tchu i miałem czas, by obejrzeć się poza siebie, jasność i powab nocy, zarysy gór, niby jakowychś istot uspiionych, ognisko połyskujące hen poza nami, niby świetlana plamka na tle płaskowyzu — wszystko to sprawiało, żem się zżymał, iż muszę tak wlec się w męczarniach i lykac kurz jako robak.

Z tego, com czytywał w książkach, wnoszę, iż niewielu z tych, co brali się do pióra, przechodziło prawdziwe utrapienia, albo też sędzę, iż powinni je byli opisać dosadniej. O życie nie dbałem, ani o to, com przeszedł, ani o to, co mnie czekało, ledwiem też baczył, że na świecie bożym żyje chłopak nazwiskiem Dawid Balfour; nie myślałem o sobie, atoli każdy nowy krok, który już niechybnie uważałem za ostatni w mym życiu, przejmował mnie rozpaczą — oraz nienawiścią dla Alana, który był powodem tych katuszy.

Z wolna zaczął nadchodzić dzień — a mnie się zdało, iż to całe lata ubiegły; przez ten czas przebyliśmy już największe niebezpieczeństwo i mogliśmy już stąpać po ludzku na dwóch nogach, zamiast czołgać się na czworakach jak dzikie zwierzęta. Ale — Boże zmiłuj się! — jakaż to musieliśmy tworzyć parę, zgięci w pałak jak stare dziady, raczkując jak niemowlęta i mając lica blade jak truposze. Nie zamienialiśmy ani słowa; każdy z nas zaciskał zęby i wlepiął oczy przed siebie, podnosił nogę i znów ją opuszczał, jak osiłkowie, co na wiejskich kiermaszach popisują się dźwigniem ciężarów. Tymczasem we wrzoso-

<sup>243</sup>jął (daw.) — zacząć (coś robić); zabrać się za coś. [przypis edytorski]

wiskach rannym hejnałem ożywało się ptastwo, a na wschodzie światłość nabierała mocy z każdą chwilą.

Powiadam, że Alan czuł się tak samo jak ja. Nie wynikało to stąd, jakobym mu się przypatrywał, gdyż nazbyt wiele miałem kłopotu z własnymi nogami, ale rzecz oczywista, że musiał ci on być<sup>244</sup> tak oszołomiony znużeniem, jak i ja, i równie mało zważał na to, gdzie idziemy, inaczej nie wpadlibyśmy, jak ślepi, w zasadzkę.

Stało się to w ten sposób. Zstępowaliśmy właśnie z wrzosistego upłazu. Alan szedł przodem, ja zaś o parę kroków za nim, jak grajek i jego żona; naraz ni stąd, ni zowąd zaszleściło coś we wrzoscach i z ich gąszczu wyskoczyło ze czterech obdartusów — w chwilę później leżeliśmy już obaj na wznak, mając do gardła przytknięte pugiwały.

Nie uświadamiam sobie, co się wówczas we mnie działo; ból, spowodowany ową okrutną napaścią, był całkowicie przytłumiony dolegliwościami, których już miałem do syta; radość z powodu zatrzymania się w pochodzie nie pozwalała mi myśleć o grożącym mi sztylcie. Leżałem, wpatrując się w oblicze człowieka, który mię dzierzył; pomnę, że twarz miał ogorzałą od słońca, a oczy bardzo jasne — ale lęku przed nim nie odczuwałem wcale. Słyszałem, iż Alan szeptał coś z drugim po gallicku, atoli<sup>245</sup> nie obchodziło mnie zgoła, o czym oni tam rozmawiali.

Nagle odjęto od nas sztylety, odebrano nam broń i dano nam usiąść we wrzoscach, twarzami do siebie.

— To ludzie Cluny'ego — rzekł Alan. — Nie mogliśmy lepiej trafić. Musimy teraz pozostać tutaj z tymi, którzy stanowią jego najdalszą placówkę — dopóki oni nie zawiadomią swego harnasia<sup>246</sup> o naszym przybyciu.

Otóż Cluny Macpherson, naczelnik klanu Vourich, był jednym z wodzów wielkiego powstania na sześć lat przedtem; na jego życie wyznaczono cenę, toteż przypuszczałem, iż on znajduje się od dawna we Francji wraz z resztą owego desperackiego stronnictwa. Pomimo że byłem tak śmiertelnie zmęczony, ożywiła mnie na poły ta niespodziana wiadomość.

— Co? — zawołałem. — Więc Cluny jeszcze tu przebywa?

— Tak jest! — odrzekł Alan. — Przebywa wciąż w swej dziedzinie, podtrzymywany przez swój klan. Król Jerzy nic tu nie wskóra.

Zapewne byłbym się jeszcze więcej dopytywał, ale Alan nie dopuścił dłuższej gawędy, mówiąc:

— Jestem setnie zmordowany i chciałbym się przespać.

I nie mówiąc już ni słowa, zaszył się twarzą w bujną kępę wrzосу i pewno zasnął natychmiast.

Ja nie mogłem zasnąć. Słyszeliście kiedy letnią porą zgrzytające w trawie pasikoniki? Otóż ledwo zmrzyłem powieki, aliści całe ciało moje, nade wszystko zaś głowa, żołądek i przeguby, zdało się roić od sykających pasikoników — zmuszony byłem natychmiast otworzyć oczy, przewracać się z boku na bok, siadać i kłaść się znowu, i spoglądać na niebo, rażące mnie swym blaskiem, lub na dzikich i niechlujnych wartowników Cluny'ego, wyzierających bacznie poza krawędź upłazu i gwarzących ze sobą po gallicku.

Tyle tylko miałem wypoczynku, dopokąd nie powrócił wysłaniec, oznajmując, że Cluny rad nas powita u siebie; wówczas musieliśmy wstać znów na nogi i ruszyć w dalszą drogę. Alan był w pysznym humorze, gdyż czuł się nader orzeźwiony snem, a że był okrutnie zgłodniały, cieszył się zawczasu na lyk gorzałki i misę gorącego mięsiwa, o których, jak się zdaje, zwiastował mu również wysłaniec. Mnie to aż słabo się zrobiło na wzmiankę o jedzeniu. Poprzednio byłem śmiertelnie bezwładny, teraz zaś doznawałem jak gdyby jakiegoś straszego olśnienia, które nie pozwalało mi stąpać. Unosiłem się, jak zwitki babiego lata; ziemia wydawała mi się obłokiem, góry zdały się mieć wagę pierza, a w powietrzu, rzekłbyś, przepływał jakowyś prąd, ni to pędzącego potoku, który niósł mię tędy owędy. Mimo to wszystko na duszy mej zasiała groza niepojętej rozpacz i omal żem się nie rozplakał nad własną niedolą...

Widziałem, iż Alan marszczył brwi na mnie i mniemałem, że jest to oznaka gniewu, to zaś przejęło mnie nową nieuzasadnioną trwogą, podobną strachom dziecinny.

<sup>244</sup>musiał ci on być — konstrukcja z partykułą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>245</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>246</sup>harnas (gw.) — daw. przywódca zbójników tatrzańskich. [przypis edytorski]

Pamiętam też, że się uśmiechał i nie mogłem pozbyć się tego uśmiechu pomimo wszelkich usiłowań — gdyż uważałem, iż w takich okolicznościach był to uśmiech zgoła nie na miejscu. Atoli mój poczciwy druh miał względem mnie tylko jak najlepsze zamiary — toteż w chwilę później dwóch pacholków wzięło mnie na ramiona i jęli mnie nieść z nadzwyczajną szybkością (przynajmniej tak mi się wydawało, choć na pewno w rzeczywistości szli dość powoli) przez labirynt ponurych wądołów i czeluści... aż w samą głąb nieszczęsnej góry Ben Alder.

## ROZDZIAŁ XXIII. KLATKA CLUNY'EGO

Doszlśmy na koniec do skraju boru, który piętrzył się niezmiernie stromo po urwistym zboczu i był uwieczony nagą krzesanicą.

— To tutaj — rzekł jeden z przewodników i jęliśmy wdzierać się pod górę.

Drzewa pięły się po spadziźnie, jak majtkowie po karnatach<sup>247</sup> okrętu, a ich pnie były jak gdyby poręczami schodów, po których wstępowaliśmy wzwyż.

Na samym szczycie, tuż przed głązną<sup>248</sup> ścianą wierchu strzelającego ponad regle<sup>249</sup>, znaleźliśmy ów dziwny dom, który w wieści gminnej pozyskał nazwę „klatki Cluny'ego”. Parę śniatów<sup>250</sup> drzewnych ułożono w poprzek, przerwy umocniono słupcami, a przestrzeń poza tą zaporą wyrównano ziemią celem utworzenia klepiska. Jedno z drzew wyrastających z górskiego zbocza, zielone jeszcze i bujne, służyło za główną więźbę dachu. Ściany były z prętowia utkanego mchem. Cały dom kształtem swym cokolwiek przypominał jajo, a częściowo wisząc, częściowo stojąc na tej stromej, gąszczem porosłej spadziźnie, podobny był do gniazda os na zielonej tarninie.

Wnętrze było na tyle obszerne, iż mogło dość wygodnie pomieścić pięć do sześciu osób; wysterk skały zręcznie zużytkowano na polepę pod ognisko, a dym wznosząc się po ścianie krzesanicy i niezbyt się od niej różniąc barwą, łatwo uchodził oczu ludzi stojących u podnóża góry.

Była to tylko jedna z kryjówek Cluny'ego; miał on ponadto jaskinie i podziemne nory w wielu stronach swej dziedziny, a kierując się doniesieniami swych wywiadowców przenosił się z jednej do drugiej, w miarę jak żołnierze zbliżali się lub oddalali. Dzięki temu trybowi życia i dzięki życzliwości swego klanu nie tylko mógł tu przebywać bezpiecznie, gdy tyłu innych bądź uciekło, bądź zostało pojmanych i zabitych — ale przetrwał tu jeszcze z jakie pięć lat później, dopóki stanowczy rozkaz jego zwierzchnika nie skłonił go w końcu, by wyjechał do Francji. Tam zmarł niebawem — i dziwna<sup>251</sup> pomyśleć, jak mu tam żal było onej klatki na Ben Alder.

Kiedyśmy stanęli w drzwiach, on siedział przy swym opoczystym<sup>252</sup> kominku, doglądając pacholika, zajętego pitraszeniem jakiegoś jada. Sam był ubrany nader skromnie; na uszy wcisnął sobie kraciatą szlafmycę i ćmił krótką, niemile pachnącą fajeczkę. Pomimo to miał maniery iście królewskie i warto było go widzieć, jak wstawał z miejsca na nasze powitanie.

— Czolem waszmości, panie Stuart! — ozwał się. — Bądź łaskaw wejść i wprowadzić swego przyjaciela, którego imię nie jest mi jeszcze wiadome.

— Jakże się waćpan miewasz, panie Cluny? — rzekł Alan. — Mam nadzieję, że tęgo, mospanie. Dumny jestem, że widzę waćpana i mogę mu przedstawić swego przyjaciela, imć pana Dawida Balfoura, dziedzica Shaws.

Alan nigdy nie wspominał mego dziedzictwa bez odcienia lekkiej uszczypliwości, gdyśmy byli sam na sam, atoli wobec ludzi obcych wygłaszał swe słowa donośnym i uroczystym głosem, niby herold.

— Wnijdzieć obaj, mości szlachta dobrodzieje — rzekł Cluny. — Rad jestem was powitać w mym domu, który bez wątpienia jest lichą i dziwaczną ruderą, atoli tu właśnie miałem szczęście gościć osobę domu królewskiego... wiesz zapewne, mości Stuarcie, kogo

<sup>247</sup>karnaty — liny boczne, podtrzymujące maszt. [przypis redakcyjny]

<sup>248</sup>głązny — skalisty, pokryty głazami. [przypis edytorski]

<sup>249</sup>regiel — lesiste wzniesienie położone poniżej górnej granicy lasu. [przypis edytorski]

<sup>250</sup>śniat (daw.) — pień drzewa; pniak, kłoda. [przypis edytorski]

<sup>251</sup>dziwna — daw. forma; dziś znaczenie: dziwne (było). [przypis edytorski]

<sup>252</sup>opoczysty (daw.) — skalisty; por. *opoka*: skała. [przypis edytorski]

mam na myśli. Łykniemy sobie nieco gorzały na zdrowie, a skoro ten mój niedołęga przyrządzi nam zrazy, zjemy obiadek i pogramy sobie w karty jak panowie. Wiodę życie niewykwintne — mówił dalej, nalewając gorzałki — mało tu widuję towarzystwa, więc siedzę z założonymi rękoma, myśląc o wielkim dniu, który przeminął, i tęskniąc do innego wielkiego dnia, którego nadejścia wszyscy się spodziewamy. A więc piję ten toast w ręce wasze: niech żyje Restauracja!

Tręciliśmy się wszyscy kieliszkami i wypili. Z całą pewnością rzec to mogę, iż nie życzyłem nic złego królowi Jerzemu; gdyby on tu był we własnej osobie, uczyniłby chyba tak samo, jak i ja. Ledwom wychylił łyk gorzałki, poczułem się znacznie lepiej i mogłem wszystkiemu przyglądać się i przysłuchiwać, może jeszcze niezupełnie przytomnie, ale już bez onej bezpodstawnej grozy i rozterki ducha.

Juścić, było to miejsce osobliwe, a gospodarza mieliśmy też osobliwego. W ciągu swego długiego ukrywania się Cluny nabrał najprzeróżniejszych nawyczek i śmiesznośc, niczym stara panna. Miał swoje oddzielne miejsce, gdzie nikomu innemu nie wolno było siedzieć; „klatka” była zastawiona sprzętami w pewien określony sposób, którego nikomu nie wolno było naruszać; sztuka kucharska stanowiła jedno z najmilszych jego upodobań, tak iż nawet witając się z nami, nie spuszczał z oka pieczeni.

Okazało się, że czasami pod osłoną nocy odwiedzał żonę lub najbliższych przyjaciół, to znowu wzajem przyjmował ich odwiedziny, po większej części jednak żył w zupełnej samotności, porozumiewając się jedynie ze swymi strażnikami i z pacholikami, którzy mu usługiwali w klatce. Zaraz z samego rana przychodził jeden z nich, z zawodu cyrulik, goił go i opowiadał nowiny okoliczne, których Cluny niepomiernie był spragniony. Wówczas nie było końca zapytywaniom; zadawał je z taką powagą, jak dziecko, a przy niektórych odpowiedziach śmiał się bez najmniejszej przyczyny i na ich wspomnienie nieraz jeszcze, w wiele czasu po odejściu golibrody, wybuchał śmiechem.

Oczywiście w tych pytaniach mógł się kryć cel pewien; albowiem choć mieszkał w takim odludziu i na mocy ostatniej uchwały parlamentu został na równi z innymi posiadzielami<sup>253</sup> szkockimi pozbawiony wszelkich praw obywatelskich, to jednak wciąż jeszcze sprawował patriarchalną władzę sądową nad swym klanem. Odnoszono się doń w różnych spornych sprawach, by rozstrzygał je w swej kryjomej jamie; a jego krajanie, którzy na pewno strzykali by palcami wobec trybunału sądowego, zrzucali z serca mściwość i płacili grzywnę na jedno tylko słowo tego wyjętego spod prawa, ściganego banity. Gdy był gniewny, co zdarzało się dość często, wydawał rozkazy i szeptane półgłosem groźby kary, niby udziałny król, a jego podwładni drżeli i uchylali się przed nim, jak dzieci przed porwczym ojcem. Każdemu z nich, gdy wchodził, ceremonialnie ścisnął dłonie, po czym obie strony jednocześnie przykładły rękę do czapki na sposób wojskowy. Słowem, miałem doskonałą sposobność przyjrzeć się po trosze wewnętrznym sprawom góralskiego klanu: otom widział<sup>254</sup> naczelnika, skazańca i banitę; jego włości były zagarnięte przez innych, a zbrojne oddziały jeździły na wszystkie strony, poszukując go częstokroć o milę od miejsca jego pobytu — podczas gdy najlichszy z tych obdartusów, których on kazał grzywną lub obsypywał pogroźkami, mógł zdobyć majątek, wydając go w ręce siepaczy.

W owym pierwszym dniu, skoro zrazy były już gotowe, Cluny własnoręcznie wycisnął na nie całą cytrynę (boć był on dobrze zaopatrzony we frykasy) i prosił nas, byśmy się przysiedli do jadła.

— Są one takie same — mówił, mając na myśli zrazy — jak te, które w tymże domu podałem królowi jegomości, pominawszy sok cytrynowy, gdyż podówczas dobrze było, gdyśmy mogli dostać kawał mięsa i to bez przypraw i korzeni. Dalibóg, w roku czterdziestym szóstym więcej było dragonów niż limonów w mej krainie.

Nie wiem, czy te zrazy były naprawdę tak smakowite, ale serce mi rosło na ich widok, a zjeść ich zdołałem zaledwo parę kęsów. Przez cały ten czas Cluny bawił nas opowiadaniem o pobycie księcia Karola w tej „klatce”, przytaczając nam dokładnie wszystkie słowa rozmówców oraz podnosząc się z miejsca, by wskazać, gdzie owi stali. Przy tej sposobności dowiedziałem się, że księżę był dzielnym i grackim młodzianem, jak przystało na potomka szczepu wytwornych władców, ale mądrością nie przypominał Salomona.

<sup>253</sup>posiedzieli (daw.) — posiadacz. [przypis edytorski]

<sup>254</sup>otom widział — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: oto widziałem. [przypis edytorski]



Wymiarkowałem również, że bawiąc w klatce niejednokrotnie bywał pijany, tak więc już wówczas zaczęła na jaw wychodzić owa przywara, która później przywiodła go ponoć do zguby.

Ledwośmy się uporali z jedzeniem, gdy Cluny wyciągnął starą, wymiętoszoną i zatłuszczoną talię kart, jaką nadybać<sup>255</sup> można w podłej karczmie, a oczy mu się skrzyły, gdy nam proponował, byśmy zasiedli do gry.

Otóż trzeba wiedzieć, że karcmarstwo należało do tych rzeczy, których unikać — ni by jakiego grzechu — uczono mnie od dzieciństwa; albowiem mój ojciec uważał, że ani chrześcijaninowi, ani szlachcicowi nie przystoi pozbywać się własnego mienia ani też łowić cudze błahym rzucaniem malowanych tekturek. Rzecz prosta, iż mogłem się wykręcić zmęczeniem, co byłoby dostateczną wymówką; atoli sądziłem, iż wypada mi powiedzieć parę słów prawdy. Pewno tam rumieniłem się po same uszy, ale mówiłem śmiało, powiadając, iż nie roszczę sobie pretensji, bym miał być sędzią drugich, ale osobiście nie widzę nic dobrego w tej zabawie.

Cluny przestał tasować karty.

— Cóż to, u licha! — odezwał się. — Cóż to za wigowska, krętacka mowa rozbrzmiewa w domu Cluny'ego Macphersona?

— Gotów jestem skoczyć w ogień za pana Balfoura — rzecze Alan. — Jest to zacny i dzielny junosza, a chciej waszmość pamiętać, kto to mówi. Noszę nazwisko królewskie — (to mówiąc, poprawił kapelusza na głowie) — a kogo zwę przyjacielem, z tym mnie łączy prawdziwe pobratymstwo. Ale ten pan jest zmęczony i winien się przespać; jeżeli zaś nie ma chęci do kart, nie przeszkodzi to nam dwom trochę się nimi zabawić. Ja zaś jestem gotów i chętny, mospanie, zagrać w każdą grę, jaką wymienisz.

— Miłościwy panie — rzecze Cluny — wiedźcie, że rad bym, by w tym ubogim moim domostwie każdy brat szlachcic czynił, co mu sprawia przyjemność. Jeżeli twój przyjaciel zechce stawać na głowie, to i owszem. Jeżeli zaś bądź on, bądź waćpan, bądź kto inny nie będzie całkowicie zadowolony, będę dumny iż mogę dać mu pole.

Nie miałem ochoty, żeby ci dwaj przyjaciele mieli gwoli mnie stawać sobie do gardła.

— Wielmożny panie — rzekłem — jestem bardzo znużony, jak słusznie powiada Alan; ponadto ponieważ waszmość masz zapewne własnych synów, mogę ci powiedzieć, że co do kart — była to obietnica dana memu ojcu.

— Nie gadaj już aść<sup>256</sup> nic więcej, nie gadaj — rzekł Cluny i wskazał mi legowisko z wrzosu w kącie klatki. Mimo wszystko był dość niezadowolony, spoglądał na mnie społem łba, i coś tam mruczał pod nosem.

Gorzałka i dziczyzna sprawiły, iż nawiedziła mię straszna ociężałość, i ledwom ułożył się<sup>257</sup> na onym barłogu, wpadłem w jakieś odurzenie, w którym pozostawałem przez cały niemal czas naszego pobytu w klatce. Czasami budziłem się na dobre i rozumiałem, co się działo; czasami tylko słyszałem głosy lub chrapania ludzkie, ni by szmer jakiejś powoli płynącej rzeki; pledy na ścianie opadały i znów się wzdymały, podobnie jak cienie padające od ogniska na powałę. Kilka razy widocznie coś przemówiłem lub krzyknąłem, gdyż pamiętam, iż od czasu do czasu zdumiewałem się, że mi dawano jakieś odpowiedzi; wszakże nie przypominałem sobie żadnej osobliwszej zmory, tylko jakąś ogólną, czarną, ustawiczną trwożę — trwożyłem się miejsca, gdzie się znajdował<sup>258</sup>, i łoża, na którym spoczywałem, i pledów na ścianie, i głosów, i ogniska... i siebie samego.

Wezwano cyrulika (który był lekarzem), aby mnie obejrzał; ponieważ on jednak mówił po gallicku, nie rozumiałem ani słowa z jego diagnozy, a zanadto byłem osłabiony, ażeby poprosić o przetłumaczenie słów jego. Wiedziałem doskonale, że jestem chory, i poza tym więcej nic mnie nie obchodziło.

Małom tam czemu się przypatrywał, leżąc w tej całej biedzie. Jednakowoż Alan i Cluny większą część czasu spędzali na kartach, a Alan musiał początkowo więcej wygrywać,

<sup>255</sup>nadybać — tu: napotkać. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>aść (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>257</sup>ledwom ułożył się — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: ledwo ułożyłem się. [przypis edytorski]

<sup>258</sup>gdziem się znajdował — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: gdzie się znajdowałem. [przypis edytorski]

gdyż przypominam sobie, że ilekroć usiadłem na barłogu, widziałem ich siedzących nieporuszenie przy grze, a na stole piętrzył się błyszczący stos, liczący sześćdziesiąt, ba i po sto gwinei. Dziwnie się to wydawało widzieć takie bogactwa w gnieździe przyczepionym do skalnej krzesanicy, a rozpostartym na rosnących drzewach.

„No, no! — pomyślałem sobie — na głęboką wodę puszcza się Alan, nie mając do tej przeprawy lepszego rumaka jak zieloną sakiewkę i zaledwo pięć funtów”.

Na drugi dzień ponoć zmieniło się szczęście. Koło południa zbudzono mnie, jak zwykle, na obiad i, jak zwykle, odmówiłem jedzenia — dano mi więc łyk gorzałki z jakąś gorzką domieszką, przepisaną przez lekarza. Słońce zaglądało w otwarte dźwierze<sup>259</sup> klatki, rażąc mnie i drażniąc swym blaskiem. Cluny siedział za stołem, gryząc talię kart. Alan pochylał się nad barłogiem i przytknął twarz tuż do moich oczu; ponieważ wzrok mi mąciła gorączka, przeto ta twarz wydała mi się potwornej wielkości.

Poprosił mnie, bym mu pożyczył pieniędzy.

— Na co? — zapytałem.

— Ot tylko, żebyś mi pożyczył — odpowiedział Alan.

— Ale czemu? — powtórzyłem. — Nie rozumiem.

— Sza, Dawidzie! — rzekł Alan. — Chyba nie żałujesz mi tej pożyczki?

Odmówiłbym mu na pewno, gdybym był przytomny! Ale wówczas myślałem tylko o tym, by się pozbyć jego twarzy, przeto wręczyłem mu pieniądze.

Rankiem trzeciego dnia, gdyśmy już spędzili czterdzieści osiem godzin w klatce, zbudziłem się w o wiele rzeświejszym usposobieniu; byłem wprawdzie jeszcze bardzo słaby i ociężały, ale wszystkie przedmioty widziałem już we właściwych rozmiarach i wszystkie miały przyzwoity wygląd codzienny. Miałem już ochotę do jedła, co więcej, o własnej sile powstałem z łóżka, a ledwom spożył śniadanie, poszedłem do drzwi klatki i usiadłem przed progiem, na krawędzi lasu. Był dzień szary, powietrze chłodne i spokojne; siedziałem więc, drzemiąc przez cały poranek, budzony jedynie krokami wywiadowców i sług Cluny'ego przybywających z żywnością i wieściami, gdyż wobec tego, że natenczas pobrzeże wolne było od wojska, naczelnik prawie otwarcie utrzymywał swój dwór.

Gdym powrócił, on i Alan właśnie odłożyli karty i wypytywali o coś pacholka; naraz naczelnik odwrócił się i zagadnął mnie po gallicku.

— Nie rozumiem po gallicku, łaskawy panie — odrzekłem.

Od czasu zatargu o szulerkę każde moje słowo i każdy postępek drażniły Cluny'ego.

— Nazwisko asana bardziej jest do rzeczy niż sam waćpan — ozwał się gniewnie — bo brzmi ono czysto po gallicku. Jednakże nie w tym sprawa. Moi wywiadowcy donoszą, że na południu droga jest zupełnie bezpieczna; chodzi tylko o to, czy asan masz dość siły, by iść?

Obaczyłem na stole karty, natomiast nie ujrzałem złota; miast nich leżał tylko stos zapisanych papierów i to wyłącznie po stronie Cluny'ego. Alan ponadto miał jakieś dziwne spojrzenie, jak człek niezbyt zadowolony — zaczęło mi się to mocno nie podobać.

— Nie wiem, czy zdrowie moje jest takie, jak być powinno — odparłem, spoglądając na Alana — ale szczyplą zapasik pieniędzy, jaki posiadamy, ma nam wystarczyć na długą drogę.

Alan przygryzł dolną wargę i wbił wzrok w ziemię.

— Dawidzie — rzekł na koniec — powiem ci szczerą prawdę: jam je stracił.

— I moje pieniądze również? — zapytałem.

— I twoje pieniądze też — odrzekł Alan, wzdychając. — Nie powinieneś mi być ich oddawać. Tracę rozum, gdy zasiądem do kart.

— Wolno tam, wolno! — rzecze Cluny. — Wszystko to były bałamuctwa, wszystko to głupstwa! Oddam ja waćpanu wszystkie pańskie pieniądze, oddam i w dwójnasób, jeżeli będziesz taki szczerzy. Byłoby to zaiste dziwne z mej strony, gdybym je zatrzymał. Nie należy przypuszczać, że chciałbym stawać w czymkolwiek na wstręćcie zacnym ludziom w waszym położeniu; byłaby to zaiste rzecz niesłychana!

Tak krzyczał, poczerwieniawszy mocno na twarzy, i zaczął wysypywać złoto z kieszeni.

Alan nic nie odpowiadał, jeno<sup>260</sup> spoglądał na ziemię.

<sup>259</sup>dźwierze (daw.) — drzwi, wrota. [przypis edytorski]

<sup>260</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Czy waszmość racyzysz podejść ku drzwiom ze mną? — zapytałem.  
— Z całą ochotą — odrzekł Cluny i poszedł za mną dość skwapliwie, ale wyglądał, jak gdyby był podchmielony i jednocześnie zawstydzony.

— Przede wszystkim, łaskawy panie — rzekłem — winienem pochwalić waszą wspaniałomyślność.

— Głupstwo nad głupstwami! — krzyknął Cluny. — Gdzież ta wspaniałomyślność? Jest to doprawdy wielce nieszczęsna przygoda; ale co chcesz aść, bym tu czynił... zamknięty w tej mojej klatce jak w ulu... jak nie grać w karty z przyjaciółmi, gdy mi się nadarzą? A jeżeli przegrają, to chyba nie należy przypuszczać... — tu zatrzymał się.

— Tak — odpowiedziałem — jeżeli przegrywają, waszmość oddajesz im pieniądze, a jeżeli wygrają, zabierają z sobą wasz grosz w swych biesagach! Powiedziałem przedtem, że oddaję cześć waszej wspaniałomyślności, ale mnie, panie łaskawy, bardzo przykro, że zostałem postawiony w takim położeniu.

Nastąpiła chwila milczenia, w ciągu której wciąż wydawało się, jakoby Cluny chciał coś powiedzieć — jednakże nie przemówił ani słowa, tylko coraz to bardziej czerwienił się na twarzy.

— Jestem młody — rzekłem — więc proszę waszmości o radę. Poradź mi tak, jakbyś radził rodzonemu synowi. Mój przyjaciel stracił swój grosz, wygrawszy wpiersz od waćpana o wiele znaczniejszą sumę waszych pieniędzy... czyż mogę przyjąć je z powrotem? Czyż mi to godzi się przystoi? Jakkolwiek tam będzie ze mną, sam waćpan możesz sobie uświadomić, że musi to być rzecz ciężka dla człeka, który ma taką godność osobistą.

— I dla mnie też to rzecz ciężka, panie Balfour — rzekł Cluny — a wasze<sup>261</sup> bardzo mi wyglądasz na człowieka, który dybiesz na to, by sprawiać przykrość biednym ludziom. Nie chciałbym ci ja, by moi przyjaciele, przybywając w którykolwiek z moich domów, doznawali obrazy, ani też... — tu podniósł głos, zawrzawszy nagłym gniewem — ani też, by dawali k'niej<sup>262</sup> przyczynę!

— Zważ no, waszmość — odciąłem się — i ja tu mam prawo coś powiedzieć w swej obronie... a ta szulerka jest zajęciem nie bardzo godnym szlachcica. Ale wciąż jeszcze oczekuję pańskiego zdania.

Jestem pewny, że Cluny mało kogo tak zniecierzył, jak Dawida Balfoura. Spojrzał na mnie groźnym okiem, a na jego ustach dostrzegłem już wyzwisko. Ale rozbroiła go czy to moja młodość, czy też może poczucie słuszności; w każdym razie zmartwieni byli wszyscy, nie wyłączając Cluny'ego — w co tym snadniej wierzyć można, iż przyjął to on po swojemu.

— Mości Balfour — ozwał się — myślę, że jesteście nadto wybredny i ugodowy, bądź co bądź jednak masz zacięcie na dzielnego szlachcica. Słowo honoru ci daję, że możesz przyjąć te pieniądze... tak bym powiedział rodzonemu synowi... a wraz z nimi przyjmij i moją prawicę!

## ROZDZIAŁ XXIV. UCIECZKA PRZEZ WRZOSISTE ROZŁOGI. ZWADA

Pod osłoną nocy przeprowiono Alana i mnie poprzez Loch Errocht, po czym, idąc wzdłuż wschodniego wybrzeża tej odnogi, doszliśmy do drugiej kryjówki koło wylotu Loch Rannoch, dokąd nas zaprowadził jeden z pacholików posługujących w „klatce”. Ów wyrostek niósł wszystkie nasze tobołki oraz płaszcz Alana; niósł je lekko, jak piórko, i stąpał raźnie jak wytrzymały kuc górski, mimo że niespełna połowa owego brzemienia zwykła była przytłaczać mnie do do ziemi. Z postawy jednak wyglądał niepozornie — jak patyk, który potrafiłbym złamać na kolanie.

Było to dla nas wielką ulgą, iżeszmy szli<sup>263</sup> nieobjuczeni; być może, że bez owej ulgi i, co za tym idzie, poczucia swobody i lekkości, ja nie mógłbym wcale iść. Wszak dopiero co wstałem z łoża boleści, a w obecnych naszych warunkach doprawdy nic nie mogło mnie zachęcić do tak wielkiego wysiłku, by przeprować się (jakesmy to czynili<sup>264</sup>) przez

<sup>261</sup> *wasze* (daw.) — zwrot grzecznościowy; skrót od *waszmość* (wasza miłość). [przypis edytorski]

<sup>262</sup> *k'niej* (daw.) — do niej, ku niej, dla niej. [przypis edytorski]

<sup>263</sup> *izeszmy szli* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: iż szliśmy. [przypis edytorski]

<sup>264</sup> *jakesmy to czynili* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak to czyniliśmy. [przypis edytorski]

najprzykrzejsze pustosze Szkocji, pod zachmurzonym niebem, pośród rozłamu w sercach naszych.

Przez długi czas nie mówiliśmy nic, tylko szliśmy koło siebie lub jeden za drugim, obaj z marsem na czole: ja uniesiony gniewem i butą, rysowałem sobie w wyobraźni, jaką to siłę pozyskałem dzięki tym dwom gwałtownym i grzesznym uczuciom; Alan zaś był jednocześnie gniewny i zawstydzony — wstydził się, że stracił moje pieniądze, a dąsał się, iżem tak wziął mu za to złe.

Myśl o rozłączeniu coraz to silniej nawiedzała mą duszę, a im bardziej zgadzałem się z tą myślą, tym bardziej mi było wstyd mej zgody. Byłby to zaiste czyn piękny, chlubny i szlachetny, gdyby Alan obrócił się i rzekł do mnie:

„Żegnaj mi. Sam znajduję się w największym bezpieczeństwie, a moje towarzystwo jeno ciebie naraża”.

Ale jakoż to mnie przystało zwrócić się do przyjaciela, który z pewnością mnie miłował, i powiedzieć mu:

„Tobie grozi większe, mnie mniejsze niebezpieczeństwo; przyjaźń twoja jest mi ciężarem, idź sobie i sam na własną rękę narażaj się na szwank lub uciążliwości...”.

Nie, niepodobna! Na samą już głęboko utajoną myśl o tym wstyd palił mi lica.

A przecie Alan postąpił był jak dziecko, a co gorsza, jak niewdzięczne dziecko. Wyłudzenie ode mnie pieniędzy w ową chwilę, gdy leżałem nieprzytomny, było mało co lepsze od kradzieży; a oto teraz włókł się obok mnie, nie mając grosza przy duszy, mimo to jednak, ilem mógł zmiarkować, z całą niefrasobliwością zamierzał utrzymać się z tych pieniędzy, które ja zmuszony byłem wyzebrać. Prawda, iż gotów byłem z nim się podzielić, ale właśnie to mnie złościło, że widział, jak on liczy na mą gotowość.

Te dwie sprawy wciąż opanowywały mój umysł, a nie mogłem z żadną się odezwać, by nie dopuścić się czarnej nikczemności. Tak wpadałem w drugie zło, bom się wcale nie odzywał i ani razu nie spojrzałem na mego przyjaciela, co najwyżej kącikiem mego oka.

Na koniec na drugim brzegu Loch Errocht, w przechodzie przez miejsce równe i sitowiem porośłe, gdzie kroczyć można było wygodnie, Alan nie mógł już wytrzymać i przybliżył się do mnie.

— Dawidzie — ozwał się — dwaj przyjaciele nie powinni się tak przejmować małą przygodą. Winienem rzec, że mi bardzo przykro, więc oto ci to wyznaję. Jeżeli zaś masz jeszcze teraz coś do powiedzenia, najlepiej będzie, gdy mi się z tym zwierzysz.

— Ee! — rzekłem. — Co bym znów miał do powiedzenia?

Wydawał mi się zbity z tropu, co budziło we mnie brutalną radość.

— Nie, nie! — rzekł on nieco drżącym głosem. — Ale skoro powiadam, iż zasłużyłem na naganę?

— Juści<sup>265</sup>, zasłużyłeś na naganę — rzekłem chłodno — a przyznasz mi chyba, że cię nigdy nie ganił.

— Nigdy — odpowiedział Alan — ale wiesz doskonale, żeś uczynił rzecz gorszą. Czy mamy się rozłączyć? Jużes raz tak powiedział. Czy chcesz znowu to powiedzieć? Z tego miejsca, gdzie stoimy, aż po jedno i drugie morze, jest niemało gór i rozłogów, mój Dawidzie, a powiem ci, że nie bardzo się napieram pozostawać tam, gdzie nie życzą sobie mej obecności.

Słowa te przeszły mnie jak ostre szpady i zdawały się obnażać moją utajoną niewierność.

— Alanie Breck! — zawołałem. — Czy sądzisz, że taki, iż odwrócę się tyłem do ciebie w największej twej niedoli? Nie wolno ci mówić mi tego w oczy! Całe moje postępowanie zadaje kłam tym słowom! Prawda, że usnął tam na ugorzyskach, ale wynikło to ze zmęczenia, a ty czynisz źle, że mi to wypominasz.

— Nigdy<sup>266</sup> tego nie czynił — odrzekł Alan.

— Ale pominąwszy owo — mówiłem dalej — cóżem ja uczynił, iż czynisz mnie psubratem, podsuwając mi takie myśli? Nigdy ci ja jeszcze nie opuścił przyjaciela, a nie zanosi się na to, bym od ciebie miał zaczynać. Łączą nas węzły, których ja nigdy nie zdołałem zapomnieć, nawet gdybyś ty zdołał o nich zapomnieć.

<sup>265</sup>juści (gw.) — tak, pewnie (potwierdzenie). [przypis edytorski]

<sup>266</sup>nigdy (... ) nie uczynił — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: nigdy nie uczynilem. [przypis edytorski]

— Jedną ci tylko rzecz powiem, Dawidzie — rzekł Alan z całym spokojem — iż przez czas długi winienem ci być życie, a teraz winien ci jestem pieniądze. Powinieneś starać się ulżyć mi tego ciężaru.

To powinno było mnie wzruszyć, i w pewnej mierze mnie wzruszyło, ale w sposób zgoła niewłaściwy. Czulem, że postępowałem źle, i byłem już teraz zły nie tylko na Alana, ale w dodatku i na samego siebie, co czyniło mnie tym bardziej zaciętym.

— Prosiłeś, bym ci wszystko powiedział — ożwałem się. — Dobrze, więc powiem. Sam wyznajesz, iż się wyrządził mi złą przysługę; zmuszony byłem przełknąć obelgę; wszakoż nigdy nie czyniłem ci wyrzutów, ani o tym nie wspominałem, pókiś ty tego nie uczynił. Teraz zaś ty mnie łajesz za to, że nie mogę śmiać się i śpiewać, jak gdybym rad był temu, że mnie obrażono. Za chwilę dojdzie do tego, że będę musiał uklęknąć przed tobą i dziękować ci za to wszystko! Winienes więcej zważać na innych, Alanie Breck! Gdybyś więcej myślał o drugich, pewno mniej byś mówił o własnej osobie, a skoro przyjaciel, który miłuje cię bardzo, zniósł obrazę, nie mówiąc ni słowa, wołałbyś dać temu spokój, zamiast kręcić z tego bicz na smaganie jego pleców. Własne to było twoje zdanie, iż to ty sam zasłużyłeś na naganę, wobec tego nie tobie przystoi wszczynać zwadę.

— No, no, no — rzekł Alan — nie mów już nic więcej.

I popadliśmy znowu w dawne milczenie, gdyśmy doszli do kresu podróży, zjedliśmy wieczerzę i pokładaliśmy się spać, nie mówiąc do siebie ni słowa.

Z brzaskiem dnia następnego pachoł przewiózł nas przez Loch Rannoch i udzielił nam rad co do najważniejszego kierunku drogi. Ta miała nas wprowadzić od razu pomiędzy wierchy: należało iść półkolem, mijając główce Glen Lyon, Glen Lochay i Glen Dochart, następnie zejść na niziny koło Kippen i górnego biegu rzeki Forth. Alan niezbyt był zadowolony tą marszrutą, która wiodła przez kraj jego dziedzicznych wrogów, Campbellów z Glenorch. Upierał się, iż kierując się na wschód, zajdziemy wnet pomiędzy Stuartów z Athole, szczerp tegoż co on nazwiska i pochodzenia, choć podlegający innemu naczelnikowi — a ponadto dojdziemy o wiele łatwiejszą i krótszą drogą na miejsce przeznaczenia. Atoli pachołek, który w rzeczywistości był przywódcą wywiadowców Cluny'ego, zdołał go wreszcie przekonać do swoich rad, wymieniając siły wojska w każdym okręgu i kończąc uwagą (o ile ją dobrze zrozumiałem), że nigdzie nie będą nam czynili mniej wstrętów, jak w dzielnicy Campbellów.

Alan uległ w końcu, acz<sup>267</sup> nie bardzo chętnie.

— Jest to jedna z najpodlejszych okolic Szkocji — powiadał. — Ile mi wiadomo, nic tam nie ma, oprócz wrzosów, wron i Campbellów. Ale widzę, że aspan jesteś człkiem rozgarniętym; niechże więc stanie się zadość twej woli!

Wyruszyliśmy więc po tej wytycznej i prawie przez całe trzy noce przedzieraliśmy się przez poczarne góry, pomiędzy źródłiskami rozhukanych strumieni; często spowijała nas mgła, prawie ustawicznie siekły nas wichry i deszcze, natomiast ni razu nie rozweselił nas promyk światłości słonecznej. W dzień leżeliśmy i spali w zamokłych wrzosowiskach, nocą zaś wspinaliśmy się bez ustanku po karkołomnych wierchach i pośród urwistych turni. Często błędziliśmy, i nadkładaliśmy drogi; często tak uwikłaliśmy się w mglicę, że trzeba było leżąc wyczekiwać, aż się rozwidni. O rozpaleniu ogniska nawet nie było co myśleć. Jedną naszą strawą była zacierka oraz kawał zimnego mięsiva, któreśmy wynieśli z „klatki”; co się zaś tyczy napoju, to niebu wiadomo, że wody nam nie brakło.

Był to czas okropny — a okropności przydawała mu posępna pogoda i smętny krajobraz. Nigdy nie mogłem się rozgrzać; zęby szczękały mi głośnie, a nękał mnie nader dokuczliwy ból gardła, taki jakiego doświadczałem na wysepce; w boku uczuwałem bolesne klucie, które mię nie opuszczało ani na chwilę; kiedy zaś spałem w wilgotnym łożu, gdzie z góry tłukł mnie deszcz, a od dołu chlupało pode mną błoto, wówczas w rojeniach przeżywałem na nowo co najgorsze moje przygody — widziałem to wieżę dworu w Shaws, oświeconą błyskawicami, to Ransome'a, niesionego na plecach marynarzy pod pokład okrętu, to Shuana konającego na podłodze czatowni, to znów Colina Campbell'a starającego się rozpiąć guziki surduta. Z takich to poszarpanych snów budzono mię o zmierzchu, bym usiadłszy w teże kałuży, gdzie spał, mógł się nieco pożywić zimną zacierką; deszcz ciął mnie wówczas ostro po twarzy lub zimnymi jak lód strugami spływał

<sup>267</sup> *acz* (daw.) — chociaż; aczkolwiek. [przypis edytorski]

mi po grzbiecie; mgła otulała nas jakby pomrocznym namiotem — albo też, bywało, gdy powiał wiatr, rozdzierała się nagle w dwie strony i odsłaniała przed nami wnękę jakowej czarnej doliny, gdzie rozgłośnie huczały potoki.

Zewsząd dochodził nas gwar mnóstwa strumieni. Z powodu ciągłej ulewy wezbrały źródłiska górskie; każdy źleb rozlewał wodę jak żuraw studzienny, każdy z poników<sup>268</sup> wypełnił, ba, przepelnił, swoje łożyska i bryzgał pianą. W czasie naszych nocnych wędrówek uroczystym nastrojem przejmował mnie odgłos tych zdrojów, słyszany kędyś nisko w dolinie — już to huczący jak grom, już to niejako rozkrzyczany gniewem. Teraz stało mi się zrozumiałym podanie o Wodniku, owym biesie<sup>269</sup> rzeczonym, który, jak prawią baśnie, jęczy i wrzeszczy nad brodem, póki nie nadejdzie potępiony podróżnik. Zauważyłem, iż Alan temu wierzył lub na poły dowierzał, a kiedy rzeczna wrzawa rozpełtała się huczniej niż zwykle, byłem nieco zdziwiony, widząc, jak on się żegnał obyczajem katolickim.

Wśród całej tej okropnej włóczędzy nie było pomiędzy nami żadnej zażyłości, a rzadko nawet gawędziliśmy z sobą. Prawda, że byłem śmiertelnie zmęczony, co może najlepiej mnie usprawiedliwić; poza tym jednak już od urodzenia miałem naturę nieprzejednaną, co nieprędko znosiła obrazę i nieprędko ją zapominała, teraz zaś byłem rozjątrzony zarówno na mego druha, jak i na siebie. Przez dwa dni był on niemal wciąż nieznośnie uprzejmy; wprawdzie milczał, ale zawsze był skory do pomocy i zawsze się spodziewał (jakem<sup>270</sup> to mógł doskonale zauważyć), że moje niezadowolenie przeminie. Przez cały ten czas ja byłem w sobie zawzięty, podsycając swój gniew, opryskliwie odrzucając przysługi Alana i omijając go wzrokiem, jak gdyby to był krzak lub kamień.

Druga noc, a raczej jutrznia trzeciego dnia, zastała nas na górze całkowicie odsłoniętej tak, iż nie mogliśmy postąpić według zwykłego trybu, to jest rozłożyć się natychmiast do śniadania i drzemki. Zanim dotarliśmy do miejsca osłoniętego, poszarzało już na dobre, bo choć jeszcze mżyło, przecież chmury podniosły się wyżej; gdy Alan spojrzął mi w oblicze, obaczyłem w nim oznaki jakiegoś niepokoju.

— Lepiej by było, gdybyś mi pozwolił ponieść twój tłumok — ozwał się po raz może już dziewiąty od czasu, gdyśmy rozstali się z wywiadowcą koło Loch Rannoch.

— Dobrze się czuję, dziękuję ci — odrzekłem głosem jak lód chłodnym.

Alan spąsował.

— Nigdy ci już się z tym nie zaofiaruję — powiedział. — Nie jestem ci ja człowiekiem cierpliwym, Dawidzie.

— Nigdy nie mówiłem, że nim jesteś — odciąłem się gburowato i niedorzecznie, jak gdybym był chłopakiem dziesięcioletnim.

Alan nie dał mi wówczas odpowiedzi, ale jego zachowanie starczyło za odpowiedź. Odtąd, rzec by można, przestał się zgola troszczyć o zajście u Cluny'ego; znów założył kapelusz na bakier, szedł rażno, wygwizdywał najrozmaitsze melodie i spogląda na mnie z ukosa, uśmiechając się wyzywająco.

Trzeciej nocy wypadło nam przechodzić przez zachodnią rubież kraiku Balquyhinder. Noc była jasna i chłodna, w powietrzu dawał się odczuć lekki przymrozek; północny wiatr rozgonił chmury i niebo wyiskrzyło się gwiazdami. Strumienie były jeszcze wezbrane i budziły wielki hałas wśród gór; atoli zauważyłem, iż Alan nie myślał już o Wodniku i był w przepysznym usposobieniu. Dla mnie owa zmiana pogody przyszła nazbyt późno; przeleżałem się był w błocie tak długo, że (jak powiada Pismo święte) sama odzież moja „wstręt mi czyniła”; byłem śmiertelnie znużony, ciężko chory, pełen dreszczów i dolegliwości; zimny dech wiatru na wskroś mię przenikał, a jego szum ogłuszał moje uszy. W tej niedoli musiałem jeszcze znosić pewnego rodzaju prześladowanie ze strony mego towarzysza. Gadał on teraz bez ustanku, a nigdy bez jakiejś uszczypliwości. „wig” — było to jeszcze najlepsze miano jakim mnie obdarzał.

— Hejże, mój wigusiu — powiadał — przeskocz no ten rowek! Wiem, że z ciebie skoczek nie lada!

I tak wciąż na różne sposoby, zawsze przedrzeźniając mi się przy tym głosem i twarzą.

Wiedziałem, że ja sam, a nie kto inny, był temu przyczyną; jednakże zanadto byłem sterany, bym zdobył się na skrucę. Czulem, że już niedaleko mogę się zawlec, lada dzień

<sup>268</sup>ponik — strumyk; mała rzeczulka. [przypis edytorski]

<sup>269</sup>bies (daw.) — diabeł. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>jakem (...) mógł — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: jak mogłem. [przypis edytorski]

niechybnie padnę i skonam, jak owca lub lis, na tych oślizgłych od wilgoci górach, a kości moje tu zbieleją, jak kości dzikiego zwierza. Miałem głowę wichrowatą, to być może — bądź co bądź, zacząłem się lubować tym wyobrażeniem, zacząłem znajdować upodobanie w myśli o takiej śmierci samotnej w pustkowiu, gdy mnie obsiadą srogie orły, czyhając na ostatnie moje chwile. Wówczas (myślałem sobie) Alan będzie żałował; gdy mnie już nie będzie na tym świecie, przypomni sobie, ile mi zawdzięczał, a to wspomnienie będzie dlań udręką. Takom więc szedł, niby żak schorzały, głupiuśki a złośliwy, żywiąc w sobie gniew przeciwko bliźniemu, zamiast upaść na kolana i błagać Boga o zmiłowanie. Zasię przy każdym docinku Alana ażem<sup>271</sup> się skręcał we dwoje.

„Ach! — myślałem sobie — mam ci ja w zapasie lepszą dokuczliwość; gdy padnę i wyzionę ducha, będzie to dla ciebie prawdziwym policzkiem. Ach, jakiż odwet!... och, jak będziesz żałował swej niewdzięczności i okrucieństwa!...”

Ale tymczasem robiło mi się gorzej z każdą chwilą. Raz upadłem, gdyż noga mi się powinęła z osłabienia. Wzruszyło to Alana na chwilę, ale zerwałem się tak żwawo na nogi i tak spokojnie ruszyłem w dalszą drogę, iż on niebawem zapomniał o tym zdarzeniu. Biły na mnie udary gorąca, to znów chwytaly mnie targające dreszcze. Kłucie w boku stało się wprost nieznośne. W końcu zacząłem odczuwać, że już dalej wlec się nie mogę; jednocześnie ni stąd ni zowąd owładnęło mną pragnienie, by rozprawić się z Alanem, dać folgę wzburzeniu i rychlejszym sposobem dokonać żywota. Właśnie on przezwiał mnie „wigiem”. Jam się zatrzymał.

— Mości Stuart! — ozwał się głosem, który drżał jak struna na gęślikach. — Waćpan jesteś ode mnie starszy i winienes znać swe obyczaje. Zali poczytujesz za rzecz wielce mądrą lub dowcipną wytykać mi moje przekonania polityczne? Mniemałem, że gdzie doszło do niesnasek, tam szlachcicom nawet zwadzonym przystoi zachować miarę wzajemnej grzeczności; w razie przeciwnym, mogę aści<sup>272</sup> zapewnić, zdobyłbym się na docinek lepszy od wielu twoich uszczypliwości.

Alan stanął naprzeciwko mnie, mając kapelusz na bakier, ręce osadziwszy w kieszeniach spodni i pochyliwszy głowę z lekka w bok. Słuchał mych słów, uśmiechając się złośliwie, o ile zdołałem dostrzec przy świetle gwiazd; kiedy skończyłem, zaczął pogwizdywać melodię jakobicką. Była to nuta piosenki, wydrwiwiającej obronę jenerała Cope'a w twierdzy Presta:

Hej, Janie Cope, czyś jeszcze żyw?  
Czy twoje bębny jeszcze werbel grają?

Przyszło mi na myśl, że w dniu onej bitwy Alan walczył po stronie króla.

— Czemuż to wybrałeś tę melodię, mości Stuart? — zagadnąłem. — Czy chcesz mi przypomnieć, że pobito cię i po tej, i po tamtej stronie?

Nuta śpiewki zamarła na wargach Alana.

— Dawidzie! — odezwał się.

— Ale w obecnych czasach już przeszły te obyczaje — ciągnąłem dalej — i sądzę, że odtąd winienes odzywać się uprzejmie o moim królu i o moich przyjaciółach Campbelloch.

— Jestem Stuart... — zaczął Alan.

— Oo! — powiadam mu na to. — Wiem, że waćpan nosisz nazwisko królewskie. Ale winienem ci przypomnieć, że odkąd bawię na Pogórze, widziałem wielu takich, którzy noszą to miano, a najlepsza rzecz, jaką o nich mogę powiedzieć, jest to, że nie zaszkodziłoby im czasem porządnie się umyć.

— Czy wiesz, że mnie znieważasz? — rzekł Alan głosem bardzo ściszym.

— Dalibóg! Bardzo mi przykro — odrzekłem — gdyż jeszcze nie skończyłem tego, com miał powiedzieć; jeżeli waćpanu nie podoba się ta rozmowa, wątpię, czy i dalsza gawęda będzie się podobała. Zostałeś zmuszony do ucieczki z pola walki przez dorosłych ludzi z mego stronnictwa; licha to przyjemność w żywe oczy kłamać przed chłopięciem.

<sup>271</sup> *ażem się skręcał* — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: aż się skręcałem. [przypis edytorski]

<sup>272</sup> *aści* (daw.) — skrót od: waszej miłości, waszności, waści; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

Pobili cię wigowie i Campbelle; uciekałeś przed nimi jak szarak. Wypada ci mówić o nich, jako o lepszych od siebie.

Alan stał całkiem spokojnie, a poły jego płaszcz łopotąły poza nim na wietrze.

— Biadaż! — ozwał się na koniec. — Są rzeczy, których niepodobna puścić płazem.

— Nigdy<sup>273</sup> o to waćpana nie prosił — odrzekłem.

— Jestem tak gotów jak waszeć.

— Gotów? — zapytał.

— Gotów — powtórzyłem. — Nie jestem pyszałkiem i samochwałem, jak ktoś, kogo potrafię nazwać po imieniu. Wystąp aś<sup>274</sup>!

I dobywszy pałasza, złożyłem się tak, jak uczył mnie sam Alan.

— Dawidzie! — ów zawołał. — Czyś oszalał? Nie mogę potykać się z tobą, Dawidzie! Toć byłoby jawne morderstwo!

— Miałeś to na celu, gdyś się ze mnie naigrawał — odparłem.

— To prawda! — krzyknął Alan i stał przez chwilę, ściskając sobie dłonią usta, jak człek boleśnie rażony.

— To szczerą prawdą — powtórzył i dobył pałasza. Lecz zanim zdołałem tknąć jego brzeszczotu swą bronią, on odrzucił od siebie swój oręż i rzucił się na ziemię.

— Nie, nie — powtarzał raz wraz — nie, nie... nie mogę... nie mogę... nie mogę...

Na to spłynęły ze mnie ostatki mego gniewu — i stałem nieruchomo w miejscu, słaby, strapiiony i blady, dziwując się sam sobie. Pół świata oddałbym za to, bym mógł cofnąć to, com powiedział; ale gdy już słowo z ust wyleciało, któż zdoła je cofnąć? Przypomniałem sobie całą dawną uprzejmość i waleczność Alana, przypomniałem sobie, jak on mi pomagał, jak cieszył się i smucił wspólnie ze mną w dniach naszej niedoli; następnie uprzytomniłem sobie własne moje zniewagi — i obaczyłem, iżem<sup>275</sup> na zawsze stracił tego dzielnego przyjaciela. Jednocześnie choroba, która wisiała nade mną, zaczęła niejako się zdwajać, a ból w mym boku przenikał mnie na wskroś jak ostrze miecza. Myślałem, iż padnę bez zmysłów na miejscu, gdzie stał.

To natchnęło mię pewną myślą. Żadne tłumaczenia się nie mogły zatrzeć tego, com powiedział; nie było co o nich myśleć, gdyż żadne z nich nie zdołałoby przesłonić zniewagi. Atoli tam, gdzie wszelkie usprawiedliwianie się było bezskuteczne, jedno wołanie o ratunek mogło przeciągnąć Alana z powrotem na moją stronę. Przeto zrzuciłem z serca pychę i odezwałem się.

— Alanie, jeżeli nie zdołasz mnie poratować, będę musiał tu wnet zemrzeć.

On zerwał się, usiadł i spojrzął na mnie.

— To prawda — odezwałem się. — Już ze mną krucho!... O, żeby mi się tylko dostał do jakiego domostwa... tam by mi było lżej umierać.

Nie miałem potrzeby udawać; czym chciałem, czy nie chciałem, przemawiałem głosem płaczącym, który zdołałby wzruszyć i kamienne serce.

— Czy możesz iść? — zapytał Alan.

— Nie — odparłem — nie potrafię bez pomocy. Od godziny już ślaniam się na nogach, w boku mnie kłuje, jakby ktoś mnie przypalał żelazem rozgrzanym do czerwoności; tchu nie mogę złapać. Jeżeli umrę, czy przebaczysz mi, Alanie? W głębi serca zawsze<sup>276</sup> miałem miłość dla ciebie... nawet, gdym unosił się największym gniewem.

— Cicho! cicho! — zawołał Alan. — Nie mów tego! Dawidzie, mój drogi, ty wiesz...

I zacisnął usta, by stłumić łkanie.

— Pozwól, że cię obejmę ramieniem — mówił dalej — o tak! A teraz oprzyj się na mnie mocno. Bogu wiadomo, gdzie tu znajdziemy jaką chałupę! Ale dyć jesteśmy w Balwhidder; chyba nie brak tu domów, ba, domów przyjacielskich. Czy ci tak lepiej iść, Dawidzie?

— Tak — odpowiedziałem — może jakoś uleżę.

<sup>273</sup>nigdy (*...*) nie prosił — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: nigdy nie prosiłem. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>aś (*daw.*) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>iżem (*...*) stracił — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: iż straciłem. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>zawszem miał — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: zawsze miałem. [przypis edytorski]



To mówiąc, uściśnłem dłonią jego ramię; znowu o mało co się nie rozplakał.

— Dawidzie — przemówił — nie jestem ci ja całkiem w porządku... zły człek ze mnie! Nie posiadam ani oleju w głowie, ani uprzejmości. Nie pamiętałem o tym, iż jesteś jeszcze nieletni, nie dostrzegałem tego, że ledwie się trzymasz na nogach. Dawidzie, daruj mi to wszystko!

— Mój drogi, nie mów już o tym! — rzekłem. — Żaden z nas nie ma zaiste prawa karcic drugiego. Winniśmy znosić wszystko i przetrwać, mój Alanie! Och, ale mi dolega to klucie w boku! Czy nie ma tu domu?

— Znajdę ci dom, Dawidzie — odrzekł Alan hardo. — Pójdziemy z biegiem strumienia, tam z pewnością będą domostwa. Mój biedaku, nie lepiejże<sup>277</sup> ci będzie, gdy cię wezmę na plecy?

— Och, Alanie! — mówię na to. — Przecież jestem o jakie dwanaście cali wyższy!

— Co ci się znów wydaje? — zawołał Alan, obruszywszy się mocno. — Między nami może być co najwyżej dwa cale różnicy; bądź co bądź nie roszczę pretensji sobie, bym był z tych ludzi, których ty nazywasz wysokimi; a gdy o tym mowa — dodał, zmieniając pociesznie głos — gdy o tym mowa, wyznam ci szczerze, że ty masz w sam raz wzrost odpowiedni.

Miło i pociesznie zarazem było słyszeć, jak Alan polykał swe słowa w obawie jakiej nowej kłótni. Pewno bym się roześmiał, gdyby klucie w boku nie dawało mi się tak we znaki; atoli<sup>278</sup> gdybym się roześmiał, z pewnością oczy zaszyłyby mi łzami.

— Alanie! — zawołałem. — Czemu jesteś dla mnie tak dobry? I cóż cię skłania, byś się opiekował tak niewdzięcznym drabem, jakim ja jestem?

— Doprawdy i ja sam nie wiem — odrzekł Alan. — Albowiem właśnie myślałem sobie, że wołałbym, byś nigdy nie wiódł ze mną sporu... a teraz kocham cię jeszcze bardziej.

## ROZDZIAŁ XXV. W BALQUHIDDER

Gdyśmy doszli do pierwszego domu, jaki był po drodze, Alan zastukał w dzwierzę<sup>279</sup> — co nie było nazbyt bezpiecznym przedsięwzięciem w takiej części Pogorza, jak urwiska Balquhiggeru. Żaden wielki klan nie sprawował tu rządów; cała kraina dzieliła się na rozliczne a drobne zaścianki, na poszarpane działki różnych niedobitków, tudzież pomiędzy tak zwanych „ludzi bezpańskich”, którzy, ustępując przed zaborczością Campbellów, zostali zagnani w te dzikie okolice dokoła źródeł Forth i Teith. Byli tu Stuartowie i MacLarenowie, którzy łączyli się w jedno, gdyż MacLarenowie szli w wojnie za naczelnikiem Alana i tworzyli jeden klan z Appinem. Było tu również wielu z onego starego klanu Macgregorów, który nieraz ręce we krwi umaczał, teraz zaś chronił się przed sprawiedliwością. Tych zawdy źle uważano<sup>280</sup>, a teraz jeszcze gorzej niż przód<sup>281</sup>, bo nie cieszyli się zaufaniem żadnego stronnictwa w całej Szkocji. Ich naczelnik, Macgregor z Macgregor, był na wygnaniu; bezpośredni zwierzchnik tutejszej ich gromady, Jakub More, najstarszy syn Rob Roya, siedział w twierdzy edynburskiej, oczekując sądu. Byli w złych stosunkach z góralami i doliniakami, z Grahamami, MacLarenami i Stuartami, więc Alan, który podzielał rankor<sup>282</sup> każdego ze swych pobratymców, choćby dalekich, pragnął z całej duszy unikać Macgregorów.

Szczęście nam posłużyło, gdyż zagroda, którą napotkaliśmy, należała do MacLarenów, gdzie Alana nie tylko przywitano serdecznie ze względu na jego nazwisko, ale i znano ze względu na rozgłos jego czynów. Tam więc położono mnie niezwłocznie do łóżka i sprowadzono doktora, który stan mego zdrowia uznał za groźny. Ale czy to doktor był tęgi w swym zawodzie, czy też jam był krzepki i młody — dość, że zaledwie tydzień przeleżałem się w łóżku, a przed upływem miesiąca mogłem znów puścić się rażno w drogę.

Przez cały czas Alan mnie nie opuszczał, chociaż nieraz nalegałem na niego, boć doprawdy jego upór co do pozostania w tym domu był częstym przedmiotem kłótni z kil-

<sup>277</sup>nie lepiejże — konstrukcja z partykulą -że, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>278</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>279</sup>dzwierzę (daw.) — drzwi, wrota. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>uważać kogoś — postrzegać, oceniać kogoś. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>przód a. wprzód (daw.) — wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

<sup>282</sup>rankor (daw.) — silne uczucie gniewu, złości, żalu; silne pragnienie czegoś. [przypis edytorski]

koma przyjaciółmi, dopuszczonymi do tajemnicy. W dzień krył się on w skalnej pieczarze pod małym laskiem; nocą zaś, gdy wybrzeże było puste, zachodził do domu, by mnie odwiedzić. Nie potrzebuję mówić, czym był zadowolony z jego widoku; pani Maclarenowa, nasza gospodyni, rada była nieba przychylić takiemu gościowi, ponieważ zaś Duncan Dhu (takie było miano naszego gospodarza) miał w domu dwie kobzy i był wielkim miłośnikiem muzyki, przeto czas, gdym przychodził do zdrowia, był mi prawdziwym weselem, a zamienianie nocy w dzień weszło u nas w obyczaj.

Żołnierze zostawiali nas w spokoju, choć raz oddział złożony z dwóch kompanii i garstka dragonów przechodził nieopodal w zagłębiu doliny; mogłem ich widzieć przez okno, leżąc w łóżku. Co dziwniejsza, nie pojawił się w pobliżu żaden urzędnik i nikt nie zadawał mi pytań, skąd przybywam lub dokąd idę, tak iż w owym czasie byłem wolny od wszelkich śledztw i badań, jak gdybym znajdował się w pustkowiu. Jednakże, zanim pożegnałem te strony, obecność moja była już wiadoma wszystkim mieszkańcom Balquhideru i przyległych włości, jako że wielu ludzi przychodziło w odwiedziny na przyzbę domu, ci zaś (wedle tamecznego obyczaju) rozgłaszali wieść wśród sąsiadów. W sam raz i tutaj wydrukowano właśnie wyroki. Jeden z nich był przybity prawie że w nogach mego łóżka, tak iż mogłem odczytać mój niezbyt pochlebny rysopis oraz — uwydatnioną większymi literami — wysokość nagrody pieniężnej, wyznaczonej na mą głowę. Duncan Dhu i inni, którzy wiedzieli, żem tu przybył w towarzystwie Alana, pewno nieraz pomiędzy sobą rozmawiali o tym, ktom ja zacz<sup>283</sup>, a wielu innych też pewnie snuło jakie takie domysły. Chociaż bowiem zmieniłem odzież, nie potrafiłem jednak odmienić wieku, ani też rysów, a chłopcy z Nizin nie tak znów często zaglądali w te okolice, zwłaszcza w owym czasie — tak iż łatwo było im skojarzyć jedną rzecz z drugą i utożsamić mnie z onym<sup>284</sup> wywołańcem<sup>285</sup>. Inni ludzie zwierają się z tajemnicy zaledwie dwóm lub trzem bliskim przyjaciołom, a i tak ona, tak czy owak, na jaw wyjdzie; natomiast u tych współplemieńców można tajemnicę opowiedzieć całej okolicy, a ona dotrzyma jej przez wiek cały.

Zdarzyła się tu jedyna rzecz godna opowieści; była to wizyta, jaką mi złożył Robin Oig, jeden z synów słynnego Rob Roya. Szukano go na wszystkie strony pod zarzutem, iż porwał młodą kobietę z Balfrou i, jak utrzymywano, przemocą wziął ją za żonę; mimo to chadzał on wokoło Balquhideru, jak pan jaki możny, ufając swej przebiegłości. On to zastrzelił Jakuba Maclarena, chodzącego za pługiem — skąd wyrosła waśń nigdy nieukojoana; mimo to wchodził do domu swych śmiertelnych wrogów, tak jak wędrowny przekupień wchodzi do publicznej gospody.

Duncan zdążył szepnąć mi, kto to zacz, i spojrzeliśmy z zakłopotaniem po sobie. Trzeba wiedzieć, iż było to już przed godziną, o której spodziewaliśmy się nadejścia Alana; nie zanosilo się na to, by ci dwaj mieli dojść ze sobą do zgody, jeżelibyśmy zaś posłali Alanowi zawiadomienie lub starali się dać mu jakiś znak, niewątpliwie wzbudziłoby to podejrzenie w człowieku tak tajemniczym jak Macgregor.

Wchodząc, okazywał po sobie wielką uprzejmość, ale przypominając człowieka z gminu; zdjął magierkę<sup>286</sup> przed panią Maclarenową, ale nakrył znów głowę, przemawiając do Dunkana; przedstawivszy się tym sposobem (jak mu się pewnie zdawało) we właściwym świetle, podszedł do mego łóża i oddał mi ukłon.

— Uwiadomiono mnie, mości panie — ozwał się — że nazwisko wasze jest Balfour.

— Nazywam się Dawid Balfour — odrzekłem — jestem do usług waćpana.

— Powiedziałbym waszmości moje miano — mówił przybysz — ale ostatnimi czasy zostało ono nieco zszargane; może wystarczy, gdy powiem waćpanu, że jestem rodzonym bratem Jakuba More Drummonda lub Macgregora, którego imię pewno nie jest nieznanne uszom waćpana.

<sup>283</sup> *ktom ja zacz* (daw.) — kim jestem. [przypis edytorski]

<sup>284</sup> *z onym* (daw.) — z tamtym. [przypis edytorski]

<sup>285</sup> *wywołaniec* (daw.) — wygnaniec. [przypis edytorski]

<sup>286</sup> *magierka* — także: *madziarka*, czapka węgierska; nakrycie głowy bez daszka, z płaską, okrągłą a. kwadratową główką (denkiem); najczęściej wykonana z grubego sukna i obszyta tzw. „barankiem” (paskiem futerka) lub dziergana z wełny; często ozdobiona piórkami, pomponami, kolorowymi taśmami a. sznurkami; nakrycie głowy tego typu upowszechniło się w Polsce w XVI i XVII w., począwszy od czasów panowania Stefana Batorego, i stało się tradycyjnym nakryciem głowy noszonym zimą do stroju ludowego; wygląd magierek (barwy, rodzaj zdobienia) był zróżnicowany zależnie od regionu kraju. [przypis edytorski]

— Nie, panie łaskawy — rzekłem nieco zaniepokojony — tak samo i miano pańskiego ojca, Macgregora Campbella.

To mówiąc, siadłem na łóżku i ukloniłem mu się, bom myślałem, że najlepiej postępować z nim grzecznie, w razie gdyby zechciał się szczyścić, że za ojca miał banitę. On odwzajemnił mi się uklonem i prawił dalej.

— Ale posłuchaj no waszmość, co przybyłem ci powiedzieć. W roku 1745 brat mój poruszył część klanu „Gregora” i powiodł sześć kompanii do boju za świętą sprawę; otóż chirurg, który poszedł z naszym klanem i leczył nogę mojego brata, zgruchotaną w starciu pod Preston, był szlachcicem tego samego nazwiska, co waćpan. Był on bratem Balfoura z Baith; jeżeli więc waćpan jesteś w jakowymś stopniu spokrewniony z rodziną owego szlachcica, gotów jestem oddać siebie i moich ludzi na pańskie usługi.

Trzeba sobie przypomnieć, że o moim pochodzeniu wiedział nie więcej niż pierwszy lepszy pies dziadowski; wprawdzie stryj chlubił się kilkoma dostojnymi koligacjami naszej rodziny, ale w chwili obecnej były one bez znaczenia, wobec czego nic mi nie pozostało ponad gorzkie wyznanie, iż nie umiem dać wyjaśnień.

Robin odpowiedział krótko, iż szkoda, że zadawał sobie tyle trudu, po czym odwrócił się do mnie plecami, nie skinąwszy mi nawet na pożegnanie, a gdy podchodził ku drzwiom, słyszałem jak mówi do Dunkana, nazywając mnie „ot sobie jakimś chłystkiem bez koligacji, który nie zna nawet własnego ojca”. Mimo że słowa te przejęły mnie gniewem, a moja nieświadomość wstyd we mnie obudzała, to przecież nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu na myśl, że człowiek, który znajdował się niemal w siłach sprawiedliwości (istotnie powieszono go w trzy lata później) był tak skrupulatny co do rodowodu swych znajomych.

W sam raz gdy był w drzwiach, spotkał wchodzącego Alana. Obaj cofnęli się i spoglądali jeden na drugiego jak dwa psy, co widzą się po raz pierwszy. Obaj byli niewielkiego wzrostu, lecz wyglądali na wielce nadętych dumą. Każdy z nich miał u boku szablę, zaś w chwili obecnej jeden i drugi poruszeniem uda potrafił jej rękojeść, żeby łatwiej było ją pochwycić i obnażyć brzeszczot.

— Pan Stuart, jak sądzę — rzecze Robin.

— Juści<sup>287</sup>, panie Macgregor, jest to nazwisko, którego nie trzeba się wstydzic — odparł Alan.

— Nie wiedziałem, że waszmość przebywasz w mym opolu<sup>288</sup> — powiada Robin.

— Pomnę, że znajduję się w opolu mych druhów Maclarenów — rzekł Alan.

— W tym cała trudność — odciął się tamten. — Różnie by można o tym mówić. Ale zdaje mi się, że słyszałem, iż waćpan tego władasz szablą?

— O ile nie jesteś głuchy od urodzenia, panie Macgregor, tedy posłyszysz jeszcze o wiele więcej — rzecze Alan. — Nie jestem w Appinie jedynym człowiekiem, który umie obchodzić się ze stalą, a kiedy mój krewniak, kapitan Ardshiel, przed niedawnym czasem przemówił się ostro z pewnym szlachcicem twego nazwiska, nie słyszałem jakoby Macgregor lepiej się spisał.

— Czy waszmość masz na myśli mego ojca? — zapytał Robin.

— No, nic by w tym nie było dziwnego — odrzekł Alan. — Szlachcic, o którym myśle, miał zły gust, iż doczepił miano Campbell do swego nazwiska.

— Mój ojciec był już w wieku podeszłym — odparł Robin — więc pojedynek był nierówny. Waszmość tworzyłbyś ze mną lepszą parę.

— Właśnie o tym myślałem — rzekł Alan.

Powstałem na poły z łóżka, a Dunkan stał już u boku tych dwu czupurnych kogutów, gotów użyć swego pośrednictwa przy łada sposobności. Atoli kiedy doszło do owej wymiany słów, sprawa już stała na ostrzu noża, wobec czego Dunkan, choć mu trochę twarz pobladała, rzucił się w środek.

— Mości panowie — odezwał się — mnie zgoła co innego przychodzi do głowy. Mam ci ja dwie kobzy, a oto u mnie bawią dwaj zacni panowie, którzy obaj są zawołanymi kobziarzami. Z dawna już o to spór idzie, kto z was lepiej gra na kobzie, więc oto nadarza się doskonała sposobność, by spór ten rozstrzygnąć.

<sup>287</sup>juści (gw.) — tak, pewnie (potwierdzenie). [przypis edytorski]

<sup>288</sup>opole — w średniowieczu: terytorialna organizacja sąsiedzka. [przypis edytorski]

— No, mości panie — rzekł Alan, wciąż zwracając swą mowę do Robina, od którego zresztą nie odrywał oczu, tak samo jak i Robin od niego — no, mości panie, myślę, że waćpana doszła jakowaś wieść o tym. Więc waćpan parasz się muzyką, jak ludzie powiadają? Jesteś po trosze i kobziarzem?

— Umieć grać na kobzie jak sam Macrimmon! — zawołał Robin.

— Bardzo to śmiałe powiedzenie! — prawi Alan.

— Zdarzało mi się przódy<sup>289</sup> iścić<sup>290</sup> śmielsze słowa — odciął się Robin — i to wobec lepszych przeciwników.

— Snadnie<sup>291</sup> to można wypróbować — rzecze Alan.

Dunkan Dhu wydobył czym prędzej dwie kobzy, które stanowiły najcenniejszą jego majątność, po czym zastawił przed swymi gośćmi udziec baraniny oraz butelkę napitku, który zwie się polewką atholską, a przyrządza się ze starej gorzalki, wycedzonego miodu i słodkiej śmietanki, z lekka ubitej — wszystko w odpowiedniej mierze i porządku. Dwaj przeciwnicy jeszcze byli roznamiętnieni sprzeczką, mimo to usiedli po obu stronach zasmolonego kominka, okazując po sobie wielką ogładę towarzyską. Maclaren jął ich zapraszać do skosztowania baraniny i „żoninej polewki”, przypominając im, że żona jego była rodem z Athole, a słynęła daleko i szeroko z doskonałości tego wyrobu. Atoli<sup>292</sup> Robin nie przyjął poczęstunku, jako iż mu to rzekomo na dech szkodziło.

— Winieniem oznajmić waszmości — rzecze Alan — że ja od dziesięciu godzin nie miałem kawałka chleba w ustach, a to chyba dla tchu bardziej szkodliwe niż jakakolwiek polewka w całej Szkocji.

— Nie chcę<sup>293</sup> ja przodku brać przed tobą, panie Stuart! — odparł Robin. — Jedz i pij, a ja pójdę za twym przykładem.

Każdy z nich zjadł mały kęs baraniny i wypił szklanekę krupniku w ręce pani Maclarenowej; następnie po wielu ceregielach Robin wziął kobzę i zagrał niedługiego wyrwasa o nader szumnej, zawadiackiej nucie.

— No, no, umiesz asan dąć w kobzę! — rzekł Alan, biorąc instrument z rąk sąpierz<sup>294</sup>, zagrał najpierw tego samego wyrwasa tym samym sposobem co Robin, następnie jął przechodzić w coraz to nowe odmianki, które raz wraz upiększał całym szeregiem akordów, w jakich lubują się kobeźnicy, nazywając je „świegotaniem”.

Podobała mi się gędźba Robina, ale grą Alana byłem oczarowany.

— Nieźle, panie Stuart — rzekł jego współzawodnik — ale okazujesz mało pomyślności w świergoleniu.

— Ja! — krzyknął Alan, a krew uderzyła mu do policzków. — Zadaję łą<sup>295</sup> waszmości!

— Widocznie przyznajesz się asan<sup>296</sup>, że doznałeś porażki — rzekł Robin — jeżeli starasz się zmienić kobzę na pałasz!

— Trafnie rzekłeś, panie Macgregor — odpowiedział Alan — przeto *na razie* — (to słowo silnie zaakcentował) — cofam zarzut kłamstwa i odwołuję się do sądu Dunkana.

— Zaprawdę, waćpan nie masz potrzeby na nikogo się powoływać — rzekł Robin. — Sam jesteś o wiele lepszym sędzią niż którykolwiek Maclaren w Balquhiddel, bo, jak mi Bóg miły, na Stuarda jesteś tęgim kobziarzem. Daj mi kobzę.

Alan spełnił jego prośbę, a Robin zaczął naśladować i poprawiać którąś z przegrywek Alanowych, którą snadź<sup>297</sup> pamiętał doskonale.

— No, no, znasz się asan na muzyce — ozwał się Alan posępnie.

— A teraz zechciej sam być sędzią, panie Stuart — rzekł Robin i podjąwszy przegrywki od samego początku, przerobił je całkowicie w tak nowym duchu, z takim na-

<sup>289</sup>przódy a. *wprzódy* (daw.) — wcześniej, uprzednio. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>iścić — spełniać; realizować. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>snadnie (daw.) — łatwo. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

<sup>293</sup>nie chcęć — konstrukcja z partykulą „ci”, skróconą do -ć, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>sąpierz a. *szampierz* — strona pozwana, adwersarz; przeciwnik. [przypis edytorski]

<sup>295</sup>zadawać łą — zadawać kłam; oskarżać o kłamstwo; por. *łżeć*: kłamać. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>asan (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

technieniem i uczuciem, z tak niebywałą fantazją i taką zwinnością we wtórze, żem był wprawiony w podziw jego graniem.

Co się tyczy Alana, temu twarz sposepniała i zapalała gniewem — usiadł i gryzł palce, jak człek głęboko czymś dotknięty.

— Dość tego! — zawołał. — Waćpan umiesz grać na kobzie... dajmy już temu spokój!

I zabierał się do wstawania. Atoli Robin jedynie wyciągnął dłoń przed siebie, jak gdyby prosząc o ciszę, i uderzył w wolny takt piosenki wojskowej. Była to już sama przez się piękna melodia, a odegrana została doskonale; zdaje się jednak, że piosenka ta wiązała się ze Stuartami z Appinu, zaś Alanowi szczególniej była ulubioną. Ledwie rozbrzmiały pierwsze jej dźwięki, alic w jego twarzy zaszła jakaś zmiana; gdy takty jęły iść różnie, zda się, nie mógł już usiedzieć w miejscu, a zanim piosenka dobiegła do końca, z czoła znikły mu jego ostatnie ślady zawziętości, a on sam nie myślał już o niczym jak tylko o muzyce.

— Robinie Oig — przemówił, gdy przebrzmiały ostatnie nuty — znakomity z ciebie kobziarz. Jam niegodzien grywać pospołu z tobą. Jako mię tu widzisz! Więcej posiadasz znajomości muzyki w swym małym palcu niż ja w swej głowie! A choć pamiętam jeszcze o tym, iż pokazałbym waćpanu większe dziwa, gdyby przyszło rozprawiać się zimnym ostrzem ze stali, wołę jednak zawczasu go ostrzec... byłoby to niepięknie! Przykro by mi było porąbać człeka, który umie grać na kobzach tak jak waćpan!

Na tym zakończyła się zwada; przez całą noc krążyła polewka, a kobza przechodziła z rąk do rąk. Dzień już się rozjaśnił, a trzech biesiadnicy zabawiali się wciąż w najlepsze, aż na koniec Robin ledwo że sobie przypomniał, iż komu w drogę, temu czas.

## ROZDZIAŁ XXVI. KONIEC UCIECZKI. PRZEPRAWA PRZEZ FORTH

Jeszcze, jakom powiedział, nie upłynął miesiąc, ale przeszła już znaczna część sierpnia i panowała piękna, ciepła pogoda, a wszystko zwiastowało nadejście wczesnej, długiej jesieni, gdy uznano mnie za zdolnego do dalszej drogi. Zapas naszych pieniędzy był już tak cienki, że przede wszystkim należało nam myśleć o pośpiechu, albowiem gdybyśmy przyszli nierychło do domu pana Rankeillora lub gdyby on za naszym przybyciem odmówił nam pomocy, bylibyśmy niechybnie skazani na śmierć głodową. Ponadto, według mniemania Alana, pościg na pewno już obecnie bardzo sfolgował, a linia Forthu, a nawet most Stirlingski, który daje najważniejszą przeprawę przez tę rzekę, były niewątpliwie strzeżone z mniejszą czujnością.

— Jest to główna zasada sztuki wojskowej — mówił — ażeby iść tam, gdzie najmniej się ciebie spodziewają. Forth stanowi dla nas przeszkodę; znasz przysłowie: „Fort okiełzna dzikiego górala”. Otóż jeżeli będziemy usiłowali obejść źródlika tej rzeki i przedostać się przez Kippen lub Balfron, to oni właśnie będą tam czyhali, by nas capnąć. Ale jeżeli ruszymy wprost w stronę starego mostu Stirlingskiego, gotów jestem oddać pałasz, iż przepuszczą nas bez zaczepki.

Wobec tego w pierwszą noc zapukaliśmy do domu przyjaciela Dulkanowego, również Maclarena, w Strathire, gdzie przespaliliśmy się dnia dwudziestego pierwszego owego miesiąca, po czym z nadejściem nocy ruszyliśmy w dalszą drogę, by przejść znów ładny kawałeczek drogi. Dnia dwudziestego drugiego wypaliliśmy się doskonale przez dziesięć godzin, spoczywając w gąszczy wrzosów na zboczu Uam Var, tuż obok komyszy leśnej zwierzyny, ogrzani pięknym, rzeźwiącym blaskiem słonecznym i mając pod sobą suchy, sypki grunt, który zawsze był mi miły. Tej nocy dotarliśmy do rzeki Allan i poszliśmy w dół jej biegu; przybywszy do krańca wzgórz, ujrzałem u swych stóp całą dolinę Stirling, płaską jak placek, pośrodku której na wzgórkach widniało miasto i zamczysko. Na żuławach Forthu słała się światłość miesięczna<sup>298</sup>.

— No — rzekł Alan — nie wiem, czy cię to wzrusza, ale znajdujemy się z powrotem w twoich stronach rodzinnych. W pierwszej godzinie naszego pochodu przeszliśmy rubież Pogórza, o ile teraz uda się nam przebyć tę krętą rzekę, możemy wyrzucić czapki w górę.

Na rzeczce Allan, w pobliżu jej ujścia do Forthu, znaleźliśmy małą piaszczystą kępę zarośniętą łopianem, kaczeńcem i innym przyziemnym zielskiem, które w sam raz nas osłaniało, jeżeli położyliśmy się na całą długość ciała. Tutaj to założyliśmy obozowisko,

<sup>298</sup>miesięczny (daw.) — księżycowy. [przypis edytorski]

mając przed sobą widok na zamek w Stirling, skąd słychać było warkot bębnow, jako że odbywała się parada załogi wojskowej. Żniwiarze pracowali przez cały dzień na polu po jednej stronie rzeki — słyszeliśmy brzęk sierpów uderzających o kamień oraz głosy, ba, nawet poszczególne słowa ludzkiej rozmowy. Trzeba było leżeć tuż przy ziemi i cicho jak trusie. Atoli piasek na kępie był wygrzany słońcem, zielone rośliny osłaniały nam głowy, mieliśmy pod dostatkiem jedzenia i picia, a co najważniejsza<sup>299</sup> byliśmy już w przedprożu swobody i bezpieczeństwa.

Gdy żęncy zaprzestali roboty i zaczęło się zmierzchać, pobrnęliśmy na brzeg i jęliśmy zmierzać ku mostowi stirlinśkiemu, trzymając się pól i opłotków.

Most znajduje się tuż pod wzgórkim miejskim — jest to stary most, wąski a wysoki, opatrzony wieżyczkami wzdłuż parapetu; można sobie wyobrazić, z jakim uczuciem nań poglądałem, nie tylko jako na miejsce głośne w historii, ale też jako na bramę wybawienia dla Alana i dla mnie. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, kiedyśmy tam podeszli; wzdłuż zrębów warowni błyszczęło kilka światełek, a poniżej parę oświeconych okien w domostwach miasta; wszędie jednak panowała zupełna cisza i zdawało się, jakoby żadna straż nie pilnowała przejścia przez rzekę. Radziłem iść prosto przez most, ale Alan był przeznorniejszy.

— Wyględa, jakby tam było całkiem spokojnie — powiedział — mimo to jednak poleżmy tu sobie w tym rowie i upewnimy się. Trzeba działać ostrożnie.

Tak więc przeleżęliśmy się około kwadransa, to rozmawiając szeptem, to leżęc cicho i nadśluchując — ale nie doszedł nas żaden głos oprócz pluskotu fal rozbijających się o filary. Na koniec przeszła koło nas jakaś stara, kulejąca niewiasta, wsparta na kuli; ta najpierw zatrzymała się na chwilę tuż koło naszej kryjówki i nuże jęczeć nad sobą i nad długę drogę, którą odbyła, po czym zaczęła kroczyć dalej po spadzistym dojeździe mostu. Kobieta była tak niepozorna, a noc mimo wszystko tak ciemna, że niebawem straciliśmy z oczu staruszkę, a tylko słyszeliśmy odgłos jej kroków i kostura oraz kaszel, który raz po raz ją napadał — wszystko to coraz bardziej oddalało się i cichło.

— Teraz ona już pewnie przeszła na drugę stronę — szepnęłem.

— Nie — odrzekł Alan — jej kroki jeszcze dudnią na moście.

W teże chwili...

— Stój! kto idzie? — krzyknęł jakiś głos i posłyszeliśmy, jak kolba muszkietu zachręściła po kamieniach. Przypuszczam, że wartownik spał, tak iż gdybyśmy o to się pokusili, może by się nam udało przejść niepostrzeżenie; atoli teraz on czuwał, więc ta droga była dla nas zamknięta.

— Nic tu się nie uda! — rzecze Alan. — Nic tu, nic nie dokażemy.

I nie mówiąc już ani słowa, zaczął uchodzić, czołgając się przez pola; w jakiś czas później, gdy już przebył odległość, na jaką sięga wzrok ludzki, powstał znów na nogi i ruszył drogę, wiodącą ku wschodowi. Nie mogłem pojąć, co on czyni, bo też zaiste byłem tak stropiony niepowodzeniem, iż chyba nic w świecie nie mogło mi się podobać ani mi dogodzić. Jeszcze przed chwilę widziałem w duchu sam siebie, jak pukam do drzwi pana Rankeillora, by upomnieć się o swe dziedzictwo, niby bohater jakiejś ballady... a oto teraz, jako włóczykij i prawem ścigany szubrawiec, musiałem pozostać na przeciwnym brzegu rzeki Forth.

— No i cóż? — zagadnęłem.

— No i cóż ci trzeba? — odpowiedział Alan. — Nie tacy z nich durnie, za jakichęśmy ich brali<sup>300</sup>. Musimy jeszcze, Dawidzie, przebyć Forth... bodaj szczęły deszcze, które syciły tę rzekę, i zbocza górskie, które ją wywiodły!

— Ale czemuż mamy iść na wschód? — zapytałem.

— O, tak sobie, na los szczęścia! — odparł Alan. — Jeżeli nie zdołamy przebyć rzeki, powinniśmy spróbować, czy nam się lepiej nie powiedzie na odnodze morskiej.

— Bród można zdybać na rzece, ale nie na odnodze morskiej — zauważyłem.

— Pewnie, że brodów tam nie brak, a tu i owdzie trafi się i most — rzekł Alan — ale co nam z nich przyjdzie, jeżeli są strzeżone?

— Dobrze — mówię mu — ale rzekę można przepłynąć.

<sup>299</sup>co najważniejsza — daw. forma; dziś znaczenie: co jest najważniejsze, że. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>za jakichęśmy ich brali — konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika; inaczej: za jakich ich braliśmy. [przypis edytorski]

— Przepłynie ją, kto umie pływać — odparł Alan — ale słyszałem, że ani ty, ani ja nie odznaczamy się wielką sprawnością w tej sztuce; co do mnie, to pływam jak kamień.

— Nie chcę ci odradzać, Alanie — powiedziałem — ale zdaje mi się, że wybieramy się z deszczu pod rynnę. Jeżeli tak trudno przedostać się przez rzekę, to sam rozsądek powiada, że z morzem będzie chyba gorsza sprawa.

— Od tego są łodzie — rzecze Alan — chyba że się myślę.

— Tak, i pieniądze — uzupełniłem jego zdanie. — Ale, że nie mamy ani jednych, ani drugich, tedy rzec można, jakoby wcale nie istniały na tym bożym świecie.

— Tak sądzisz? — rzekł Alan.

— A jakże! — odpowiedziałem.

— Dawidzie — rzecze on na to — jesteś człowiekiem małej pomysłowości i małej wiary. Ale niech no ja tylko wyostrzę sobie dowcip, zobaczysz, że o ile nie potrafię wyprosić, pożyczyć lub chociażby ukraść łodzi, to ją sam zrobię!

— Tak jakbym cię widział! — rzekłem. — Ale powiem ci jeszcze rzecz jedną, co najważniejsza. Jeżeli przejdiesz most, nie wzbudzi to żadnych podejrzeń, ale jeżeli przepawimy się przez odnogę morską... łódź znajduje się u przeciwnego brzegu... juści, ktoś tu ją przyciągnął... na całym pobrzeżu zaczną się pogwarki, domysły...

— Człowiecze! — krzyknął Alan. — Jeżeli wystaram się o łódź, to wystaram się i o kogoś, kto by ją odwiózł z powrotem! Przeto nie ogłuszaj mnie już podobnymi bzdurstwami, tylko chodź za mną (bo to tylko do ciebie należy) i pozwól Alanowi, by myślał za ciebie.

Szliśmy więc przez całą noc północną stroną kotliny pod wyniosłą rubieżą gór Ochilskich, omijając ostrożnie Alloa, Clackmannan i Culross. Około dziesiątej rano, zziązani setnie i zgłodniali, doszliśmy do małej osady Limekilns. Jest to miejscowość położona prawie nad samym brzegiem wody; widać stąd miasteczko Queensferry (Przewóz Królowej), rozłożone na przeciwnym brzegu. Dymy snuły się ponad osadą i miasteczkiem, jako też ponad innymi wioskami i folwarkami, rozsypanymi dookoła. Na polach odbywały się żniwa. W odnodze morskiej dwa okręty stały na kotwicy, a po wodnej powierzchni w tę i ową stronę przesuwały się łodzie. Był to dla mnie widok nader przyjemny i nie mogłem do syta napatrzeć się tych powabnych, zielonych, uprawnych wzgórków oraz tych ludzi, co krzątali się na polach i na morzu.

Mimo to wszystko dom pana Rankeillora, gdzie, jak sądziłem, czekały mnie dostatki, znajdował się na wybrzeżu południowym, ja zaś musiałem pozostawać tutaj nadal na północnym brzegu, ubrany w lichy przyodziewek nietutejszego kroju, mając za całe mienie trzy szylingi srebrem, a banitę za jedynego druha — i sam też niejako banita, gdyż nałożono cenę na moją głowę.

— Alanie! — odezwałem się. — Pomyśleć sobie o tym wszystkim! Tam po drugiej stronie jest wszystko, za czym tylko tęsknić może moja dusza... ptaki mogą tam przelecieć, łodzie przepłynąć... kto zechce, każdy tam przejść może, z wyjątkiem mnie tylko jednego! Dalibóg, serce mi się kraje z żalości!

W Limekilns wstąpiliśmy do małej traktierni, którą rozpoznaliśmy jedynie po tycze zatkniętej nade drzwiami, i kupiliśmy nieco chleba i sera od przystojnej dziewczyny, która tam posługiwała. Ponieśliśmy to wszystko w węzełku, zamierzając usiąść i pożywić się w gajku nad brzegiem morza, który widzieliśmy o jaką trzecią część mili przed sobą. Gdyśmy tak szli, ja wciąż spoglądałem na tamten brzeg i mimo woli wzdychałem, Alan zaś (choćażem tego nie zauważył) popadł w zadumę. W końcu przystanął w drodze.

— Czy zwróciłeś uwagę na tę dziewczynę, od której kupiliśmy te zapasy? — zapytał, dotykając się chleba i sera.

— Juści<sup>301</sup> — odrzekłem — była to ładna dziewczeczka.

— Przyszło ci to na myśl? — zawołał. — Mój Dawidzie, toć to dobra nowina!

— Czemuż to, na wszystkie cuda! — pytam go. — Cóż nam z tego przyjdzie?

— No, no! — rzekł Alan, strzelając okiem filuternie. — Ja bym się spodziewał, iż może nam to pomóc do dostania łodzi.

— Gdyby był na to inny sposób, uważałbym to za bardziej prawdopodobne.

<sup>301</sup>juści (gw.) — tak, pewnie (potwierdzenie). [przypis edytorski]

— Tyle ty tylko wiesz — rzecze Alan. — Nie pragnę, aby ta dziewczyna rozkochała się w tobie, ale pragnę, by uzależniła się nad tobą, Dawidzie, do tego zaś bynajmniej nie potrzeba, by miała cię uważać za piękność. Niech no ci się przypatrzę — (tu obejrzał mnie z zaciekawieniem). — Wolałbym, żebyś był trochę bledszy, poza tym jednak nadajesz się doskonale do mych celów... masz wygląd pyszny, wisielczy, obszarpańczy, obdrapany, a kubrak twój posądzić można, żeś go ukradł strachowi na wróble. No dalej... w tył zwrot i marsz z powrotem do traktierni po łódkę dla nas.

Poszedłem za nim, śmiejąc się.

— Dawidzie Balfour — rzekł on — jesteś na swój sposób wielce dowcipnym młodzianem, więc będzie to dla ciebie niewątpliwie doskonała krotchwila<sup>302</sup>. Mimo to wszystko, o ile choć trochę masz litości nad moją szyją (nie mówiąc już o twojej własnej), będziesz może łaskaw z całym poczuciem odpowiedzialności wziąć się do rzeczy. Chcę odegrać małą komedię, której istotna treść jest tak poważna, jak szubienica, co czeka nas obu. Miej to więc, proszę cię, w pamięci i chciej zachować się stosownie.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziałem — stanie się wedle twojej woli.

Gdyśmy zbliżyli się do osady, Alan kazał mi, bym uchwycił się jego ramienia i zwiśł na nim bezwładnie, jak człek prawie wyczerpany od zmęczenia, tak iż skoro on kopnięciem nogi otworzył drzwi traktierni, zdawało się, jakoby mnie tam na poły ciągnął za sobą. Dziewczyna wydawała się (a pewno i była) zaskoczona naszym rychłym powrotem, atoli Alan nie tracił czasu na wyjaśnienia, tylko usadowił mnie na krześle, poprosił o szklankę wódki, którą wlewał mi w gardło po kropelce, po czym łamiąc po kawałku chleb i ser, dopomagał mi w jedzeniu jak niańka, a wszystko to czynił z miną poważną, stroiskaną i serdeczną, jaka przystałaby sędziemu trybunału. Nie dziwota, że dziewczyna wzruszyła się obrazem, jaki tworzyliśmy obaj: ja jako chłopak nieszczęśliwy, chory, wynędzniały, on zaś jako mój tkliwy towarzysz. Podeszła bliżutecznie i stanąwszy, oparła się plecami o stół sąsiedni.

— Cóż to mu się złego przydarzyło? — ozwała się na koniec.

Alan odwrócił się i, ku memu wielkiemu zdziwieniu, zawrzał wściekłością.

— Złego? — jął krzyczeć. — On przeszedł więcej setek mil, aniżeli ma włosów na brodzie, a częściej sypiał na mokrych wrzosach niż w suchych piernatach. Złego, ona powiada!... Zdaje mi się, że aż nadto było tego złego!... Juści, że złego! — i karmił mnie dalej, mrucząc sobie coś pod nosem, jak gdyby z czegoś niezadowolony.

— On za młody na to wszystko — rzecze dziewczyna.

— Aż nadto młody — rzekł Alan, odwrócony do niej plecami.

— Lepiej by było, żeby się konno wybrał w tę drogę — napomknęła ona.

— A skądże mu wytrzasnę konia? — huknął Alan, obracając się do niej z tą samą pozorną wściekłością. — Czyż miałem go ukraść?

Myślałem, że ta opryskliwość odstręczy ją od niego; jakoż istotnie zamknęła jej usta na czas jakiś. Atoli mój towarzysz wiedział doskonale, co czyni, a chociaż w wielu okolicznościach życia był wielkim prostaczkiem, jednak w takich przygodach, jak obecna, miał niewyczerpany zapas szelmstwa.

— Panowie nie potrzebują mi tego mówić — rzekła na koniec — alem ja w waćpanach poznała zacny ród.

— No — rzekł Alan, nieco udobruchany (pomimo woli, jak sądzę) tą prostoduszną wzmianką — a cóż z tego, gdyby tak było? Zali ci kto powiedział, że zacne pochodzenie opycha ludziom kieszenie pieniędzmi?

Ona na to westchnęła, jak gdyby sama była jakąś zubożałą wielką damą.

— Nie — powiedziała — juści, że to prawda.

Mnie tymczasem już na dobre jątrzyła ta rola, którą odgrywałem, i to przesiadywanie tutaj z kółkiem w gębie, na przemian wstydzące mnie i rozśmieszające; jakoś wtedy nie mogłem wytrzymać, więc prosiłem Alana, by zostawił mnie w spokoju, gdyż czuję się już lepiej. Głos uwiązał mi w gardle, gdyż zawsze brzydziłem się kłamstwem; atoli samo to zakłopotanie pomogło w podstępie, bo dziewczyna nie omieszkała przypisać mego zachrypłego głosu na karb choroby i zmęczenia.

— Czyż on nie ma przyjaciół? — zapytała łzawym głosem.

<sup>302</sup>krotchwila (daw.) — zabawa, wesołość, żart. [przypis edytorski]



— Pewnie, że ma! — zawołał Alan. — Żebyśmy tylko mogli do nich się dostać! Ma przyjaciół i to bogatych przyjaciół; miałby u nich gdzie się wyleżeć... oho, i to na wspaniałym łożu! Miałby co jeść, miałby zapewnioną opiekę lekarską... a tak musi brnąć po wertepach i sypiać we wrzosach jak nędzarz ostatni.

— A czemuż to tak? — zapytała dziewczyna.

— Moja droga — rzekł Alan — niezbyt bezpiecznie o tym mówić, ale powiem ci, co zrobię zamiast tego: oto zagwizdę ci krótką piosenkę.

To rzekłszy, pochylił się głęboko nad stołem i cichutko, ale z niezmiernie rzewnym uczuciem, zagwizdał parę taktów piosenki „Karolek, moje kochanie<sup>303</sup>”.

— Cyt! — szepnęła ona i obejrzała się poza siebie w stronę drzwi.

— Otóż to! — rzekł Alan.

— Ależ on tak młody! — zawołała dziewczyna.

— Aż nadto stary, by go... — to mówiąc, Alan uderzył się palcem wskazującym po karku, co miało oznaczać, iż wiek mój nie przeszkadza mi w tym, bym miał postradać głowę.

— Byłaby to wielka hańba! — krzyknęła, rumieniąc się.

— A przecież do tego dojdzie — rzekł Alan — o ile nie zapobiegniemy temu.

Na to dziewczyna odwróciła się i wybiegła z izby, pozostawiając nas sam na sam. Alan był w doskonałym humorze z powodu udania się jego zamiarów, ja zaś przejęty byłem gorzką urazą z powodu nazwania mnie jakobitą i obchodzeniu się ze mną jak z dzieckiem.

— Alanie — zawołałem — już dłużej tego nie wytrzymam.

— Musisz być cierpliwy, Dawidzie — rzekł Alan. — Jeżeli teraz popsujesz sprawę, to sam może wygrzebiez się z opresji, ale Alan Breck przepadł z kretesem.

Było to tak prawdziwe, iż nic mi nie pozostało, jak tylko jęknąć; ale moje jęczenie było w sam raz na rękę Alanowi, gdyż posłyszała je dziewczyna, która właśnie powracała w lot, niosąc talerz białych pierożków oraz butelkę mocnego piwa słodowego.

— Biedactwo! — powiedziała, i postawiwszy jadło przed nami, złożyła przyjaźnie rękę na moim ramieniu, jak gdyby chciała mnie pocieszyć. Potem poprosiła nas, byśmy się wzięli do jedzenia, zapewniając nas, że nie chce słyszeć o zapłacie — albowiem gospoda należy do niej, czyli właściwie do jej ojca, ten jednak poszedł na cały dzień do Pittencrieff. Nie czekaliśmy powtórnego zaproszenia, gdyż chleb i ser to tylko zimna strawa, a pierożki pachniały bardzo ponętnie; a gdyśmy tak siedzieli, zjadając, ona zajęła także miejsce za najbliższym stołem, przyglądając się nam, coś tam rozmyślając i ważąc sobie w duchu, bo raz wraz marszczyła brew i zabawiała się troczkami fartuszka.

— Coś mi się zdaje, że waćpan masz nieco za długi język — przemówiła na koniec do Alana.

— Być może — rzekł Alan — ale widzisz aśčka<sup>304</sup>, wiem ci ja<sup>305</sup>, do kogo mówię.

— Nigdy waćpanów nie zdradzę — zachnęła się ona — jeżeli waszmość to miałeś na myśli.

— Nie — rzekł Alan — asińdźka<sup>306</sup> nie należysz do tego rodzaju ludzi. Ale powiem waćpannie, cobyś uczyniła... powinnaś nam dopomóc.

— Nie mogę — odrzekła, potrząsając główką. — Nie, nie mogę.

— A gdybyś mogła?

Ona nic na to nie odpowiedziała.

— Sluchaj no asińdźka — rzekł Alan — u was tu nie brak łodzi; widziałem ich ze dwie przynajmniej na wybrzeżu, gdy mijał wasze miasto. Otóż jeżeli uda się nam dostać łódkę, która pod osłoną nocy przewiozłaby nas do Lothian, oraz jakiegoś zaufanego, uczciwego człowieka, który by odwiózł tę łódkę z powrotem i utrzymał język za zębami, tedy dwa życia byłyby ocalone: moje według wszelkiego prawdopodobieństwa, jego zaś z całą pewnością. Jeżeli nie dostaniemy łodzi, za cały majątek doczesny pozostaną nam jeno trzy szylingi; gdzież wtedy pójdziemy, co poczynimy z sobą i co nas czeka, oprócz

<sup>303</sup> *Karolek, moje kochanie* — piosenka jakobitów o Karolu Stuarcie. [przypis redakcyjny]

<sup>304</sup> *aśčka* (daw.) — żeńska forma od starop. pot. zwrotu grzecznościowego: *aśc*, stanowiącego skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waśc. [przypis edytorski]

<sup>305</sup> *wiem ci ja* — konstrukcja z partykułą „ci”, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>306</sup> *asińdźka* (daw.) — forma żeńska starop. potoczego zwrotu grzecznościowego *asindziej*, tj. skrótu od: wasza miłość dobrodziej, waszmość dobrodziej. [przypis edytorski]

kajdan i szubienicy? Słowo daję waćpannie, iż nie wiem! Czyż mamy nadal tułać się w nędzy, panienko? Będziesz li spoczywała w swym ciepłym łóżeczku, myśląc o nas, gdy wiatr zahuczy w kominie, a deszcz szemrzeć będzie po strzesze? Będziesz li rumianą swą buzią spożywała jadło, myśląc o tym biednym, schorzałym chłopaku moim, który kędyś tam na czarnych ugorach będzie palce gryzł z zimna i głodu? Czy zdrow, czy chory, będzie musiał wędrować z miejsca na miejsce; będzie musiał z gardłem obłożonym okropną chrypką wlec się na deszczu po nieskończenie długich drogach, a kiedy będzie konał kędyś na pościeli z zimnych głązów, nie będzie przy nim żadnego przyjaciela, oprócz Boga i mnie.

Widziałem, iż na to wezwanie dziewczę bardzo się zafrasowało, gdyż brała ją pokusa, by nam dopomóc, a jednocześnie bała się po trosze, czy nie będzie pomagała złoczyńcom; wobec tego postanowiłem teraz wystąpić we własnym imieniu i odrobiną prawdy rozwiać jej wątpliwości.

— Słyszałaś kiedy waćpanna — ozwał się — o imć<sup>307</sup> panu Rankeillorze z Ferry?

— Rankeillor? Pisarz? — odpowiedziała. — Juści, żem słyszała!

— Dobrze — rzekę na to — otóż jego dom jest celem mej podróży, z czego asińdźka możesz osądzić, czy jestem złoczyńcą; powiem asińdźce jeszcze coś więcej, a mianowicie, że chociaż istotnie, wskutek straszliwej omyłki, życie moje narażone jest na pewne niebezpieczeństwo, jednakże król Jerzy nie ma w Szkocji wierniejszego sojusznika nade mnie.

Rozjaśniło się na to jej oblicze, za to Alan sposepniał.

— Nie chcę już pytać o nic więcej — powiedziała. — Pana Rankeillora wszędy<sup>308</sup> tu znają.

I poprosiła nas, byśmy dokończyli posiłku, opuścili jak najprędzej osadę i ukryli się w gaiku nad wybrzeżem.

— Mogą mi panowie ufać — zapewniła nas — iż wynajdę jakiś sposób, by was przewieźć na drugą stronę.

Wówczas jużesmy nie zwlekali, tylko uścisnęliśmy jej dlonie na znak poręki, jednym tchem spałasowaliśmy pierogi, wymknęliśmy się z Limekilns i hajże do gaju! Było to raczej niewielkie zarośle, na które składało się ze dwadzieścia krzewów bzu, nieco glogów i kilka młodych jesionów, nie nazbyt grubych, by mogły nas zasłonić przed oczyma przechodniów ze strony drogi lub wybrzeża. Bądź co bądź, musieliśmy tu leżeć, ciesząc się ciepłem słonecznej pogody i nadzieją wybawienia, jaka zaczęła nam przyświecać, oraz układając sobie bardziej szczegółowe plany na przyszłość.

W ciągu całego dnia jednego tylko doznaliśmy niepokoju — gdy nadszedł jakiś wędrowny dudarz i usiadł w tym samym gaiku, co i my. Był to pijanica o czerwonym nosie i kaprawych oczach, z kieszeni wystawała mu wielka flacha wódki, zaś na ustach miał ciężkim przewlekłą historię krzywd, jakie wyrządzili mu najrozmaitsi ludzie, poczynszy od imć prezesa trybunału, który odmówił mu sprawiedliwości, a skończywszy na starostach z Inverkeithing, którzy mu ją wymierzili hojniej, niżli sobie życzył. Niepodobna, by ten człowiek nie miał powziąć jakowychś podejrzeń co do dwóch ludzi, którzy jak dzień długi chowali się w gęstwinie i nie mogli się wytłumaczyć żadnym zajęciem. Dopóki przy nas bawił, zasypywał nas natarczywymi pytaniami — czuliśmy się tak, jakby nas kto ukropem oblewał; skoro zaś wyniósł się nareszcie, to — iż nie wyglądał na człowieka, lubiącego trzymać język za zębami — jęliśmy z tym większą niecierpliwością oczekiwać chwili, kiedy sami też będziemy mogli stąd się oddalić.

Dzień dobiegł do końca, jaśniejąc na schyłku nie mniej, jak w godzinach przedpołudniowych. Zapadła noc jasna i cicha. W domostwach i zagrodach zabyły światełka, potem zaś zaczęły wygasać jedno po drugim; atoli minęła już i jedenasta godzina i sporo jeszcze czasu później dręczyły nas dziwne niepokoje, zanim posłyszeliśmy skrzywienie wioseł w dulkach. Wówczas wyjrzelismy w oną stronę i obaczyliśmy nadjeżdżającą łódź, w której siedziała, wiosłując, znajoma nam dziewczyna we własnej osobie. Nie powierzyła naszej sprawie nikomu, nawet kochankowi, jeżeli go miała, ale skoro tylko ojciec jej

<sup>307</sup>imć (daw.) — skrócona forma starop. zwrotu grzecznościowego: jej/jego miłość, jejmość/jegomość, starzianego przeważnie przed nazwiskiem lub tytułem. [przypis edytorski]

<sup>308</sup>wszędzy (daw., gw.) — wszędzie. [przypis edytorski]

zasnął, wymknęła się z domu przez okno, wykradła łódkę sąsiadów i sama na własną rękę podążyła nam ku pomocy.

Byłem w kłopotcie, jak wyrazić jej swą wdzięczność; atoli ona nie mniej była zakłopotana na myśl, iż będzie musiała słuchać mego dziękczynienia, przeto prosiła nas, byśmy nie tracili czasu i przestrzegali ciszy, nader trafnie powiadając, iż od pośpiechu i milczenia zawisła nasza sprawa. Tak więc, bacząc na jedno i drugie, dowiozła nas do brzegu lothiańskiego niedaleko od Carriden, uściśnęła nasze dłonie, po czym znów odbiła od brzegu i jęła wiosłować w stronę Limekilus, zanim zdążyliśmy powiedzieć choć słowo o jej przysłudze lub naszej wdzięczności.

Nawet po jej odejździe nie mogliśmy się zdobyć na żadne przemówienie, jako że doprawdy słów nie starczyłoby na uwielbienie takiej uczynności. Jedyne Alan stał przez czas dłuższy na wybrzeżu, potrząsając głową.

— Śliczności dziewczeczka — odezwał się na koniec. — Dawidzie, to śliczności dziewczeczyna!

A w jaką godzinę później, gdyśmy leżeli w jakiejś jamie na wybrzeżu, a mnie już ogarniała drzemka, on znów zaczął się rozpyływać nad jej zaletami. Co do mnie, nie umiałem nic powiedzieć; owo dziewczętko było istotą tak prostoduszną, iż serce mi biło wyrzutem i obawą: wyrzutem — ponieważ wyzyskaliśmy jej łatwowierność, obawą — gdyż mogło się zdarzyć, żeśmy ją uwikłali w niebezpieczeństwa wynikłe z naszego położenia.

## ROZDZIAŁ XXVII. MOJE PRZYBYCIE DO PANA RANKEIL-LORA

Nazajutrz umówiliśmy się, że Alan będzie się krył na własną rękę aż do zachodu słońca, a skoro zacznie się zmierzchać, winien przyczać się na polach koło drogi idącej w stronę Newhalls i nie ruszać się z miejsca, dopóki nie posłyszysz mego gwizdania. Zrazu chciałem obrać sobie za hasło melodię „Zacny dom Airlic”, która była mi ulubioną; on jednak sprzeciwił się, mówiąc iż jest to piosenka powszechnie znana i każdy chłopiec mógł ją przypadkiem zagwizdać; zamiast niej tedy nauczył mnie urywku pieśni góralskiej, który od tego czasu tak wbił mi się w głowę, iż dziś go pamiętam doskonale i pewno pamiętać jeszcze będę na łożu śmierci. Za każdym razem, gdy sobie ją przypominę, powracam myślą w ów ostatni dzień mej udręki i widzę z całą wyrazistością, jak Alan siedzi na dnie jamy, pogwizdując i palcem wybijając takty, a szary brzask pada mu na oblicze.

Zanim słońce wstało, jużem był w długiej ulicy miasta Queensferry. Był to gród pięknie zabudowany, kamienice miał murowane, czysto kryte łupkiem; ratusz, jak mi się zdawało, nie był tak piękny, jak w Peebles, ani ulica nie była tak wytworna. Atoli, biorąc wszystko pod uwagę, wstyd mi tu było mych przegniłych łachmanów.

Gdy już rozwidnił się poranek, gdy zaczęto rozniecać ogniska i otwierać okna, a ludzie tu i ówdzie pojawiali się przed domami, moja sromota i rozpacz stawały się coraz czarniejsze. Widziałem teraz, iż nie mam podstaw, na których mógłbym się opierać, ani też żadnego oczywistego dowodu mych praw — ba, nawet mojej tożsamości. Jeżeli to wszystko było tylko bańką mydlaną, tedy zaiste srodze mię oszukano i pozostawiono w ciężkiej doli. Nawet gdyby sprawy tak się przedstawiały, jakem je sobie wyobrażał, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mogło wiele wody upłynąć, zanim uda się ustalić moje sporne dziedzictwo; a jakże mogłem rozporządzać czasem, mając przy duszy niecałe trzy szylingi, a ponadto przyjąwszy na się wywiezienie nieszczęsnego ściganego skazańca poza granice kraju? Zaprawdę, gdyby mnie zawiodła nadzieja, jeszcze nas obu mogła czekać szubienica. Gdy zaś chodziłem tędy i owędy i widziałem, jak ludzie pytająco spoglądali na mnie z okien lub z ulicy i tręcali się łokciami, i coś tam pomiędzy sobą gwarzyli z uśmiechem, zaczęło się we mnie budzić nowe przypuszczenie, iż niełatwą będzie mi rzeczą, chociażby dostać posłuchanie u prawnika, a cóż dopiero przekonać go o prawdziwości mego opowiadania.

Nawet za cenę życia nie mogłem zdobyć się na odwagę, by zaczepić którego z tych sławetnych mieszczan; wstyd mi było nawet z nimi rozmawiać w takiej mierzwie łachmanów i brudu, a gdybym zapytał ich o dom takiego człowieka, jak pan Rankeillor, pewno roześmiano by mi się w oblicze. Chodziłem więc tam i sam, to po ulicy, to ku zjazdowi przystani, niby pies, co zgubił swego pana, czując w głębi duszy dziwną zgryzotę,

a niekiedy nawet odruchy istnej rozpaczy. Na koniec był już jasny dzień, może dziewiąta rano, gdy mnie na dobre zmęczyła ta wędrówka, w sam raz zatrzymałem się przed okazałym domem, położonym opodal od morza; miał on piękne okna o przezroczystych szybach, na parapetach doniczki z kwiatami, ściany były świeżo tynkowane, a na progu siedział wyżeł, poziewując, jakby się czuł u siebie w domu. Dalibóg, zazdrościłem nawet temu niememu zwierzęciu jego spokoju i wygod; naraz otwarły się drzwi i wysunął się z nich zwinny, rumiany, grzeczny i stateczny jegomość w okularach i białej, pudrowanej peruce. Bieda moja była tak wielka, iż nikt ani razu dłużej się mną nie zajmował; atoli ten jegomość przyjrzał mi się raz i drugi... Okazało się, iż wzruszył się moim oplakany wyglądem, gdyż podszedł wprost ku mnie i zapytał mnie, co tu porabiam.

Odpowiedziałem mu, że przybyłem do Queensferry w osobistej sprawie, po czym zebrawszy się na odwagę, prosiłem go, by mi wskazał drogę do domu pana Rankeillora.

— Czemużby nie? — rzecze mi on na to. — Jest to dom, z którego przed chwilą wyszedłem, a wskutek nieco szczególnego zbiegu okoliczności właśnie ja jestem owym człowiekiem, którego asan<sup>309</sup> szukasz.

— Wobec tego — powiadam — chciałbym prosić wielmożnego pana o łaskawe udzielenie mi paru słów rozmowy.

— Nie znam aścinego nazwiska — odrzekł ów — a nawet jego oblicze po raz pierwszy w życiu oglądam.

— Nazywam się Dawid Balfour — powiedziałem.

— Dawid Balfour? — powtórzył on głosem nieco piskliwym, jak gdyby czymś nagle zaskoczony. — A skądże aśc przybywasz, mości Dawidzie Balfour? — zapytał, spoglądając mi surowo w oblicze.

— Przybywam z wielu strasznych miejsc, panie łaskawy — odparłem — ale sędzę, iż lepiej byłoby opowiedzieć to wszystko waszmości bardziej poufnie.

On jakby się zadumał na chwilę, obejmując dolną wargę dłonią i spoglądając to na mnie, to na bruk ulicy.

— Tak — odrzekł — bez wątpienia tak będzie najlepiej.

To rzekłszy, powiódł mnie z sobą do swego domu, krzyknął na kogoś, kogom nie mógł dostrzec, że będzie zajęty do południa, po czym wprowadził mnie do małej, zakurzonej komnaty, pełnej książek i akt. Tutaj sam się usadowił i prosił mnie, bym usiadł, choć wydawało mi się, że spojrzął z pewną żalością na swój czysty fotel i moje brudne łachmany.

— A teraz — odezwał się — jeżeli asan masz do mnie jakiś interes, bądź łaskaw przedstawić go zwięźle i dojść od razu do sedna. *Nec gemino bellum Troianum orditur ab ovo*<sup>310</sup>... zrozumiałeś aśc? — dodał, rzuciwszy przenikliwe spojrzenie.

— Właśnie tak uczynię, jak zaleca Horacy, miłościwy panie — odrzekłem, uśmiechając się — i wprowadzę waćpana *in medias res*<sup>311</sup>.

Skinął głową, jak gdyby był rad temu, boć w istocie chciał zażyć mnie z mańki owym łacińskim urywkiem. Pomimo to, aczkolwiek nabrałem już nieco odwagi, jednakże krew napłynęła mi do policzków, gdym dodał.

— Mam powód do przypuszczenia, iż mogę rościć pewne prawa do majątku Shaws.

On wydobyl z szuflady plik papierów i rozłożył je przed sobą.

— A więc? — odezwał się.

Atoli<sup>312</sup> ja zasznurowałem usta i siedziałem, nic nie mówiąc.

— Dalej, dalej, panie Balfour — rzekł prawnik — powinieneś wszystko kolejno wyznać. Gdzie się urodziłeś?

— W Essendean, mości panie — odrzekłem — dwunastego marca roku Pańskiego 1733.

On zdawał się szukać tej daty w swojej teczce, ale co to znaczyło, nie mogłem odgadnąć.

<sup>309</sup>asan (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>*nec gemino bellum Troianum orditur ab ovo* — nie zaczyna wojny trojańskiej od bliźniaczego jaja (Horacy, *Ars Poetica*); chodzi o jajo Ledy, matki Kastora, Polluksa (Polideudes) oraz Heleny i Klitajmestry, metaforycznie zaś (u Horacego) o sztukę opowiadania, która nie zaczyna od najpierwszych źródeł i przyczyn, ale umie przejść od razu do sedna rzeczy. [przypis edytorski]

<sup>311</sup>*in medias res* (łac.) — w środek rzeczy; w sedno sprawy. [przypis edytorski]

<sup>312</sup>atoli (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

— Ojciec i matka waćpana?  
— Ojcem moim był Aleksander Balfour, nauczyciel w owej miejscowości, a matką mi była Gracja z domu Pitarrow — odpowiedziałem — zdaje mi się, że jej rodzina pochodziła z Angus.

— Czy waćpan masz jakie papiery stwierdzające prawdziwość twej osoby? — zapytał pan Rankeillor.

— Nie, łaskawy panie — zeznałem — znajdują się one w rękach jaśnie wielmożnego pana Campbella, plebana miejscowego, od którego łatwo je wydostać; ponadto sam pan Campbell może poręczyć za mnie, a co się tyczy tej sprawy, nie sędzę, by stryj mój chciał zadać kłam mym słowom.

— Masz na myśli pana Ebenezera Balfoura? — rzecze rejent.

— Jego we własnej osobie — odrzekłem.

— Czyś go widział? — zapytał pan Rankeillor.

— Byłem przezeń podejmowany w jego własnym domu — odpowiedziałem.

— Czy spotkałeś się kiedy z człowiekiem zwanym Hoseason? — zapytał pan Rankeillor.

— Spotkałem się z nim, panie łaskawy, za ciężkie grzechy moje — odrzekłem — albowiem jego to pośrednictwu tudzież zarządzeniu mojego stryja przypisać należy, iż zostałem porwany nieopodal tego miasta, tłułem się po morzu, przeżyłem rozbicie okrętu i setki innych udręczeń, a obecnie w tej lichej odzieży stoję przed obliczem waszmości.

— Powiadasz aś<sup>313</sup>, iż okręt wasz się rozbił — rzecze pan Rankeillor — gdzież to było?

— Koło południowego naroża wyspy Mull — wyjaśniłem. — Wysepka, na którą mnie wyrzuciły fale, nosi miano Earraid.

— Ach! — rzecze rejent, uśmiechając się. — Asan masz lepsze wiadomości w geografii aniżeli ja. Ale jak dotąd, powiem aspanu szczerze, opowieść twoja zgadza się jota w jotę z wiadomościami, które zasięgnąłem z innego źródła. Lecz aś powiadasz, że cię porwano; jak to należy rozumieć?

— Zupełnie dosłownie, łaskawy panie — odpowiadam. — Właśnie się wybierałem do domu waszmości, gdy mnie zwabiono na pokład brygu, tam okrutnym uderzeniem obalono mnie na ziemię, wrzucono do ciemnicy... a potem już nie wiem, co się ze mną działo, aż dopiero, gdyśmy znaleźli się na pełnym morzu. Byłem przeznaczony do plantacji; traf tylko zrzędził, że przy pomocy Bożej udało mi się ująć żywo.

— Bryg rozbił się 27. czerwca — zauważył rejent, zaglądając do swej księgi, a dzisiaj mamy 24. sierpnia. Mamy tu zatem, panie Balfour, znaczną przerwę, prawie dwumiesięczną. Sprawilo to już niemało trosk i zgryzoty twoim przyjaciółom, toteż wyznam ci, że nie będę zaspokojony, póki wszystkiego nie sprawdzę.

— Zaprawdę, panie miłościwy — ozwałem się — te miesiące łatwo będzie zapełnić treścią; wszakoż zanim opowiem swe dzieje, rad bym wiedzieć, iż mówię do przyjaciela.

— Asan kręcisz w kółko — rzekł prawnik. — Nie dam się przekonać, aż posłyszę pańskie zeznania. Nie mogę być aści przyjacielem, póki nie otrzymam należytych wiadomości. Gdybyś miał więcej zaufania, lepiej by ci się powodziło w życiu; a trzeba ci wiedzieć, panie Balfour, że w naszym kraju jest przysłowie: kto źle wyrządza, sam zła się lęka.

— Waszmość nie powinienes zapominać — rzekłem — że już raz źle wyszedłem na swej ufności, a raczej łatwości, oraz że zostałem zaprzędany w niewolę przez człowieka, który (o ilem dobrze zrozumiał) jest klientem waszmości.

Przez cały ten czas stawałem na pewnym gruncie wobec pana Rankeillora, a wraz z tym pozyskiwaniem gruntu pod stopami odzyskiwałem i pewność siebie. Atoli na ten mój wybryk, który mnie samego skłonił do nieznacznego uśmiechu, rejent roześmiał się całym gardłem.

— Nie, nie — odpowiedział — tak źle nie jest. *Fui, non sum*<sup>314</sup>. Byłem ci ja istotnie pełnomocnikiem twojego stryja, ale podczas gdy waćpan (*imberbis iuvenis custode*

<sup>313</sup>aś (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzesznościowy. [przypis edytorski]

<sup>314</sup>fui, non sum (łac.) — byłem, nie jestem. [przypis edytorski]

*remoto*<sup>315</sup>) wałęsałeś się na zachodzie, wiele tu u nas się zmieniło, a gdyby cię uszy nie zbolały, nie brakowałoby mi tematu do opowieści. W sam raz w dzień aścinej morskiej przygody zawitał do mej kancelarii jaśnie wielmożny pan Campbell, dopytując się natarczywie o waćpana. Jako żywo, nigdy przedtem nie słyszałem o waćpanu, ale znałem niegdyś pańskiego ojca, a na podstawie spraw mi wiadomych (o które później potrączę), gotów byłem obawiać się rzeczy najgorszych. Pan Ebenezer przyznał, iż widział się z waćpanem, i oświadczył (co wydało mi się rzeczą nieprawdopodobną), iż dał ci znaczną sumę pieniędzy oraz że aść wyruszyłeś na kontynent europejski, zamierzając uzupełnić swe wykształcenie, co było rzeczą podobną do prawdy i chwalebą. Zapytany, jak to się stało, iż waćpan nie dałeś żadnej wieści o sobie panu Campbellowi, stryj twój odpowiedział, że wyraziłeś gorącą chęć zerwania z dawnym swym życiem. Gdyśmy go następnie pytali, gdzie przebywasz obecnie, powiedział, że nie wie, ale przypuszcza, iż udałeś się do Lejdy. Taki był całkowity plan jego odpowiedzi. Nie bardzo jestem pewny, czy ktoś mu uwierzył — dodał po chwili pan Rankeillor, uśmiechając się — zresztą pewne moje wyrażenia tak dalece mu się nie podobały, iż (krótko mówiąc) wyprosił mnie za drzwi. Na tym musieliśmy ostatecznie poprzestać, gdyż jakkolwiek mogliśmy snuć najdziwniejsze podejrzenia, nie mieliśmy na nie ani cienia dowodu. W sam raz w oną chwilę pojawia się kapitan Hoseason, opowiadając o twoim zatonięciu. Wówczas wszystko się rozwiąło, pociągając w skutkach jedynie zgryzotę pana Campbella, uszczerbek dla mej kieszeni oraz nową plamę na charakterze twego stryja, który mógł to bardzo ciężko przypłacić. A teraz, panie Balfour, chyba już rozumiesz bieg całej sprawy i możesz osądzić, w jakiej mierze zasługuję na zaufanie.

Prawdę powiedziawszy, rejent był bardziej pedantyczny, niż potrafię go opisać, i o wiele więcej pstrzył łaciną swoje przemówienie; jednakowoż wszystko było wypowiedziane z taką uprzejmością w spojrzeniu i obejściu, która znacznie się przyczyniła do przezwyciężenia mej nieufności. Co więcej, zauważyłem, że i on sam tak się do mnie odnosił, jak gdyby nie żywił żadnych wątpliwości względem mej osoby, tak iż pierwszy punkt mej relacji został już pono całkowicie przyjęty.

— Panie rejencie — odezwałem się — gdy zacznę opowiadać waćpanu moje przygody, będę musiał pańskiej dyskrekcji poruczyć życie jednego z mych przyjaciół. Racz waszmość poręczyć mi słowem jego nietykalność, a co się tyczy mej osoby, to nie potrzeba mi lepszej poręki jak oblicze waszmość dobrodzieja.

On z wielką powagą złożył mi słownie poręczenie, dodając przy tym.

— Ale te wszystkie przedmowy trochę mnie niepokoją; przeto jeżeli w pańskiej opowieści trafi się coś, co pozostaje w małej sprzeczności z prawem, to proszę pamiętać, że jestem prawnikiem, i rzecz tę pomijać.

Wówczas opowiedziałem mu całe swe dzieje, on zaś słuchał, zarzuciwszy okulary na czoło i przymknąwszy oczy, tak iż niekiedy bałem się, czy on nie zasnął. Ale gdzie tam! Słyszał każde słowo (jakem się później przekonał), a bystrość jego słuchu i dokładność jego pamięci niejednokrotnie wprawiła mnie w zdumienie. Nawet dziwaczne imiona gallickie, które słyszał wówczas po raz pierwszy i ostatni, zapamiętał sobie i nieraz mi je przypominał w wiele lat później. Jednakowoż, gdy wspomniałem wyraźnie Alana Brecka, zaszła scena osobliwa. Nazwisko Alana istotnie rozbrzmiewało w całej Szkocji, wraz z wiadomością o morderstwie appińskim i ofiarowanej nagrodzie za wykrycie przestępcy; więc zaledwie nazwisko to wymknęło się z mych ust, rejent poruszył się w krześle i otworzył oczy.

— Nie życzę sobie niepotrzebnego wspomnienia pewnych nazwisk, panie Balfour — przemówił — a zwłaszcza nazwisk górali, z których wielu zawiniło wobec prawa.

— Istotnie, byłoby może lepiej ich nie wspominać — przyznałem — ale skoro mi się nazwisko to już wymknęło, muszę brnąć z nim dalej.

— Bynajmniej — sprzeciwił się pan Rankeillor. — Mam słuch nieco przytępiony, jak aść musiałeś już zauważyć, toteż nie bardzo jestem pewny, czym posłyszał dokładnie to nazwisko. Jeżeli pozwolisz, nazwijmy pańskiego przyjaciela, dajmy na to, Thomsonem... ażeby nam się tu nie plątały jakieś przypuszczenia. Na przyszłość zaś tak samo radzę postąpić z każdym góralem, żywym czy umarłym, którego zamierzasz wspomnieć.

<sup>315</sup>*imberbis iuvenis custode remoto* (łac.) — w młodym wieku pozbawiony opieki. [przypis edytorski]

Wniosłem z tego, że musiał aż nadto wyraźnie posłyszeć rzeczony nazwisko, więc już na poły zgadywał, iż musiałem mieć jakiś związek z owym morderstwem. Jeżeli on wołał udawać nieświadomość, nie moja w tym sprawa; przeto uśmiechnąłem się, mówiąc iż nazwisko to brzmi niezbyt po góralsku, ale przystał na propozycję. Odtąd już do końca mej opowieści Alan zwał się Thomsonem, co bawiło mnie tym więcej, że był to wybieg w duchu jego własnych upodobań. Podobnie Jakuba Stuarta omawiałem jako krewniaka pana Thomsona, Colina Campbella przezwałem imię panem Goenem, a Cluny'emu, gdy doszedł do tej części mego opowiadania, nadałem miano: „imię pan Jameson, naczelnik góralski”. Była to w istocie najoczywistsza komedia i dziwiłem się, iż rejent uważał za stosowne ją odgrywać; ale ostatecznie było to zupełnie w duchu owego czasu, gdy w państwie były dwa stronnictwa, a ludzie spokojni, niemający o sobie samych nazbyt wygórowanego mniemania, szukali lada mysiej dziurki, by uniknąć wzajemnej urazy.

— No, no! — rzekł prawnik, gdy tuż zakończył. — Wspaniały to poemat, ta twoja Odyseja. Winienesz ją waćpan opowiedzieć poprawną łaciną, gdy posuniesz się w studiach... albo i po angielsku, jeśli taka twa wola, choć ja osobiście wolę mowę dobitniejszą i bardziej wyrobioną. Wieleś się nawalęsa! *quae regio in terris*<sup>316</sup>... jakaż gmina w Szkocji (że przełożę te słowa stylem bardziej rodzimym) nie była pełna twych przygód i włóczęgi? Ponadto okazałeś asan niepospolitą zdolność w tym, iż dostawszy się w dwuznaczne okoliczności, umiałeś jednak, koniec końców, dobrze w nich się zachować. Ten pan Thomson wydaje mi się człowiekiem niepozabawionym pięknych zalet, choć, być może, w nazbyt gorącej wodzie go kąpano. W każdym razie nie mniej byłbym rad, gdyby (pomimo wszystkich swych zasług) utonął był w Morzu Północnym, gdyż ten człowiek, panie Dawidzie, może nam tu jeszcze nawarzyć bobu. Jednak aspan bez wątpienia masz zupełną słuszność, żeś doń przyłgnał; niewątpliwie i on przyłgnał do waćpana. Wynika stąd, rzecz można, iż był ci on wiernym druhem; nie mniej jednak *paribus curis vestigia figit*<sup>317</sup>, bo przypuszczam, że obu wam nie w smak byłaby szubienica. No, no, na szczęście owe dni już przeszły, a ja sądzę (mówiąc po ludzku), że aśc jesteś już bliski końca swych kłopotów.

W ten sposób ciągnąc morał z mych przygód, spoglądał na mnie z takim humorem i dobrotliwością, że ledwom mógł pohamować swe zadowolenie. Tyle czasu tułałem się wśród ludzi nieposłusznych prawu i miałem łoże na górskich rozłogach, pod gołym niebem, iż wydawało mi się wielkim dostojeństwem siedzieć znów pod dachem, w schludnym domu i wieść przyjacielską rozmowę z wykształconym i przyzwoicie ubranym jegomościem. Właśnie gdy o tym myślał, rzuciłem okiem na swe ohydne łachmany i popadłem znów w zakłopotanie. Widział to rejent i zrozumiał myśl moją; wnetże<sup>318</sup> wstał, zawołał przez schody, by zastawiono drugie nakrycie, gdyż pan Balfour zostanie u niego na obiedzie, po czym zaprowadził mnie do sypialni na pięterku. Tam przede mną postawił miednicę z wodą, mydło i grzebień i wydobył jakieś ubranie należące do jego syna, a wreszcie, rzuciwszy jeszcze jakąś stosowną cytację, wyszedł z pokoju, dając mi możność przebrać się i przyochędożyć<sup>319</sup>.

## ROZDZIAŁ XXVIII. IDEŃ UPOMNIEĆ SIĘ O SWE DZIEDZICTWO

Odmieniwszy, ile tylko mogłem, mą powierzchowność, rad byłem przejrzeć się w zwierciadle — i stwierdziłem, że obdartus znikł już bez śladu, natomiast Dawid Balfour odżył na nowo. Mimo to wstydzilem się i tej przemiany, a nade wszystko pożyczonego przyodziewku. Gdy już był gotów, pan Rankeillor, zdybawszy mnie na schodach, powiedział mi parę komplementów i wprowadził mnie z powrotem do swego gabinetu.

— Proszę siadać, panie Dawidzie — ozwał się — pozwól teraz, gdyś już bardziej do siebie podobny, bym i ja podzielił się z tobą pewnymi nowinami. Zapewne zachodzisz

<sup>316</sup>*quae regio in terris* — jakaż kraina na ziemi (nie jest pełna naszej pracy; urwany cytat: *Quae regio in terris nostri non plena laboris*, Wergiliusz, *Eneida*, I, 460). [przypis edytorski]

<sup>317</sup>*paribus curis vestigia figit* — z równą uwagą mierząc krok (cytat z *Eneidy* Wergilusza, VI, 158). [przypis edytorski]

<sup>318</sup>*wnetże* — konstrukcja z partykułą -że, pełniącą funkcję wzmacniającą. [przypis edytorski]

<sup>319</sup>*przyochędożyć* — wyczyścić, uporządkować, doprowadzić do ładu; por. starop. *ochędożny*: czysty, porządnny, zadbany. [przypis edytorski]

w głowę, jaki stosunek łączył twego ojca i twego stryja? Juści, dziwna to historia, a jej wyjaśnienie jest tego rodzaju, iż płonę się, gdy mam ci go udzielić. Albowiem — tu istotnie się zakłopotał — sprawa cała wiąże się z przygodą miłosną.

— Doprawdy — rzekę — nie wiem, jak wiadomość tę skojarzyć z moim stryjem.

— Ba! Twój stryj, panie Dawidzie, nie zawsze był stary — odparł rejent — a także, co może więcej cię zadziwi, nie zawsze był brzydki. Błyszczał ci on niegdyś urodą i wytwornością! Ludzie w drzwiach stawali, by nań popatrzeć, gdy przejeżdżał na rączym rumaku. Widywałem to nieraz na własne oczy, a wyznam szczerze, iżem nań pozierał nie bez zazdrości, jako że sam byłem prostym chłopczyną i synem prostego człowieka... zaś w owe lata wynikało stąd: *Odi te, qui bellus es, Sabelle*<sup>320</sup>.

— Brzmi to jak bajka — wtrąciłem.

— Tak, tak — rzekł prawnik — tak to bywa z młodością i latami. Ale na tym nie koniec, bo oto miał on i tego rodzaju usposobienie, które zdawało się wróżyć mu wielką przyszłość. W roku 1715 cóż lepszego mogło mu przyjść do głowy, jak nie drapnąć do powstańców? Aścin ojciec go gonił, znalazł go gdzieś w rowie i przyprowadził go z powrotem, *multum gementem*, ku uciezce całej okolicy. Tak czy owak, *maiora canamus*... obaj młodzieńcy zakochali się i to w tej samej pannie. Pan Ebenezer, którego powszechnie podziwiano, lubiono i psuto nad miarę, był, oczywista, wielce pewny swego zwycięstwa; kiedy zaś obaczył, iż się zawiódł i omylił, dalej drzeć się, jak paw, wniebogłosy. Poszedł stąd huczek na całą okolicę; ów młodzian to leżał w domu chory, a jego rodzina o gołębich sercach stała dokoła łoża, zalewając się łzami; to znów jeździł od gospody do gospody i pierwszym z brzegu wywnętrzał się ze swych strapien. Twój ojciec, panie Dawidzie, był zacności człowiekiem, ale był przy tym aż do żalości czuły i ustępliwy; toteż wszystkie te wybryki brał całkiem poważnie, aż nareszcie dnia jednego — wybaczyć aś, że to mówię! — rzekł się ręki swej panny. Ona jednakże nie była tak narwana (po niej to chyba wacpan odziedziczyłś swój trafny i zdrowy rozsądek), toteż sprzeciwiła się temu, by miano sobie grać odbijanego jej osobą. Obaj padli przed nią na kolana, ale wynikiem tych zabiegów było na razie to, że pokazała drzwi jednemu i drugiemu. Było to w sierpniu... mój Boże! W tym samym roku, kiedy ja ukończyłem akademię. Scena ta musiała być wielce komiczna.

Sam w głębi ducha pomyślałem, że była to niedorzeczna sprawa, jednakowoż nie mogłem zapomnieć, że mój ojciec brał w niej udział.

— Chyba raczej, panie łaskawy, była w niej nuta tragiczna — zauważyłem.

— O nie, mosterdziejku, wcale nie! — odpowiedział rejent. — Albowiem tragedia zawsze zawiera jakowąś poważną osnowę, jakowys *dignus vindice nodus*; natomiast tu w grę wchodziła jedynie swawola młodego zbytnika, którego rozpuszczono na dziadowski bicz, a któremu nie należało się nic innego, jak tylko wyłożyć go na ławę i sypnąć ze dwadzieścia oblewanych batów. Bądź co bądź, ojciec pański inaczej się na tę rzecz zapatrywał; skończyło się na tym, że po coraz to nowych ustępstwach ze strony pańskiego ojca oraz coraz to nowych wybuchach wrzaskliwego, czułościowego samolubstwa po stronie stryja, obaj doszli wreszcie do pewnego rodzaju układu, którego złe skutki odczułeś aś niedawno na własnej skórze. Jeden wziął pannę, a drugi majątność. Otóż, panie Dawidzie, wiele się mówi o litości i wspaniałości, ale w obecnym, rozważnym okresie życia często sobie myślę, że podobno do najpomyślniejszych wyników dochodzi się wówczas, gdy człek zasięga porady prawnej i bierze wszystko, co mu się prawnie należy. Tak czy owak, owa donkiszoteria pańskiego ojca, sama przez się niesprawiedliwa, zrodziła z siebie cały szereg krzyczących niesprawiedliwości. Twój ojciec i matka żyli i pomarli w biedzie; asan sam też w biedzie się wychowałeś... a tymczasem jakże tu się powodziło dzierżawcom majątku Shaws! I mógłbym dodać (gdyby mnie to wiele obchodziło), jakże się tu wiodło panu Ebenezrowi!...

— A przecie jest to chyba rzecz ze wszech najdziwniejsza — napomknąłem — iż natura ludzka może ulec takiej zmianie.

— To prawda — rzekł pan Rankeillor. — Jednakże zdaje mi się, że jest to dość naturalne. On chyba zdawał sobie z tego sprawę, że odegrał rolę niepiękną. Ci, którzy

<sup>320</sup>*Odi te, qui bellus es, Sabelle* — nienawidzę cię, Sabellusie, ponieważ jesteś piękny (cytat z *Epigramatów* Marcialisa XII, 39). [przypis edytorski]



byli wtajemniczeni w całą historię, zaczęli odnosić się doń wzgardliwie; ci, którzy jej nie znali, widząc, że jeden z braci gdzieś się zapodział, a drugi objął jego dziedzictwo, rozgłosili wieść o rzekomym zabójstwie. Tak więc obaczył, że ze wszystkich stron poczęto go unikać. Pieniądze były jedynym zyskiem, jaki przypadł mu z onego układu; otóż począł on myśleć o przysporzeniu sobie pieniędzy. Samolubem był za młodu i samolubem pozostał dziś, gdy jest stary, a ostatecznym rezultatem wszystkiego są te piękne obyczaje i tkliwe uczucia, których aspan doświadczyłeś sam na sobie.

— Dobrze, panie łaskawy — mówię na to — ale wobec tego wszystkiego jakież jest moje stanowisko?

— Majątek należy do waćpana, co do tego dwóch zdań być nie może — odparł rejent. — Mniejsza o to, co tam podpisał twój ojciec, na mocy praw spadkowych waćpan jesteś jedynym prawnym dziedzicem. Ale stryj pański lubi walczyć z bezbronnym, a rzecz wielce prawdopodobna, iż będzie podnosił wątpliwości względem twej osoby i nazwiska. Dochodzenie prawne zawsze pociąga za sobą wiele wydatków, a proces rodzinny zawsze nabiera cech skandalu; poza tym jeżeliby wyszły na jaw jakieś konszachty waćpana z imć panem Thomsonem, moglibyśmy porządnie się sparzyć. Zaprzeczenie waćpana w niewolę byłoby oczywiście atutem w naszych rękach, gdybyśmy tylko zdołali fakt ten udowodnić. Ale udowodnienie może być niełatwym zadaniem; toteż moja rada, ażeby na razie zawrzeć dogodny układ ze stryjem, dajmy na to, zostawić go w Shaws, gdzie zakorzenił się już od ćwierćwiecza, a samemu poprzestać chwilowo na znaczniejszym zaopatrzeniu pieniężnym.

Odpowiedziałem, iż z całą chęcią zgodzę się na ustępstwa i że wyciąganie spraw rodzinnych na widok publiczny jest krokiem, do którego z natury czuję wielki wstręt. Tymczasem rozmyślając w cichości ducha, począłem dostrzegać główne zarysy tego planu, według którego działaliśmy później.

— A więc rzeczą ważną — zapytałem — jest udowodnienie mu mojego porwania?

— Nie inaczej — odrzekł pan Rankeillor — i to wedle możności bez wytaczania sprawy przed sądem. Bo zważ sam, panie Dawidzie; nie ulega wątpliwości, iż uda nam się znaleźć paru ludzi ze *Zgody*, którzy poświadczyli przysięgą pańskie uwięzienie; ponieważ jednak oni byli na okręcie, nie moglibyśmy sprzeciwić się dalszym ich zeznaniom, przy czym z pewnością wymknęłoby się im jakieś słówko o pańskim przyjacielu panu Thomsonie... co (wnosząc z pańskich opowiadań) nie byłoby, moim zdaniem, pożądane.

— Wobec tego racz waszmość posłuchać, jaki sposób ja wymyśliłem.

I opowiedziałem mu swoje zamysły.

— Ale to chyba pociągnie za sobą moje spotkanie z owym Thomsonem? — rzekł rejent, gdy skończył mówić.

— Tak myślę istotnie, łaskawy panie — odrzekłem.

— Widzicie go! — zawołał prawnik, trąc sobie skronie. — Nie, panie Dawidzie, boję się, że twój pomysł jest niemożliwy do przyjęcia. Nie mówię nic przeciwko aścinemu przyjacielowi, panu Thomsonowi; nie wiem nic takiego, coby świadczyło przeciwko niemu, ale gdybym wiedział (zakarbuj to sobie w pamięci, panie Dawidzie!), uważałbym za swą powinność oddać go w ręce prawa. A teraz poddaję ci pod rozwagę: czy to rzecz roztropna spotykać się z nim? Może mieć on na sumieniu jakieś obciążające go sprawy. Może on ci wszystkiego nie opowiedział. Może nawet on się nie nazywa Thomson! — utyskiwał rejent, mrugając powiekami. — Albowiem niektórzy z tych ptaszków zbierają sobie nazwiska po drodze, jak kto inny zbiera owoce tarniny.

— Waszmość sam musisz tu być sędzią — odrzekłem.

Atoli było rzeczą widoczną, iż mój plan zajął jego wyobraźnię, albowiem pocziwina wpadł w zadumę, z której otrząsnął się dopiero wtedy, gdy poproszono nas na obiad i do towarzystwa jaśnie wielmożnej pani Rankeillerowej. Skoro po obiedzie pani domu pozostawiła nas samych przed zastawioną butelką wina, mój gospodarz znów jął roztrząsać mój pomysł. Gdzie i kiedy mam się spotkać z panem Thomsonem? Czym pewny dyskrecji pana T.? A w razie, jeżeli uda nam się przyłapać starego lisa, to czy zgodzę się na taką a taką umowę? — Te i tym podobne pytania zadawał mi rejent ustawicznie co pewien czas, skrapiając jednocześnie w zamyśleniu język swój winem. Gdy odpowiadział na wszystkie, podobno ku jego zadowoleniu pytania, on popadł w jeszcze głębszą zadumę, zapominając nawet o wybornym winie francuskim. Potem wzięwszy arkusz papieru

i ołówek, zasiadł do pisania, ważąc w duchu, przepisując i przemazując każde słowo; na koniec uderzył w dzwonek, na którego odgłos wszedł do pokoju sekretarz rejenta.

— Panie Torrance — rzekł rejent — muszę to mieć przepisane na czysto jeszcze przed nocą, a kiedy skończysz, racz wdziac kapelusz i bądź gotów pójść z tym panem i ze mną, gdyż być może, będziemy cię potrzebowali jako świadka.

— Co, panie dobrodzieju?! — zawołałem, gdy sekretarz wyszedł. — Więc waszmość chcesz się ważyć na to?

— Eee! Nie mówmy już o tej sprawie. Sam widok Torrance'a przypomina mi dość pocieszne zdarzenie sprzed paru lat, gdy umówiłem się z tym biednym ciamajdą, że spotkamy się koło krzyża w Edynburgu. Każdy poszedł za własnymi sprawunkami, a kiedy była już godzina czwarta, Torrance, mając już nieco w czubie, nie poznał swego pana, ja zaś, nie wziawszy okularów, byłem bez nich tak ślepy, iż daję waćpanu słowo, że nie poznał własnego skryby! — To mówiąc, roześmiał się serdecznie.

Odpowiedziałem, że było to dziwne zdarzenie, i uśmiechnąłem się, jako mi grzeczność nakazywała; atoli co mnie dziwiło przez cały ten przedwieczerek, to że rejent wciąż powracał do tej historii i nad nią się zatrzymał, za każdym razem opowiadając ją ze śmiechem i coraz to nowymi szczegółami, tak iż na koniec byłem już całkiem zbity z pantałyku i poczułem się wstydzic błazeństw mego nowego przyjaciela.

Gdy już zbliżała się pora, na którą umówiłem się z Alanem, wyruszyliśmy z domu, ja pod ramię z panem Rankeillorem, a Torrance z tyłu poza nami, niosąc akta w kieszeni, a w ręce kosz z krytym wierzchem. Pókiśmy szli przez miasto, rejent ustawicznie musiał się kłaniać to w prawo, to w lewo i wciąż był zatrzymywany przez mieszczan, którzy zadawali mu pytania dotyczące bądź spraw miejskich bądź interesów osobistych; mogłem więc się przekonać, iż był on osobistością wielce poważaną w swej okolicy. Na koniec wydostaliśmy się z obrębu murów i poczęliśmy iść wzdłuż brzegu przystani, w stronę karczmy Hawes i grobli Przewozu, która była widownią mego nieszczęśliwego wypadku. Nie mogłem patrzeć bez wzruszenia na owo miejsce, przypominając sobie, ilu z ówczesnych moich towarzyszy dziś już nie ma pomiędzy żyjącymi: zginął Ransome, wyzwolon (jak tuszę) od przyszłej niedoli; zginął Shuan, odszedłszy tam, gdzie nie chciałbym za nim podążyć; nie masz i tych nieboraków, którzy poszli na dno wraz z zatopionym brygiem. Wszystko to przeżyłem — ba, przeżyłem i sam okręt i wyszedłem bez szwanku z tych wszystkich udřeceń i srogich opałów. Jedyną mą myślą powinna była być wdzięczność względem Stwórcy; jednakże na owo miejsce nie mogłem spojrzeć bez żalu za innymi i bez dreszczu wznowionej zgrozy.

Właśnie sobie rozmyślałem o tym wszystkim, gdy nagle pan Rankeillor wykrzyknął głośno, postukał się ręką po kieszeniach i poczał się śmiać.

— No, no! — zawołał. — Czy też to nie zabawna przygoda! Po wszystkim, com opowiadał, zapomniałem wziąć okulary!

Wówczas, rzecz jasna, zrozumiałem cel jego opowiastki i wiedziałem, że jeżeli zostawił w domu okulary, uczynił to umyślnie, ażeby mógł skorzystać z pomocy Alana, nie bojąc cię go rozpoznać. Doprawdy, było to zręcznie obmyślane, albowiem, nawet gdyby sprawa doszła do najgorszej ostateczności, jakże mógł teraz pan Rankeillor składać przysięgę co do tożsamości mego przyjaciela, albo jakimże sposobem mógł mieć przeciwko mnie potępiające dowody? Bądź co bądź, sporo czasu upłynęło, zanim spostrzegł ów brak okularów, a gdyśmy szli przez miasto, zagadywał był i poznawał wiele osób, przeto prawie nie wątpiłem, iż w istocie wzrok miał wcale niezgorszy.

Skoro minęliśmy Hawes (gdzie poznałem gospodarza, stojącego w drzwiach i krzącego fajkę, i byłem zdziwiony, widząc, że się nic a nic nie postarzał), pan Rankeillor zmienił porządek pochodu, przyłączając się do Torrance'a idącego w tyle i wysyłając mnie naprzód, niby na zwiady. Poszedłem ku szczytowi wzgórzka, pogwizdując od czasu do czasu ową gallicką piosenkę aż w końcu z radością posłyszałem jej odzew i dostrzegłem Alana, podnoszącego się zza krzaka. Był on nieco markotny, jako że przez cały dzień włóczył się chyłkiem po okolicy i ledwo że tam coś przegryzł w piwiarni koło Dundas. Ale skoro tylko zobaczył mnie w nowej odzieży, zaczął się rozpogadzać, a gdym mu opowiedział, jak daleko posunęły się nasze sprawy i jakiej roli oczekuję po nim w pozostałej części naszego dzieła, natychmiast jakby nowy duch weń wstąpił.

— Doskonałeś to obmyślił — rzecze do mnie — a pozwolę sobie powiedzieć, że wykonania tej sprawy nie mogłeś powierzyć w lepsze ręce, jak w ręce Alana Brecka. Nie jest to rzecz (zważ sam), którą kto bądź potrafiłby wykonać; na to trzeba człowieka obrotnego i przemyślnego. Ale coś mi się zdaje, że twój prawnik już się po trosze stęsknił do mego widoku.

Wobec tego zawołałem i skinąłem na pana Rankeiliora, który wnet podszedł ku nam samopas, zostawiwszy Torrance'a poza sobą; przedstawiłem go swemu przyjacielowi, panu Thomsonowi.

— Rad jestem, iżem spotkał waszmości, panie Thomson — ozwał się rejent. — Atoli nie wziąłem z sobą okularów, a nasz wspólny przyjaciel, obecny tu pan Dawid — (to mówiąc, poklepał mnie po ramieniu) — poświadczy, iż jestem prawie ślepy; toteż nie dziw się waćpan, gdybym przypadkiem jutro cię nie poznał.

Mówiąc to, myślał, że ucieszy Alana; atoli próżność tego górala gotowa była czuć się urażoną nawet z bardziej błahych przyczyn niż obecna.

— Ba, panie szanowny — odrzekł oschle — powiedziałbym, że to fraszka, zwłaszcza, że zeszlśmy się tu w określonym celu, mianowicie po to, by przywrócić pana Balfoura do praw jemu należnych, potem zaś, o ile mi się zdaje, nie będziemy mieć chyba nic z sobą wspólnego. Wszakóż przyjmuję pańskie usprawiedliwienie, które było bardzo stosowne.

— Na niczym więcej mi już nie zależy, panie Thomson — ozwał się Rankeillor serdecznie. — Teraz zaś, ponieważ waćpan i ja jesteśmy głównymi aktorami w tym przedsięwzięciu, sądzę, że powinniśmy wejść w bliższe porozumienie; w tym celu proszę waćpana, żebyś był uprzejmy podać mi ramię, gdyż wobec zmroku i braku okularów nie jestem całkiem pewny drogi, ty zaś, panie Dawidzie, znajdziesz w osobie Torrance'a milego towarzysza pogawędki. Tylko niechże mi będzie wolno ci przypomnieć, że zbyteczna, by ów miał słyszeć coś jeszcze o twoich przygodach lub o przygodach mości... hm... pana Thomsona.

Tak więc oni we dwójkę poszli naprzód, gwarząc z sobą coś poufnie i po cichu, a Torrance i ja postępowaliśmy za nimi w odwodzie.

Noc już była zupełna, gdyśmy obaczyli w dali mroczne zręby dworu w Shaws. Było już po dziesiątej; wszędy było ciemno i cicho, jedynie od południowego zachodu ciągnął miły, szumiący wiaterek, który przygłuszał głos naszych kroków. Gdy podeszliśmy bliżej, w żadnej części gmachu nie było widać nawet najniklejszego światelka ni odbłyску; wnosić stąd można było, że stryj już leżał w łóżku, co dla naszych knoń byłoby zaiste najdogodniejszą okolicznością. Zatrzymawszy się o jakie pięćdziesiąt sążni opodal, odbyliśmy szeptem ostatnią naradę, po czym my we trzech, rejent, Torrance i ja, podpełzaliśmy cichaczem i przyczailiśmy się poza węglem domu, a skoro stanęliśmy już na oznaczonych miejscach, Alan, nie ukrywając się zgoła, postąpił ku drzwiom i zaczął się do nich dobijać.

## ROZDZIAŁ XXIX. WKRACZAM DO MEGO KRÓLESTWA

Alan tłukł we drzwi przez czas dość długi, ale jego kołatanie budziło jedynie głuche echa we dworze z przyległościami. W końcu jednak posłyszałem zgrzyt z lekka odmykanego okienka i poznałem, iż mój stryj już podszedł do swej strażnicy. W jakim takim świetle późnego wieczoru mógł dostrzec Alana, stojącego jak mroczny cień na schodkach. Trzej świadkowie byli całkowicie ukryci przed jego wzrokiem, tak iż nie było nic takiego, co by mogło zaniepokoić uczciwego człowieka w jego własnym domu. Pomimo to, ów przez chwilę w milczeniu przyglądał się przybyszowi, a gdy przemówił, głos jego drgał obawą.

— Cóż to takiego? — powiada. — Noc to nieodpowiednia pora dla przyzwoitych ludzi, a ja nie chcę mieć nic wspólnego z nocnymi włóczęgami. Co waćpana tu sprowadza? Zwracam uwagę, że mam garłacz<sup>321</sup>.

— Czy to pan, panie Balfour? — odparł Alan, cofając się parę kroków i pozierając w górę skroś ciemności. — Schowaj no ten garłacz; paskudna rzecz poczynać sobie w ten sposób.

— Co cię tu przywiodło? I ktoś ty? — ozwał się stryj gniewnie.

— Nie mam bynajmniej chęci roztrąbiać moje imię na całą okolicę — rzekł Alan — a co mnie tu przynosi, to całkiem inna sprawa, która dotyczy raczej waćpana niż mnie.

<sup>321</sup>garłacz — odprzodowa broń palna o lufie rozszerzonej u wylotu. [przypis edytorski]

— A mianowicie? — zapytał stryj.  
— Dawid — odrzekł Alan.  
— Co takiego? — krzyknął stryj głosem mocno zmienionym.  
— Czyż więc mam podać waćpanu i resztę nazwiska? — zapytał Alan.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Sądzę, że najlepiej będzie, gdy wpuszczę waćpana do swego domu — ozwał się znów stryj, tym razem jakoś żałośnie.

— A jakże! — rzekł Alan. — Ale w tym sęk, czy zechcę wniknąć. Teraz ja powiem waćpanu, co sądzą. Sądzą, że sprawę powinniśmy obgadać tu, na tym proggu... i tylko tu albo nigdzie, niechby się działo nie wiem co! Albowiem chciałbym waćpanu pokazać, że jestem uparty jak on sam, a pochodzę z lepszej rodziny szlacheckiej.

Ta zmiana tonu zmieszała Ebenezera; przez chwilę żuł w sobie te słowa, a potem znów się odezwał:

— No, dobrze, dobrze, co musi być, to już musi! — po czym zatrzasnął okienko. Jednakże sporo czasu zabrało mu zejście na dół, a jeszcze więcej odsuwanie wrzecie<sup>322</sup>, bo (jak wnoszę) za każdym niemal krokiem, przy każdej sztabie lub zasuwie, żałował swej decyzji i doznawał nowych wstrząsów trwogi. Bądź co bądź, w końcu usłyszeliśmy skrzyp zawiasów, po czym mi się wydało, że stryj wymknął się cichcem na dwór i widząc, że Alan cofnął się wstecz na jakie dwa kroki, natychmiast usadowił się na najwyższym stopniu przedproża, dzierżąc garłacz w pogotowiu obiema rękami.

— A teraz — przemówił — chciej aść pamiętać, że mam garłacz, a jeżeli podejdziesz bliżej choć na krok, ustrzelę cię jak psa.

— Nie ma co mówić, grzeczna rozmowa! — rzecze Alan.

— Nie — prawi na to mój stryj — jeno sprawa jest ryzykowna, a zatem winienem być na wszystko przygotowany. Teraz zaś, skoro już rozumiemy się wzajemnie, możesz mi aść<sup>323</sup> wyjawić, co cię tu sprowadza.

— I owszem — rzecze Alan. — Waćpan, który tak się na wszystkim rozumiesz, pewno już poznałeś, że jestem szlachcicem z Podgórze. Moje nazwisko nie ma tu nic do rzeczy, ale dziedzina mych druhów znajduje się nieopodal wyspy Mull, o której pewno słyszałeś. W owych to stronach rozbił się podobno pewien okręt; nazajutrz potem jeden z mych krewniaków chodził po wydmach piaskowych, zbierając drzazgi z okrętu, przydatne na opał, gdy natknął się na chłopca, co był już na poły topielcem. Otóż krewniak mój ocucił tego biedaka, po czym z pomocą drugiego szlachcica wziął go i umieścił w starym, zrujnowanym zamku, gdzie od tego czasu aż po dziś dzień moi przyjaciele łożyli nań wiele pieniędzy. Moi przyjaciele mają dość dzikie obyczaje i nie bawią się w ceregiele prawne, jak inni, których mógłbym tu wymienić; toteż przekonawszy się, że chłopiec należy do cnej rodziny i jest rodzonym bratankiem waszmości, panie Balfour, przykazali mi, bym waćpana odwiedził i omówił z nim tę sprawę. Mogę zaś waćpana już z góry uprzedzić, że jeżeli nie przystaniesz na pewne warunki, tedy małe jest prawdopodobieństwo, byś go miał kiedy oglądać na oczy. Albowiem z moimi przyjaciółmi — dodał prostodusznie — nie ma co żartować.

Stryj odchrząknął.

— Nie bardzo mnie to obchodzi — odezwał się. — Był to niedobry chłopak, więc ani myślę nim się zajmować.

— Hale, hale! — rzecze Alan. — Widzę, do czego waćpan zmierzasz; udajesz, że cię to nie obchodzi, bo chcesz by okup był mniejszy.

— Nie — odparł stryj — jest to szczerą prawdą; nie dbam wcale o tego chłopca, ani też nie złożę żadnego okupu. Róbcie sobie z nim, co tylko się wam żywnie podoba!

— Spokojniej, dobrodziejku! — rzecze Alan. — Krew to nie woda, do stu diabłów! Z samego wstydu nie wolno waćpanu opuścić bratanka, a gdybyś to uczynił i doszłoby to do uszu ludzkich, to, o ile się nie mylę, nie przyniosłoby ci to wielkiego miru u współpowietników<sup>324</sup>!

<sup>322</sup>wrzecie — okucie budowlane, zamknięcie drzwi lub bramy, element w formie sztaby (a. płaskownika) z otworem, współpracujący ze skoblem i służący wraz z nim do mocowania kłódki. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>aść (daw.) — skrót od: wasza miłość pan, waszmość pan, waść; starop. potoczny zwrot grzecznościowy. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>współpowietnik — mieszkaniec tego samego powiatu. [przypis edytorski]

— I tak nie mam u nich wielkiego miru — odrzekł Ebenezer — a zresztą nie wiem, jak mogłoby się to rozgłosić... bo ani przeze mnie, ani też przez waćpana i pańskich przyjaciół... Wszystko to próżna gadanina, mosterdzieju!

— A więc Dawid o wszystkim opowie — rzekł Alan.

— Jakimże sposobem? — rzekł stryj głosem przenikliwym.

— Zaraz waćpanu wyjaśnię, w jaki sposób! — rzecze Alan. — Moi przyjaciele dopóty będą trzymali pańskiego bratanka u siebie, póki będą mieli nadzieję, że zarobią na tym nieco pieniędzy, ale gdy to się nie uda, wówczas mniemam, że pozwolą mu iść na złamanie karku, gdzie mu się tylko spodoba!

— Niech ta! I o to nie bardzo się troszczę — odpowiedział stryj. — Nic mi to nie zaszkodzi!

— Myślę właśnie, że tak! — rzecze Alan.

— Dlaczegożby miało tak być? — zapytał Ebenezer.

— No, no, panie Balfour — odparł Alan. — Sądząc z tego, co doszło do mych uszu, można tę rzecz dwojako rozumieć: albo waćpan kochałeś Dawida i zapłaciłbyś za jego wydanie, albo też masz powód, by się go pozbyć i zapłaciłbyś nam za zatrzymanie go w naszych rękach. Zdaje się, że pierwszy wypadek jest tu niemożliwy, wobec tego pozostaje drugi, czemu jestem bardzo rad, gdyż ładny grosz spłynie do kieszeni mojej i moich przyjaciół.

— Nie rozumiem waćpana — rzekł stryj.

— Czyżby? — rzecze Alan. — Zatem chcesz wziąć to pod uwagę: waćpan nie życzy sobie powrotu chłopca? Zgoda, ale co chcesz, by z nim uczyniono, i wiele za to zapłacisz?

Stryj nic nie odpowiedział, tylko poruszył się ociężale z miejsca, gdzie siedział.

— Hola, dobrodzieju! — krzyknął Alan. — Trzeba waćpanu wiedzieć, że jestem szlachcicem i noszę królewskie miano, a nie mam zamiaru obijać sobie łydek przed drzwiami twojej sieni. Albo dasz mi grzeczną odpowiedź i to prosto z mostu, albo też, klnę się na wierzchołek Glencoe, wbiję ten oto brzeszczot na trzy stopy w twe wnętrzności.

— Ach, człowiecze — zawołał stryj, gramoląc się, by powstać — daj mi chwilę czasu. Jakaż cię to mucha ugryzła? Jestem człek spokojny, nie żaden tancmistrz, a staram się być uprzejmy, ile tylko mogę. A ta aścina<sup>325</sup> wartka mowa to istne bezceństwo. Wnętrzności, powiadasz waćpan! A cóż na to mój garłacz? — zakończył charczącym głosem.

— Proch i aścine stare dłonie są jak ślimak wobec jaskółki w porównaniu z jasną stalą w rękę Alana — rzekł tamten. — Zanim pańskie roztrzęsione palce zdołają natrafić na cyngiel, już rękojeść mej szabli zatrzyma się na twych żebrach.

— Ach, człowiecze, któż ci tego odmawia? — ozwał się stryj. — Przebij mnie, jeżeli na tym ci zależy, nie będąc stawiał oporu. Wszakóż powiedz mi waćpan, czego sobie życzysz, a zobaczysz, że jeszcze możemy dojść do zgody.

— Prawda, wielmożny panie — rzekł Alan — nie wymagam niczego, jak tylko jasnego układu. Krótko mówiąc: czy waszmość pragniesz, by chłopca zabito czy zachowano?

— O rety, panowie! — zawołał Ebenezer. — O rety! Cóż to za słowa!

— Zabić czy zachować? — powtórzył Alan.

— Zachować! Ach, zachować! — jęczał stryj. — Oszczędźmyż rozlewu krwi, jeśli łaska!

— Dobrze! — rzecze Alan. — Stanie się wola waszmości, ale tym drożej będzie to kosztowało.

— Drożej! — krzyknął Ebenezer. — Czy chcecie skalać ręce zbrodnią?

— Sza! — odezwał się Alan. — Czy tak, czy owak, to zbrodnia, a zabicie jest rzeczą łatwiejszą, prędszą i pewniejszą. Zachowanie chłopaka będzie rzeczą kłopotliwą i trudną.

— W każdym razie chcę go zachować — odparł stryj. — Nigdy nie miałem nic wspólnego z niczyją krzywdą, ani żadnym moralnym przestępstwem, a nie jestem jakąś tam hetką-pętelką, bym miał chęć przypodobania się dzikiemu góralowi.

— Waćpan jesteś człekiem o miękkim sercu — zadrwił Alan.

<sup>325</sup>aściny (daw.) — skrót od: waszmościny (waszej miłości pana, waszmości pana); przymiotnik od starop. potocznego zwrotu grzecznościowego. [przypis edytorski]

— Jestem człowiekiem o ugruntowanych zasadach — rzekł Ebenezer skromnie — więc jeżeli mam zapłacić, to zapłacę. Poza tym — dodał — waćpan zapominasz, że chłopak jest synem mego brata.

— Dobrze, dobrze — zbył go Alan — a teraz pomówmy o wynagrodzeniu. Nie bardzo to mi łatwo naznaczyć wysokość owej sumy; wpierw chciałbym dowiedzieć się paru szczegółów. Dajmy na to, chciałbym się dowiedzieć: jaką zaliczkę dałeś waćpan Hoseasonowi?

— Hoseasonowi! — krzyknął stryj, wzdrygając się. — Za co?

— Za uwieszenie Dawida — odpowiedział Alan.

— To potwarz, nikczemne oszczerstwo! — wrzasnął stryj. — Jego nikt nie uwiózł! Kłamał nędznie, kto to waćpanu opowiadał! Porwany! Tego nigdy nie było!

— Nie moja w tym wina, ani waćpana — rzekł Alan — ani też Hoseasona, o ile temu człowiekowi wierzyć można.

— Co waćpan chcesz przez to wyrazić? — krzyczał Ebenezer. — Czy to Hoseason opowiedział rzecz tę waćpanu?

— Ba, sam waćpan się z tym wydałeś, bo skądże poza tym mógłbym o tym wiedzieć? — zawołał Alan. — Hoseason jest moim współnikiem i dzielimy się z sobą zyskami, więc widzisz waćpan, że na nic nie zdadzą się kłamliwe wykręty. Powiem też waszmości szczerze, że zawierałeś kiepską umowę, wtajemniczając takiego człowieka, jak ów żeglarz, w swoje prywatne sprawy. Ale tego już nie zażegnać, więc jakeś sobie waćpan pościelił, tak się wyśpizł! Zaś sedno rzeczy w tym: ileś mu waszmość zapłacił?

— Czy on sam o tym opowiadał waćpanu? — zapytał stryj.

— Moja w tym rzecz — odrzekł Alan.

— No, dobrze — rzekł stryj — mniejsza z tym, co mówił, zawsze skłamał, bo świadczę się Bogiem, że dałem mu dwadzieścia funtów. Ale wobec waćpana chcę być całkiem uczciwy; albowiem poza tym miał on sprzedać chłopca na Karolinach, na czym pewno zarobiłby porządnie, ale, jak sam aś widzisz, nie z mojej kieszeni.

— Dziękuję waszmości, panie Thomson. To nam w zupełności wystarczy — odezwał się prawnik, wychodząc z ukrycia, po czym z wielką uprzejmością zwrócił się do stryja. — Dobry wieczór, panie Balfour.

— Dobry wieczór, stryju Ebenezerze — zawtórowałem.

— Piękna noc, panie Balfour — dodał Torrance.

Stryj nie mógł z siebie wykrztusić ni słowa, tylko siedział nieporuszenie na najwyższym schodku i wlepił w nas struchlałe źrenice — niby człek skamieniały. Alan wytrącił mu z rąk garłacz, a prawnik, ująwszy stryja pod ramię, oderwał go od schodów i wprowadził za sobą do kuchni, dokąd wszyscy poszliśmy w ich ślady; tam posadził go w fotelu koło kominka, gdzie ogień już wygasł i jedynie paliła się licha łojówka.

Wówczas przyglądaliśmy się przez chwilę gospodarzowi tego domu, radując się niezmiernie naszym sukcesem, zarazem jednak odczuwając coś jakby litość nad zasromanym<sup>326</sup> nieszczęśliwym.

— No, no, panie Ebenezerze — zagał rozmowę pan Rankeillor — nie upadaj na duchu, gdyż obiecuję waszmości, że postawimy dogodne warunki. Tymczasem daj nam klucz od piwnicy, a Torrance przyniesie nam butelkę wina jeszcze z czasów pańskiego ojca, aby uczcić dzisiejsze wydarzenie.

Potem zwracając się do mnie i biorąc mnie za rękę, przemówił:

— Panie Dawidzie, życzę waćpanu wszelkiej pomyślności i szczęścia, na które sądzę, iż zasłużyłeś.

W końcu z niejaką przymieszką żartobliwości zagadnął Alana:

— Mości Thomson, wiesz, że waćpanu; zręcznie brałeś się do rzeczy... atoli jeden szczegół był dla mnie nieco niezrozumiały. Czy na imię jest ci Jakub? Czy Karol? Czy też Jerzy?

— A czemu właśnie jedno z tych trzech imion miałbym nosić, mości panie? — odrzekł Alan, prostując się, jakby węszył jakąś zniewagę.

<sup>326</sup>zasromany (daw.) — zawstydzony. [przypis edytorski]

— Dlatego, że waszmość wspomniałeś miano królewskie — odparł Rankeillor — ponieważ zaś nigdy nie było króla Thomsona, przynajmniej nigdy o takim wieść mnie nie doszła, przeto sądził, że na myśli masz imię, jakie nadano ci na chrzcie.

Było to właśnie ukłucie jak najdotkliwsze dla Alana, a wyznam, że zostało przez tegoż nader źle przyjęte. Nie odrzekł ani słowa, tylko odszedł w najdalszy kąt kuchni i usiadł tam nachmurzony. Dopiero gdym poszedł za nim i podawszy mu rękę, jałem mu dziękować, jako głównemu sprawcy mego powodzenia, zaczął się z lekka uśmiechać, a na koniec dał się namówić i przyłączył się do naszej gromadki.

Tymczasem roznieciliśmy ognisko i odkorkowaliśmy butelkę wina; z koszyka wydobyto doskonałą kolację, do której przysiadłem się wspólnie z Alanem i Torrancem, natomiast rejent wraz ze stryjem udali się na naradę do najbliższego pokoju. Zabawili tam w zamknięciu prawie godzinę; po upływie tego czasu doszli do doskonałego porozumienia, po czym stryj i ja w sposób przepisowy złożyliśmy podpisy pod kontraktem. Na mocy warunków tegoż stryj zobowiązywał się uścić Rankeillorowi wszystkie należności rejentalne, mnie zaś płacić dwie trzecie czystego rocznego dochodu z majątku Shaws.

Tak więc żebrak z ballady powrócił w domowe pielesze, a gdyśmy w ową noc spoczywali na skrzyniach kuchennych, byłem już człowiekiem zamożnym i nosiłem miano znaczne na całą okolicę. Alan i Torrance chrapali snem twardym na swych twardych łóżkach, natomiast ja, który przez tyle dni i nocy spoczywałem był pod gołym niebem, na kamieniach i błocie, nierzadko z pustką w żołądku i z obawą o życie, czułem się bardziej onieśmielony tą pomyślną zmianą losu niż wszystkimi złymi przygodami czasów ubiegłych. Tak więc przeleżałem aż do świtu, spoglądając na ogień w kominku i snując plany na przyszłość.

## ROZDZIAŁ XXX. DO WIDZENIA!

Co się mnie tyczy, dotarłem już do bezpiecznej przystani. Atoli miałem jeszcze sobie poruczonego Alana, któremu tyle byłem obowiązany, ponadto doznałem ciężkiej udręki, myśląc o morderstwie Colina i niedoli uwięzionego Jakuba z Wąwozów. Troskę o życie tych dwóch ludzi wyznałem nazajutrz panu Rankeillorowi, przechadzając się wraz z nim około szóstej godziny rano przed dworem Shaws i mając przed oczyma same li tylko lasy i niwy, które należały do mych pradziadów, a teraz moją były własnością. Nawet gdym omawiał te smutne sprawy, oko moje z lubością przebiegało po tym widoku, a serce tętniło mi dumą.

Prawnik nie miał najmniejszej wątpliwości co do mej powinności względem przyjaciela i oświadczył, że niech się dzieje, co chce — muszę mu dopomóc w wydostaniu się za granicę. Natomiast co do Jakuba był całkiem innego zdania.

— Z panem Thomsonem inna sprawa, a z jego krewniakiem inna. Mało znam owe wypadki, ale domyślam się, że pewien możny szlachcic (którego, jeżeli pozwolisz, nazwiemy X. A.<sup>327</sup>, jest w tej sprawie zainteresowany i kto wie, czy nie pała jakąś zawziętością. X. A. jest niewątpliwie znamienitym wielmożą, atoli ja, panie Dawidzie, *timeo qui nocuere deos*<sup>328</sup>. Jeżeli chcesz zapobiec jego zemście, tedy pamiętaj, że stając jako świadek, jedną tylko możesz obrać drogę, a mianowicie oddać się w ręce sprawiedliwości. Wówczas znajdziesz się w takiej samej bryndzy, jak krewniak pana Thomsona. Będziesz się zastawiał, żeś niewinny; ba, ale i on też niewinien. Gdybyś zaś miał stawać w gardłowej sprawie przed sądem góralskim, w procesie góralskim i wobec sędziego-górala, zasiadającego na trybunale, miałbyś stąd niedługą podróż na szubienicę.

Te wszystkie rozważania już mi przedtem przychodziły do głowy — i nie mogłem dojść do trafnego ich rozwikłania; toteż począłem sobie z największą prostotą, na jaką mogłem się zdobyć i rzekłem.

— W takim razie, dobrodzieju, chyba by mnie powieszono... czy nie tak?

— Chłopcze mój miły — zawołał rejent — idźże sobie z Bogiem i rób, co uważasz za stosowne. Przykro pomyśleć, że w moim wieku życia przyszło mi na to, że mam ci radzić, co wybrać: hańbę czy bezpieczeństwo. Idź i pełnij swą powinność, a niechże cię powieszają,

<sup>327</sup>X. A. — Książę Argyle. [przypis autorski]

<sup>328</sup>*timeo qui nocuere deos* (łac.) — obawiam się tego, kto szkodzi bogom (Owidusz, *Tristia* I, 1). [przypis edytorski]

jak przystało na szlachcica, jeżeli tak już być musi. Są na świecie gorsze rzeczy jak śmierć przez powieszenie.

— Niewiele — odrzekłem, uśmiechając się.

— I owszem, mój panie — zawołał Rankeillor — bardzo wiele. A twojemu stryjowi (by nie zapuszczać się zbyt daleko) byłoby dziesięćkroć lepiej, gdybyś zadyndał przyzwoicie na haku.

Po czym powrócił do dworu (wciąż niezmiernie podniecony, z czego wniosłem, że bardzo przypadł mu do serca) i napisał mi dwa listy, wtrącając w czasie pisania swoje uwagi o nich.

— Ten pierwszy — mówił — jest do mych bankierów w Brytyjskim Towarzystwie Przemysłu Lnianego, dający ci upoważnienie do podejmowania pieniędzy na twoje nazwisko. Poradz się pana Thomsona, on będzie się na tym rozumiał, ty zaś, mając to upoważnienie, będziesz mógł zdobyć potrzebne ci środki. Wierzę, że potrafisz liczyć się z groszem, jednakże gdy chodzi o takiego przyjaciela jak pan Thomson, okazałbym się nawet rozrzutny. Co się zaś tyczy jego krewniaka, nie ma lepszego sposobu, jak wyszukać adwokata, opowiedzieć mu rzecz całą i złożyć dowody; czy on je przyjmie, czy nie, to inna sprawa, ale zwróci się do X. A. Otóż ażebyś mógł znaleźć lorda adwokata po swej myśli, daję ci ten oto list do twego imiennika, jaśnie wielmożnego pana Balfoura z Pilrig, którego wielce poważam za jego uczoność. Będzie lepiej wyglądało, gdy będziesz mógł być zaprezentowany przez kogoś, kto nosi twe nazwisko, dziedzic z Pilrig jest bardzo ceniony w swym zawodzie i pozostaje w dobrych stosunkach z Lordem Adwokatem Grantem. Gdybym był tobą, nie fatygowałbym go niepotrzebnymi szczegółami. — A czy wiesz? — Zdaje mi się, że zbyt często<sup>329</sup> wspominam i o panu Thomsonie. Zapatruj się na dziedzica, jest ci on dobrym wzorem, a niechże cię we wszystkim Bóg prowadzi, panie Dawidzie!

To rzekłszy, pożegnał się i ruszył wraz z Torrancem do Przewozu, natomiast Alan i ja zwróciliśmy oblicza w stronę Edynburga. Gdyśmy szli ścieżyną, mijając odrzwia bramy i niedokończony domek odźwiernego, oglądaliśmy się ciągiem na dwór moich ojców. Stał on, wielki, ogołocony i nieożywiony dymem, jak gdyby zgoła niezamieszkały — jedynie w jednym z okien poddasza było widać czubek szlafmicy, wychylający się to na dół, to do góry, to w tył, to naprzód, jak głowa królika z nory. Nie bardzo mnie tu witano, gdym przybył, i niezbyt grzecznie mnie podejmowano, gdym tu gościł, ale przynajmniej przyglądano mi się, gdym odchodził.

Zarówno Alan jak i ja odbywaliśmy drogę nader powoli, nie mając ochoty, ani iść, ani rozmawiać. Obu nas nurtowała ta sama myśl — że już niezadługo rozstaniemy się z sobą, a wspomnienie wszystkich dni ubiegłych boleśnie ciążyło nam na duszy. Oczywiście rozmawialiśmy o tym, co czynić nam teraz wypada i ostatecznie stanęło na tym, że Alan powinien pozostać w tej okolicy, kryjąc się raz tu, raz tam, ale raz na dzień miał przychodzić na pewne oznaczone miejsce, gdzie mógłbym porozumiewać się z nim bądź osobiście, bądź przez posłańca. Przez ten czas miałem odszukać pewnego prawnika, który należał też do rodu Stuartów z Appinu i był człowiekiem w zupełności godnym zaufania — tegoż zadaniem miało być wynalezienie okrętu i przygotowanie go celem bezpiecznego zabrania Alana na swój pokład. Skorośmy już omówili tę sprawę, rzekłbyś, że nie stało nam słów w gębie, a chociaż próbowałem żartować z Alana i narzuconego mu nazwiska, on zaś starał się bawić kosztem mych nowych szat i mego dziedzictwa, to jednak łatwo pojął, iż zbierało się nam bardziej na łzy niż na śmiechy.

Szliśmy na przełaj przez wzgórze Corstorphine, a gdyśmy się przybliżyli do miejsca, przezwanego „Spoczniej i Podziękuj”, skąd wzrok nasz mógł objąć błota corstorphińskie oraz miasto i zamek na wzgórzu, obaj zatrzymaliśmy się, bo choć nie zamieniliśmy z sobą ni słowa, wiedzieliśmy doskonale, że doszliśmy do miejsca, gdzie rozchodziły się nasze drogi. Tutaj mój druh raz jeszcze mi powtórzył wszystko, co ułożyliśmy pomiędzy sobą, a więc adres prawnika, porę dnia, o której można było zdybać Alana, i hasło, jakie dać był powinien, ktokolwiek miał go odszukać. Następnie dałem mu wszystkie pieniądze, jakie miałem przy duszy (było to parę gwinei od pana Rankeillora), ażeby przez czas jakiś nie był

<sup>329</sup> *zbyteczna* — daw. forma; dziś znaczenie: zbyteczne jest, aby. [przypis edytorski]



narażony na głódówkę, potem zaś stanęliśmy w pewnym odstępie od siebie i w milczeniu spoglądaliśmy w stronę Edynburga.

— No, do widzenia — odezwał się Alan, wyciągając lewą rękę.

— Do widzenia — odpowiedziałem i z lekka uściśnięm mu rękę, po czym zacząłem zstępować z pagórka.

Żaden z nas nie patrzył drugiemu w oblicze, ani też dopóki mógłbym go dostrzec, nie oglądałem się za przyjacielem, z którym się rozstawałem. Lecz gdy podążałem dalej ku miastu, czułem się tak opuszczony i samotny, iż chciało mi się usiąść w rowie przydrożnym i płakać, i krzyczeć jak dziecko.

Południe było już za pasem<sup>330</sup>, gdy minąwszy kościół i wygon podmiejski, wkroczyłem w ulice stolicy. Ogromna wysokość budynków, sięgająca dziesięciu i piętnastu pięter, wąskie, sklepione bramy wyrzucające z siebie ustawicznie rzesze przechodniów, towary kupieckie w oknach wystawowych, tłok, rwetes i ciągły hałas, zapach stęchlizny, nadobność strojów i tysiące innych szczegółów, nazbyt tu nienajdanych, by je można spamiętać — wszystko to wprawiło mnie w jakieś oszołomienie i zdumienie, tak iż dałem się tam i sam ponosić tłumowi. Mimo to przez cały czas myślałem jeno<sup>331</sup> o Alanie, któremu tam zostawiłem na wzgórzu, zwanym „Spocznij i Podziękuj”; i przez cały ten czas (choć kto inny pomyślałby, że nie zostawało mi nic innego, jak zachwycać się tymi nowościami i pięknościami) w głębi ducha czułem jakąś bezlitosną zgryzotę, niby wyrzuty sumienia za jakiś zły postępek.

Ręka Opatrzności doprowadziła mnie w tym zamęcie przed same drzwi banku Towarzystwa Brytyjskiego.

KONIEC.

<sup>330</sup>być za pasem (daw., pot.) — zbliżyć się. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>jeno (daw., gw.) — tylko. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stevenson-porwany-za-młodu/>

Tekst opracowany na podstawie: Robert Louis Stevenson, *Porwany za młodu*, Nakładem Wydawnictwa Polskiego, Poznań [1927].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-5715-5

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).